

JACEK INGLOT

QUIETUS

TMN

1997

Cytaty w książce pochodzą z następujących źródeł:

1. Fragmenty utworów poetów rzymskich – Pierre Grimal, *Miłość w Rzymie*, przełożył Jerzy Roman Kaczyński, PIW, Warszawa 1990.
2. Cytat z rzymskiego historyka Libanusza – Edward Gibbon, *Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego*, przełożył Stanisław Kryński, PIW, Warszawa 1995.
3. Fragmenty z Biblii – Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, wydanie III poprawione, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań-Warszawa 1980.
4. Marek Aureliusz – *Rozmyślenia*, PIW, Warszawa 1997

Mówię, bracia, czas jest krótki. Trzeba więc, aby ci, którzy mają żony, tak żyli, jakby byli nieżonaci, a ci, którzy płaczą, tak jakby nie płakali, ci zaś, co się radują, tak jakby się nie radowali; ci, którzy nabywają, jak gdyby nie posiadali; ci, którzy używają tego świata, tak jakby z niego nie korzystali. Przemija bowiem postać tego świata.

Pierwszy List do Koryntian 7, 29-31

I. Chrześcijanie

Po raz pierwszy zobaczył Nipuańczyków, przechodząc przez Forum Apostaty. Stali na szerokiej podstawie kolumny wielkiego cesarza, otoczeni przez hałaśliwy tłum żebraków. Na przedzie tkwił nieduży, pomarszczony mężczyzna, w chitonie dziwnego kroju, przepasanym pośrodku szerokim czarnym pasem, za którym miał zatknięty krótki miecz. Trzymał w ręku sakiewkę i rzucał w tłum żebraków płci obojga drobne monety. Gdzie upadły, tam od razu powstawał niesamowity harmider i wrzask, konkurencyjne bandy usiłowały kijami przepędzać się nawzajem z placu. Suchy mężczyzna obserwował to z nieruchomą twarzą, patrząc małymi, ciemnymi oczyma – dopiero teraz Quietus zauważył, że są lekko skośne, jak to kiedyś słyszał.

Za mężczyzną, nieco z tyłu i bliżej trzonu kolumny, stała kobieta, mała i delikatna niczym figurka z przejrzystego prawie alabastru, ubrana w osobliwe peplos kroju nieco podobnego do chitonu mężczyzny – znacznie jednak dłuższe, sięgające poza kostki stóp, i przy tym nieskazitelnie białe. Głowę miała pochyloną i pokornie patrzyła w dół, tak że ledwo widział drobny, łagodny nos i zarys czerwonych ust. Za nią dostrzegł dwóch zamaskowanych mężczyzn, nieco wyższych od pierwszej pary, odzianych w czarne, obcisłe szaty podobne do tocharyjskich. Zza pasów sterczały im po dwa skrzyżowane długie miecze. Ci tkwili zupełnie nieruchomo, prawie że przyklejeni do kolumny, a spod zawojów na głowach bez przerwy błyskały białka oczu, pilnie przepatrujących kotłujący się dookoła tłum.

„A więc tak wyglądają” – pomyślał Quietus, który nigdy dotąd nie oglądał prawdziwych Nipuańczyków, tyle że o nich słyszał. Nie dotarli jeszcze do tej prowincji, jednej z najbardziej zapadłych w imperium. W ogóle ostatnio mniej obcokrajowców odwiedzało Calisję, co tylko potwierdzało tezę, że stają się coraz bardziej pograniczni i prowincjonalni. Tu kończyło się imperium, a zaczynały nieokiełznane ludy Wschodu i niezmierzone lody Północy. Przyśpieszył kroku. Na ostatnim skrawku Forum, kiedy już miał skręcić w uliczkę zwaną Zaułkiem Kotlarzy, odwrócił się i jeszcze raz zerknął na plac. Nipuańczyk rzucił właśnie ostatnią monetę i chował sakiewkę za pasem; podniósł na moment wzrok i niespodziewanie popatrzył prosto na Quietusa, który drgnął uderzony jego zimnym wejrzeniem. Nipuańczyk

zwrócił się do kobiety i ta również spojrzała na niego z zaciekawieniem. Quietus nie czekając na nic więcej, obrócił się na pięcie i spieszenie ruszył w głąb zaułka.

W gospodzie starego Ataoklesa, zwanego pospolicie Agamemnonem, jako że też pochodził z Argos, zgodnie z oczekiwaniami zastał Marcusa Corejmusę Tranquilla, królującego za największym stołem. Przed nim widniało kilka glinianych kufli, których zawartość, sądząc po stanie zachlapanej i tak zazwyczaj nie najczystszej togi, została właśnie łączywie pochłonięta. Marcus pracował jako lektor w bibliotece miejskiej, ale nad zawałone papirusami sale i zasuszonych skrybów stanowczo przedkładał lokal Agamemnona, gdzie w zamian za trunki udzielał publicznych wykładów neocynizmu, którego to kierunku filozoficznego – jego zdaniem, ostatniego sensownego – mienił się największym po Diogenesie przedstawicielem.

Na widok Quietusa filozof wyprostował się i z zadowoleniem podkreślił sumiastego węża, jedyny spadek po rzekomo sarmackich przodkach. Szparko pociągnął z najbliższego kufli i robiąc bolesną minę, splunął pivem na podłogę.

– No i co ty na to, mój zacny Quietusie?! – zawołał. – W tym przeklętym kraju nie potrafią już nawet robić piva! Wszystko schodzi na psy. To nie pivo, ale szczyny tego cholernego grubasa! – ryknął, zezując w stronę pękatego ciała Agamemnona, siedzącego przy ściennej półce z mocniejszymi napitkami. – Ta gruba świnia nie ma za grosz przyzwoitości. – Marcus złapał za kufel i chlusnął resztką w stronę karczmarza. Agamemnon pracowicie żuł kawałek ciasta, z krowią obojętnością gapiąc się przed siebie. Zdążył się już przyzwyczaić, podobne sceny spotykały go co wieczór.

Quietus wsadził rękę pod chiton i wymacał w skrytej kieszonce złotą drachmę. Wydobył ją i rzucił na stół przed Agamemnonem, którego tępe spojrzenie od razu nabrało ostrości i blasku. Karczmarz chwycił monetę i ją próbował krawędź w zębach, po czym, uspokojony, wrzucił krążek do skórzanej sakwy na brzuchu. Spojrzał pytająco na Quietusa.

– Odszpunuj dla nas, przyjacielu, małą beczułkę najlepszego saskiego, tylko ma być świeże! – powiedziawszy to, Quietus opadł na ławę obok Marcusa, który, cały rozjaśniony, zlewał resztki z kufli na obiatę Swarogowi, co można było wywnioskować z niewyraźnej mamrotaniny pod nosem.

– Jakże to – zauważył Quietus – nie jesteś już materialistą i agnostykiem? Przedwczoraj udowadniałeś komu popadnie, że bogów nie ma, że to jeno czczy wymysł tudzież ludzka bojaźń i głupota. Czy nie tak było?

– Może tak, a może nie, któż to na dobrą sprawę na pewno wie? – odparł wymijająco filozof, niecierpliwie strząsając resztę kropel z opróżnianego naczynia. – Wczoraj za to poczytałem sobie Platona i wiem, co spotkało oskarżonego o bezbożność Sokratesa. Moja wątroba mówi mi, że woli pivo od cykuty.

W tym momencie Agamemnon przytaszczył wreszcie całkiem zgrabną beczuleczkę. Marcus chciwie podstawił pod nią kufel i z upodobaniem patrzył na tryskającą z niej pienistą, ciemnobursztynową strugę, a potem długo delectował się napitkiem. Na jego twarzy odbił się wyraz bezbrzeżnej rozkoszy.

– Tylko Sasi i Longobardowie potrafią robić je dobrze – skonstatował, pociągając kolejny łyk. – I pomyśleć, że był to swego czasu nasz plemienny, wenedyjski napitek. A bywało tu kiedyś pivo, bywało, znano tu ongiś sztukę warzenia tego boskiego nektaru i może do tej pory mielibyśmy się niezgorzej, gdyby nie ta południowa zgnilizna – ten grecki wieprz, który tam w kącie potrafi się najwyżej odlać do kadzi, a nie zrobić dobry odwar. Została tylko Magna Germania, ostatnia twierdza prawdziwego piva.

– Chyba nie będzie tak źle. – Quietus upił łyk i dłuższą chwilę rozkoszował się chłodnym, lekko gorzkawym a zarazem cierpkim smakiem. – Słyszałem, że nasi pobratymcy z Bohemii warzą całkiem niezłe, w niczym pono nie ustępujące saskiemu.

– Być może. Tak czy owak nasza Sklawinia schodzi na psy, co najwyraźniej widać po pивie.

– Coś w tym jest, skoro przeszło połowa moich towarzyszy z gimnazjonu porozeżdżała się po wszystkich prowincjach imperium, od Pergamonu i Galatii na wschodzie po brytyjskie ostępy na zachodzie. Chwilami myślę, że najmniej Wenedów zostało tutaj, w Wenedii.

Marcus milczał czas jakiś, w końcu ponuro wejrzał na dno kufla i podstawił go pod beczulekę.

– Kiedyś byliśmy Rzymowi potrzebni – odezwał się. – Kiedy nasze wenedyjskie legie były buntowników pod Antiochią, zapewniając Apostacie nieśmiertelną chwałę, byliśmy na ustach całego cywilizowanego świata. Senat rzymski słał naszym książętom hojne dary i listy dziękczynne, zapewniając o wiecznej pamięci. No cóż, chyba słusznie powiadają, że nikt i nic na tym świecie nie ma krótszych nóg od wdzięczności. Teraz, kiedy nasze miecze przestały być potrzebne, nie możemy się nawet napić przyzwoitego piva. Jesteśmy zapomnianym ludem w zapomnianym kraju. Pies z kulawą nogą nie jest ciekaw, co u nas słyhać.

– Nie tak zupełnie – wtrącił Quietus. – Na przykład dzisiaj, całkiem niedawno, widziałem Nipuańczyków. Rozdawali jałmużnę na Forum Apostaty.

– Nipuańczycy, tutaj?! – Marcus aż nastroszył brwi ze zdumienia. – Co oni, na Jowisza, mogą robić w takiej zapyziałej dziurze jak Calisja?

Quietus nie zdążył odpowiedzieć, zresztą nie bardzo wiedział, co by tu rzec na tak oczywiste *dictum*, gdy do karczmy wkroczył dostojnie centurion gwardii namiestnika. Oficer stał chwilę w bezruchu na progu, przyzwyczajając oczy do

panującego w izbie mroku. Kiedy ich dostrzegł, ruszył zdecydowanie do przodu, grzebieniem hełmu zamiatając pajęczynę z powały. Marcus patrzył na niego z obrzydzeniem; jako zdeklarowany cywil nie czuł ani żdźbła szacunku do wojskowych.

– A ten tu czego... – zaczął, ale żołnierz ignorując go całkowicie, zwrócił się wprost do Quietusa.

– Quietus Fabiusz Mercator? – zapytał formalnym tonem.

– Tak – potwierdził zapytany, zerkając bojaźliwie na Marcusa, który znowu zatopił wąsy w bursztynowym płynie.

– Masz się niezwłocznie stawić w letniej rezydencji namiestnika – wyrecytował dobitnie gwardzista i, nie czekając na odpowiedź, wyszedł, siejąc popłoch wśród ocalałych pajęczych resztek.

Quietus w zamyśleniu skubał wargę.

– Dziwne – powiedział. – Sewer Flawiusz od pół roku przebywa w Rzymie, a jego zastępca nie lubi mnie i unika korzystania z moich usług. Co to może znaczyć?

– Prawdopodobnie chce cię wreszcie wsadzić – zakpił Marcus i stuknął kuflem o beczkę. – Ale na razie napijmy się piva.

Letni pałac Sewera Flawiusza, potomka rządzących ongi Wenedią sklawińskich książąt, wybudowany jeszcze przez jego dziada, miał kształt obszernej willi w stylu noworzymskim. Usytuowano ją we wschodniej, zamieszkałej przez patrycjat części miasta, na niewielkim, płaskim wzgórzu, tuż obok akweduktu i biegnącej w tym miejscu pod nim Via Venedia, szerokiej, porządnej rzymskiej drogi, łączącej Mare Suebicum z Pannonią i dalej, z samą Italią i światowładnym Wiecznym Miastem.

Tuż przy wejściu czekał na niego czarny niewolnik. Weszli razem do środka; sługa poprowadził go przez przyozdobione niezgorszą kolekcją greckich rzeźb atrium do położonego w głębi perystylu, gdzie zwykle namiestnik przyjmował swoich gości.

W pierwszej chwili nie dostrzegł nikogo, widok na połowę zalanego słońcem dziedzińca zasłaniała mu stojąca pośrodku fontanna z posągami nimfy Aretuzy. Tamci byli po drugiej stronie, siedząc na płaskim marmurowym podeście, postawionym w rogu obiegającej perystyl kolumnady i ocienionym rozpiętym nad nim płótnem. Quietus odruchowo drgnął, tak osobliwy ujrzał widok. Na rozłożonej na kamieniu plecionce siedziały trzy osoby: w oczy rzucał się przede wszystkim Kuno Lichtenus, rosły Szwab o ponurym wejrzeniu, dowódca gwardii namiestnika, pełniący pod nieobecność Sewera Flawiusza jego obowiązki, po lewej ręce Kunona spoczywał na podkurczonych pod siebie nogach znany już Quietusowi z Forum Apostaty, pomarszczony Nipuańczyk, mający naprzeciw siebie tę samą filigranową kobietę, która, lekko pochylona, z gracją rozlewała do okrągłych czarek jakiś napój. Kuno na

jego widok skrzywił się nieznacznie, ale zaraz ustroił twarz w oficjalny uśmiech, czyniąc ręką zapraszający gest.

– Oto i nasz oczekiwany przybysz, obywatel rzymski Quietus Fabiusz Mercator – powiedział. – Przedstawiam ci, szanowny Quietusie, pełnomocnego ambasadora cesarza dalekiego kraju Nipu, księcia Tsuomi...

Siedzący sztywno Nipuańczyk skłonił się nieznacznie, na co Quietus odpowiedział jednym ze swoich najuniżeńszych ukłonów.

– ...oraz jego szanowną małżonkę, panią Taiko.

Kobieta wykonała głęboki dyg, cały czas trzymając skromnie opuszczone oczy; wyglądało na to, że nigdy ich nie podnosi. Mężczyzna uprzejmym gestem wskazał Quietusowi miejsce obok siebie, na wolnej połaci ozdobnej plecionki. Usiadł niezgrabnie, podciągając pod siebie nogi. Pani Taiko wdzięcznym, jakby ceremonialnym ruchem postawiła przed nim bladoniebieską czarkę z jakimś parującym płynem. Pociągnął nosem: zapach był całkowicie obcy, ale przyjemny.

– Wiele dobrego słyszałem o tobie od mego przyjaciela, senatora Flawiusza – odezwał się książę Tsuomi. Mówił gładką, poprawną łaciną, wypraną jednak z akcentu i metrum. Quietus ze zdziwieniem stwierdził, że kostyczny z wyglądu ambasador ma całkiem miły głos. – Sewer Flawiusz wspominał mi kiedyś o twych rozlicznych talentach...

– Jeśli chodzi o stręczenie młodych dziewcząt, to niewątpliwie miał rację – wtrącił Kuno, pamiętając dobrze, jak to swego czasu Quietus skutecznie pomógł Sewerowi w pewnej miłosnej historii; ta sama dziewczyna wpadła w oko i Kunonowi.

Nipuańczyk uśmiechnął się uprzejmie, lecz Quietus dostrzegł w jego zimnych oczach błysk gniewu, od którego ścierpł mu grzbiet. „Ale śmierdziel z tego Kuna” – pomyślał.

– Chodziło mi o coś innego – senator wspominał o twych umiejętnościach, w odnajdywaniu rzeczy zgubionych lub skradzionych. Podobno potrzebną rzecz wynajdziesz choćby spod ziemi?

– Wielceś dla mnie łaskawy, panie – odparł Quietus. – Istotnie, udało mi się rozwikłać parę tutejszych zagadek i afer kryminalnych. Zostałem do tego niejako zmuszony, z racji niskiego poziomu sił policyjnych – dodał, rzucając jednocześnie serdeczne spojrzenie Kunonowi, któremu podlegała Tajna Służba.

Gwardzista jakby nigdy nic siorbał napar, niezdarnie udając, że się nim delectuje. Quietus sam zamierzał już sięgnąć po swoją czarkę, kiedy książę Tsuomi zapytał niespodziewanie:

– Co wiesz o chrześcijanach?

Quietus stropił się zaskoczony; chrząknął z zakłopotaniem, zerknął znowu na Kunona, ale tamten gapił się na panią Taiko, która w dziwny, ale i zarazem miły dla

oka sposób przedstawiała naczynia. O co temu Nipuańczykowi chodziło?

– Niewiele, panie – powiedział wreszcie. – Tyle co wszyscy. To zakazana sekta, która kiedyś usiłowała przejąć władzę w państwie, czemu skutecznie zapobiegł wielki cesarz Julian, zwany Apostatą. Ale to było trzysta lat temu!

– No właśnie. – Tsuomi uśmiechnął się życzliwie. – Jestem kimś w rodzaju badacza poglądów religijnych i jednocześnie koneserem, kolekcjonującym stare i rzadkie papirusy. Z natury rzeczy, przebywając w Rzymie i badając jego tak interesujące i zawiłe dzieje religijne, natknąłem się na wiadomości o owych chrześcijanach, niestety, bardzo skąpe, nie pozwalające wyrobić sobie zdania o ich doktrynie religijnej. Nie mogłem też przeczytać żadnych traktujących o tym pism, jako że wszystkie zostały zniszczone z woli cesarza Juliana. Przepadły, rzecz jasna, pisma samych chrześcijan. Próbowałem szukać w Galii, gdzie były stosunkowo umiarkowane prześladowania. Niestety, i tam nic nie znalazłem, z wyjątkiem jednej małej wzmianki w dokumentach miejskich Parisii: mówi się tam w krótkiej notatce, że pewna grupa prześladowanych chrześcijan uciekła za Ren, ku północno-wschodnim granicom cesarstwa, zamierzając się osiedlić tak daleko od Rzymu, jak to tylko możliwe. Okoliczności te wskazują, że myśleli o Wenedii. Trochę to dziwne, zważywszy, co wenedyjscy żołnierze czynili z ich współwyznawcami w Syrii i Galatii...

„Tak, to prawda” – pomyślał Quietus. „Moi przodkowie brodzili po kolana we krwi mieszkańców Antiochii i Tarsu, mieszkańców Lycji wytępiono do nogi, nie darowano nawet niemowlętom”.

To była rzeź tysiąclecia, niepodobna do niczego, co zdarzyło się przedtem i potem. Nie sporządzono oficjalnych statystyk, ale znający sprawę historycy ofiary liczyli w miliony. Kogo nie zabito, ten gnany strachem uciekał, gdzie oczy poniosą, padając łupem lotnych watah numidyjskiej jazdy. Zapomniano o litości i miłosierdziu. Quietus słyszał, że podobno do dzisiaj są w Małej Azji okolice, gdzie można wędrować i miesiąc, nie napotykając żywego ducha, jeno kruszejące ruiny kwitnących przed wiekami miast i zamieszkałe przez wilki widma ludnych niegdyś wiosek. Mimowolnie wzdygnął się na to wspomnienie.

– To chyba niemożliwe – powiedział po chwili ciszy. – Sugerujesz, książę, że w Calisji działa do tej pory jakaś chrześcijańska sekta? Nie, to zbyt fantastyczne! A co na to twoja tajna policja, szlachetny Kunonie?

– No tak... – Szwab przestał gapić się na malutką Nipuankę i nostalgicznie westchnął. – Drugi już dzień tłumaczę księciu, że to jakieś złudzenie. Może moi ludzie nie wiedzą o wszystkim, ale tak grubej sprawy jak chrześcijanie na pewno by nie przegapili. Tracisz niepotrzebnie czas, mój książę.

– Pozwolicie jednak, że zostanę przy swoim. Mnie się wydaje to prawdopodobne:

szukać schronienia wśród swych katów. Wszak w tych czasach Wenedowie uchodzili za najwierniejszy lud cesarstwa, całkowicie odporny na wpływ sekty. Tutaj nikogo nie represjonowano.

„Może ma i rację” – przemknęło przez głowę Quietusowi. „Powiadają przecie, że pod latarnią najciemniej. Teoretycznie, jakaś niewielka grupa istotnie mogła się zakamuflować w Wenedii. Ale czy przetrwali do tej pory? I jakim sposobem nie zostali przez tak długi czas wykryci?”

– Nie o samą sektę mi chodzi – kontynuował książę. – Interesuje mnie tylko ich księga kultowa, złożona z czterech wersji opowieści o życiu i nauce ich proroka-boga, Żyda Chrystusa, uzupełnionych o garść listów i jakichś innych pism. Mogę z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać, iż owi uchodzący przed prześladowaniami członkowie sekty przywieźli ze sobą przynajmniej jeden odpis. Wiem, że czwórksiągów zawsze przechowywany był przez chrześcijan z wielką pieczołowitością. Czy potrafisz go dla mnie odnaleźć?

– Trudno mi to teraz zmiarkować, panie – odparł zgodnie z prawdą Quietus. – Nie wiem nawet, czy takie zlecenie jest legalne z punktu widzenia obowiązującego prawa. – Wiedział, że może je przyjąć, ale chciał, aby Kunon publicznie to potwierdził.

– Och, to drobiazg, mój dobry Quietusie. – Kuno uśmiechnął się, szczerząc radośnie piętki zepsutych zębów; widocznie książę hojnie go obdarował. – Wedle mnie niczego nie znajdziesz, ale oczywiście możemy przyjąć założenie, iż spełnisz życzenie naszego drogiego gościa. Nie widzę w tym żadnych przeszkód. Z chwilą znalezienia owa księga stanie się własnością księcia, ty występujesz tylko jako jego pełnomocnik, książę zaś jest dyplomata opuszczającym właśnie imperium po wypełnieniu swojej misji i może posiadać takie przedmioty, jakie mu się podoba, a nam nic do tego. No, chyba że w cesarstwie Nipu chrześcijaństwo też jest zakazane, ale to już jego zmartwienie – dodał, badając efekt żartu na pani Taiko.

Quietus złapał jej szybkie, przedziwnie przenikliwe spojrzenie, rzucone jednak jemu, a nie Kunonowi.

– Zatem sprawę możemy uznać za załatwioną. – Książę Tsuomi sięgnął do leżącej obok szkatuły i wyciągnął z niej sakiewkę z bogato przetykanego srebrem jedwabiu. Podał ją Quietusowi, który pod ciekawą materią wyczuł ciężar krągłych i przyjemnie ciężkich aureusów. – To tylko zaliczka. Dostaniesz dziesięć razy tyle, jeśli odnajdziesz ową księgę.

Pani Taiko postawiła przed Quietusem nową czarkę z naparem. Podziękował skinieniem głowy i łyknął ostrożnie. Gorący płyn miał lekko gorzki, ale wcale przyjemny smak. ”To całkiem niezłe – skonstatował – chociaż nie dorównuje oczywiście pivu”.

– W Rzymie herbata jest już dość powszechnym napojem – zauważył książe. – A u was, widzę, to nowość.

– Jesteśmy prowincjuszami – powiedział Kunon, nieco nawet arogancko. – Nie mamy zbyt dużo czasu i sposobności na hołdowanie przyjemnościom i najnowszym modom. Zresztą tutejszy lud jest dość ciemny i nowinkom nieufny.

Quietus przestał słuchać i gorączkowo rozmyślał, jak się zabrać do roboty. Zlecenie na pierwszy rzut oka wyglądało na beznadziejne; sporo wiedział o tym, co dzieje się w mieście, ale nigdy nie natknął się na najmniejszy ślad owej sekty. Jeśli nawet są, to tak głęboko ukryci, że może ich szukać do końca swego żywota. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie lepiej zwrócić zaliczkę i zapomnieć o całej sprawie, ale wnet przypomniał sobie, ile to ostatnio przerznął w kości. Chyba nie mógł sobie pozwolić na lenistwo.

– Ile mam czasu? – spytał w końcu.

– Siedem dni – odparł Tsuomi. – Do Id sierpniowych, wedle waszej miary.

Nie było to dużo. Chwilę jeszcze rozmawiał z księciem, potem, pod pretekstem, że chciałby natychmiast zacząć poszukiwania, podniósł się i po serii ceremonialnych ukłonów skierował ku wyjściu. Kiedy oddalił się już na parę kroków, usłyszał adresowany do swych pleców głos Kunona.

– Gdybyś jednak coś, a właściwie kogoś, znalazł – mówił tamten powoli, jakby od niechcenia – to pamiętaj, że nadal obowiązują juliańskie edykty dotyczące chrześcijan. Ci ludzie należą do Rzymu. Należą do mnie.

„Bodajbyś zdechł, przekłety Szwabie” – pomyślał Quietus. Prędzej by sam został chrześcijaninem, niż wydał temu draniowi choć ścierwo szczura. Zaciśnął mocno usta i wyszedł.

– Ha, mówisz tedy, że chrześcijanie?! – Marcus ochoczo rąbnął kuflem w stół, ochlapując sobie pivem togę. – Powiadają, że nie ma nic bardziej podniecającego niż rozpięta na krzyżu dorodna chrześcijanka. Sam nie widziałem – dodał skromnie – ale mój prapradziadek jeszcze zdążył i ponoć bardzo sobie chwalił.

– Czy może mówił też, jak się tropi chrześcijan? – Quietus leniwie obracał w palcach dopiero co otrzymanego aureusa, ale zupełnie się tym nie cieszył. Na monecie widniał profil cesarza Juliana. „Ten to by chyba wiedział” – przyszło mu na myśl. „W końcu sam był przez czas jakiś jednym z nich”.

– Tropicieł chrześcijan to zawód, który zanikł ostatecznie przeszło dwieście lat temu, tutaj zresztą nigdy nie był specjalnie popularny. – Marcus dołał sobie niezgorszą miarkę piva; przepijali właśnie zaliczkę od księcia Tsuomi. – Widocznie nasi przodkowie doszli do wniosku, że i tak uczynili dosyć w dziele zwalczania sekty, wycinając połowę Małej Azji.

– Co w takim razie powinienem zrobić? Jak mam szukać czegoś, o czym nie mam najmniejszego pojęcia?

– Nie wiem. – Marcus pokręcił z rezygnacją głową. – Doprawdy nie mam pojęcia, jak ci pomóc. Na razie – dodał po chwili.

Kiedy Quietus opuszczał gospodę Agamemnona, dostrzegł czającą się pod portykiem pobliskiej świątyni Hermesa niewyraźną postać. Udając, że nic nie widzi, spokojnie poszedł do domu. Już na swojej ulicy, wykorzystując zamieszanie spowodowane pijacką bójką, skręcił nagle do ciemnego wejścia czynszowej kamienicy; czekał niedługo. Po przeciwnej stronie ulicy skradał się Paolos, zaufany Grek w służbie Kunona Lichtenusa. Widocznie ostrożny Szwab postanowił na wszelki wypadek go przypilnować. Quietus uśmiechnął się pod nosem, nie miał nic przeciwko zabawie w kotka i myszkę z Kunonem. Wyszedł z ciemności i uprzejmie pozdrawiając zaskoczonego Paolosa, udał się prosto do domu. Postanowił rozpocząć śledztwo od porządnego wyspania się.

Następne trzy dni spędził, intensywnie pracując, a polegało to głównie na stawianiu na nogi, a właściwie na głowę, swojej stałej siatki informatorów. Reakcje napotykał różne – jedni wrzuszali ramionami i mówili wzgardliwie: „Kogo dzisiaj obchodzą chrześcijanie?!”, inni z błyskiem w oku obiecywali bez zwłoki wywieźć się co i jak. A ponieważ płacił bardzo szczerze, wkrótce cała Calisja na wyścigi biegała z donosami, najczęściej wyssanymi z palca. Gdyby im wierzyć, to co drugi Weneda był utajonym chrześcijaninem. Jeden z sutenerów, mający się za szalenie sprytnego, usiłował sprzedać mu jako chrześcijan grupę przejezdnych Judejczyków – wykorzystał to o tyle, że pozwolił ich aresztować Paolosowi, który o sprawie wiedział jeszcze mniej od niego. Reszta informacji wyglądała równie bezsensownie: przedstawiano mu jako chrześcijan właściwie wszystkie ujawnione ostatnio sekty, nawet czcicieli jakiegoś dalekoazjatyckiego tłusciocha, zwanego Buddą, co się poniewczasie okazało. Część donosicieli wzięła go za kompletnego durnia i bezczelnie usiłowała mu wpychać jako rzekomych chrześcijan wyznawców małoazjatyckich kultów misteryjnych, ostatnio znowu bardzo modnych. Na szczęście błyskawicznie zorientował się, że chodzi tu o wyznawców Mitry i Attysa, bogów z dawna uznanych i obecnych w Panteonie. O prawdziwych chrześcijanach nikt nie wiedział dokumentnie nic. Sprawa wyglądała na beznadziejną, zupełnie nie do ugryzienia.

Wieczorem trzeciego dnia, kompletnie już zrezygnowany, udał się do gospody Agamemnona. Marcus Corejmus czekał tam nad wymownie pustym kuflem. Quietus opadł ciężko na ławę.

– Nie dają rady – sapnął. – To idiotyczna sprawa. Przeryłem do dna miejskie

kloaki i takim mądry jak na początku, nie znalazłem żadnego punktu zaczepienia. Ci ukryci w Wenedii chrześcijanie to czysty wymysł! Powiadomię jutro księcia Tsuomi, że rezygnuję. Jeśli chce, niech zleci to komuś innemu.

Marcus milczał, patrzył tylko z zagadkową miną na dno kufla, jakby widział tam jakieś niezwykle fascynujące obrazy. Quietus zrozumiał przytyk i skinął na karczmarza.

– Kto źle szuka, ten zwykle nic nie znajduje – powiedział Marcus, zdmuchując nazbyt obfitą pianę. – Czegoś chciał się dowiedzieć o chrześcijanach pośród tutejszych sutenerów, oszustów, dziwek i złodziei? Za czasów największych wpływów sekty nie mieli oni z nią wiele wspólnego. Tam nic nie znajdziesz.

– A gdzie? – spytał Quietus, delektując się znakomitym longobardzkim napitkiem. – Wśród patrycjuszy?

– Myślałem żdziebko nad twoim problemem, poczytałem też to i owo. Co prawda Julian specjalnym edyktem nakazał zniszczenie wszelkich prac napomykających choćby o sekcie, oddał płomieniom nawet własny traktat *Przeciwko chrześcijanom*, ale w naszym skrytorium zachowało się kilka nie ocenionych opracowań, widocznie je przegapiono w czasie niechlujnego przeglądu. Wyciągnąłem przy okazji lektury parę wniosków, które powinny dać ci do myślenia.

Przerwał i zaczerpnął nieco piva, aby zwilżyć gardło.

– W pierwszym rzędzie między bajki należy włożyć krążące do tej pory, graniczące z brednią poglądy, jakoby chrześcijanie oddawali cześć ośle głowie lub że w czasie wtajemniczenia zabijali dziecko pokryte mąką albo też podczas swoich misteriów uprawiali grupowe porubstwo. Gdyby tak było w istocie, nigdy sekta nie osiągnęłaby tak wielkich wpływów. Myślę, że działo się wręcz przeciwnie, a i znalazłem na to dowody w postaci paru wzmianek w *Historia Augusta* Marcusa Aureliusza, bardzo rzetelnego historyka. Chrześcijanie to byli ludzie skromni, powiedziałbym nawet, że przesadnie cnotliwi. Sekta wylęgła się w środowisku ludzi ubogich, żyjących z pracy własnych rąk – rolników, przekupniów, drobnych rzemieślników czy rybaków. Tam zdobyła największe wpływy, tam, tak dedukuję, utrzymały się one najdłużej.

Później sięgnąłem do kronik naszego miasta i tu znalazłem garść zastanawiających faktów: przede wszystkim tuż po galijskich pogromach przybyła do Calisji grupa kilku rodzin z Aquitanii, której pozwolił osiedlić się pod miastem rządzący naówczas Wenedią książę Dago. Jak pewnie pamiętasz, oskarżono go o sprzyjanie chrześcijanom, przez co później musiał złożyć książęcą mitrę. Była to jedna z przyczyn upadku niezależnego wprzódy księstwa i obrócenia go w prowincję rzymską.

– To by się pokrywało z tym, co mówił książę Tsuomi – zauważył bystro

Quietus.

– Właśnie – ciągnął Corejmus. – O samych Galach chyba jakoś w całym zamieszaniu zapomniano, dość że nie znalazłem potem o nich żadnej wzmianki.

– Ba, ale jak ich teraz znaleźć? Musieli dawno rozplynać się w tutejszej, wenedyjskiej masie.

– Niekoniecznie. Czy słyszałeś kiedyś o miejscu zwanym Galijskim Wądołem?

”Na Cerbera, on ma rację!” – pomyślał wstrząśnięty nagłym objawieniem Quietus. Powszechnie Galijskim Wądołem nazywano niewielką rybacką wioskę, położoną nad rzeką pięć mil za północnymi rogatkami miasta, zamieszkałą przez garstkę rybaków ciężko harujących na kawałek chleba. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak mało o nich wie: mieszkańcy osady nie pokazywali się w Calisji nigdy, poza targiem rybnym. Stanowili ostatni obiekt poszukiwań, jaki by mu przyszedł do głowy.

Dużo później przechodził przez Forum Paulusa, gdzie dobiegał końca kolejny nie najlepszy dzień targowy: główne i najbardziej intratne drogi handlowe przechodziły przez Pannonię i Bohemię, Calisja żyła ze starego szlaku bursztynowego i niedawno zbudowanej Via Nova, którą dopiero zaczynały ciągnąć pierwsze scytyjskie karawany. Przez środek placu majestatycznie kroczył otoczony pochodniami orszak. Na przedzie, obok obszernej lektyki, jechał ubrany w strój gwardzisty Kuno Lichtenus, rozpierający się na koniu niczym udzielny książę. Spozregł Quietusa i podjechał ku niemu.

– No i jak, znalazłeś coś?! – zakrzyknął z kpina w głosie i nie czekając na odpowiedź, spiął konia i popędził dalej.

Chwilę potem przeszła lektyka, zaiste ogromnych rozmiarów, prawie małżeńskie łoże. Zasłony rozchyliły się na moment i Quietusowi zdało się, że dostrzega panią Taiko, spoglądającą nań przez szparę w materii. Nie był tego jednak pewien. Cały czas myślał o tym, co mu na koniec powiedział Marcus, gdy pytał, jak rozpoznać wśród rybaków chrześcijan. Marcus umaczał koniec palca w piewie i na suchym kawałku stołu nakreślił pionowo linię, później na jednej trzeciej jej wysokości uczynił poziomą kreskę, krótszą i zarazem równo na pół przez pionową podzieloną. „Oto ich znak” – powiedział. „Znak krzyża”.

* * *

Przez cały następny ranek Quietus bawił się w chowanego z Paolosem i trzema jego ludźmi. Kiedy wyjechał konno z miasta, agenci Kunona podążyli za nim, udając pielgrzymujących do Arcony czcicieli Światowita. Dziwne to było pielgrzymowanie, ponieważ polegało na deptaniu po piętach Quietusowi, który jako żywo na Rugię się nie wybierał. Czas jakiś bawili się wesoło, galopując Via Germania prosto na zachód,

aż, znudzony, zgubił ich w labiryncie gęstych zagajników, przez które droga akurat przebiegała. Upewniwszy się, że agenci zostali w gęstwinie, pohukując na siebie głośno, zawrócił konia na północ i żwawym kłusem podążył do właściwego celu wyprawy.

Galijski Wądół była to złożona z kilkunastu chat osada rybacka, położona w zakolu rzeki, przecinającej w tym miejscu na pół pasmo niewysokich wapiennych wzgórz. Chaty zostały rozrzucone półkrygiem u stóp jednego ze wzgórz, frontem do rzeki, która tworzyła na tym odcinku głęboką zatokę, coś na kształt naturalnego portu. Mieszkańcy wykorzystali to, budując dwa duże pomosty dla łodzi. Quietus widział, jak kołysały się przy nich cztery nędzne łupiny. Prawdopodobnie tubylcom nie wiodło się najlepiej, zapewne dusiła ich konkurencja solonej ryby z nie tak odległej Pomeranii. Pogonił konia i zaczął powoli zjeżdżać ku wiosce.

Z bliska osada przedstawiała się jeszcze mizerniej – niskie, zapadnięte w ziemię chaty pokryto trzcina, miejscami starganą i straszącą dziurami. Nie widział prawie ludzi, poza paroma brudnymi dzieciakami, bawiącymi się bez troski w błotnistej kałuży na środku otoczonego chałupami placu. Na progu jednej z chat dostrzegł starca w długiej lnianej sukni, który na widok obcego natychmiast znikł we wnętrzu.

„Dla nich będziesz podróżnym z Galii, który przybył z posłaniem od ich ocalałych współwyznawców” – pouczał go Marcus. „Powinieneś mówić tamtejszym dialektem, co chyba przyjdzie ci bez trudu, jako że twoja matka pochodziła przecież z Belgiki”.

Pośrodku wioski znajdowało się coś w rodzaju zajazdu, to znaczy dach z tataraku, pod którym postawiono długi stół i kilka mniejszych ław do siedzenia; do tej osobliwej werandy przylegała chata, obszerniejsza od innych i wyposażona w rodzaj poddasza. To było coś dla niego, zwłaszcza że z otworu w szczycie chałupy bił w górę jasny dym. Skręcił w tę stronę i podjechał bliżej – w nozdrzach poczuł smakowity zapach zupy rybnej. Przypomniawszy sobie, że od rana nic nie jadł.

Przywiązał konia do słupka podtrzymującego tatarakowy baldachim i wszedł do środka. Usiadł przy stole, rozglądając się ciekawie. Nikt się nim nie zainteresował. Dostrzegł obok pusty kubek i głośno stuknął nim o blat stołu. Z wnętrza chaty wyjrzała młoda dziewczyna, szczupła i czarnowłosa. Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, najwyraźniej zaskoczona. Quietus uśmiechnął się przyjaźnie.

– Chciałbym dostać coś do jedzenia i picia – powiedział. – Jestem bardzo głodny. Dobrze zapłacę. – Pokazał srebrną drachmę.

Dziewczyna nadal w milczeniu taksowała go wzrokiem. Starał się na tę podróż ubrać możliwie skromnie, ale w tej nędznej wioszczynie każdy w miarę porządnie ubrany człowiek musiał wydać się patrycjuszem.

– Mamy tylko zupę rybną, kołacz i pivo – powiedziała wreszcie cicho. Miała

całkiem przyjemny, ciepły i melodyjny głos.

– Moja pani, gdybym chciał frykasów, udałbym się do Rzymu – zażartował.

Dziewczyna, kryjąc uśmiech, znikła we wnętrzu chałupy. Po chwili wróciła, niosąc połówkę wypieczonego kołacza i dzban piva, niezbyt dobrego, jak się zaraz przekonał, zbyt kwaśnego i wodnistego. Za to zupa rybna okazała się całkiem, całkiem, lepsza nawet od tej podawanej w tawernach w Calisji. Zjadł ją ze smakiem, przegryzając kołaczem. Wypił też do końca pivo, raczej przez uprzejmość niż z prawdziwej potrzeby. W czasie posiłku dyskretnie rozglądał się dookoła. Nadal nikogo właściwie nie widział, czasem tylko mignęła mu w opłótkach jakaś twarz dziecięca lub kobieca. Widocznie wszyscy zdolni do pracy mężczyźni wypłynęli na połów.

Młoda gospodyni przyszła posprzątać naczynia. Dopiero teraz mógł się jej dobrze przyjrzeć. Pod starym, połatanym peplos odgadł zadziwiająco dobrze zbudowane ciało – gładką, smukłą szyję, bujne piersi o dziewczęcej jeszcze jędrności, ładnie sklepiony brzuch; z rozcięcia na boku co chwila wychylała się noga, opalona, o klasycznych proporcjach i zgrabnie toczony kostce. Apetyczną całość dopełniała twarz, owalna, z pełnymi i naturalnie różowymi ustami, ozdobiona dwoma dyskretnymi pieprzykami, proporcjonalnym, nieco celtyckim nosem i parą ogromnych, ciemnych oczu. Cuda te otaczała istna burza długich, wijących się włosów. Quietus patrzył na to zjawisko w niemym zachwyceniu. ”Z takim ciałem mogłaby być jedną z pierwszych kurtyzan w Calisji, ba, nawet w samym Rzymie” – pomyślał odruchowo. Stare peplos ukrywało w środku prawdziwy skarb.

– Jak ci na imię? – zapytał spłonioną jego fachowymi oględzinami dziewczynę.

– Tess, panie... Skąd przybywasz? Nie jesteś przecie Wenedą ani Rzymianinem...

– Przybywam z Galii – odparł i w tym momencie, w jakimś nagłym olśnieniu, postanowił wypróbować na niej pokazany mu przez Marcusa znak.

Na zaproszonym mąką kawałku stołu, ze znaczącą powolnością nakreślił palcem prawej ręki nieco koślawy krzyż. Tess zamarła z otwartymi ustami – upiornie blada, zmartwiała, wytrzeszczonymi oczyma patrzyła na widniejący obok jego ręki znak. Prawie że słyszał głuchy łomot serca w jej piersi. Poruszył dłonią i zamazał rysunek.

– Jest zbyt późno, aby jechać dalej. Chciałbym się u was zatrzymać.

„Myślę, że będą chcieli cię zabić już pierwszej nocy” – mówiąc to, Marcus pracowicie wybijał korek w zaszpuntowanej beczulce. „Dlatego nie wolno ci spać, z tym że nie możesz spędzić czasu do rana na lekturze, dajmy na to, Petroniuszowego Satyriconu, czy innego równie rozrywkowego dzieła. Musisz czuwać i być gotowym w każdej chwili do działania. Inaczej zarzną cię jak prosię”. Nie brzmiało to zbyt groźnie w wesołym gwarze karczmy Agamemnona. Teraz Quietus powtarzał to

wszystko w myślach. Przypomnił sobie też inne równie cenne przestrogi i pouczenia. Usilnie walczył z sennością, chcąc jednocześnie wyglądać na pogrążonego w głębokim śnie. Było tuż po pierwszych kurach i zaczął wątpić, czy w ogóle dziś przyjdą. Może Tess nie pisnęła nikomu ani słowa, może fałszywie zinterpretował jej reakcję, dość że nie działo się zupełnie nic. Zamierzał już dać sobie spokój, wstać i nie czekając pełnego świtu, odjechać, mając dosyć chrześcijan, księcia Tsuomi, a zwłaszcza Marcusa i jego arcymądrych rad, kiedy usłyszał na dole zastanawiający szmer.

Leżał na poddaszu gospody, usytuowanym nad małym zbożowym składem. Dostać się do niego można było jedynie z wnętrza domu, po dość chwiejnej drabinie. Szmer powtórzył się; coś trzasnęło, potem posłyszał ciężkie skrzypienie. Zabójca nie miał łatwego zadania w tej wypełnionej starymi gratami ruderze. Skrzypnęło po raz drugi – najwidoczniej wchodził już na górę po drabinie. Quietus odprężył się, starając sprawiać wrażenie zupełnie uspiętego. Zachrząściła słoma; zabójca dotarł na poddasze. Potem zapadła grobowa cisza. Quietus domyślił się, że tamten stoi nad nim, zastanawiając się, jak uderzyć. Uznał, że dłużej nie sposób czekać.

– W imię Chrystusa, bracie – powiedział półgłosem, ale wyraźnie. – Jeśli musisz, pchnij, ale przedtem daj mi pomóc z waszą starszyzną.

Po chwili napastnik pochylił się nad nim i Quietus uczuł na szyi chłodny dotyk ostrza, dokładnie na tętnicy. Modlił się żarliwie do bogów nad- i podziemnych, aby tamtemu starczyło cierpliwości.

– Kim jesteś? – usłyszał chrapliwy szept.

– Nazywam się Fulwiusz Agorax, przybywam z Galii – starał się mówić tak przekonująco, jak tylko potrafił. – Moi i twoi współwyznawcy tamtejsi wysłali mnie do Wenedii, abym przekazał wam ich posłanie i braterskie pozdrowienia. Czego nie zrobię, jeśli poderzniesz mi gardło – dodał głośnie.

Ręka z nożem cofnęła się. Znowu zaszeleściła słoma i skrzypnęła drabina. Z dołu dobiegły Quietusa gorączkowe szepty i po chwili na poddasze wgramoliło się dwóch brodatych rybaków o ponurym wejrzeniu, z zapalonymi łuczywami w rękach. Drugą dłoń opierali na zatkniętych za pasy szerokich nożach do oprawiania ryb. Quietus uniósł się nieco na sienniku i uśmiechnął do nich przyjaźnie. Nie zareagowali, tak samo chmurni jak przedtem – widocznie na kogoś jeszcze czekali.

Wreszcie, po blisko kwadrze, ze straszliwym sapaniem wdrapał się na poddasze siwy jak gołąb starzec, którego Quietus chyba widział w czasie wjazdu do wioski. Starzec wyglądał poczciwie i zupełnie niegroźnie; usiadł w nogach posłania i patrzył na niego przenikliwymi, bladoniebieskimi oczyma.

– Wołają na mnie Gregorius – odezwał się. – Jestem przełożonym tutejszej gminy. Powiadasz zatem, że przybywasz z Galii?

– Tak, z Durocortorum. Tam też są chrześcijanie i oni mnie tu przysłali.

– To już wiem – odparł Gregorius. – A my wzięliśmy cię za łowcę nagród, łapacza, który jakimś niepojętym zrządzeniem losu dowiedział się o naszej gminie.

– Ależ to nedorzeczne! – Quietus aż podniósł się z posłania, takim płonął oburzeniem. – Gdybym był łapaczem, jak powiadacie, to z chwilą, gdy posługaczka w karczmie, zobaczywszy nakreślony przeze mnie krzyż, zdradziła się jako chrześcijanka, powinienem wsiąść na konia i wrócić tu wieczorem z gwardzistami. Do tej pory bylibyście już ukrzyżowani.

– Tak też i ja myślę. – Gregorius dał znak mężczyznom, a ci z wyraźną ulgą zdjęli ręce z rękojeści noży. – Poza tym Tess mówiła...

– Ta dziewczyna z karczmy?

– Tak, Tess. Mówiła, że nie możesz być złym człowiekiem, bo masz dobre oczy, zupełnie jakbyś był jednym z nas. Mogę to tylko potwierdzić. Zatem witaj wśród braci. – Starzec pochylił się nad nim i ucałował go ceremonialnie i zarazem serdecznie. – Bardzom rad, że udało się nam oszczędzić popełnienia śmiertelnego grzechu, który musielibyśmy wziąć na swoje sumienie...

– ...wrzucając moje zwłoki do rzeki – uzupełnił z pozorną niefrasobliwością Quietus.

– Nie bądź zbyt pamiętliwy, bracie. Żyjemy przecie w ciągłym strachu, musimy baczyć na każdego obcego. Powiedz lepiej, jak nas tu znalazłeś?

– Nie było to proste zadanie. Wiedzieliśmy z zachowanych zapisków, że jakiś mały odłam gminy galijskiej uszedł w te strony przed prześladowaniami – odrzekł zadowolony, że wszystko, jak na razie, rozgrywało się dokładnie wedle przewidywań Marcusa. Prawdę mówiąc, początkowo nie bardzo w tę jego intrygę wierzył. – Oczywiście nie wiedzieliśmy, gdzie dokładnie osiedliła się owa grupa, toteż dość długo szukałem w Calisji, potem w okolicy, bez skutku, aż usłyszałem od kogoś o waszym Galijskim Wądole. Pomyślałem sobie – galijski, Galowie... Postanowiłem jeszcze raz spróbować, choć tak się już zmęczyłem moimi próżnymi wysiłkami, że zamyślałem jechać z powrotem.

– To dziwne – mruknął w zamyśleniu Gregorius. – Kiedy nasi pradziadowie opuszczali Galię, aby osiedlić się w tym barbarzyńskim kraju, sądzili, że pozostawiają za sobą jeno spalone domostwa, gruzy kościołów i kości pomordowanych braci. Wydawało im się, że są na zachodzie imperium ostatnimi żywymi chrześcijanami. Tak i my sądziliśmy dotąd.

– Można łatwo zabić ludzi, ale zniszczenie idei trwa o wiele dłużej. – Quietus często to słyszał od Marcusa. – Przetrwaliśmy pogromy, ale jest nas niewiele i też żyjemy w ciągłym lęku. Edykty Apostaty są nadal w mocy.

– Cóż zatem słyhać u naszych braci w Galii? – zapytał Gregorius. – I jakież to

przywozisz od nich posłanie?

Quietus niedostrzegalnie przełknął ślinę. Zbliżał się kulminacyjny moment rozgrywki.

– Szukam pewnej księgi, bardzo ważnej dla naszej religii. W czasie wszczętych przez Apostatę prześladowań istniejące odpisy wpadły w ręce pogan. – Takiej terminologii na określenie Rzymian kazał mu używać Marcus; w ogóle szło mu chyba coraz lepiej. – Nie ocalał bodaj jeden egzemplarz. Wierzymy w Jezusa Chrystusa, naszego Nauczyciela, ale nauki Jego znamy jeno z ustnych przekazów, opowieści starców, bardzo mglistych, niedokładnych i czasem wręcz ze sobą sprzecznych. W końcu nasi bracia postanowili, że koniecznie trzeba uzyskać pisma zawierające zasady naszej wiary od innych gmin, a jedyną ocalałą gminą, o jakiej mieliśmy jakiegokolwiek wiadomości, była wasza.

– Tak – powiedział cicho Gregorius.

– Chodzi tu w szczególności o czwórksiąg opisujący żywot i dokonania Nauczyciela, choć i wszystkie inne pisma byłyby cenne... Stąd muszę was prosić, bracia, abyście, jeśli takowe posiadacie, wydali je nam na rok celem przestudiowania i sporządzenia odpisów. Później księgi zostaną wam zwrócone.

Przerwał i spojrział pytająco na Gregoriusa. Ten milczał zaszepiony; wstający świt zaróżowił mu blade policzki. Starzec dotknął skroni i przetarł oczy.

– Zaiste, ciężkiej od nas wymagasz ofiary. Ale czyż z drugiej strony całe nasze życie nie jest jednym wielkim Bożym doświadczeniem? Pojąłem twoją prośbę, lecz w tej chwili, bracie, nie mogę ci nic odpowiedzieć.

Quietus poczuł, jak nagle cały w środku topnieje – a więc jednak mieli TO!

Leżał z Tess w wysokiej trawie na szczycie płaskiego wapiennego wzgórza, przeciętego u podnóża rzeką. Po prawej, daleko w dole, widzieli wioskę, tuż pod nimi huczał burzliwy przełom. Quietus spoglądał na osadę, na małe figurki ludzi krzątających się wokół swoich spraw. Mieszkańcy wioski zyskiwali przy bliższym poznaniu. Rosły młodzieniec o imieniu Teodoros, ten, który w nocy usiłował go zaszlachtować, z pięć razy zdążył go za to przeprosić. Patrzył przy tym na niego z miłością i poważaniem – w ogóle cała gmina dostała jakby skrzydeł na wieść o tym, że poza nimi istnieją jeszcze jacyś chrześcijanie. Poczciwcy nosiliby go na rękach, gdyby im tylko na to pozwolił. Zgodził się za to uczestniczyć wieczorem w ucztach, którą postanowili wyprawić na jego cześć.

„Nie chciałbym uczynić im krzywdy” – pomyślał leniwie, kiedy z westchnieniem przewrócił się na plecy. Włożył źdźbło trawy między zęby i wystawił twarz do słońca. Miał nadzieję, że oddadzą księgę bez żadnych ceregieli. Nie chciał się tu zjawiać ponownie z gwardzistami Kunona – nie, tego w żadnym razie nie zrobi. Już

lepiej wynająć bandę oprychów, od których pękają tawerny Calisji, ale to też nie było najlepsze wyjście, istniało niebezpieczeństwo, że ci mogliby się zorientować, o co naprawdę chodzi (sam przecież narobił w mieście rabanu, wypytując o chrześcijan) i Kuno tak czy siak by się o wszystkim dowiedział. Może raczej wynająć watahę Hunów, z tych, co się płaczą przy Via Nova, czekając na słabiej strzeżoną karawanę lub o dorżnięcie przez patrole graniczne? Ci z kolei w najlepszym wypadku okradliby ich bezlitośnie. Najlepiej, gdyby sami wydali mu księgę: wtedy jedynym problemem byłoby dostarczenie jej księciu Tsuomi tak, aby Kunon się o tym nie dowiedział. To akurat było do zrobienia.

Odetchnął głęboko; podmuch wiatru przyniósł od strony rzeki mokry i świeży zapach. Poczł poruszenie przy swoim boku.

– Czy byłeś kiedyś w Rzymie? – spytała.

Otworzył oczy. Dziewczyna pochylała się nad nim w ten sposób, że przez chwilę bał się o jej piersi, mogące rozerwać wstąż materię peplos. Kosmyk jej cudownie jedwabistych włosów opadł mu na policzek.

– Tak, kiedyś, dawno temu, gdy byłem jeszcze chłopcem.

– Opowiedz mi, jak tam jest. – Tess patrzyła teraz na niego dużymi, zachłannymi oczyma. Piersi nieco się uspokoiły, nadal jednak wyglądały bardzo kusząco.

– O tym można mówić przez dzień, miesiąc lub rok. O czym by tu powiedzieć na początek?... Może o wykładanych kararyjskim marmurem termach, gdzie zażywają odpoczynku najtęższe umysły imperium, o dziesięciu gwarnych forach, na których spotykają się kupcy z całej *oikumene*, z całego poznanego świata? O podniebnych akweduktach, dostarczających krystaliczną wodę do białych fontann, o cyrkach i teatrach, co dnia dających inne przedstawienie? O pogańskich świątyniach, gdzie bałwochwalcy oddają cześć posągom, przedziwnie przy tym pięknym? O Palatynie, pałacu cesarza, będącym jednym z siedmiu cudów świata, o tonących w kwiatach publicznych ogrodach, gdzie najwięksi filozofowie współczesności toczą spory o istotę bytu? O różnokolorowym i różnojęzycznym tłumie, który wypełnia kamienne ulice, przyciągnięty sławą Wiecznego Miasta, o lektykach patrycjuszki, pływających pośród tłumy niczym okręty po wzburzonym morzu, o noszonych w ten sam sposób kurtyzanach, uśmiechających się do pospólstwa głośno komentującego ich urodę? O mostach, rzuconych przemyślną sztuką przez Tybr, o statkach odpływających z Ostii z rozkazami dla całego imperium? Nie, Tess, o tym nie da się opowiedzieć, to trzeba zobaczyć, nawet gdyby potem miało się nie oglądać już niczego więcej.

Pochyliła się jeszcze bardziej; jej oczy niemal go pochłaniały, ogromne i zafascynowane – tak, Rzym działał swoją nieodpartą magią równie mocno na calisyjskie kurtyzany, jak i wiejskie dziewczki, choćby i chrześcijanki. Uczuł na wargach dotyk jej chłodnych ust. Smakowała i pachniała inaczej niż dziewczyny,

które dotąd znał – dziewoje z karczmy zalatywały cały czas pivem i kapustą, wytrawne zaś służebnice publicznej miłości wstrętnym dla niego piżmem i zepsutymi olejkami. Tess pachniała wodą i nasłonecznioną trawą, a smakowała jak słodka gorycz dojrzałego jabłka. Całował ją długo i namiętnie. Wsunął rękę pod suknię, gładząc pełne i twardniejące pod jego dotykiem piersi – miała cudowne sutki, wspaniałe, kształtne i wrażliwe. Westchnęła głęboko i opadła na wznak, uległa i gotowa.

– Czy przyjdiesz do mnie dzisiejszej nocy?

– Czy zabierzesz mnie do Rzymu?

Uczta dobiegała końca; znużeni biesiadnicy pojedynczo lub parami rozchodzili się do chałup. Ostatni był Teodoros, który żegnając się wylewnie, wciąż patrzył przepaszająco na Quietusa. Zostali tylko we dwóch z Gregoriusem. Siedzieli czas jakiś w milczeniu, ze wzrokiem utkwionym w płomienie dogasającego ogniska.

– Często myślałem, mój drogi Fulwiuszu – odezwał się Gregorius – o tym, w jak straszny sposób zakończyły się dzieje naszego Kościoła. I zastanawiałem się, ile było w tym naszej winy. I im częściej o tym ślę, tym widzę ją większą. Przecież wtedy, przed krwawą łaźnią zgotowaną Kościołowi przez Apostatę, i nam zdarzało się popełniać uczynki zgoła straszliwe: niszczone pogańskie świątynie, kamienowano ich kapłanów, wbijano pogan na pale, niekiedy całe wsie. Przed pogaństwem postawiono wybór: przyjąć krzyż lub zginąć. Nic stąd dziwnego, że odpowiedziano w tak okrutny sposób. Tak naprawdę to Apostata odwrócił tylko żądanie chrześcijan; i on zażądał, aby uznać jego bogów lub zginąć. Tak tedy poległ Kościół, ponieważ stał on na zasadzie, że nie może być cudzych bogów przed tym Jedynym i Prawdziwym.

I powiem ci, Fulwiuszu, iż wydaje mi się, że tamtejszy Kościół popadł w grzech pychy, którą daje poczucie ziemskiej siły i władztwa: oto zdało się naszym braciom, że nie ma po co nawracać słowem, skoro można to o wiele skuteczniej czynić mieczem; po co chrzczyć wodą, skoro można krwią. Tak też i czynili, niepomni, że odchodzą od nauk naszego Nauczyciela, który przecież głosił miłość, nie nienawiść. Mówił o tym, by miłować nieprzyjaciół swoje. Bo przecież to właśnie miłość była tą najważniejszą rzeczą, którą On przyniósł ze sobą na nasz nieludzki, umęczony świat.

Tej miłości się zaparto; i popłynęła krew najpierw pogan, a potem chrześcijan. Mam przekonanie, nie, jestem pewien, iż była w tym ręka Boskiej Opatrzności, która, zważywszy na szali dobre i złe uczynki, osądziła swój Kościół tak samo, jak przedtem, dawno temu, osądziła Sodomę i Gomorę. I spuściła swój karzący gniew w postaci Apostaty i dzikich wenedyjskich legionów. Dla Kościoła przyszedł czas zgonu i ciemności.

Nie dla wszystkich jednak: nas przecież ocalono i pozwolono przeżyć w tych

zapomnianych wenedyjskich puszczech, pod bokiemy naszych katów. Wiele razy pytałem się, a i czynili to moi przodkowie, po co właściwie? Po cóż ta mała gmina, to światełko wiary prawdziwej w morzu zwycięskiego pogaństwa? Czy mamy być ostatnimi przeznaczonymi na zatracenie, czy też zarodkiem wtórego, odnowionego Kościoła? Bo też i taki mógł być Boży zamysł. Nie wiedziałem nic aż do dzisiaj. Od dawna czekałem na znak mający objaśnić mi tę tajemnicę. Nie na próżno. Tak, ty jesteś tym znakiem!

Nie głosiliśmy tutaj Słowa Bożego, zbyt strachliwi, cały czas drżący o życie. Uważaliśmy, że naszym zadaniem jest przechować je jak najdłużej, aż On sam zdecyduje, co czynić dalej. Otrzymasz zatem Słowa naszego Pana, skoro taka jest Jego wola. Wierzę, że przybyłeś tu, aby dać podwaliny pod budowę nowego Kościoła. Widocznie czas kary i pokuty dobiegł końca. Mogę umrzeć spokojnie, pewien, że w dalekich krajach znowu zabrzmie Słowo Jego mądrości i miłości. Pamiętamy bowiem legendę, mówiącą o ostatnim z chrześcijańskich biskupów, Sylwaniu, który w czasie największych prześladowań miał sen. W śnie tym przyszedł do niego nasz Pan i Nauczyciel i rzekł mu: „Nie płacz, Sylwaniu, albowiem zapisane jest, że Słowo pierwaj zatoczy krąg, a potem na wieki wieków stanie się Ciałem”. Wygląda na to, Fulwiuszu, że ów czas się zbliża.

Księgi otrzymasz jutro, gdyż chcemy się jeszcze przy nich pomodlić po raz ostatni.

Quietus słuchał opowieści Gregoriusa wstrząśnięty do głębi; nie wiadomo skąd nabrał irracjonalnego przekonania, że starzec mówi prawdę, że w istocie chodzi tu o nowy Kościół i Słowo ich boskiego Nauczyciela. „Brednie, stary bredzi jak najęty, to i mnie się udzieliło” – perswadował sobie w duchu, usiłując zagłuszyć płynący z wnętrza głos. W mowie starego chrześcijanina czuł tajemną moc, pewność absolutnej, boskiej racji. Wiedział, że nie powinien go słuchać, bo przecież w interesach nie ma sentymentów ani tym bardziej miłości. Ani wiary, ani nadziei, ani miłości. „Skąd mi to przyszło do głowy?” – zdziwił się. I nagle z całych swoich sił zapragnął powiedzieć tamtemu prawdę. Nim zdążył się zastanowić, już mówił:

– Ojczy Gregoriusie, ja...

– Wiem, co chcesz powiedzieć – przerwał mu starzec, uśmiechając się tajemniczo. – I powiadam ci, odrzuć wątpliwości i czyn, co ci poruczono. Jesteś tylko narzędziem Opatrzności, jako i ja, pamiętaj o tym, nawet gdybyś nie zdołał pojąć istoty tego, co czynisz. Zwłaszcza wtedy.

Quietus zamarł, zdjęty paniką – czyżby Gregorius o wszystkim wiedział? Jakim sposobem? I ot tak sobie godził się z tym, dając się podejść jak dziecko?

Starzec wstał i przeciągnął się, potem wylał resztkę wody ze swojego kubka na dogasające ognisko.

– Późno już, idźmy spać. Do pierwszych kurów niedaleko.

Odszedł i Quietus został sam. Głowa huczała mu od sprzecznych myśli. O co właściwie Gregoriusowi chodziło? Czyżby wiedział o sprawie więcej niż on? Czym w takim razie stał się narzędziem? Chrześcijańskiej Opatrzności czy nipuańskiego księcia Tsuomi? A może znaczyło to to samo? „Nie, to nonsens” – szepnął do siebie i wzdrygnął się, ogarnięty nagłym chłodem. Zapadła głęboka noc. Podniósł się i poszedł na kwaterę, na to samo poddasze, co i wprzód. Kiedy wdrapał się na górę, wyczuł, że jest tam ktoś jeszcze. Zamarł w bezruchu, oczekując najgorszego.

– Tutaj jestem – usłyszał dobiegający od posłania głos Tess.

Przed nim, na przedłużeniu opadającej w dół Via Germania, widniała, szeroko rozłożona nad rzeką, zbudowana rękami rzymskich architektów Calisja, niegdyś drewniane grodziszcze jego sklawińskich przodków, od trzech wieków stolica prowincji Wenedia. Nigdy jeszcze nie czuł takiej nienawiści do tego miasta jak dzisiaj. Opanowało go nieprzeparte pragnienie, aby, omijając je szerokim łukiem, skierować konia na Via Nova i pognać szalonym galopem ku spieczonym stepom Wschodu, tak daleko jak to będzie możliwe. Nie uczynił tego jednak – ukryty w gromadzie zdążających na targ wieśniaków przekroczył miejskie rogatki.

U Agamemnona jak zwykle bawiono się wesoło, karczmę zapełniał tłum żołnierzy, scytyjskich kupców i flisów pławiących drewno do Truso. Nie brakło też Marcusa Corejmusa – filozof zachłannie miętosił właśnie piersiastą karczemną dziewczkę. Ujrawszy wchodzącego Quietusa, który blady jak śmierć zbliżał się ku niemu, zamarł z otwartymi ustami. Odprawił dziewczkę, popatrzył na niego uważnie, potem bez słowa podsunął kufel. Quietus łąpczywie opróżnił go do końca, otarł usta wierzchem dłoni i chwycił za drugi, ale Marcus go powstrzymał.

– Co się stało, przyjacielu? – spytał. – Nie przyszedłeś chyba tutaj się upić?

– Jeszcze dziś w nocy wydadzą księgę. Uwierzyli mi, dali się podejść jak jagnięta.

– O, to wspaniale. Tedy sprawy toczą się po naszej myśli. Idy sierpniowe wypadają jutro.

– Nigdy bym nie przypuszczał, że to dla nich takie ważne... – powiedział Quietus, jakby do siebie. – O chrześcijanach nie mówiono nam nic, a jeśli już, to przedstawiano ich jako dzikie i fanatyczne zwierzęta, żądne krwi wszystkich odmawiających przyjęcia ich wiary...

– Tak też i było – wtrącił Marcus.

– Ale ja tej żądy krwi u nich nie widzę; to chyba najmiłosierniejsi ludzie w całym imperium. Głoszą miłość, nie wojnę. Jedyne, o czym marzą, to aby zostawić ich w spokoju. I wydaje mi się, że zasługują na ten spokój jak nikt inny.

– Mój zacny Quietusie, czyżbyś miał jakieś opory? – zapytał Marcus z niepokojem w głosie. – To do ciebie niepodobne!

– Sam już nie wiem... Zastanawiam się tylko, jakie mam prawo decydować o losie tych ludzi. Czy moja chciwość może być tu wystarczającym uzasadnieniem?

– Uważaj, Quietusie! – rzucił drwiąco Marcus. – Oni to nazywali sumieniem; poza tym zapomniałeś, czegom cię tak długo uczył: celem filozofii jest zdobywanie i wykorzystywanie wiedzy, a nie praktykowanie wiary w bogi czy demony, a z tego, co słyszę, tyś już prawie chrześcijanin!

„Zbyt mi pochlebiasz” – pomyślał Quietus, ale głośno nic nie odrzekł. Poruszył się niespokojnie, czując bliskie zagrożenie: wydawało mu się, że w ciżbie przy drzwiach dostrzega Paolosa.

Marcus w zamyśleniu bębnił palcami po stole.

– Po co tu przyjechałeś? Aby uzyskać ode mnie wsparcie na ścieżce cnoty, na którą najwidoczniej wstąpiłeś? – zakpił.

Ale Quietusa już nie było. Za to z tłumu przy wejściu wychyliła się ku niemu szpicłowata gęba Paolosa.

Do wioski wrócił późną nocą, dłużej niż przedtem jadąc Via Germania – chciał sprawdzić, czy nikt go nie śledzi, czy nie został przypadkiem wytropiony przez ludzi Kunona. Ale nikt za nim nie jechał. To było dziwne i niepokojące.

Samą osadę zastał ciemną i jakby opuszczoną. Z trudem odnalazł gospodę; niebo zasnuły ciężkie chmury i z ledwością rozróżniał niewyraźne kształty przysadzistych chałup. Od ściany gospody oderwała się ciemna postać.

– Gdzie byłeś, Fulwiuszu? – zapytała z wyrzutem. Poznał głos Tess. – Bracia już czekają w baptysterium.

„Tak, muszę im powiedzieć” – myślał, kiedy prowadzony przez dziewczynę za rękę szedł za nią wąską, nadbrzeżną ścieżką ku bielejącemu w oddali wapiennemu urwisku. Szum rzeki nasilał się, byli coraz bliżej przełomu, który wczoraj obserwował ze szczytu wzgórza. Weszli między skały. Po chwili Tess zatrzymała się i wyciągnęła dłoń, szukając czegoś przed sobą. Pociągnęła go dalej; po ogarniającym twarz chłódzie poznał, że weszli do jaskini. Długi, wyżłobiony w kamieniu korytarz opadał cały czas w dół. Tess szła pewnie, widocznie znała drogę na pamięć. Kroczył za nią ostrożnie, wolną ręką macając po ścianach. Wyglądało mu to na naturalne katakumby, powstałe w wyniku drażenia wapienia przez wody podziemne.

Daleko przed sobą dostrzegli wreszcie odblask nikłego światła; przeszli jeszcze przez pięć czy sześć połączonych ze sobą komór, w końcu dotarli do obszernej, ozdobionej wspaniałymi stalaktytami pieczary, oświetlonej smolnymi łuczycami.

Byli tam wszyscy mieszkańcy osady, łącznie z dziećmi. Klęczeli ze złożonymi na

piersi rękoma, zwróceni ku ołtarzowi, który stanowił obrobiony kamienny blok przy jednej ze ścian, przykryty białym płótnem. Stała na nim gruba świeca, wyciosany z surowego drewna krzyż, poczerniały ze starości, i sporawa smołowana skrzynka, jakich jeszcze czasem używano do przechowywania papirusów. Quietus uczył nagle ukłucie w okolicy serca; a więc tam było to, czego tak usilnie poszukiwał. Tuż przy ołtarzu, z dala od innych, klęczał Gregorius, także pogrążony w modlitwie.

Po prawej stronie ołtarza zobaczył coś jeszcze: niewprawny, kreślony na gładkim kawałku skalnej ściany grubymi kreskami wizerunek młodego, brodatego mężczyzny o pociągłej twarzy, o głowie otoczonej idealnie kolistym, promienistym kręgiem. Quietusa uderzył smutny i melancholijny wyraz jego oczu, zapatrzonych gdzieś przed siebie, zda się daleko, poza ludzkie horyzonty. Po obu stronach kręgu widniały dwa greckie znaki, Alfa i Omega. Początek i koniec? To On był zatem ich Nauczycielem, którego pamiętali i czcili do tej pory? Quietus odczuł w sobie gwałtowną chęć poznania nauki o Początku i Końcu. Przedtem musiał jednak coś jeszcze załatwić.

W pierwszej chwili chciał po prostu wystąpić na środek pieczary i powiedzieć prawdę, kim w istocie jest i po co tu przyszedł. Niech zrobią z nim, co zechcą. Nie miał jednak serca przerywać im modlitwy. Pogrążona w ekstazie gromada szeptała niezrozumiałe dla niego słowa, zupełnie już nieobecna na tym świecie. Ktoś z tyłu pociągnął go delikatnie za tunikę. Obejrzał się, za nim stała Tess, z błagalnym wyrazem twarzy.

– Chodź ze mną, chcę ci coś powiedzieć – szepnęła.

Cofnęli się o paręnaście kroków, dziewczyna wciągnęła go do głębokiej niszy, wyżłobionej w ścianie korytarza. Przyłgnęła do niego całym ciałem, ciepła i pachnąca.

– Weź mnie ze sobą – poprosiła. – Nie chcę tu dłużej zostać. Chcę zobaczyć Rzym.

Już miał odpowiedzieć, a właściwie wyznać jej, kim naprawdę jest i co go tu sprowadziło, i że mimo to naprawdę ją kocha, kiedy usłyszał za sobą podejrzany szmer. Położył dziewczynie palec na wargach i ostrożnie wyjrzał z niszy. Chwilę nie widział nic, aż zmartwił, nie wierząc własnym oczom – w głębi korytarza dostrzegł wpatrzony w poświatę płynącą z pieczary, iskrzące się złowrogo sępie ślepie Paolosa. Za Grekiem błysnęło coś słabo, jakby poblask miecza czy hełmu. Quietus pojął, że wszystko jest skończone. Wrócił do niszy i przytulił do siebie Tess.

”Jak mogłaś to zrobić” – pomyślał, jednocześnie szukając za pasem drobnej monety. Tess poruszyła się, zaniepokojona.

– Co się dzieje? – spytała.

– Nic. Kocham cię – odpowiedział. Mając już monetę w dłoni, nachylił się i kiedy dziewczyna otworzyła usta do pocałunku, wsunął jej pieniążek pod język. Sapnęła,

zaskoczona. Wolną ręką stłumił rodzący się krzyk. W drugiej trzymał sztylet, który wbił pewnie, tuż pod prawą piersią, gdzie wyczuwał bijące serce. Dziewczyna drgnęła spazmatycznie, na co on pchnął jeszcze głębiej. Nie czuł nic, jedynie ciepłą krew ściekającą na palce.

– Nie powinnaś tego robić – szepnął. – Rzym nie był tego wart.

Tamci w pieczarze kończyli właśnie swoją robotę. Nie słyszał żadnych krzyków, nawet jęków czy choćby dziecięcego płaczu, tylko tępe odgłosy uderzających mieczy. Kiedy wreszcie sam wszedł do pieczary, było już po rzezi. Gwardziści ocierali skrwawione miecze o szaty chrześcijan, kilku rozpałało pochodnie. Mieszkańcy wioski leżeli tam, gdzie zastały ich ciosy, z podkurczonymi pod siebie nogami. Nie próbowali się bronić. Niemal wszyscy mieli otwarte oczy, a w nich, zamiast grozy naglej śmierci, jakąś niepojętą dla Quietusa ekstazę. Umarli bez lęku i z godnością; on zaś zrozumiał, że może im jedynie zazdrościć.

Postąpił niepewnie ku ołtarzowi. Stał tam Paolos, pochylony nad zwłokami Gregoriusa. Gdy Grek usłyszał za sobą kroki, odwrócił się i ujrawszy Quietusa puścił do niego kpiarskie oko, jak do współnika właśnie popełnionej krotochwili. Gdyby nie obecność gwardzistów, Quietus rozerwałby go na strzępy.

Odsunął Paolosa i zbliżył się do ołtarza. Krew Gregoriusa poplamiała biały obrus, ale sam ołtarz wyglądał na nietknięty. Patrzył chwilę na pogodną, prawie radosną twarz starego kapłana, na zbroczone krwią siwe włosy i straszną ranę pod gardłem. Schylił się i zamknął mu oczy, potem sięgnął po smołowaną skrzynkę i otworzył ją. W środku znalazł cztery grube, ciasno zwinięte manuskrypty, a także parę pomniejszych zwojów. Zamknął wieko i uczynił gest, jakby chciał ją schować pod chiton, kiedy uczył na ramieniu lekki dotyk.

– Mamy już Idy sierpniowe – usłyszał spokojny głos. Obrócił się: za nim stał książę Tsuomi i patrzył mu przenikliwie w oczy. – Zatem zdołałeś dotrzymać umowy. Umówioną zapłatę otrzymasz jutro.

Tuż za księciem sterczało nieruchomo dwóch zamaskowanych strażników, tych samych, których widział przedtem na Forum Apostaty. Książę Tsuomi wyciągnął rękę po skrzynkę, Quietus, zupełnie bezwolny, wręczył mu ją, a potem, czując nagłą słabość, oparł się o ołtarz. Z wnętrza jaskini, ubrany w zdobioną srebrem zbroję, zdążył Kuno Lichtenus, świecąc sobie pochodnią. Kręcił z podziwem głową.

– Znakomita robota, szanowny Quietusie! – wykrzyknął na jego widok. – Cała sekta, co do sztuki, i to przyłapana na gorącym uczynku! Zaiste, muszę przyznać, że cię chyba nie doceniałem.

Quietus obrócił głowę ku ścianie – nie chciał, aby widzieli jego łzy.

Via Nova wiała się nieśpiesznie na płaskiej równinie, ginąc u horyzontu w

widocznej w bladym przedświcie ciemnej ścianie lasu. Wapienne płyty błyszczały matowo w świetle zachodzących gwiazd. Droga wiodła wprost ku przeprawom na Vistuli i dalej, ku ostatnim rzymskim posterunkom. Potem, już poza granicami imperium, przechodziła w stary, koczowniczy szlak południowy, ciągnący się przez stepy nad Borysthenesem do Pontus Euxinus i dalej, przez Armenię i Mare Caspium do greckich miast w Baktrii. Można było też podążyć prosto na wschód i przez stepy nad Rha i Daix, później przez góry i pustynie Scythii oraz tocharyjskie bezdroża dotrzeć wprost do serca Azji, do tajemniczej Sery w cesarstwie żółtych ludzi, skąd od wieków płynął ku Rzymowi potok jedwabiu i drogich kamieni. Jeszcze dalej było Nipu, niezwykle wyspiarskie państwo księcia Tsuomi. Wieść głosiła, że i dalej, za wielkim morzem, żyły nie znane nikomu ludy o czerwonej skórze. Ale tam nie musiał jechać – mógłby z tocharyjskich stepów skręcić ku Gandarze, a stąd doliną Indusu, omijając Dach Świata, pogрузić się w nie odkrytych jeszcze wnętrzościach Indyj, rządzonych przez jego dalekich krewnych, Ariów. Później mógłby przez Taprobane popłynąć ku niezliczonym wyspom rozsianym po całym Oceanus Indicus, sterując wciąż na południe, ku nowym, nie znanym jeszcze lądom, aż do lodowych krańców świata. Gdzieś przecież musiała istnieć, na całej rozległej *oikumene*, albo i poza nią, kraina Lotofagów, kraj zapomnienia, gdzie szalejące w jego pamięci Erynie dałyby mu wreszcie spokój.

W tym miejscu, tuż za rogatkami, Via Nova była przecięta wysokim, największym w całym mieście akweduktem, ufundowanym przez ojca Sewera Flawiusza. U podstawy jednego z luków, na skutek pewnie nieszczelności biegnącej górą rury, utworzył się mały strumyk. Quietus podprowadził do niego konia i dał mu się napić. Sam też schłodził sobie wodą rozpaloną głowę i spieczona usta. Potem spojrzał znowu na bielejącą w ciemnościach drogę.

Co go tu trzymało? Ziemia, język? Nikt już prawie nie mówił po skławińsku, Wenedowie rozpierzchali się po całym świecie lub zaszywali w niedostępnych puszczańskich sadybach. W samej Calisji można było naliczyć więcej Germanów, Greków i Azjatów niż rodzonych Wenedów. Jego mowa i plemię umierały bez krzyku, od wieków rozpuszczani w trawiącym setki plemion i ludów żelaznym żołądku Imperium Romanum. Za sto lat o wenedyjskim pochodzeniu prowincji Wenedia będzie świadczyć co najwyżej kilka miejscowych nazw, przechowanych przez skrupulatnych kronikarzy.

Cóż więcej? Bogowie? Ta śmieszna trójca, Swarożyc, Perun i Światowit, ustawiona w kącie rzymskiego Panteonu? Już jego ojciec wołał modlić się do Kybele, Wielkiej Matki, którą uważał za potężniejszą od całej zebranej tam ze wszystkich zakątków świata boskiej zgrai. Czyż nie są to zatem tylko kłocze z drewna lub kamienia, które w głupocie swojej omaszczamy tłuszczem i okadzamy mirrą, aby im

się przypodobać? Czyż sprawcza przyczyna wszechrzeczy nie jest jedna, jednakowo daleka i bliska dla wszystkich? Czy zatem chrześcijanie od początku nie mieli racji?

Z ciemności od strony miasta wyłaniała się grupa ludzi – rozpoznał ozdobną lektykę, niesioną przez ośmiu niewolników i eskortowaną przez dwie znajome postacie w czerni. Puścił konia i patrzył ciekawie na pochód. Przeszli przez łuk akweduktu i po parunastu krokach postawili lektykę wprost na płytach drogi. Niewolnicy i eskorta, skłoniwszy się nisko, cofnęli się w mrok. Zastony poruszyły się i między nimi błysnęła na moment biała ręka. Zaintrygowany, podszedł bliżej. Uchylił firanę i zajrzał do środka. W obszernym, oświetlonym mdłym kagankiem wnętrzu ujrzał panią Taiko. Kobieta uczyniła ręką zapraszający gest, więc na kolanach wgramolił się do środka. Patrzyli na siebie w milczeniu. „Czego ona ode mnie chce?” – zastanawiał się. „Czy też myśli pogratulować udanych łowów? A może właśnie dlatego chce mi okazać pogardę?” Pani Taiko sięgnęła do głowy i wyciągnęła z włosów grzebień – w jednej chwili okryła się czarną, aksamitną falą. Na mgnienie przypomniała mu Tess; sięgnęła teraz do bioder i rozsupłała ściągający suknię pas. Wyciągnął rękę i dotknął jej gładkiej szyi, potem odsłonił krągłe i gładkie, jakby toczone z kości słoniowej ramiona. Pod prawą piersią, zadziwiająco pełną jak na tak drobną kobietę, wyczuł znamień o dziwnym i niepokojącym kształcie – dokładnie w tym samym miejscu, gdzie pchnął Tess. Pani Taiko dmuchnęła na kaganek; siedzieli teraz w ciemności, dotykając się nawzajem.

– Jesteś taka mała – powiedział.

Tym razem w karczmie bawili sami, tylko we dwóch. Marcus pił pivo, ale było widać, że po raz pierwszy od niepamiętnych czasów czyni to bez specjalnej przyjemności. Quietus trzymał w ręku kubek z kośćmi; potrząsał nim, patrząc jak sześcianiki układają się w coraz to nową konfigurację.

W gospodzie panował nienaturalny spokój – kto żyw, łącznie z samym Agamemnonem, poszedł oglądać chrześcijan, których zwłoki wystawiono na widok publiczny na Forum Apostaty. Po południu miało nastąpić zarządzone przez Lichtenusa symboliczne ukrzyżowanie. Namiestnik uznał, że także i ludowi Calisji coś się należy od życia, toteż polecił naprędce zorganizować z tej okazji igrzyska. Planowano bawić się przez następne trzy dni.

– Coś taki ponury, mój Quietusie? – wymamrotał Marcus sponad jednego z opróżnianych kufli. – To przecież twój wielki dzień. Całe miasto mówi tylko o tobie.

Quietus wyszczerzył zęby w upiornym uśmiechu i spojrział w kierunku drzwi. Marcus podążył za jego wzrokiem.

– Czekasz na kogoś? – spytał docieklawie. – Ach, prawda, zapłata od księcia Tsuomi, przecież oni, jeśli wierzyć pogłoskom, wyruszają dzisiaj wraz z wielką

kupiecką karawaną Via Nova ku Bosporusowi. A tak a propos księcia, to nasunęły mi się w związku z jego osobą pewne myśli – kilka rzeczy jest co najmniej zastanawiających.

Quietus popatrzył na niego pytająco.

– Przede wszystkim – ciągnął Marcus – dlaczego w tak w końcu drobnej sprawie pełnomocny ambasador cesarza Nipu fatygował się osobiście do Wenedii, ryzykując przez to drogę powrotną przez sarmackie i scytyjskie bezdroża? Przecież z Ostii co miesiąc odpływa do Cattigary kurierska galera parowa, co by mu skróciło drogę co najmniej o połowę. Z Cattigary jest tylko krok do Sinus Magnus, za którą leży jego wyspiarskie cesarstwo. Dlaczego przyjechał sam, zamiast posłać jakiegoś zaufanego człowieka? Czy uczynił tak jedynie z żądy posiadania kolejnego manuskryptu w swojej kolekcji? Otóż nie sądzę – wydaje mi się, że był to właściwy, tajny cel jego poselskiej misji. Miał odnaleźć i przywieźć ze sobą czwórksiąg opisujący życie i naukę Jezusa Chrystusa, żydowskiego odczepieńca, skazanego za czasów Tyberiusza na krzyż przez prokuratora Judei, Poncjusza.

Zapytasz tedy, Quietusie, po cóż im tam w Nipu owa księga? I tu można chyba znaleźć uzasadnienie. Jeśli dobrze się wczytasz w historię walk Apostaty z chrześcijanami, dowiesz się, że wcale liczne grupy sekciarzy uszły pogromu, chroniąc się w królestwie Partów. Co prawda król Traxes, zmuszony przez Juliana, kazał ich prześladować, nie czyniono tego jednak zbyt gorliwie i wielu uciekło do Baktry. A ponieważ tamtejsi, sybaryjsko usposobieni Grecy raczej nie przyjęli ich nazbyt ochoczo, pomni na ciągnącą się za nimi famę nieprzyjaciół rozkoszy i radości życia, z pewnością musieli iść dalej na wschód. Zapewne część ruszyła przez Imanus Mons ku Żółtemu Cesarstwu, część wraz z biegiem Gangesu ku krainom południa i najdalszego wschodu. Tu wszelki ślad po nich zaginął – w każdym razie penetrujące te okolice sto lat później rzymskie galery na żadnych chrześcijan się nie natknęły.

Ja myślę, więcej, jestem przekonany, że ci, co nie zginęli w indyjskich puszczech i na morzach południowych, dotarli w końcu do wyspiarskiego cesarstwa, Nipu. Zakrzykniesz, że przecież Nipuańczycy nie są chrześcijanami! Ba, zapytam tu, skąd wiesz o tym? Przecie o Nipu dowiadujemy się tylko to, na co oni sami nam zezwolą. Oczywiście, ich oficjalne wierzenie, sinto, niewiele ma wspólnego z chrześcijaństwem. Ale z drugiej strony, czyż nie jest to jeno wygodna zasłona, kryjąca zmienione już, chrześcijańskie w istocie wyznanie? Czy nie przyszło ci do głowy, że nasza galijska intryga służy czemuś innemu niż się z pozoru wydaje? I księżę Tsuomi nie po rzadki manuskrypt dla swego księgozbioru tu przybył, ale po kanoniczny tekst czwórksięgu dla rosnącego w wyspiarskim cesarstwie Nowego Kościoła?

Quietus pomyślał nagle, że nareszcie wie, co mu przypominało dziwne znamię

pod piersią pani Taiko. Dwie grube, skrzyżowane pod kątem prostym linie. Musiano jej to wypalić. Skojarzył zarazem coś jeszcze.

– To ty ich wydałeś – powiedział, nie patrząc na Marcusa. – Dlaczego?

Tamten spojrział na niego, z kuflem uniesionym w pół drogi do ust.

– Czekałem, kiedy wreszcie to powiesz. Dlaczego? Bo zacząłeś pękać, mój zacny Quietusie. Byłeś na najlepszej drodze do zaprzepaszczenia całej misternie utkanej intrygi. Gdybyś, tak jak planowaliśmy, wziął księgę i oddał ją Tsuomi, ci ludzie żyliby do tej pory. No cóż, ale ty postanowiłeś paść im do nóg, wyznać swe przewiny i błagać o przebaczenie. Sam wydałeś na nich wyrok.

– Dlaczego? – powtórzył Quietus. – Z nienawiści do Rzymu?

– A cóż dał nam Rzym? – Marcus z irytacją trzasnął kuflem w ławę, aż ten rozpekł się na kilka kawałków. – Co dostaliśmy od Rzymu za lata wiernej służby, za okazane w krytycznej dla imperium chwili wsparcie? Ocaliliśmy Rzym przed chrześcijaństwem i w zamian za to uczyniono z nas najbardziej zapadłą prowincję. Niedługo Wenedowie przejdą do historii, i to jako banda głupców, która pomogła Apostacie, nie bardzo nawet wiedząc, o co chodzi, za co później wielkodusznie kopnięto ją w tyłek. Zaiste, wdzięczny jestem Rzymowi i powiadam ci, że nie mogę się doczekać dnia, gdy uderzą na niego zbrojne legie wschodniego, chrześcijańskiego cesarstwa, niosąc mu zagładę i zniszczenie, a śmierć tym, którzy odmówią krzyża. Po to przyjechał tu Tsuomi i, na piekielne moce Hadesu, uczyniłem co w ludzkiej mocy, aby mu pomóc!

„Nie, to niemożliwe” – myślał zdjęty jakimś dziwnym odrętwieniem Quietus.

„Znowu to samo, od początku? Znowu Kościół Miecza zamiast Kościoła Miłości? Nie, to nieprawda, Marcusie – nigdy nie wchodzimy dwa razy do tej samej rzeki. Tak się nie stanie, ja wierzę w miłość postawioną ponad wszystkie wartości świata. I że oni stamtąd, z położonych na antypodach wysp, po głoszące ją Słowo właśnie tu przybyli”.

Coś ciemnego zamajaczyło u wejścia – stał tam jeden ze strażników księcia Tsuomi, odziany na czarno, z zamaskowaną zawojem głową; została tylko szpara dla oczu. Ich spojrzenia na moment się zetknęły. Quietus ze smutkiem pokręcił głową. Czekał na to od rana. Przed oczyma udręczonej pamięci stanęła mu Tess, ucieszył się, że ją jeszcze zobaczy i poprosi o wybaczenie, nim wspólnie napiją się w Lete wody zapomnienia. Ciemna postać zbliżała się, zasłaniając sobą całą przestrzeń.

– Nie masz racji, Marcusie. Tak się nie stanie, tak się stać nie może. Wierzę, że tak właśnie będzie – powiedział i zamknął oczy.

– Czego się gapicie? – warknął Marcus do dwóch posługaczy, którzy z otwartymi ustami patrzyli na czarnego szermierza, odchodzącego lekko i zwinnie, bez szmeru,

niczym sam Tanatos, bóg śmierci. – Nie widzieliście, jak się zabija człowieka?

Cięcie wyglądało na precyzyjne, prosto przez skroń. Miecz musiał być niesamowicie ostry, ponieważ na skórze została ledwo dostrzegalna kreska. Krwi też prawie nie było. Nie ulegało jednak wątpliwości, iż obywatel rzymski Quietus Fabiusz Mercator jest nieodwołalnie martwy. Marcus sięgnął do upuszczonego obok worka z grubego płótna; ważył solidnie. Wystarczy na podróż do Rzymu i dalej, do Cattigary i samych wysp. A także na wiele innych rzeczy. Westchnął i jał upychać worek za szerokim pasem, opinającym pod togą jego okazały brzuch.

– Cały z tobą problem, mój dobry Quietusie – powiedział do trupa, postrzegając z niejakim zdziwieniem, iż ten jest nad wyraz rozpogodzony – że nigdy nie umiałeś w należyty sposób pogodzić się z pewnymi prawdami oczywistymi, głoszonymi z dawien dawna przez filozofów szkoły cyników. Gdybyś podobnie jak ja przyjął, że, dziś zwłaszcza, grzech jest cnotą, a cnota występkiem, ta historia skończyłaby się zupełnie inaczej.

– A wy na co czekacie? – zwrócił się nagle do wciąż zdębiałych posługaczy. – Weźcie zwłoki szanownego Quietusa i połóżcie obok ciał chrześcijan na Forum Apostaty. Tam jest jego miejsce. Sam wyjaśnię wszystko pretorowi.

Wyszedł zaraz za nimi. Popatrzył za odchodzącą grupą i napotkał na przedłużeniu ich drogi kolumnę wielkiego cesarza, zwieńczoną jego ogromną figurą. Julian Apostata stał wyprostowany, w cesarskim diademie na skroniach, w jednej ręce trzymając wzniesiony do ciosu miecz, w drugiej odwrócony i przełamany krzyż, symbol zgniecionej chrześcijaństwa.

– Tak, chrześcijanie – powiedział w zamyśleniu Marcus. – Cholerni chrześcijanie.

II. Cattigara

Krępy, przysadzisty – podobny raczej do opasłej kaczki niżli dalekomorskiego okrętu – pasażerski lembus żwawo przecinał ciemnoniebieskie wody Morza Syjamskiego. Marcus Corejmus stał na wysokiej, płasko ściętej rufie i bez specjalnego entuzjazmu rozglądał się wokół. Bezkresny przestwór oceanu przygnębiał go niepomrotnie. Od czasu, kiedy dziesięć dni temu opuścił na pokładzie parowego statku Taprobane, zaiste cudowną wyspę kwiatów i wina, widział skrawki ładu jedynie wówczas, gdy przepływali przez cieśninę między dwiema wielkimi wyspami, Chersonesusem a Agathodaemonisem. Wtedy też lembus opuścił Ocean Indyjski, zdążając ku Sinus Magnus, której częścią było przylegające od południa do ziem syjamskich morze. Marcus westchnął ciężko – pół roku już mijało, jak opuścił Calisję i udał się w swoją wielką podróż. Cattigara, ostatni rzymski port w długim łańcuchu, którym otoczono południowe krańce Najdalszej Azji, był i dla niego ostatnim przystankiem przed decydującym skokiem ku Wyspom. O ile w ogóle znajdzie sposób, aby się tam dostać.

Nostalgicznie spojrzął na dno kufla, gdzie smętnie przelewały się resztki stęchłego piva, którego niezgorszą beczułkę zabrał jeszcze z Taprobane. Pociągnął nosem i skrzywił się z niesmakiem. Wychylił się przez balustradę i chlusnął zawartością kufla na obracające się pod rufą koło napędowe, dzień i noc pracowicie mielące wodę, dzięki czemu od dekady uparcie dążyli ku najodleglejszym krańcom poznanego świata.

Opuścił wzrok na śródkręcie, aby po raz kolejny poobserwować, jak pracuje machina parowa, urządzenie, które go od dawna fascynowało. Wykonane z markowego egipskiego brązu kotły i paleniska mieściły się pod pokładem, niedaleko płasko zaokrąglonego dziobu lembusa, istotnie przypominającego kaczy kuper, w specjalnej, wykładanej ogniotrwałą terakotą komorze – w innym przypadku spłonąłby drewniany kadłub statku. Jej położenie można było poznać po wystającym nad pokład grubym miedzianym kominie, z którego buchał bez przerwy dym. Z kotłów para szła miedzianymi rurami do właściwej maszyny, pierwotnie śruby Archimedes, przekonstruowanej przez rzymskiego inżyniera Cato Tulusza. Marcus widział przez

otwartą pokrywę luku grubo, ubrany w terakotowy pancerz, a odlany z tegoż egipskiego brązu tubus, w którym, popychane parą, szparko obracały się skrzydła wirnika. Ruch obrotowy przekazywany był na półstopowej średnicy oś z najprzedniejszej damasceńskiej stali, która prowadziła od śruby Tuliusza do mieszczącego się na rufie skomplikowanego systemu przekładni, przekazujących uzyskany z siły ognia ruch na koło wodne, z niezmordowaną, mechaniczną ciepłością popychające statek do przodu. Tak oto potęga ludzkiego rozumu zmusiła do spotkania wrogie sobie żywioły ognia i wody, aby je podstępnie ujarzmić i uczynić pożytecznymi.

„Dlaczego właściwie nie stosuje się pary w machinach lądowych?” – przyszło mu nagle do głowy. Wielki cesarz Julian w jednym ze swoich edyktów, wydanym pod koniec długiego i chwalebego życia, dozwolił stosować udoskonaloną maszynę Hierona wyłącznie na statkach morskich, i to tych pływających po wodach wschodnich. Inne zastosowania były zabronione. Marcus wiele razy rozmyślał, ileż to wspaniałych rzeczy można by zdziałać siłą pary, na przykład w młynach zbożowych czy przy nawadnianiu pól lub napędzaniu pojazdów. Niemożliwe, aby Julian, jeden z najtęższych umysłów swoich czasów, o tym nie wiedział. Dlaczego w takim razie wydał zakaz? Tego zupełnie nie potrafił zrozumieć. Nagle posłyszał za sobą stanowcze, żołnierskie kroki.

– Zaręczam ci, szlachetny Marcusie Corejmusie, że w naszym mieście wytwarza się znakomite pivo, lepsze nawet od tego, którym uraczyłeś właśnie morską topiel.

Marcus odwrócił się. Podszedł do niego Labienus Wiktoryn, legat pomocniczy stacjonującego w Cattigarze XXV legionu, mąż słusznego wzrostu, o okrągłej, wesołej twarzy i takimże usposobieniu. Podróżowali razem od Gedrozji, gdzie Labienus bawił w jakiejś wojskowej misji. Był całkiem sympatycznym kompanem, chętnym do wypitki, chwilami tylko śmieszył nadmiernie kwiecistą wymową, świadczącą o głębokim umiłowaniu klasycznej retoryki. Marcus zwykł kpić sobie z tego bezlitośnie.

– Obyś rzekł prawdę, o złotousty – powiedział z namaszczeniem.

Labienus popatrzył na niego podejrzliwie spod oka, wreszcie obaj wybuchnęli śmiechem. Legionista wskazał ku północy, w kierunku której był zwrócony dziób statku. Marcus spojrzął tam, silnie wyteżając wzrok, i na linii styku morza i nieba dostrzegł ciemną, nieco wypukłą kreskę. Zaintrygowany i zarazem pełen nadziei zwrócił się ku Labienusowi.

– Tak, to wybrzeże Syjamu – odparł tamten, uprzedzając pytanie. – A dokładniej delta największej rzeki, Mekongu, na wschód od której leży Cattigara.

Załoga też dostrzegła ląd i na śródkręciu rozpoczął się ożywiony ruch, napędzany wrzaskliwymi komendami oficerów. Kilku ludzi skoczyło pod pokład,

chyba pomóc palaczom, ponieważ z grubego komina buchnął naraz kłęb burego dymu i okręt wyraźnie przyśpieszył. Paru innych rzuciło się na maszt i zaczęło rozwijać żagiel, zupełnie do tej pory nieprzydatny. Dopiero teraz poczuli chłodniejszy powiew w plecy – lekka bryza pchała ich prosto na północ. Ciemna kreska na horyzoncie rosła w oczach.

– Czy myślałeś już, gdzie zatrzymasz się w Cattigarze? – spytał Labienus.

– Nie zastanawiałem się jeszcze nad tym. – Marcus spojrział uważnie na legata. – Znajdzie się tam chyba dla mnie jakaś godna gospoda?

– Nie wątpię – odrzekł legionista z podejrzanie figlarnym uśmiechem. – Ale w czasie naszej podróży poznałem cię chyba na tyle, że mogę zaproponować coś specjalnego... pomny, rzecz jasna, na twe epikurejskie upodobania.

Marcus uniósł pytająco brew, naprawdę zaciekawiony, ale Labienus, miast mówić dalej, zaklaskał w ręce. Na podeście zjawił się ciemnoskóry niewolnik z dzbanem i pucharami. Corejmus zerknął smętnie na trzymany nadal w ręku kufel, na misternie wyrysowaną na czarnej polewie postać rozradowanego Bachusa, którego w germańskich i skławińskich krajach czczono również jako opiekuna chmielu. Całość nieprzyjemnie przypominała o minionych już pивnych rozkoszach. Zirytowany, z rozmachem wyrzucił kufel za burtę.

– To w ofierze Neptunowi, aby dalej nam sprzyjał – wyjaśnił. – Bardzo lubięm to poręczne naczynie i mam nadzieję, że on to doceni.

– Nie wątpię. – Labienus wcisnął mu do rąk krater wypełniony po brzegi czerwonym winem. – Zdaję sobie sprawę, że nie zastąpi ci to twego ulubionego trunku, chyba jednak docenisz trud niewolników z mej winnicy na Taprobane.

Ulali trochę z pucharów dla uczczenia Kybele, Wielkiej Matki, opiekunki życia, i dostojnie wypili. Jak na czerwone i trujące świństwo, za jakie w normalnych warunkach Marcus uważał wino, to smakowało całkiem nieźle. Czuło się w nim moc południowego słońca i pulchną żyzność wulkanicznej taprobańskiej gleby. Także niewolnicy Labienusa sprawili się nadzwyczajnie. „Wiem – krzyknął w duchu, olśniony nagłym przeblyskiem – dlaczego nie wolno używać na lądzie machin parowych!”. Machiny wyręczyłyby w pracy krocie niewolników, z którymi nie bardzo byłoby wiadomo, co dalej począć. Chyba tylko to, co Krassus z niedobitkami wojska Spartakusa. A na to Julian był zbyt wielkim humanistą. Cesarz pisał w pamiętnikach, że na rzeź chrześcijan zdecydował się wówczas, gdy uznał, że wszelkie pokojowe środki zostały wyczerpane i zostały mu tylko żołnierskie miecze. I przekonanie, że dobro Rzymu nie zna kompromisów.

Pociągnął raz jeszcze z krateru i z nadzieją popatrzył ku znacznej już wypukłości lądu, jaka się przed nimi rysowała na horyzoncie – zwiastującej nowy świat, pełen nadziei, ale i nieznanym niebezpieczeństw. Tropikalny upał rósł z każdą kwadrą,

powietrze stało się parne i duszące, jak zwykle w ciągu tych paru południowych godzin, gdy słońce nieruchomo zawisało w zenicie. Wino Labienusa, mimo iż wcale smaczne, niewiele pomagało na upał. „Nie ma to jednak jak schłodzone w głębokiej studni pivo” – skonstatował z żalem.

Trudno było orzec, ile już godzin płynęli wzdłuż bajecznie zielonych wysepek i wysuniętych w morze półwyspów, składających się na poszarpaną linię brzegową delty Mekongu. W ciągu tego czasu ich skromnie rozpoczęta libacja zmieniła się w prawdziwą ucztę. Dołączyło paru azjatyckich i greckich kupców, a także indyjskie tancerki z wędrownego trupy, młode, gibkie, a przy tym wielce rozpustne i skore do zabaw, o czym dogłębnie się mogli podczas podróży przekonać. Usłudni niewolnicy ustawili na obszernym pokładzie rufy, osłoniętym białym płóciennym dachem, kilka wygodnych sof, między którymi krążyli potem z dzbanami i półmiskami pełnymi kandyzowanych owoców i morskich specjałów. Pito obficie i zegnano się czule, jako że przed zachodem słońca mieli zawinąć do portu.

Marcus obserwował w zadumie kłębiącą się za burzą dziką i pierwotną puszcza. W zasadzie powinien czuć radość, że udało mu się dotrzeć tak daleko, ale jakoś nie czuł. Nieprzenikniony gąszcz za burzą napawał go dziwnym niepokojem. Po raz pierwszy od czasu opuszczenia Calisji trapiły go wątpliwości, czy aby naprawdę dobrze postąpił. Mógł w końcu dożyć swoich dni w Wenedii, przepisując w skrytorium zarządzenia namiestnika, a wieczorami urzędując w gospodzie Agamemnona; może nawet powinien zająć się u tego wieprza produkcją piva, do czego od dzieciństwa czuł wielki pociąg. Z drugiej strony odwróciłby się wówczas od wielkich przeznaczeń, z którymi teraz wreszcie mógł się zmierzyć. Wielka przygoda, ruch i przestrzeń, o tym zawsze marzył, ślęcząc godzinami nad Herodotem czy Ksenofontem. Teraz mógł wreszcie tego dostąpić, przeżyć coś naprawdę. Najbardziej fascynujące było to, że owe upragnione przeznaczenia jawiły się równie tajemniczo, co widniejąca zda się o rzut kamieniem ściana zieleni, gęsta i nieprzenikniona jak najgłębsze sekrety Azji. Płynął oto na krańce znanego świata, aby sprawdzić pewną karkołomną hipotezę, w którą chwilami sam z trudem wierzył. „I jakież w tym poplątaniu los twój, Corejmusie?” – szepnął do siebie bezwiednie.

– Mówiłeś coś, szlachetny Marcusie? – Labienus, prawie zupełnie już pijany, wychynął z łapczywych objęć jednej z tancerek. – Że co?

– Pytałem, kiedy ujrzymy Cattigarę – odrzekł.

Legat pomocniczy XXV legionu popatrzył na niego nieprzytomnie, bełkotnął coś niewyraźnie i opadł z powrotem na brązowe łono leżącej z nim dziewczki.

– Już niedługo, port znajduje się zaraz za tym półwyspem, który teraz opływamy – powiedział uprzejmie jeden z Greków, starszy już człowiek, też widocznie nie

potrafiący poddać się ogólnemu nastrojowi. Widząc nieco zdziwioną minę Marcusa, dodał wyjaśniająco: – W porcie będzie czekać żona, której dawno nie widziałem.

„Ot, co znaczy prawdziwa małżeńska cnota” – pomyślał Corejmus i wygodnie wyciągnął się na wznak. Grek wstał, podszedł do balustrady i podniósłszy do skroni dłoń, pochłaniał wzrokiem morze. Chyba rzeczywiście kochał tę swoją Penelopę. Marcus sięgnął po krater i skinał na niewolnika, który natychmiast go nappełnił taprobańskim białym wytrawnym, zmieszany z sokiem cytrynowym i wodą. Statkiem lekko szarpnęło, zgrzytnęły łańcuchy sterowe – zmienili kurs. Marcus rozejrzał się, zaniepokojony. Stojący przy burcie Grek machnął ku niemu zachęcająco ręką. Ocieżale podniósł się z sofy i lekko chwiejąc się na nogach, podszedł do kupca. Popatrzył w kierunku, który tamten wskazywał. Lembus opłynął już przylądek i znajdowali się teraz u wejścia do ogromnej zatoki. U jej krańca ujrzeli port i rozpościerające się za nim miasto. Statek nabierał szybkości i trzykrotnie gwizdnął triumfalnie. Z głębi zatoki odpowiedziano natychmiast. Dostrzegli obłok pary unoszący się nad niewidocznym do tej pory okrętem. Była to czarna, dwukrotnie od lembusa większa wojenna galera, strzegąca wejścia do portu.

Sunęli teraz tak chyżo, tnąc jak nóż wody dziwnie spokojnej zatoki, że nie minęła kwadra, a już przepływali tuż obok wojennego okrętu. Kapitan lembusa pokazał imperialne znaki, wówczas kręcący się po pokładzie galery marynarze okrzyknęli ich ochoczo. Stojący obok Marcusa Grek pomachał im entuzjastycznie, a on sam, również ciekaw, co zafascynowany, pożerał wzrokiem rozkładające się przed nimi miasto, ostatni rzymski punkt oparcia u wrót Najdalszej Azji, legendarną Cattigare.

Sam port sprawiał przyjemne wrażenie. Był co prawda zatłoczony statkami i łodziami najrozmaitszych typów i przeznaczeń, ale zacumowanymi porządnie, w równych, karnych szeregach wzdłuż wybiegających daleko w morze kamiennych pomostów, bardzo solidnie zbudowanych, co się Marcusowi od razu rzuciło w oczy; w prowincjach położonych bliżej Rzymu gospodarka morska pozostawała w znacznym zaniedbaniu, a stan śródziemnomorskich zwłaszcza portów był fatalny. Tu wyglądało to zupełnie inaczej: pomosty przytykały do potężnego nabrzeża, starannie obmurowanego granitowym, jak się wydawało na pierwszy rzut oka, murem. Za nim widniały ustawione w regularnych odstępach prostokątne fasady magazynów i jakieś inne budynki, o na azjatycką modłę spiczastych dachach. Marcus pokręcił z podziwem głową – tak schludnego portu w czasie swej podróży jeszcze nie odwiedzał.

Dalej rozciągało się właściwe miasto. Z pokładu lembusa widział całkiem spory obszar, jako że zbudowano je na opadającej ku morzu równinie. Sprawiało również porządne i cieszące oko jak port wrażenie: zbudowane na miejscu starej greckiej osady, pamiętającej czasy Aleksandra Macedońskiego, zachowało regularną

szachownicę ulic, pnąc się stopniowo w górę, aż do szczytu najbliższego wzniesienia. Marcus doliczył się wstępnie czterech dużych forów, kilkudziesięciu świątyń, rzymskich, greckich, a także azjatyckich, wyższych od tamtych, o śmiesznych dachach przypominających trzy lub cztery nałożone na siebie słomiane kapelusze, jakich używali na Taprobane pracujący w polu wieśniacy, aby ochronić się przed palącym słońcem. Nad całą tą egzotyczną, iście azjatycką mieszaniną stylów, ulic, placów i dachów panowała majestatycznie sylwetka rzymskiej cytadeli, wzniesiona na wzgórzu tuż obok portu. Z podziwem patrzył na jej potężne mury, ujęte w geometrycznie doskonały sześciobok, postawione na fundamencie z ogromnych czarnych głazów, być może bazaltowych, których imponujące rozmiary mógł dostrzec nawet z tak znacznej odległości. Twierdza składała się właściwie z dwóch takich sześcioboków, szerszego, stanowiącego wysoką na jakieś sto stóp podstawę, na której stał drugi, węższy i niższy. Jego pochylone ku środkowi ściany wieńczyła płaska kopuła, lśniąca w słońcu wypolerowanym spizem. W tej chwili wykwitł nad nią obłoczek białego dymu i dobiegł ich daleki, przenikliwy świst.

– To wypuszczają nadmiar pary z wyrzutni – objaśnił Grek, widząc jego zdziwioną minę. – W środku jest bateria parowych balist, widocznie trzymają ją teraz na ogniu.

”Czyżby spodziewano się ataku?” – pomyślał Corejmus, ale nie wyraził tego głośno. Jednostajnie przyśpieszony łomot maszyny ich statku raptem się zmienił, ścichł i zgrubiał – zaczęli zwalniać. Statek celował dziobem wprost w kamienne nabrzeże, wytracając gwałtownie impet. Kapitan kierował się ku małej, jakby wydzielonej zatoczce, gdzie dostrzegli kilka przycumowanych, podobnych do ich lembusa, jednostek parowych o średniej wielkości oraz dwie wojenne galery, chyba gotowane do wyjścia w morze, ponieważ na ich pokładach kłębiło się multum uzbrojonych ludzi, poganianych gniewnymi okrzykami centurionów. Maszyna na ich statku powoli zamierała, zbliżali się do nabrzeża, ogromniejącego z każdą chwilą. Dostrzegali nawet czekających na brzegu ludzi, wymachujących radośnie kwietnymi wiązkami. Grek ze łzami w oczach pokazywał mu stojącą osobno, szczupłą kobiecą postać.

Statek skręcał powoli, nacierając burtą na kamieniste nabrzeże. Majtkowie biegali gorączkowo, przerzucając na zewnątrz zwoje lin i wypchane wełną skórzane worki. Ruszyła znowu maszyna, tyle że w przeciwnym kierunku. Pęd zmałał prawie do zera, ale mimo to wstrząs w kontakcie z brzegiem był znaczny – nawet przyczepiony kurczowo do balustrady Marcus zachwiał się na nogach. Prawdziwe jednak spustoszenie nastąpiło wśród biesiadników: wyrzucony z łoża i objęć tancerki Labienus doturlał się aż do niego. Zaraz też dziarsko wstał, czepiając się palików balustrady, i z niezbyt przytomnym wyrazem twarzy rozejrzał się wokół.

– Zatem, szlachetny Corejmusie, zawołany filozofie, ciekawy dalekich krajów podróżniku i poszukiwaczu sensu życia – powiedział nieoczekiwanie trzeźwym głosem – jesteś oto w Cattigarze.

– Tak – mruknął w zamyśleniu Marcus. – Jestem.

Ale nie czuł z tego powodu jakiejś szczególnej radości. Raczej nostalgiczny smutek, nieuniknione następstwo spełnionego marzenia.

Labienus doprawdy niewiele przesadzał, entuzjastycznie opisując mu uroki tego miejsca. Lektyka przystanęła na szczycie wzgórza. Marcus odsunął firany i patrzył w dół, oniemiały z zachwytu – to, co widział, przechodziło jego najśmielsze oczekiwania. Czegoś podobnego nie mógłby się spodziewać w najfantazyjniejszych snach.

Miał oto przed sobą pozostałość po greckim, klasycznym teatrze, który ongiś, sto czy dwieście lat temu, wybudowali sobie zamieszkujący w Cattigarze Grecy. Urzeczywistnili przy tym tyleż prosty, co i sprytny zamysł – ścięli część opadającego ku morzu stoku wzgórza, które wybiegając w tym miejscu poza linię brzegową, przemieniało się właściwie w półwysep. Siedzący na widowni ludzie mieli na wprost oczu morze, skąd też nawiewała chłodna bryza, co niewątpliwie było jednym z koronnych argumentów uzasadniających takie usytuowanie teatru. Przedstawienia, zwykle złożone z klasycznych tetralogii, trwały wiele godzin i wytrzymanie do końca w tropikalnej spiekocie wymagało nie lada jakiej odporności i naprawdę wielkiej miłości do dramatu. Bryza bardzo tu pomagała.

Poniżej, prawie na poziomie morza, umieszczono *orchestrę* i *skene*, bardzo, jak się domyślał Marcus, swego czasu obszerne. Efekt czysto dramatyczny musiał być zgoła fantastyczny, gdy odgrywającym posępne tragedie Sofoklesa aktorom towarzyszył głucho szumiący przestwór oceanu, dodatkowy a niepłatny uczestnik spektaklu. Niestety, zmyślni Grecy nie przewidzieli jednego – iż ów sam upomni się o zapłatę.

Marcus domniemywał, że kiedyś wzburzone morze musiało natrzeć na urwisty brzeg ze szczególną furją. Zabezpieczenia – o ile w ogóle były, w co wątpił – nie wytrzymały i cała misterna teatralna konstrukcja wraz z podmytym przez fale przyładkiem runęła w dół. Nie całkowicie jednak, morze pożarło *skene*, *proskenion* i spory kęs *orchestry* – zatem tę część teatru, gdzie występowali aktorzy. Widownia, czyli kolisty *theatron*, wraz z pozostałym kawałkiem *orchestry* obsunęła się kilkadziesiąt stóp ku morzu i tak pozostała. *Orchestra* znalazła się pod wodą, włączona tym samym w linię brzegową. Dało to w efekcie coś na kształt marmurowego basenu, otwartego jedną stroną na morze. Marcus nawet z tej wysokości widział prześwitujące przez wodę olśniewająco białe płytki, którymi

wyłożono kiedyś miejsce dla chóru.

Taka oszczędzona przez morze pozostałość nie była już dla Greków prawdziwym teatrem, toteż zostawili ją własnemu losowi. I tak pewnie wietrzałyby, zamieszкана przez małpy i czekająca swego naturalnego końca, gdyby nie pewien przedsiębiorczy Azjata z głową na karku, Syjamczyk Tong Po, który stał teraz w unizonej pozie przed lektyką Corejmusą. Ten z kolei kręcił nadal głową, nie mogąc się nadziwić przedsiębiorczości niepozornego człeczyny o licu okrągłym jak księżyc w pełni. Podał mu list polecający od Labienusa i dla odmiany skupił się na innowacjach wprowadzonych przez sprytnego Syjamczyka.

Tong Po, gdy przejął od wspólnoty greckiej resztki teatru, przede wszystkim zabezpieczył go solidnymi palami przed dalszym obsuwaniem się w morze. Wybudował też dwa chroniące brzeg kamienne falochrony, skutecznie rozbijające atakujące resztki *orchestry* bałwany. Amfiteatralną widownię znacznie przerobił, usuwając część kamiennych stopni-siedzeń, na których spoczywały przedtem tyłki wzruszających się losem Antygony Greków. Zamiast nich zainstalował w każdym rzędzie po siedem lub osiem szerokich podestów, na których ustawił obszerne, wygodne łoża z jedwabnymi baldachimami. Razem dawało mu to siedem kręgów z blisko pięćdziesięcioma łózkami, schodzących tarasowate ku wodzie. Przyjemna bryza, którą tak chwalili sobie greccy teatromani w czasie długich spektakli, w tej chwili leniwie owiewała ciała kopulujących pod baldachimami kochanków – jako że Tong Po był największym w Cattigarze przedsiębiorcą od uciech miłosnych, pospolicie zwanym sutenerem, a to, czym Marcus od dobrej kwadry sycił sobie oczy, stanowiło jego najbardziej ekskluzywny letni zamieszkanie, ochoczo odwiedzany przez miejscowy patrycjat.

Na świątym szczycie wzgórza, powyżej ostatniego kręgu *theatromu*, Tong Po postawił dodatkowe budowle: łaźnie, kuchnie, pokoje wypoczynkowe dla heter, a także – co bardzo interesowało Marcusa – coś w rodzaju wygodnego zajazdu dla gości pragnących gruntowniej zapoznać się z walorami jego zakładu. Marcus nie miał nic przeciwko temu, jego wrodzony hedonizm łączył się harmonijnie w tym miejscu z umiłowaniem neoklasycznego antyku, którego resztki, pracowicie konserwowane, widział wszędzie dookoła.

Nie wiedział, czy Syjamczyk znał Owidiusza – sławny ów poeta, największa ozdoba epoki augustiańskiej, niedościgły mistrz erotyki, w dwustu wierszach opisywał miejsca najbardziej sprzyjające miłości. Nade wszystko stawiał on teatr jako miejsce stosowne do zbierania się rzymskich piękności i kształcenia w nich delikatności i zmysłowości. Być może stąd właśnie Tong Po zaczerpnął ideę przewodnią dla swego przedsięwzięcia. Tak czy owak Marcus musiał przyznać, że przerobienie teatru na burdel było pomysłem kongenialnym.

Gospodarz, który przeczytał już list od Labienusa, gwałcił się od dłuższego czasu w głębokich pokłonach, a jego okrągłe oblicze o chytrych, myszkujących oczkach jaśniało zapraszającym uśmiechem. Corejmus wygramolił się z lektyki użyczanej mu przez nieocenionego legata – u niego też spędził pierwszą noc po przybyciu do miasta – i rzucił przewodnikowi srebrną drachmę. Dwie sakwy, targane przezeń aż z Calisji, porwali zaraz słudzy Syjamczyka, dorodni Azjaci, wyrosli nagle jak spod ziemi. Tong Po prowadził ku swoim włościom, pogadując łamaną łaciną o koszmarnym metrum.

– O tak, Labienus wielki pan, i hojny. U nas być dobrze.

– No myślę – mruknął Marcus, rozglądając się wokół ciekawie.

Mijali właśnie łaźienki, drzwi których otwarto na oścież – pensjonariuszki zażywały tam ochłody. Rzeczywiście, upał dawał się we znaki od rana. Marcus krajem podróźnej togi otarł pot z czoła i zaintrygowany zerknął do środka. I zamarł z zachwytu. Widział oto przed sobą bosko rzeźbione ciała, w kolorze śniadym, żółtawym, białym i czarnym, poukładane w rozleniwionych pozach na chłodnych kamiennych ławach. Służki podchodziły do heter i z dzbanów lały na nie z rozmachem strumienie wody. Krople perlily się na ich gładkiej skórze. Dziewczyny, zmęczone upałem, leżały nieruchomo jak posągi, ale czasem któraś poruszyła się i wtedy wszystkie rozkoszne krągłości ocierały się o siebie, powodując ożywcze mrowienie na podbrzuszu Marcusa. Westchnął przeciągle i spostrzegł wówczas, iż obserwuje go, z wyraźną satysfakcją na szeroko roześmianej gębie, gościnnie gospodarz, Tong Po. Pewnie Syjamczyk wiele się spodziewał po tak obiecującym kliencie. Marcus gotów był się z nim zgodzić, nie czuł żadnego przywiązania do złota, o ile mógł je zamienić na tak podniecające przyjemności. ”Ba, ale – zreflektował się nagle, pomny, że każde szczęście ma swój kres – czy mają tu pivo?”

Patrząc z szerokich stopni świątyni Jowisza na rozległe Forum Numeriana, dochodził Marcus Corejmus do wniosku, że słusznie prawili ci znawcy spraw tego świata, którzy mówili o Cattigarze jako niezwykłym miejscu, gdzie Wschód stykał się z Zachodem, a Północ z Południem. Widział to teraz na własne oczy: cały ogromny plac o powierzchni może mili kwadratowej wypełniał różnokolorowy, wielorasowy, zawzięcie handlujący tłum. Dostrzegał tedy Rzymian i Greków, przemieszanych z Brytami i Germanami, oferujących capuańskie wino, babilońskie zboże, lniane i bawełniane płótno, z równą swadą zachwalających wyroby kunsztownego rzemiosła, co i manufakturowej tandety – tej nie brakowało, jako że system nakładczy rozpowszechniał się coraz bardziej. Z kolei brodaci Scytowie, panowie północnych stepowych bezmiarów, mimo upału ubrani w ciężkie futrzane czapy i baranie kubraki, wystawiali skóry najrozmaitszych stworzeń nizinnych i górskich, chwając ich miękkość i wytrzymałość. Wiecznie uśmiechnięci Seryjczycy, poddani żółtego

cesarza, o gładkich, wyzbytych wszelkiego wyrazu skośnookich twarzach, rozkładali na kramach bele bajecznie kolorowego jedwabiu, cienkiego i lotnego jak pajęczyna, drudzy oferowali stopy szafirów i samородki złota, tak przez Rzymian cenione, jeszcze inni – różnej wielkości naczynia o wymyślnych kształtach, wykonane ze lśniącej, podobnej do polerowanego marmuru substancji, bardzo jednak kruchej. Rodzimi Syjamczycy, których było jakby najmniej, potrząsali koszami pełnymi ryżu i owoców, zebranych z otaczających miasto pól uprawnych. Najbardziej jednak wyróżniali się nadzy, pomalowani w białe pasy wyspiarze z mórz południowych, podobno ludożercy, gdyż zęby mieli wypilowane w szpiczaste trójkąty; głowy przystroili pękami piór egzotycznych ptaków, mieniających się wszystkimi kolorami tęczy. Ci przywieźli perły, które łowili w ciepłych lagunach, chcąc je wymienić na zwłaszcza białe niewolnice.

Tego towaru też nie brakowało. Na przeciwległym krańcu forum ustawiono obszerny drewniany podest i tamże odbywała się publiczna licytacja niewolników. Czerwony z wysiłku wywoływacz obwieszczał co chwila cenę nowego osobnika. Poszukiwani byli szczególnie rośli młodzieńcy do okolicznych plantacji oraz młode, gibkie dziewczki do zamtuzów, których to w Cattigarze, mieście tratowanym przez hordy kupczyków i marynarzy, nigdy nie mogło nastarczyć. Marcus przez moment sądził, że dostrzega w kłębiącej się pod rampą gromadzie nabywców tłustą postać Tong Po, kręcącego się jak fryga dookoła grupki młodych niewolnic. Ale może mu się zdawało. Raz jeszcze obrzucił wzrokiem rozgdakany, zawzięcie gestykulujący, pstrokaty tłum; pomyślał ze smutkiem, jak to miasto, też w końcu kraniec Imperium Romanum, różni się od Calisji. Wydawało się, że przez Cattigarę przepływa większość żywotnych soków Azji i Europy – ślady wszelakiego dostatku były aż nadto widoczne. Prowincjonalna, zapyziała stolica Wenedów nie mogła się z nią w żadnej mierze równać. Mimo to Marcus wyczuwał w panującej wokół atmosferze coś niepokojącego – ta ciżba wypełniająca forum sprawiała wrażenie zbyt ożywionej i radosnej, poruszano się gorączkowo i niezdarnie, jakby w instynktownej obawie, że już następnego ranka ten beztroski śmiech i ruch nie będzie już możliwy. Zupełnie tak, jakby nad tym miastem wisiała jakaś bliżej nieokreślona groźba...

Zszedł powoli ze stopni świątyni, którą odwiedził ze względu na wykonany ze szczerego złota posąg Jowisza Cattigarskiego, wysokości piętnastu stóp, podobnoż jednego z siedmiu cudów świata. Niespiesznie, spacerowym krokiem, poszedł w głąb odchodzącej od forum przecznicy, chcąc odpocząć od czynionego przez tłum hałasu. Minął parę kupieckich składów i skręcił w zaułek, przy którym stały małe świątynie lokalnych bóstw azjatyckich. Zatrzymał się na chwilę przed jedną z nich, jak przypuszczał, buddyjską, i podziwiał zawieszony u okapu maski okropnych maszkar, mających chyba odstraszać demony. Pod ścianą, obok niskiego, kwadratowego

wejścia, coś się poruszało – dopiero teraz zauważył, że spał tam wychudzony żebrak, nagi, jeśli nie liczyć brudnej przepaski biodrowej i strzępów tuniki czy kaftana. Nędzarz, nagle rozbudzony z południowej drzemki, podniósł się na klęczki i bełkocąc coś niewyraźnie, wyciągnął ku Marcusowi swoją miseczkę. Odruchowo sięgnął za pas i rzucił parę drobnych monet. Żebrak zabełkotał znowu, chyba w podzięcie, i Corejmus zamierzał już odejść, kiedy, tknięty jakimś bliżej nieokreślonym przecuciem, zatrzymał się i ponownie uważnie go sobie obejrzał. Słabo się wyznawał na azjatyckich rasach, ledwo odróżniał Syjamczyka od Seryjczyka, wszyscy wydawali mu się tacy sami, mniej lub bardziej żółci czy skośnoocy – ale z tym człowiekiem wyraźnie było coś nie tak, odróżniał się od przeciętnego tubylca czy nawiedzającego Cattigarę przybysza. Sięgnął pamięcią wstecz i przypomniał sobie twarz księcia Tsuomi, któremu w Calisji dyskretnie zdażył się przypatrzeć. Rysy żebraka w przedziwny sposób przypominały tamto oblicze – podobne ustawienie kości policzkowych, zarys szczęki i nosa, nawet włosy i oczy... Podobieństwo było zaiste zdumiewające. Popatrzył znowu i mimowolnie zadrżał. Przeraziły go źrenice nędzarza, nieruchome i martwe, wlepione w jakiś punkt nad jego głową. Marcus cofnął się, uderzony tym martwym spojrzeniem jak biczem.

Z wnętrza świątyni dobiegło szuranie i człapanie, skrzypnęły drewniane drzwiczki i przez próg wyrzwał młody, chudy kapłan czy też służka świątynny z ogoloną głową i w pomarańczowej szacie, przerzuconej przez ramię na podobieństwo rzymskiej togi. Obrzucił ich obojętnym wzrokiem i już miał się cofnąć, gdy Marcus skinął na niego, a potem wskazał na żebraka.

– Ten człowiek... skąd on pochodzi? – spytał, mając nadzieję, iż tamten zna choć trochę łacinę.

Kapłan – chyba, ponieważ za dostojnie się prezentował jak na początkującego adepta – przypatrywał mu się w milczeniu; jego wyzbyta jakiegokolwiek emocji twarz przypominała wygładzoną do połysku kulę wosku.

– Skąd on się tu wziął? – powtórzył Marcus po grecku, nieco natarczywie. Wciąż nie wywołał żadnej reakcji.

Już chciał zrezygnować i pójść dalej, ale wtedy kapłan się odezwał:

– Nie wiem, panie. – Mówił cicho, łaciną o doskonale wyćwiczonym metrum.

Opuścił głowę i patrzył teraz w ziemię. – Przywiedziono go tutaj rok temu.

– To nie jest odpowiedź – zirytował się Marcus. – Skąd go przywiedli?

– Nie wiem, panie – powtórzył kapłan. – Mogę ci jedynie powtórzyć to, co usłyszałem od gawiedzi wtedy, gdy tu przybył.

– Co tedy rzekli? – Marcus był na skraju ostatecznej irytacji. Prawdę mówiąc uważał Azjatów za znacznie bystrzejszych.

– Ludzie ci powiedzieli, że tego człowieka znaleziono na morzu, gdzieś w

okolicach Formosy. Płynął sam na tratwie, od wielu dni pozbawiony wody i jedzenia, do krwi przypalany słońcem. Ci żeglarze twierdzili, że od tego oszalał.

– Czy płynął od strony Wysp, które wy tu nazywacie Najdalszymi lub Zakazanymi?

Po woskowej twarzy buddyjskiego kapłana przeleciał ledwo dostrzegalny cień. Skłonił się głęboko i milcząc, wycofał w gęsty mrok zalegający we wnętrzu świątyni. Marcus chciał w pierwszym odruchu podążyć za nim, ale po chwili zrezygnował. Kapłan nie wyglądał na rozmownego, a nie było rzeczą rozsądną w biały dzień wszczynać na ulicy awantury. Postanowił jeszcze tu wrócić, w sposobniejszej porze.

Obrócił się ku żebrakowi, który wstał na równe nogi i niczym rozbudzona z nocy roślina wystawił twarz i tors ku słońcu. Resztki podartego kaftana opadły i Marcus ujrzał dokładnie jego wychudzoną pierś: pod prawą sutką, tam gdzie biło serce, widniał wypalony znak, gruby równoramienny krzyż. Marcus patrzył osłupiały, nie wierząc własnym oczom. Wyciągnął rękę i dotknął koszarnej, zarośniętej różową błoną blizny. Żebrak szarpnął się i z niespodziewaną siłą chwycił go za nadgarstek.

– Skąd to masz, człowieku?! – wykrzyknął Marcus.

Żebrak otworzył usta i kiedy zdawało się, że zaraz przemówi pełnym głosem, Marcus zobaczył za rzędem zepsutych zębów pustą czelusć, gdzie kiedyś był język. Drgał w niej jakiś różowy strzęp, mielący rozpaczliwie powietrze. Nieszczęśnik nagle puścił jego rękę i bełkocząc, skulił się znowu pod ścianą. Wysuszonym ciałem wstrząsnął spazmatyczny dreszcz – płakał, kwiląc jak niemowlę. Marcus odwrócił się, przepelnięny wstydem.

„Czego właściwie więcej można chcieć od życia?” – płynące niespiesznie myśli Corejmusy zogniskowały się na moment na trzymanym w ręku kuflu, skąd dopiero co obficie zaczerpnął. Chwilę smakował płyn w ustach, zastanawiając się nad jego jakością. Charakterystyczna dla piva goryczka była w tym wypadku odmienna od tej, do której przywykł, nie tak intensywna, ale bynajmniej wcale nie odpychająca. Można by rzec, że nawet interesująca – lekko kwaskowate pivo było na takie upały prawdziwym błogosławieństwem. Labienus twierdził, że Syjamczycy wyrabiali je z jakiegoś gatunku miejscowego prosa. Marcus bulgotnął parę razy i przełknął – jednak przydałaby się odrobina chmielu – potem wyciągnął się na wznak i dla odmiany popatrzył w niebo.

Słońce stało w zenicie. Widział to przez białą materię osłaniającego łoża palankinu. W kościach odczuwał przyjemne odrętwienie, rezultat hedonistycznych praktyk, jakim się od rana z zapalem oddawał. Zerknął w bok, gdzie odwrócona do niego tyłem leżała Sian, syjamskie dziewczę o cudownie śniadej, przyciemnionej jeszcze przez słońce skórze, miękkiej i jedwabistej w dotyku. Z upodobaniem

spozierał na jej kragły, sprężysty tyłeczek, na uroczą bruzdę, którą już zdążył wielokrotnie spenetrować, na wgłębienie pod pośladkami, tak czułe na jego pieśczoły. Wyciągnął rękę i przesunął palcami po biodrze hetery, zahaczając od niechcienia o ciemny busz u zbiegu jej ud. Zamruczała przeciągle, a zarazem przymilnie, niczym rozespana kotka. Marcus uśmiechnął się nostalgicznie.

Swego czasu, jako młodzieniaszek ledwo opierzony uczeń gimnazjonu, z wypiekami na twarzy czytał awanturniczy romans Euzebiusza, opowiadający o przygodach galijskiego legionisty z czasów wielkiego Konstantyna, Kasjusza Diona. W pamięci utkwił mu szczególnie fragment opowiadający o tym, jak Rzymianie zdobyli niespodziewaną napaścią obóz Franków, a w nim nieprzebrane mnóstwo kobiet. Samemu Kasjuszowi przypadło w udziale koło setki młodych, a nie napoczętych dziewczek. Dzielny żołnierz nie upadł jednak na duchu, stanął do boju i, jak potem wyznawał: „Do siedmiu dni wszystkie dziewicami być przestały”. Marcus od tej pory zawsze marzył o podobnym wyczynie. Na przeszkodzie stał jednak wciąż pogłębiający się na terenie Imperium Romanum deficyt niezdeflorowanych dziewczek.

– Tak, Quietusie – szepnął bezwiednie. – Tylko kurwy nam pozostały. Zawsze mówiłem ci, że trza iść w chędożenie. Ale ty, mój nieszczęsny przyjacielu, nie tylko tej rady nie chciałeś słuchać.

Spochmurniał nagle – nie miał ochoty przypominać sobie o zmarłym w tak dziwnych okolicznościach przyjacielu z odległej o tysiące mil Calisji. Co go teraz naszło? Sprawa Quietusa ciążyła mu na sumieniu jak wrzód, a *daimonion*, jego głos wewnętrzny, odzywał się w zgoła nieoczekiwanych i najmniej odpowiednich momentach. Do cholery z tym wymysłem platoników! „A może to spragnione zemsty Erynie wołają za Quietusem?” – pomyślał i zaraz parsknął w duchu śmiechem na ideę tak absurdalną. Chcąc ją od siebie odpędzić, podniósł się na łokciu i rozejrzał ciekawie po *theatronie*.

Łoże, na którym spoczywał wraz z Sian, ustawiono w drugim od góry rzędzie, dzięki czemu mógł objąć wzrokiem niemal cały Tongponowy przybytek uciech cielesnych. W dniu dzisiejszym zamtuz nawiedziła wyjątkowo duża liczba kupców i patrycjuszy, znużonych duszącym Cattigarę upałem. Prawie wszystkie łoża, aż do tych najmniej atrakcyjnych, ustawionych tuż nad *orchestrą*, zostały zajęte. Między nimi zwawo biegali z dzbanami i tacami młodzi chłopcy różnych ras, dość, jak bystro zauważył Marcus, efebowaci. Wielu bowiem gości Tong Po preferowało raczej greckie upodobania w tym względzie, a gospodarz nie miał nic przeciwko temu, byle tylko był należyty ruch w interesie. Stąd, tak przynajmniej sądził Marcus, brała się w znacznej mierze popularność zakładu. Obsługę dopełniały małe pacholeta, przebrane za Amorki, a zajęte skrapianiem gości wodą różaną. Brały ją do ust ze srebrnych czarek i zabawnie nadymając policzki, wydmuchiwaly chmurę drobnych kropel.

Porywała je ze sobą ożywcza bryza, która także rozrzucała na boki jedwabne zasłony palankinów, przez co każdy mógł sobie pooglądać, czym akurat zajmuje się jego sąsiad. Ale nikomu to właściwie nie przeszkadzało, przeciwnie jakby – płynąca od sąsiadów inspiracja wpływała ożywczo na własne działania. W rezultacie od rana nad całym teatrem rozbrzmiewał rozedrganą kakofonią chór namiętnych szeptów, westchnień i okrzyków, w który Marcus wsłuchiwał się z lubością – zdrowo rozumiany cynizm nie wykluczał wszak epikureizmu. Nigdy żaden spektakl nie uczynił na nim podobnego wrażenia. Zaczerpnął haust uróżowionego powietrza i naraz, zainspirowany podziwianym widokiem, przypomniał sobie fragment z Tibullusa...

*Sama Venus – gdyż wiernie jam Amora słuchał –
Na pola elizejskie wwiedzie mego ducha.
Tutaj tańce, tu pieśni – gdzieniegdzie wśród ziela
Z malutkich dziobków ptasich płynie pieśń wesela.
Wonny owoc przynosi nieuprawna rola,
Pachnącymi różami kwitną wszystkie pola.
Tu z młodzieńcami igra pięknych dziewcząt rzesza,
Amor miłosne żarty w drobne sprzeczki miesza.
Tutaj po śmierci każdy przybywa kochanek –
Każdemu zdoła włosy z mirtu splecion wianek.*

„Tak jest, moi pochutliwi bracia, Wyspy Szczęśliwe będą przypominały luksusowy burdel, inaczej to wszystko nie ma sensu” – skonstatował z westchnieniem Marcus. Zresztą, zawsze był dobrego mniemania o publicznych przybytkach uciech cielesnych. Podobnie zresztą jak i Katon, znany rzymski moralista. Surowy mąż ów, sprawując długi czas funkcję cenzora, sam zachęcał rzymskich młodzieńców do wizyt w zamtuzach, po to by trzymali się z dala od cnotliwych matron i niewinnych dziewczic. Pozwalał też kopulować swoim niewolnikom, pod warunkiem, że uiścili pewną, niewielką zresztą, opłatę. Czuć było w tym postępku szlachetny starorzynski szacunek dla każdego grosza. Tenże sam Katon wyrzucił z senatu pewnego patrycjusza, ponieważ ów na oczach bliźnich powążył się pocałować żonę. „Nieżył skurwiel” – pomyślał z podziwem Marcus. Przypomniał sobie jeszcze, że u schyłku życia ów osławiony asceta ożenił się z młodą dziewczką, którą zresztą przedtem tego chędożył.

Porzucając rozważania o meandrach klasycznej moralności, podążył wzrokiem ku pierwszemu rzędom *theatronu*, gdzie w zalanej wodą *orchestrze* beztriosko chlapało się kilka heter. Wiatr przywiał znad morza łańcuszek ciemnych obłoków, w efekcie

czego krąg wody rozbłyskiwał co chwila krystalicznie, rytmicznie zalewany jaskrawym światłem. Bawiące się w basenie dziewczki przypominały młode syreny. Z upodobaniem patrzył na to podniecające zawirowanie ocierających się o siebie jędrnych, opalonych pośladków, prężnych ud i pełnych piersi. Były w tej zabawie niewinne i rozpustne zarazem, niczym trenujące przed walką spartańskie dziewice. Ogarnęło go nagle dojmujące uczucie ulotności tej chwili, jej rzadkiego piękna i niepowtarzalnego uroku. Widok beztroskich młodych kobiet, upojonych słońcem i wodą, stworzonych do miłości i rozkoszy, napełnił go nieoczekiwanym żalem. Z tej odległości wydawały się kruche i nierealne, równie zwiewne co i przepływająca nad nimi chmura, porwana i rozdarta na strzępy nagłym wichrem, skutkiem czego cały teatr został znowu skąpany w palącym słońcu. Część baldachimów poderwał do góry złośliwy wiatr i Marcus zobaczył naraz ze trzy dziesiątki par, splecionych ze sobą w różnych stadiach miłosnych uścisków. Uśmiechnął się pod nosem – nikt nie zamierzał przerywać sobie z powodu takiego drobiazgu. Posuwistość ruchów zyskała jeno na dynamice, chorał erotycznego jęku osiągnął swój punkt szczytowy. Podekscytowane nim syreny z basenu jeły się łączyć w pary lub trójki i pieścić gorączkowo. Atmosfera ogólnego podniecenia zaczęła udzielać się i Marcusowi; pozornie zupełnie już wyczerpany klejnot cnót jego męskich raptem ożył i zaczął się domagać swych praw. Na to tylko czekała rozbudzona Sian, wraz ze swym jędrnym, ruchliwym językiem i łakomymi ustami, jakby stworzonymi do pieszczoty, którą uwielbiał najbardziej...

Apollinińska ta ekstaza pękła jak kryształowy balon od przenikliwego, zwierzęcego krzyku. Kiedy przebrzmiał, zebrani w *theatronie* biesiadnicy zastygli w zupełnej ciszy. Nie trwała długo – po chwilowej pauzie krzyk wybuchnął na nowo, a właściwie krzyki, ponieważ darło się teraz kilka kobiet równocześnie. Marcus odtrącił Sian i zerwał się na równe nogi. Coś działo się w *orchestrze*. Dopiero co igrające beztrosko dziewczki miały się bezładnie po basenie, dwie trzymały się kurczowo marmurowych balustradek nabrzeża, i te krzyczały najgłośniej. Zrazu Marcus nie mógł dostrzec przyczyny tak obłądnego zachowania, dopiero później, gdy przeniósł wzrok z kobiet na otwartą ku morzu część *orchestry*, zauważył kolebiący się tam, zanurzony w falach ciemny kształt, z wolna wpływający do środka. Przypominało to kloc szerniałego drewna... ale na pewno nie było to drewno. Porwał jedno z prześcieradeł i okrywszy się z grubsza, pędem zbiegł na dół, ku *orchestrze*.

Zastał tam już Tong Po z paroma niewolnikami oraz Labienusa, który wraz z trzema innymi klientami wyciągał z wody rozdygotane hetery. Oddawali je w ręce koleżanek i niewolników; prowadzono je zaraz na górę, do pomieszczeń mieszkalnych. Marcusa zainteresowało co innego: dwaj niewolnicy, za pomocą zakończonych hakami bambusowych drągów, usiłowali przyholować do brzegu ów

niepokojący, ciemny kształt. Jeden dokładniejszy rzut oka wystarczył, by Marcus wyzbył się resztek wątpliwości. Było to bezgłowe ciało nagiego mężczyzny, przedziwnym zrzędzeniem losu i prądów morskich przygnane aż tutaj. Obok kadłuba pływało coś małego i okrągłego. ”Czyżby...?” – pomyślał z niedowierzaniem, kiedy niewolnicy dociągnęli ciało do obmurowania i dopiero na wyraźny rozkaz Tong Po zaczęli je z niechęcią windować do góry. Po chwili spoczywało na płytkach za balustradą.

Wszyscy obecni mężczyźni stanęli nad zwłokami ciasnym kręgiem i przyglądali się w skupieniu, jak jeden z niewolników oczyszczał je z wodorostów. Kadłub należał kiedyś do ciemnoskórego, niskiego mężczyzny o muskularnej, mocnej budowie ciała. Do prawej dłoni miał przytroczoną cienką linkę długości może pięciu stóp, której drugi koniec przechodził przez nozdrza odciętej głowy, okolonej krótkimi czarnymi włosami i patrzącej na nich ze wzgardą przymkniętymi, szklanymi oczyma.

– To już trzeci taki delikwent od ostatnich kalend – powiedział Labienus i odwrócił się ze wstrętem. – Poprzednich zauważono z łodzi, gdy spływali w dół Mekongu. To dzieje się gdzieś w górze rzeki. Ten musiał dotrzeć aż do otwartego morza, no i przyływ przyniósł go tutaj... Na Hekate, a dzień tak się pięknie zapowiadał!

Kiedy niewolnicy wynieśli zwłoki, Labienus z Marcusem usiedli na brzegu basenu i krzepili rozdygotane nerwy mocnym gedrozzańskim winem. Dołączyła do nich grupka młodych patrycjuszy, podekscytowanych niezwykłym wydarzeniem. Labienusa, jako człeka obznajomionego ze sprawami wojskowymi i nie tylko, zasypano gradem pytań.

– Niewiele mogę wam powiedzieć – odparł nagabywany nieco poirytowanym głosem. – Najprawdopodobniej są to zwłoki członka któregoś z dzikich plemion zasiedlających górny bieg rzeki, tam gdzie nie ma już naszych fortów. Pierwszy trup wypłynął w zeszłym miesiącu, od tego czasu pojawiają się co dwa, trzy dni, z zastanawiającą regularnością. Zwiadowcy z zaprzyjaźnionych plemion twierdzą, że wybuchła tam jakaś wojna, podobnoż za poduszczeniem bliżej nieznanych przybyszów z północy. Wiadomości są niejasne, mało kto wraca z terenów ogarniętych walkami.

– Ale dlaczego głowa jest przywiązana do ciała? – zapytał ktoś dociekliwie.

– To logiczne – uprzedził Labienusa Marcus. – Po to, aby ją znalezione.

– Racja – potwierdził Labienus. – Groza jest wtedy stokroć większa. A swoją drogą wypadek ten pokazuje, jak skąpe jest w tym kraju władztwo Rzymu. Kończy się właściwie na granicy pól uprawnych, czyli tuż za murami Cattigary. A tam, gdzie jest dżungla, nie rządzi nikt ani nic, co miałoby związek z cywilizacją czy choćby zdrowym rozumem. W tym przeklętym gąszczu siedzą całe bandy małych, żółtych

demonów, którym od nadmiaru wilgoci i słońca strzela do głowy coraz to nowe szaleństwo, jak chociażby ta makabra. Nie sposób nad tym zapanować.

– Mamy przecież forty w górze rzeki – zauważył ten sam dociekliwy młodzieniec.

Labienus skrzywił się z niesmakiem i gestem nakazał niewolnikowi uzupełnić swój krater.

– Byłeś tam kiedyś? – spytał rozmówcę, a gdy ten pokręcił przecząco głową, kontynuował: – Owszem, mamy, aż dwa. W dzień można jakoś wytrzymać, ale za to nocnej zabawy zaiste należy im pozazdrościć. W przeszłości zdarzyło się już parę razy, że w środku nocy wyłaniała się wypluta chyba z najgłębszych czeluści Tartaru banda pomalowanych w kolorowe pasy dzikusów i ot tak sobie wyrzynała całą załogę, aby nie biorąc łupów ni jeńców, zniknąć przed świtem w zielonych trzewiach dżungli. Nikt nigdy się nie dowiedział, skąd i po co przyszli...

Marcus przestał słuchać. Patrzył zamyślony w stronę morza, gdzie na horyzoncie, dosyć jeszcze daleko, zaczęły zbierać się ciemne chmury. ”Będzie burza” – pomyślał.

* * *

Prowadzący lektykę niewolnik z pochodnią trzykrotnie obiegł dookoła zaulek, zanim znalazł buddyjską świątynię. W nocy wydawała się jeszcze mniejsza i bardziej zapadła w ziemię niż za dnia. Marcus wygramolił się z lektyki i stanął przed jej frontem, ledwo widocznym w chwiejnym świetle pochodni. Uśmiechnął się pod wąsem, rozpoznając dwie kolumny wspierające dach o śmiesznie zadartych rogach, podobny do jakiegoś błazeńskiego kapelusza. Nadproże było umieszczone nisko, toteż musiał dobrze się schylić, aby wejść do środka.

Wnętrze świątyni okazało się obszerniejsze, niż wprzód myślał. Sądząc po zewnętrznym wyglądzie, spodziewał się w środku ciasnej, dusznej dziupli. Być może była to kwestia oświetlenia, w pomieszczeniu palił się jeden tylko oliwny kaganek, daleko od wejścia, tuż przed posągiem bożka, owego tak sławnego wśród Azjatów Buddy. Marcus podszedł bliżej, spoglądając na to azjatyckie dziwo, o którym wiele słyszał od przybycia do Cattigary, gdyż bożek miał tu mnogie rzesze wyznawców i sporo, znacznie bardziej niż ta, reprezentacyjnych świątyń.

Chybotliwy płomień oświetlał kamienną postać tłuściocha, siedzącego z podkurczonymi nogami i złożonymi na piersi rękoma. Posąg był ogromny, mierzył z dziesięć stóp. Wyłaniającą się z mroku twarz ozdabiał szeroki, pusty i głupkowaty uśmiech. „A więc tak wygląda istota pogodzona sama z sobą” – pomyślał ironicznie. Wedle tego, co mu mówiono, ów znakomity Budda, niegdyś induski książę, sam pono za życia w bogów nie wierzył. Mimo to został ubóstwiony przez wyznawców, niczym jeden ze starożytnych cesarów. Nie masz bowiem głupoty, której ludzie nie byliby w

stanie popełnić w przekonaniu o własnej słuszności. Nie tylko Budda padł jej ofiarą.

Z kontemplacji wyrwał go cichy, klekotliwy dźwięk – prócz niego w świątyni przebywał ktoś jeszcze.

Zerknął w bok, skąd dobiegały dziwne odgłosy. W kącie, w pewnym oddaleniu od ołtarza, siedział na rozłożonej na kamiennej posadzce macie przygarbiony człowiek, prawie niewidoczny w nikłym świetle kaganka. Zaintrygowany, postąpił parę kroków ku tajemniczej postaci. Wyteżając wzrok, dostrzegł, iż był to bardzo wiekowy starzec, najpewniej kapłan, o twarzy pomarszczonej i spękanej jak przypieczony podpłomyk, odziany w ciemną, zlewającą się ze ścianami szatę. Kapłan siedział w kucki na macie i kręcił małą korbką, umieszczoną na wierzchu drewnianego pudełka. To właśnie urządzenie wytwarzało klekotliwy odgłos, który zwrócił uwagę Marcusa. Podeszedł jeszcze bliżej i ukląkł przed starcem, który nie zwracając na niego uwagi, dalej niespiesznie kręcił korbką.

Marcus spojrział znowu na pomarszczoną twarz o przymkniętych powiekach, absolutnie nieobecna i obca marnym sprawom ziemskiego padole. Chwilę się zastanawiał, czy to istotnie odpowiedni obiekt do jego indagacji, może powinien poszukać młodszego kapłana, choćby tego samego, z którym już przedtem rozmawiał o polegającym pod świątynnym progiem żebraku. Chociaż to, o co chciał pytać, z pewnością stanowiło wiedzę utajoną, nowicjuszom niedostępną. Prawdę mówiąc, nie liczył specjalnie na to, że w ogóle zdoła się czegoś dowiedzieć.

Rozejrzał się jeszcze wokół, chcąc mieć pewność, że są sami. Wzrok przyzwyczyił się już do mroku i widział całe, nisko sklepienie pomieszczenie, o ścianach obwieszonych ekspresyjnymi maskami-maszkaronami i pasmami kolorowej włóczki. Rzeczywiście wewnątrz świątyni było dość rozległe i, jak mu się zdawało, poza nimi dwoma, zupełnie puste. Zwrócił się ponownie ku starcowi, cierpliwie wytwarzającemu swoją korbką jednostajny terkot – może rodzaj modlitwy? Marcus nie wiedział, czy tamten zna łacinę, ale nie chciał wołać nikogo z syjamskiej obsługi lektyki. To, czego pragnął się dowiedzieć, nie mogło dotrzeć do niczyich postronnych uszu. Zwłaszcza tych na usługach zawsze ciekawej Tajnej Służby.

– Przyszedłem zapytać o... chrześcijan – zaczął, czując się niewymownie głupio, jakby gadał do marionetki z kukielkowego teatrzyku. – Trzysta lat temu przebywali w Cattigarze uciekinierzy z Zachodu, przegnani przez rzymskiego cesarza wyznawcy krzyża. Czy coś ci o nich wiadomo?

Starzec milczał, ani jednym drgnieniem mięśni nie zdradzając, że cokolwiek do niego dotarło. Nadal rytmicznie mełł korbką powietrze, i tylko po tym Marcus poznawał, iż ów w ogóle żyje. Powtórzył swoje pytanie po grecku.

– Wy byliście tu zawsze, wiele wieków przed przybyciem Rzymian. Wasi przodkowie musieli być świadkami przyjścia wyznawców krzyża. Na pewno istnieje

jakiś przekaz, choćby w legendzie...

Kapłan nadal nie odpowiadał. Terkot korbki wydał się naraz Marcusowi irytujący, wręcz obelżywy.

– W jakiej liczbie przybyli? – pytał dalej, z coraz mniejszym przekonaniem, że doczeka się jakiegokolwiek odpowiedzi. – Co zamierzali, czy głosili swoją wiarę? I gdzie się stąd udali?

Czekał jeszcze chwilę, z resztkami topniejącej nadziei, po czym wstał i otrzepał kolana. Pierwsze spostrzeżenie okazało się trafne, z równie dobrym skutkiem mógłby przemawiać do słomianej kukły. Czuł ogarniające go rozdrażnienie – w pierwszym porwywie chciał pochwycić skrzynkę i rozbić ją na głowie starca, zdołał się jednak powstrzymać. Nie miał przecież żadnej gwarancji, że kręcący korbką kapłan pojął chociaż jedno jego słowo. Powinien może zaryzykować rozmowę przez tłumacza? Sapnął gniewnie i zaczął zbierać się do wyjścia, zamyślając poszukać widzianego rano młodego adepta, kiedy zamarł w pół kroku – klekotliwy szum korbki raptem ucichł.

Starzec wyrzucił z siebie ciąg kilkunastu niezrozumiałych wyrazów, bardzo szybko, w postaci jękliwej melorecytacji, po czym ponownie zamilkł. Znowu zaskrzypiała nieśmiertelna korbka. Marcus patrzył na niego zaskoczony, ni w ząb nic nie rozumiejąc, gdy za plecami usłyszał znajomy głos.

– Człowiek zadaje dużo pytań. Człowiek, który pyta, błędzi. Wszystko jest albo prawdą, albo fałszem. Człowiek, który nie pyta, nie potrzebuje odpowiedzi. Sam znajdzie drogę.

Odwrócił się. Za nim stał znajomy młody kapłan, z kopcącym kagankiem w ręce. Corejmusowi wydało się, iż w jego czarnych oczach dostrzega iskierki ironii. Starzec przestał klekotać i znowu coś powiedział, w tym samym niezrozumiałym języku.

– Człowiek jest tak samo dobry, jak i zły – przetłumaczył kapłan. – Ale lepiej, nie wiedzieć, jak bardzo. Wracaj do domu i nie pytaj o nic więcej. Niech świat sam zmierza ku swemu przeznaczeniu.

Korbka znowu zaskrzypiała. Młody buddyjski kapłan skłonił się głęboko Marcusowi i zniknął w bocznej wnęcie, do tej pory niewidocznej, bo skrytej za zasłoną z drewnianych paciorków. Marcus chciał coś rzec, ale pojął, że nie ma to większego sensu. Starzec siedział dalej w nie zmienionej, przygarbionej pozie i z równie co uprzednio nieprzeniknionym wyrazem twarzy mełł powietrze. Wyglądało na to, że powiedziano mu już to, co winien usłyszeć. Postać jeszcze chwilę przed posągiem Buddy i rzucił srebrną monetę do misy ofiarnej. Potem wyszedł na zewnątrz, na ulicę, gdzie czekali jego ludzie.

Nim wsiadł do lektyki, odetchnął głęboko świeżym, nocnym powietrzem. Przyszło mu raptem do głowy, że stary kapłan mówił prawdę, przecież na dobrą

sprawę odpowiedzi nie były aż tak ważne – cokolwiek by usłyszał i tak by popłynął.

Do przybytku Tong Po wrócił o bladym świcie. Niewolnicy zgasił pochodnie i odnieśli lektykę do zabudowań gospodarczych. Sam Marcus postanowił trochę pospacerować, zupełnie nie odczuwając senności. Reszta gości na noc wróciła do miasta, toteż teatralny burdel pogrążony był w absolutnej ciszy. Parna, duszna noc miała się ku końcowi, na niebie błysnął biały zygzak i usłyszał głuchy, pojedynczy grzmot. Zaraz potem spadły pierwsze ciepłe krople. Rozejrzał się za jakimś schronieniem – najbliżej znalazł otaczającą łaźnię kolumnadę. Dopadł jej wraz z pierwszą falą deszczu.

Stał oparty o kolumnę i patrzył na gwałtowną tropikalną ulewę, zatopiony w ponurych myślach. Tematów nie brakowało. Następny etap podróży wydawał się niemal niemożliwy do pokonania, oficjalne rzymskie kanały dyplomatyczne nie wchodziły w grę. Postawiono by mu wiele pytań, na które z pewnością nie mógłby udzielić satysfakcjonującej odpowiedzi. Prywatny charakter jego podróży wyglądałby tu zbyt podejrzanie. Poza tym droga ta nie dawała żadnej prawie nadziei, jako że Nipuańczycy bardzo byli wstrzeźliwi, jeśli chodzi o oficjalne kontakty z Rzymem; ambasadorska misja księcia Tsuomi stanowiła na tym tle zupełny ewenement. Z tego, co się Marcus zdołał dowiedzieć, nigdy żaden rzymski dyplomata nie postawił stopy na wyspach państwa Nipu, wszelkie kontakty odbywały się przez oficjalne przedstawicielstwa akredytowane przy dworze księcia Chan, władcy Formosy. Tam też spotykali się kupcy obydwu stron, aby za pośrednictwem formosyjskich kantorów wymienić towary. Rzymian oczywiście dziwiła ta praktyka, budziła wręcz podejrzenia, ale nie mogąc nic na nią poradzić, zrzucali rzecz na irracjonalność ludzi Wschodu. Sami Nipuańczycy tłumaczyli zakaz odwiedzania ich kraju zasadami wyznawanej religii, tak zawiłymi, że nikt nic nie pojmował. To wzbudzało u Rzymian podwójną ciekawość. Do jej zaspokojenia pozostawali szpiedzy – podpytał o to dyskretnie Labienusa, ale legat zrazu nic nie chciał mówić, aż w końcu burknął, że się takowych już nie wysyła, bo nigdy żaden nie wrócił.

W rezultacie Rzymianie musieli zrezygnować z prób zacieśnienia kontaktów z państwem Nipu, poprzestając na zachowaniu delikatnej równowagi sił w regionie. Temu zresztą służyła misja księcia Tsuomi, który omawiał w stolicy imperium rozgraniczenie stref wpływów – szło zwłaszcza o cesarstwo Sery, gdzie obie strony ze sobą współzawodniczyły. Labienus zauważył tu z sarkazmem, iż równowaga ta jest tworem czysto, jak to określił, „dyplomatycznym”. Nikt bowiem nie wiedział, jaką w rzeczywistości siłę prezentowali wyspiarze, ile mają wojska i okrętów, ludności i manufaktur. ”Tak sobie po prostu w Rzymie ustalili” – zakończył legat i sięgnął po szklanicę. Był urodzonym wojskowym i patrzył na każdą obcą potęgę jak

na potencjalnego przeciwnika. I bardzo nie lubił nic o niej nie wiedzieć.

Tak czy owak dla Marcusa stało się oczywiste, że oficjalne starania o zezwolenie na podróż na Wyspy są w tym momencie zupełnie bezprzedmiotowe. Należało poszukać zupełnie innych dróg i ludzi – takich, którzy nie mają żadnych pytań poza pytaniem o złoto, którym należało im zapłacić. Czyli takich jak na przykład Tong Po, jego gościnny gospodarz.

Spomiędzy strug deszczu wybiegła kobieca postać i wpadła pędem pod kolumnadę. Marcus przyjrzał jej się z sympatią. Była to młoda dziewczka, rasy białej, pewnie z galijskich lub germańskich rodziców, lat może szesnastu, ubrana w krótką tunikę, całą teraz moką. Nie widziała go, przystanęła pod ścianą i wykręcała z wody długie, jasne włosy. Jakoś nie zauważył jej przedtem, mogła być nowym nabytkiem Tong Po. Czyżby Syjamczyk grzeszył dobrym gustem? Rozchyłona na piersiach tunika ukazywała jędrne, białe kule, zakończone pełnymi, drażniąco różowymi sutkami. Mokra materia, przylepiona do skóry, bezwiednie obnażała wspaniałe krągłości młodej hetery, nie za obfite przy tym, takie w sam raz, akurat jakie lubił. Podszedł ostrożnie, nadal przez dziewczkę nie widziany, i położył rękę na jej pośladkach, czując ich boską sprężystość. Obróciła się ku niemu, zaskoczona.

– Jak się nazywasz? – spytał łagodnie.

– Letycja, panie – odpowiedziała nieśmiało, z akcentem, jaki słyszał u osadników na Taprobane.

– Od kiedy tu jesteś?

– Od wczoraj. Patron kupił mnie na targu...

Marcus mógł tylko jeszcze raz pochwalić gust starego sutenera, Letycji zaś wróżył wielką karierę w zawodzie. Wydawała się urodzoną heterą. Odgarnął dziewczęce włosy do tyłu i dotknął palcami jej wilgotnych ust. Potem powędrował dalej, ku piersiom, które odsłonił i pieścił przez chwilę. Letycja głęboko westchnęła i zadrzała, ze świetnie udawanym lękiem, ale uspokoił ją wciśniętym w dłoń aureusem. Dziewczyna zaprzestała oporu, podciągnął do góry jej tunikę i gładził nieśpiesznie uda, które nagle z zadziwiającą wprawą zarzuciła mu na biodra. On także był już gotów. Rozejrzał się na wszelki wypadek dookoła i nikogo szczególnego nie widząc, zanurkował w nią z niekłamaną satysfakcją. Po tylu ciałach brązowych, żółtych i czarnych ta nieoczekiwana odmiana wprawiła go w wielkie podniecenie. Podciągnął ją trochę do góry i oparł porządnie o ścianę łaźni. W górze znowu zagrzmiało i deszcz lunął gęściej, ale Marcus nie zważał już na nic, tym bardziej na moczącemu plecy bryzgi; zanurzony w Letycji, myślał tylko o spełnieniu. Wbił się w nią niczym rozwścieczony tygrys, złakniony białego mięsa – tak przynajmniej ujęłaby to rzesza grafomańskich epigonów Owidiusza. Tak czy owak spółkowali fantastycznie. W ostatnim podrygu przywarli do siebie mocno, dziewczka krzyknęła ostro,

spazmatycznie, on zaś, z sapnięciem wypuściwszy nasienie, zamarł w rozkosznym bezruchu, wypełniony po gardło sycącym zmysły zadowoleniem. I wtedy usłyszał za sobą chór dyskretnych oklasków. Obejrzał się – deszcz przestał padać, świeciło pełne słońce, a przed kolumnadą sterczał uśmiechnięty od ucha do ucha Tong Po wraz z dwiema starymi heterami. Musieli od dłuższego czasu kibicować Marcusowi i Letycji, widział to po ich pełnych uznania minach. Sutener przestał klaskać i odprawił kobiety. Podszedł do Marcusa i powiedział cicho:

– Ja znaleźć tego człowieka. On mówić z tobą wieczorem. A dziewczka dobra, nie? „Bodajby cię Cerber porwał” – zaklął w myślach Marcus, uświadomiwszy sobie, że cholerny syjamski kutwa niechybnie doliczy mu te figle do rachunku.

Protegowany Syjamczyka, niejaki Sin Tan, okazał się młodym Seryjczykiem, krępy i niskim, o smolistych włosach, zaplecionych w długi warkocz. Jak na kupca z Formosy (a pewnie i pirata – na morzach na północ od Cattigary oba te zawody uprawiano jednocześnie) prezentował się niezbyt okazale, zwłaszcza że i strojem nie imponował, ubrany w luźny skórzany kaftan bez żadnych ozdób. Nieszczerólnie też wyglądała jego rezydencja, kryty liśćmi bambusowymi pawilon na palach, położony na graniczących z dżunglą przedmieściach Cattigary, zamieszkałych przez rozrojoną jak mrówki azjatycką biedotę. Z drugiej strony ze zrozumiałych względów Sin Tan wolał nie rzucać się w oczy rzymskim prefektom, mimo iż ci czasem korzystali z jego usług. Widocznie doskonale obywatel się bez wielkowiejskich wygód.

Marcus, siedząc jeszcze w lektyce, obserwował spod oka, jak majordomus Tong Po, azjatycko-rzymski mieszaniec o imieniu Serencjusz Han, tłumaczy coś Seryjczykowi, gwałtownie przy tym gestykulując. Kupiec stał w szerokich drzwiach chaty i patrzył na rozmówcę z kamiennym wyrazem twarzy. W końcu skinął głową i powiedział coś krótko, nad czym z kolei majordomus zastanawiał się chwilę. Zawrócił i podszedł ku Marcusowi.

– Zgodził się z tobą rozmawiać – oświadczył – ale musisz zostać w tej chacie do rana. Taki jest jego warunek.

– Nie wiem, po co mu to, ale niech tak będzie. – Marcus wyskoczył rażno z lektyki i z ulgą przeciągnął kości.

Seryjczyk patrzył na to, jak się wydało Marcusowi, z mieszaniną drwiny i jawnego lekceważenia. Uczynił jednak zapraszający gest, wskazując drzwi pawilonu.

Marcus wszedł do dusznego, parnego wnętrza, podzielonego chruścianymi ścianami na sześć mniejszych komór. Sin Tan zaprowadził go do jednego z pomieszczeń, gdzie usiedli na trzciniowych matach rozrzuconych wokół glinianego paleniska. Żarzyła się w nim garść niedopalonych węgli. Żaden się nie odzywał, tedy czas jakiś patrzyli na siebie w milczeniu.

– Zamierzasz zatem, panie, udać się na Wyspy? – spytał powoli Seryjczyk, zadziwiająco bezbłędną, nawet wykwinną łaciną. – W jakim celu, jeśli można wiedzieć?

Marcus skrzywił, się kwaśno, nieprzyjemnie zaskoczony bezceremonialnością pytania – zwykle ludzie Wschodu zmierzali do celu o wiele krętszymi ścieżkami. Pirat z Formosy wolał widać rzymskie zwyczaje w tym względzie i walił prosto z mostu.

– Jestem człowiekiem wiedzy, stąd dążę do poznania rzeczy do tej pory zakrytych.

– Ach, tak? – zdziwił się uprzejmie Sin Tan, wcale nie zmieszany. – Wielu było takich, którym za podobną wiedzę miano suto zapłacić w prefekturze. Sam paru takich odwoziłem. Powiedz mi, panie, co właściwie wiesz o Wyspach?

– Niewiele, a dokładniej prawie nic. I to jest właśnie powód, dla którego muszę się tam udać. A ty co o nich wiesz?

Sin Tan z zawieszzonego na piersi woreczka wyjął drewnianą rurkę i obracał ją w rękach, jakby niezbyt pewien, co powinien z nią zrobić.

– Nigdy nie byłem na Wyspach – powiedział wreszcie. – Lądowałem tylko parokroć w pewnej zatoce, w nocy i na krótko. Ci, którzy się wyprawili dalej, nigdy więcej nie wrócili. Podobno rządzący Wyspami cesarz wydał edykt, zabraniający pod karą śmierci przebywania tam cudzoziemcom. Tak kazał nowy bóg. Nipuański kupiec, który mi to zdradził, nie chciał mówić więcej. Bał się. Na handel z obcokrajowcami mają pozwolenie nieliczni, najbardziej zaufani.

– Nigdy się nie zastanawiałeś, dlaczego tak jest?

– Zastanawiałem. – Sin Tan spojrział na niego spod zmrużonych powiek; wcale nie wyglądał na głupca. Włożył z powrotem rurkę do woreczka. – Chodź, pokażę ci coś.

Wstali i przeszli do pomieszczenia usytuowanego w rogu chaty. Na posłaniu z morskiej trawy spał tam niespokojnie młody mężczyzna, mocno spalony przez słońce. Spieczona skóra lśniła od grubej warstwy oliwy. Marcus początkowo sądził, że to Azjata, spojrzawszy jednak uważniej, dostrzegł wydłużony profil czaszki, ostrą brodę, wysokie czoło i prosty, zda się klasycznie rzymski nos. Nawet mieszkańcy nie mieli tak regularnych rysów twarzy.

– To Rzymianin? – spytał z pewnym wahaniem.

– Tak o sobie twierdził – odparł Seryjczyk. – Wierzyłbym mu, gdyby nie pewne okoliczności. Moim zdaniem człowiek ów przybywa stamtąd, dokąd ty zamierzasz się udać.

– Co takiego? – Zaskoczenie w głosie Marcusa było jak najbardziej autentyczne. – Jak to możliwe?

– Znalazłem go dekadę temu, jak się błakał w małej łupinie, bez wody i jedzenia, w okolicy małych wysp zwanych Ru, południowego archipelagu poprzedzającego owe wielkie Wyspy, stanowiące właściwe cesarstwo Nipu. Co prawda nie wolno tam nikomu pływać, ale ja pływam.

– Może to jakiś rozbitek z rzymskiego statku, zagnany tam zmiennymi prądami. Rzymscy kupcy też handlują z Nipu...

– Ale tylko na Formosie. Na małe wyspy nigdy się nie zapuszczają. Mogliby to przyplącić zyciem.

– Czyli może być to jedynie... – Spojrzeli na siebie, i Marcus nie potrzebował mówić więcej. – Twierdziłeś wszak, że nikt stamtąd nie wraca?

– I nadal to podtrzymuję.

Seryjczyk znowu sięgnął do swojego worka, który widocznie pełnił rolę podręcznego skarbczyka i pokazał Marcusowi wąski pasek złota, pokryty jakimiś dziwnymi, niezrozumiałymi znakami. Nigdy takich oznakowań przedtem nie widział – kojarzyły mu się z egipskimi hieroglifami.

– Kiedy doszedł do siebie, dał mi pięć takich i nakazał milczenie. Powiedział, że chce się udać do Rzymu. A tak znakowane złoto jest oficjalną walutą na Wyspach.

„A więc zaczęło się” – pomyślał Marcus i pochylił się, aby jeszcze raz popatrzeć na śpiącego mężczyznę. „Zatem wysyłają już emisariuszy... Tylko dlaczego w tak nieprzemyślany, arcyniebezpieczny sposób? A może wcale nie – może wiedzą o Sin Tanie więcej, niż się tamtemu wydaje? Albo i sam Seryjczyk wie więcej, niż chce powiedzieć”. Przyjrzał mu się podejrzliwie. „Cerber wie, co siedzi w tym piracie”.

– Skoro ci tak suto zapłacił za milczenie, to dlaczego mi o tym mówisz?

Na wąskich ustach Sin Tana wykwitł sarkastyczny uśmiezek.

– Dziwne pytanie w ustach człowieka wiedzy. On zapłacił za milczenie, ty mi zapłacisz za mowę. W końcu jestem kupcem.

– Bodajbyś pękł z takim kupiectwem – mruknął do siebie Marcus, na wszelki wypadek po sklawińsku, głośno zaś dodał: – Chciałbym porozmawiać z tym człowiekiem.

– Nie sądzę, aby było to możliwe. – Sin Tan pogładził pieszczotliwie woreczek na piersi. – Przebywa teraz w makowej krainie i nic go do rana nie obudzi.

Marcus zgrzytnął zębami i nie rzekłszy więcej ani słowa, wrócił do komórki z paleniskiem. Tam postanowił poczekać do świtu, zastanawiał się przy tym, po kiego licha pirat kazał mu tu siedzieć. Po chwili dołączył do niego Sin Tan, który rozsiadł się wygodnie na stosie mat, wyciągnął skądś dwie bambusowe rurki i zaczął je zapychać brunatnym próchnem, czy też może grzybem, którego dobył z woreczka. Kiedy uznał, że dość, wziął jedną rurkę i przytknął wypełnionym końcem do węgla w palenisku, łączywie wciągając drugim otworem powietrze. Wkrótce otoczyły go

kłęby gryzącego dymu, a na martwą do tej pory twarz wypełził uśmiech błógiego zadowolenia. Drugą rurkę podał Marcusowi i zachęcającym gestem wskazał na żarzące się węgle. "Dlaczego nie? Tego jeszcze nie próbowałem" – pomyślał Corejmus i pochylił się nad paleniskiem.

Pierwszy haust był okropny – o mało się nie udusił gryzącym dymem. Wytrzeszczył oczy i rozkaszał się straszliwie, wzbijając tumany kurzu i popiołu. Sin Tan patrzył na to nieporuszony, łykając swój dym z wyćwiczoną wprawą, powoli i małymi porcjami. Marcus sięgnął po rurkę i spróbował ponownie: poszło znacznie lepiej – dym nie wywołał żadnych specjalnych rewelacji, poza chwilowym zawrotem głowy. Pociągnął śmieiej: zawrotom towarzyszyło teraz lekkie zdrętwienie warg, przestał już odczuwać gryzący smak, a ciało ogarnął mile rozleniwiający bezwład. Pociągnął jeszcze parę razy i dopiero wtedy spojrzał na Seryjczyka.

Znieruchomiał z ręką uniesioną w pół drogi do ust, nie wierząc własnym oczom: na miejscu Sin Tana spoczywał Quietus, dokładnie taki, jakim zapamiętał go z Calisji, jedynie bez poziomego śladu po cięciu nipuańskim mieczem. Siedział z rękami opartymi o kolana i bacznie mu się przyglądał.

– Gdybym mówił językami ludzi i aniołów, a miłości bym nie miał, stałbym się jak miedź brzęcząca albo cymbał brzęmiący.

Marcus przymknął oczy i ociężale usiłował zebrać w garść rozlazłe myśli. Wszystko wskazywało na to, iż był pod działaniem zaaplikowanego mu przez Sin Tana narkotyku. Skąd tu jednak Quietus? Może to narkotyk obudził skryte na dnie umysłu poczucie winy? Ale o czym on właściwie mówi? O miłości? Co ma z tym wspólnego miłość? Zapragnął nagle spytać Quietusa, czy ma jeszcze do niego żal o tę historię z Calisji. Powinien zrozumieć, że nie mógł wówczas postąpić inaczej – naprawdę nie mógł.

– Quietusie – powiedział z najwyższym trudem, jakby cudzymi ustami. – Quietusie, czy...

– Kto to jest Quietus?

Otworzył oczy i ujrzał przed sobą trzeźwe i czujne ślepia Sin Tana. Seryjczyk trzymał w ręku rurkę i uśmiechał się, przykładając do jej końca rozżarzony węgiel. Marcus wymamrotał pod nosem obelżywe przekleństwo i jak kłoda zwałił się na podłogę.

Formosa, wyspa położona u północnych krańców Sinus Magnus, rzeczywiście wyglądała na tak piękną, jak mu opowiadano. Z morza wyrastała kopuła świeżej, bujnej zieleni, majestatyczna jak rzymska świątynia i zarazem nieodparcie urokliwa, zwłaszcza przy świetle wschodzącego słońca. Piękno to niosło ze sobą pewien smak ryzyka, co silnie podkreślał zaniepokojony Labienus, mocno zaskoczony tą nagłą

fanaberią Marcusa. Gdy legat nieco się otrząsnął, dokonał szczegółowego wykładu o sytuacji na wyspie, podkreślając, że chociaż nominalnie rządzący Formosą księżę Chan jest przyjaźnie nastawiony do Rzymu (nie tyle z czystej i nieprzymuszonej miłości, ile z obawy przed tajemniczą potęgą Nipu), to jednak z gnieźdzącymi się w lesistych zatoczkach piratami bywa różnie – nigdy nie zdołano ich ani obłaskawić, ani skutecznie wytepić. Dlatego w miarę bezpieczne podróżnicze szlaki kończyły się na Cattigarze. Legat był bardzo przekonujący, ale Marcus puszczał mimo uszu jego argumenty, a nawet poprosił go, aby pomógł mu zdobyć zezwolenie na tę podróż. Zrezygnowany Labienus zrobił to i przez następne trzy dni pili na umór: legionista z powodu pewnej dlań straty nowo zyskanego przyjaciela, ów zaś ze złości na Sin Tana.

Przebiegły Seryjczyk był bowiem kutą na cztery nogi bestią, jaką mogły zrodzić tylko najbardziej plugawe zakątki Azji. Kiedy Marcus ocknął się rano z narkotycznego odrętwienia, od razu zażądał widzenia z tajemniczym przybyszem z Wysp. Sin Tan rozłożył wtedy bezradnie ręce i bezczelnie oświadczył, iż młodzieniec ten bladym świtem udał się do portu, skąd natychmiast odpłynął pierwszą sposobną galera parową w kierunku Indyj, handlowym szlakiem na Rzym. Marcusa wprost zatkało z wściekłości, nie zdobył się nawet na porządną wiązanę. Seryjczyk wykołował go bez mrugnięcia okiem, a on nie mógł sukinkota nawet za to strzelić w pysk, ponieważ nadal potrzebował przewoźnika.

Stał teraz na dziobie dżonki, skleconej z bambusa i starych desek dużej łodzi miejscowego typu, płynącej równolegle do wschodnich wybrzeży Formosy – „szczególnie oblazłych przez piratów”, jak się wyraził Labienus – i podziwiał las obrastający strome, wpadające do morza, stoki gór. Złożony głównie z niskopiennych i wełnistych drzew, był zadziwiająco gęsto przetkany różnobarwnym kwieciem i innym ozdobnym chwastem. Całość sprawiała wrażenie ciągnącego się dziesiątki mil zapuszczonego ogrodu jakiegoś azjatyckiego magnata; wielmoże ci pono znajdowali szczególną przyjemność w hodowaniu mających cieszyć oko badyli. Czasem intensywność roślinnych barw tężała do tego stopnia, że zdawało mu się, iż widzi kolorową maź, spływającą ze stromych górskich zboczy wprost w spienione fale. Być może to tutaj należało szukać owej mitycznej Arkadii, zaginionego królestwa pierwotnej natury, beztroskiej radości i olimpijskiego szczęścia.

Dżonka, sterowana przez Sin Tana rodzajem zakrzywionego wiosła, ostro skręciła i wpłynęła do wąskiej zatoczki, zupełnie zakrytej przez chaszczce. Wejścia do niej Marcus nie spostrzegł aż do momentu zwrotu, gdy znaleźli się nagle w wąskim kanale, przebitym w zielonym gąszczu. Stateczek posuwał się zrazu z wielką trudnością, popychany przez napierających na tyki i wiosła majtków, mozolnie brnąc przez zaczepiające o burty kłacza, po paru jednak kwadrach tor wodny rozszerzył się i

wpłynęli do małej, idealnie kolistej zatoczki. Kolebała się tam dżonka, bliźniaczo podobna do ich łodzi, z wymalowanymi na dziobie znakami Sin Tana.

Tej nocy wiatr zmienił kierunek i Seryjczyk oświadczył mu, że nie sposób dalej płynąć na północ. Obawiał się też okrętów nipuańskich, często patrolujących ten obszar morza, z racji bliskości wybrzeża Nipu. Sprawdził kurs na magnetytowym wskaźniku – Marcus oglądał już to zdumiewające urządzenie na lembusie, którym przyплыł do Cattigary – i wykonał ostry zwrot na wschód; nakazał przy tym załodze całkowite milczenie i wygaszenie świateł. Sam stanął za sterem i tkwił bez ruchu z rumplem pod pachą, wpatrując się sępimi źrenicami w noc. Co takiego mógł widzieć, tego Marcus nie wiedział.

Czas pewien tak płynęli, w absolutnej ciszy, otoczeni przez nieprzeniknione ciemności, nie mogąc zdać się na zakryte przez chmury gwiazdy. Słyszeli tylko szum fal i łopot zagła; w pewnym momencie Sin Tan kazał go zrzucić, dżonka zaczęła zwalniać i jednocześnie poczuli, że są znoszeni przez jakiś prąd. Sin Tan szepnął, iż jest to prąd wypływający z cieśniny rozdzielającej dwie wielkie wyspy i, że są bardzo blisko większej z nich. Rzeczywiście, gdzieś przed nimi, wysoko na zboczu, zapłonął nagle ogień, mógł to być sygnał dla straży przybrzeżnej. Od tego momentu Sin Tan zaczął się raptem bardzo śpieszyć. Rzucił kotwicę i wraz z Marcusem zszedł do małej, płaskiej łódki, którą jego ludzie spuścili z pokładu dżonki. Kazał mu się położyć na dziobie, a sam chwycił za wiosło. Zda się nieskończenie długo walczył z falami i prądem, które kilkakrotnie o mało nie zatopiły ich łupiny. Sin Tan, nie zważając na nic, wiosłował jak wściekły, zawodząc coś jękliwie pod nosem, w czym Marcus dopatrywał się przekleństw lub błagań o protekcję bogów morza. Ze swojej strony obiecał to i owo Neptunowi, chociaż tak po prawdzie, to nie bardzo w niego wierzył. Wreszcie, podrzuceni szczególnie wysoką falą, opadli na coś twardego, co się już niewątpliwie nie ruszało. Łódka znieruchomiła, zaryta głęboko w piasek. Sin Tan odłożył wiosło i pociągnął go za kraj podróżnej chlamidy.

– Słuchaj, szalony człecze – powiedział – jeszcze jest pora, możemy odpłynąć stąd razem. Pojutrze będziemy z powrotem na Formosie.

Marcus sięgnął w zanadrze i wyjął sakiewkę z ostatnią ratą zapłaty dla Seryjczyka. Tong Po nie przesadzał – istotnie jego protegowany był znakomitym żeglarzem. Ciekawe, czy także piratem?

– Powiedz mi, Sin Tanie, dlaczego nie zabiłeś mnie i nie zabrałeś złota, zamiast ryzykując głową, płynąć aż tutaj?

W ciemnościach nie mógł widzieć wyrazu jego twarzy, zresztą, pewnie i tak niewiele by z niej wyczytał, poza sarkastycznym uśmiechem. Na moment błysnęły tylko pierścienie na ręce chwytającej sakiewkę ze złotem.

– Jesteś szaleńcem, a to znaczy, że zostałeś wybrany przez bogów. Do czego, nie wiem, to ich sprawa. Ja tylko chcę uniknąć ich gniewu.

Kolejna duża fala targnęła ich płaskodenną łupiną: musieli lądować w czasie przyptywu, co czyniło powrót Sin Tana szczególnie trudnym. Marcus wyskoczył z łodzi, pogrążając się po kolana w spienionej wodzie. Pomógł Seryjczykowi zepchnąć łódkę z powrotem w morze. Czekał przez chwilę, usiłując coś dostrzec. Wydawało mu się, że widzi unoszony na falach niewyraźny kształt, ale wnet wszystko znikło w ciemnościach. Przez moment zastanawiał się, czy Sin Tan odnajdzie w takich warunkach swoją dżonkę, gdy dostrzegł daleko na morzu pojedyncze czerwone mruknięcie. Seryjczyk był naprawdę doświadczonym przemytnikiem.

Odwrócił się plecami do wiatru i postanowił przejść nieco dalej od brzegu, na bielejącą w ciemności łachę piasku, gdzie fale już nie docierały. Tam, na suchej ziemi, zatrzymał się, aby głęboko odetchnąć i posmakować zapachu nowego lądu. Nie poczuł jednak nic szczególnego, może poza delikatną, słoną i mokłą wonią nadmorskiej roślinności. Był zatem na Wyspach.

III. Rzym

Lucjusz Domincjusz chrząknął, zakasłał sucho i przestał czytać. Popił wody z kubka, poprawił leżący na pulpicie zwój i chciał podjąć na nowo lekturę, kiedy Sewer Flawiusz podniósł palec i powiedział z nie ukrywanym znudzeniem:

– Darujmy sobie dzisiaj resztę. Przeczytaj mi tylko, co Kuno pisze o sprawie Quietusa.

Sekretarz szybko odnalazł właściwy akapit i począł czytać mocnym, miarowym głosem.

– „W śledztwie w sprawie obywatela rzymskiego Quietusa Fabiusza Mercatora od dawna brak jakichkolwiek postępów, toteż postanowiłem je zakończyć. Nie udało się także ustalić, co łączyło z tą sprawą lektora zatrudnionego w miejskim skryptorium, niejakiego Marcusa Corejmusza Tranquilla. Jak już donosiłem w poprzednim raporcie, zniknął on z Calisji nazajutrz po zabójstwie, a pewni kupcy i podróżni widzieli, jak spieszenie podążał Via Roma do Rzymu. Potem doniesiono, że wsiadł w Ostii na galerę odpływającą na Wschód...”

– To już wiemy – przerwał senator. – Czy to wszystko?

– Niezupełnie. – Lucjusz uważnie przewijał raport, szukając właściwego fragmentu. – O, jest. Zdumiewające rzeczy pisze ten Kuno: „Ostatnimi czasy wśród plebsu Calisji szerzy się przesąd związany z osobą nieżyjącego Quietusa Fabiusza Mercatora. Oto gromadzą się po domach i rozprowadzają, że był on wysłańcem, który miał przynieść Wenedom posłanie od ich bogów. Do szerzenia owego zabobonu przyczyniają się dwaj posługacze z karczmy Greka Ataoklesa, zowiący się Cyryl i Metody, którzy byli świadkami śmierci owego Quietusa. Kazałem obu pochwyć i przesłuchać; pretor uznał ich za niespełna rozumu i wypuścił. Pozostają pod obserwacją Tajnej Służby”.

– No tak, jeszcze jedna sekta... – Sewer w zadumie podrapał się po brodzie. – Sekciarze w istocie mnożą się jak króliki, niedługo będzie więcej świątyń niż zamtuzów, a to niedobry znak, gdy liczba bogów przekracza liczbę ladacznic. Może o tym Kuno nasmarował coś interesującego?

– Nie. – Lucjusz zwinął pismo z powrotem w rulon i odłożył na półkę. – Nie

pisze nic więcej.

Sewer zamyślił się głęboko. Od śmierci przyjaciela, więcej, bliskiego towarzysza burzliwej młodości, mijał prawie rok, ale mimo to jakoś nie mógł się z nią pogodzić. Bardzo mu się zwłaszcza nie podobały podejrzone okoliczności zdarzenia, przez pewien czas posądzał nawet o całą intrygę Kunona Lichtenusa, o którego antypatii do Quietusa doskonale wiedział, ale po dłuższych deliberacjach zarzucił ten pomysł. Wiele tu zamieszała ucieczka Corejmus, tym dziwniejsza, że, jak zeznali świadkowie, nie tknął denata małym palcem. Najprawdopodobniej Quietus wdał się w jakieś układy czy raczej zlecenia od ambasadora Nipu i musiał się z nich kiepsko wywiązać, za co został pokarany gardłem. Tylko co z tym mieli wspólnego chrześcijanie, których całą gminę wykopano nagle spod ziemi nieopodal Calisji?

Sprawa wyglądała na o wiele bardziej powikłaną, niż to sugerował w swych raportach Kunon. Wedle jego hipotezy to właśnie Marcus Corejmus wynajął człowieka ze świty księcia Tsuomi (naturalnie bez wiedzy tego ostatniego), aby ten zabił nieszczęsnego Quietusa. Miała być to zemsta za wygubienie chrześcijan, do której to Quietus znacznie się przyczynił – bo i Corejmus był, zdaniem Lichtenusa, wyznawcą zabronionego zabobonu, jego bluźniercze i obrazoburcze poglądy powszechnie w Calisji znano i komentowano. Trzymało to się kupy, ale tylko pozornie. Z innych źródeł otrzymał informacje, że to sam Corejmus naprowadził Quietusa na trop sekty. Czy istotnie wydałby własnych współwyznawców? Sewerowi Flawiuszowi nie mogło się to pomieścić w głowie, znał przecie dobrze Marcusa, stąd odnosił nieodparte wrażenie, iż raporty namiestnika są opracowaną dla zamydlenia mu oczu bajeczką, zaś Kuno w rzeczywistości wiedział więcej, niż chciał powiedzieć. Lub nie wiedział nic i chciał to najstaranniej ukryć. „Wszędzie te spiski i tajemnice” – pomyślał z niechęcią i poczuł, że za chwilę rozboli go głowa. Popatrzył na zegar. Poziom płynu w rurce zatrzymał się na kresce oznaczającej pierwszą po południu. Posiedzenie senatu wyznaczono na trzecią.

Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Z tego punktu Eskwilinu roztaczał się piękny widok na miasto, zwłaszcza na termy Trajana i resztki Neronowego Złotego Domu. Zalany słońcem kararyjski marmur raził oślepiającą bielą, przypominając mu wenedyjskie, lodowe połacie w środku zimy, bezkresne, zlewające się u horyzontu z bladobłękitnym niebem. Mrozy potrafiły być tak silne, że aż dech zamarał w powietrzu. Wiele by dzisiaj dał za choćby małą śnieżną kulkę. Już myślał odejść od okna, ale zauważył, że z bocznego wyjścia tej części term, gdzie zwykli zażywać ochłody senatorowie i wyżsi imperialni urzędnicy, wyszła grupa ludzi, zajadłe ze sobą dyskutując. „Takich nie zmoże nawet upał” – skonstatował z zazdrością, ocierając pot z czoła. Wieczne Miasto od rana dusiło się w upale, który zalał siedem nadtybrzańskich wzgórz na podobieństwo jeziora wrzącej lawy. Sami Rzymianie

narzekali na upał, a co dopiero mieli mówić pochodzący z północy Wenedowie.

Obrócił się ku Lucjuszowi i zaklaskał. Wszedł niewolnik i podał im czary z sokiem pomarańczowym zmieszany z zimną wodą. Większość Rzymian piła w takich wypadkach rozwodnione wino, przybysze z Germanii i krain sklawińskich zaś silnie schłodzone pivo, on jednak wolał naturalne owocowe soki. Jego przodkowie niewątpliwie mieliby mu za złe odstępianie od starych, wenedyjskich tradycji. Gdybyż tylko w tym.

– Cóż, nie każdy jest Corejmussem – mruknął, pamiętając, jak uczniowie Marcusa głosili, iż mistrz ich niedługo sam się zamieni w beczkę saskiego pierwszej klasy. Sam filozof skromnie nie zaprzeczał, pewnie było to jego skrytym marzeniem. W młodości często im się zdarzało, do spółki z Quietusem, nieźle razem popić. Tawerny Calisji należały do nich. Słodkie życie skończyło się, gdy zmarł Septymiesz Flawiusz, jego ojciec, i musiał przejąć obowiązki namiestnika. Wtedy też rozluźnił swe związki z Quietusem... Znowu ten Quietus... Nie chciał już dzisiaj o tym myśleć.

– Czy zredagowałeś ostatecznie moje wystąpienie na temat senatów prowincjonalnych? – spytał.

Sekretarz uniósł głowę znad właśnie przepisywanej karty.

– Tak, jeszcze wczesnym rankiem – sięgnął pod pulpit i wyciągnął zwój w posrebrzanym tubusie.

Sewer Flawiusz odetkał wieczko, wyjął pismo i przebiegł kilkanaście pierwszych wierszy. „To bez sensu” – przeszło mu przez głowę. „Chcemy oddać część naszych czysto rytualnych uprawnień prowincjonalnym zgromadzeniom, rzekomo po to, aby usprawnić zarządzanie, podczas gdy rzeczywistą władzę sprawuje wyłącznie cesarz i tylko on miałby się czym dzielić”. Od czasów pryncypatu senat Rzymu służył cesarzom za rodzaj figowego listka, ubywającego ich faktyczną wszechwładzę, której od wieków zazdrośnie strzegli. Kto wie, czy Julian nie potraktuje ustawy jako wstępu do sięgnięcia przez senat w niedalekiej przyszłości po cesarskie prerogatywy – i będzie tak, jeśli zna plany stronnictwa galijskiego. Wszystkie wróble w Rzymie ćwierkają, że jest w nich równie dobrze zorientowany, jak i galijscy przywódcy.

Do gabinetu wszedł znowu niewolnik, z kartką, którą złożył na pulpicie Lucjusza. Sekretarz przeczytał ją i zrobił zdziwioną minę.

– To z senatu – wyjaśnił. – Zdjęto z porządku obrad dyskusję nad ustawą o senatach prowincjonalnych. Będzie jedynie wystąpienie cesarza.

– O bogowie! – jęknął Sewer z rozczarowaniem, trochę co prawda udawanym, ponieważ oczekiwał tego rodzaju wiadomości. Popatrzyli na siebie porozumiewawczo i z rezygnacją pokręcili głowami. Zapowiadało się naprawdę nudne popołudnie.

– Czy wezwać lektykę? – spytał Lucjusz.

– Nie, pójdziemy pieszo, mam ochotę na spacer.

Spojrzał na zegar: słupek niebieskiej cieczy znajdował się w połowie drogi między pierwszą a drugą. Był zatem najwyższy czas na narzucenie białej, senatorskiej togi.

Stali wraz z Lucjuszem i znanym w Rzymie z wykwinności młodzieńcem, Galem – tak się kazał tytułować, mimo więcej niż wątpliwego pokrewieństwa z walczącymi bohaterko z Cezarem, rodakami Wercyngetoryksa – senatorem Afraniuszem Sullo Getoryksem, na szerokich schodach Curia Julia, mijani przez grupy zdążających na posiedzenie senatorów. Przed nimi rozciągało się starożytne Forum Romanum, zatłoczone do granic możliwości różnoplemiennym plebsem. Nad morzem zbitych głów wznosiły się, niczym łodzie prujące przez wzburzone odmęty, lektyki senatorów, z trudem przebijając się ku zbawczym schodom.

U wschodniego krańca forum tłum raptem zakotłował się i rozprysnął na boki. Oczom stojących na schodach kurii senatorów ukazał się nader osobliwy orszak: przodem zdążało może dziesięciu ochmistrzów, okładających pierzchającą tłuszczę długimi laskami. Za nimi postępował wysoki, ale i zarazem mocno chuderlawy osobnik w śnieżnobiałej, żałobnej todze. Tuż za nim jechała obszerna platforma, wioząca odkryte kobiece zwłoki, umajone kwiatami i otoczone chmarą pojękujących żałobnic. Sam jednakowoż wdowiec nie czynił wrażenia szczególnie smutnego, przeciwnie, promiennie uśmiechnięty, pozdrawiał tłum wyciągniętą ręką, niczym cyrkowy woźnica po zwycięskim biegu. Ludzie pokrzykiwali coś do niego wesoło, choć zdarzało się także, że pokazywano mu zaciśnięte pięści.

– A to co takiego? – Sewer nie wierzył własnym oczom. – Pogrzeb czy juwenalia?

– Obyś jak najszybciej trafił nad Acheron, przeklęty Kryspusie! – jęknął boleśnie Afraniusz. – Przegrałem przez dziada pięć tysięcy sestercji. Obyś zgnił w kolejce na brzegu Styksu, oby Charon ogłuchł na twe skomlenie...

– O co chodzi? – Sewer, wciąż nic nie pojmując, patrzył za znikającym w głębi forum konduktem.

– To Kryspus Licyniusz, sławny tym, że pochował dwadzieścia żon. Dwa lata temu ożenił się z Paulą Lucyllą, wdową nie mniej sławną, pochowała bowiem dwudziestu trzech mężów. Kiedy ci dwoje zawarli ze sobą małżeństwo, cały Rzym się pozakładał, które pierwej zemrze. Postawiłem na spryt Pauli Lucylli, jako bardziej doświadczonej...

Sewer słysząc to, wybuchnął serdecznym śmiechem. Triumfalny pochód Kryspusa opuścił właśnie forum i na plac wrócił zwyczajny rozgardiasz. Jedna z bujających w tłumie lektyk dopadła zbawczej bariery złożonej z okutych żelazem

pretorianów, przeniknęła przez nią i podpłynęła ku podestowi, na którym się znajdowali. Dopiero teraz dostrzegli, iż była inaczej zdobiona niż surowe i proste nosidła senatorów, zaopatrzona w pozłacane okucia i jedwabne zasłony. One to rozchyliły się teraz i ujrzeli piękną Klaudię, najmodniejszą w tym sezonie kurtyzanę Rzymu.

Sewer Flawiusz nigdy jeszcze nie oglądał jej z bliska, zbyt do tej pory zajęty uprawianymi w senacie pozorami polityki, tak że brakło mu czasu na światowe życie. Zresztą, jej gwiazda rozbłysła całkiem niedawno, ledwo przed paroma miesiącami. Leżała teraz przed nimi, wygodnie wyciągnięta na poduszkach, w luźnej szacie z półprzejrzystego zielonego jedwabiu, okrywającej akurat tyle, aby pobudzić ciekawość co do reszty. Jedną nogę – smukłą i zgrabną – trzymała lekko zgiętą i mógł zobaczyć jej pomalowane na czerwono paznokcie u stóp. Kurtyzana uśmiechnęła się i wtedy dopiero spostrzegł, iż wargi umalowała sobie na czarno, przez co ostro kontrastowały z jej bladą, pociągłą twarzą. Obserwowała ich spod zmrużonych powiek, i coś było w jej spojrzeniu, jakaś zmysłowa przewrotność, jeśli nie perwersja, co nagle obudziło w duszy Sewera, zda się dawno obumarłą strunę. Ładna bestyjka, nic dziwnego, że ma wzięcie – musiał przyznać chcąc nie chcąc.

– Ach, cóż za okropny upał – powiedziała nieco afektowanym tonem, wachlując się bajecznie zdobionym seryjskim wachlarzem, na punkcie których rzymskie damy ostatnio wprost oszalały. – Doprawdy, Rzym jest latem nie do wytrzymania.

Pomyślał zgryźliwie, że tak pewnie mówi kolejne już pokolenie rzymskich kurtyzan i zapewne wynikają stąd określone wnioski. Prawdziwa profesjonalistka potrafi wyciągnąć korzyści z każdej sytuacji.

– Niewątpliwie, pani – odparł dwornie Afraniusz, najwidoczniej dobrze jej znajomy. – Letnią porą to naprawdę okropne miasto. Ludzie na przykład mrą jak muchy... – przerwał, trącony w bok przez Sewera.

– I właśnie dlatego postanowiłam wyjechać na resztę lata do Ancjum, do mojej willi. – Klaudia mówiąc to, nie patrzyła wcale na Afraniusza, ale na stojącego obok niego znanego jej pewnie ze słyszenia wenedyjskiego senatora, chociaż ujmujący uśmiech kurtyzany pozornie adresowany był tylko do Gala. Sewer Flawiusz podziwiał to z niemym uznaniem. – Zaprosiłam kilku naszych wspólnych znajomych, z pewnością by cię tam chcieli ujrzeć, Afraniuszu. Także inni twoi przyjaciele byliby chętnie widziani. – Skłoniła się wdzięcznie w stronę Sewera, który odpowiedział powściągliwym skinieniem.

Afraniusz zapewniał za nich wszystkich, że dziękują i niechybnie przybędą. Kurtyzana opuściła zasłony, nosiciele chwycili za drążki i lektyka pogrążyła się na powrót w różnobarwnym tłumie. Chwilę jeszcze chwiała się przy samej Curia Julia, w końcu zginęła w głębi forum, wessana przez ludzkie oddechy. Zaczęli wstępować

schodami ku wejściu.

– Ta willa w Ancjum – powiedział Afraniusz, tłumiąc śmiech – jeszcze miesiąc temu należała do niejakiego Quintusa Polibusa, kupca wzbogaconego na handlu korzennym, właściciela dziesiątek lembusów krążących po wodach Najdalszej Azji. Nieszczęśnik oszalał na punkcie Klaudii i przepuścił na nią cały, zbierany latami majątek.

– Co się z nim stało? – spytał Sewer, właściwie bez zainteresowania.

– Usiłował za resztki odegrać się na wyścigach, stracił i to, a teraz pewnie podbiera koński gnój w Circus Maximus. A willa to prawdziwe architektoniczne cacko, prawie że kopia tiburyjskiej posiadłości Hadriana, choć nie tak rozległa. Doprawdy, warto to zobaczyć.

– Hm – mruknął i przyśpieszył, słysząc kołatki woźnych, naglających senatorów do zajmowania miejsc.

Weszli na salę posiedzeń i usiedli na górnych ławkach po lewej stronie, gdzie obyczaj kazał siadać młodym stażem członkom senatu. Dół okupowali seniorzy, rekrutujący się przeważnie ze starożytnych rzymskich rodzin, szczyjących się tradycjami z czasów republiki – senacka młodzież, pochodząca przeważnie z delegacji prowincjonalnych, zwała ich z przekąsem „Wolnymi Kwirydami”, a to z tej racji, że rody być może i były starożytne, ale wywodziły się od wyzwolenców czy wręcz niewolników tych, których rodowe nazwiska z taką dumą obnosili obecni Scypionowie czy Klaudiusze. Prawdziwi starodawni Cimessorowie, Statariusowie, Pordacy czy Salsulowie wymarli lub przed wiekami spadli do plebsu. Sam Sewer zresztą miał z Flawiuszami tyle wspólnego, że jeden z ostatnich przedstawicieli tego cesarskiego niegdyś rodu adoptował jego ojca, na wyraźne zresztą życzenie Numeriana II, poprzedniego władcy, dążącego do ściślejszego związania z Rzymem arystokracji z dawniej niezależnych krain. I samo Wieczne Miasto przestało być tym, czym było kiedyś – prawdziwych obywateli rzymskich została garstka, zepchnięta na margines przez wypełniającą ulice wielorasową magmę ludzką, ściągniętą ze wszystkich stron świata blaskiem stolicy Imperium Romanum. To oni nadawali kształt obecnemu życiu, a nie ci tłoczący się w senackich ławach pseudopotomkowie Kwirydów.

W głębi kurii otworzyły się drzwi i na salę obrad, w asyście czterech liktorów, dostojnie wkroczył cesarz. Rzucił dookoła podejrzliwym wzrokiem i usiadł na ustawionym obok ołtarza Kybele tronie. Zebrani na posiedzeniu senatorowie wstali z chwilą jego wejścia i usiedli zaraz po nim.

Sewer Flawiusz patrzył na postać zajmującą tron cesarski i nie mógł się nadziwić – mimo iż widział cesarza setny bodaj raz – że jest to naprawdę ostatni potomek Wielkiego Juliana, odnowiciela imperium i legendarnego pogromcy chrześcijańskiej

zarazy, której sam pierwiej na krótko uległ lub raczej tak udawał (jeśli wierzyć pamiętnikom); stąd jego wrogowie zwali go obraźliwie Apostatą, czyli Odstępcą. Sam Julian tak pono zagustował w tym przezwisku, że od tej pory włączył je do oficjalnego imienia. „Na wiecznej rzeczy pamiątkę” – napisał.

Potem założył trwającą trzy wieki dynastię juliańską, pod rządami której Cesarstwo Rzymskie rozrosło się po Indie i krainę Seryjczyków na Wschodzie i po bursztynowe morze na Północy. Żadna dynastia nie rządziła tak długo. I oto teraz siedział przed nimi jej ostatni przedstawiciel, też o imieniu Julian – złośliwcy, aby odróżnić go od wielkiego przodka, zwali go Julianem Małym. Istotnie, wzrostu był dość podłego, na dodatek mocno zgarbiony, jeśli nie przykurczony, obficie owłosiony (stąd inni złośliwcy wołali nań „goryllus”), o głęboko osadzonych, wiecznie podejrzliwych oczach i haczykowatym nosie. Przypominał nie tyle świetnego rzymskiego imperatora, ile bożka Pana w pełnej rui. Wieść gminna niosła, że istniały podstawy do podobnych sądów. W Rzymie się hamował, ale willa w Tibur widziała niejedną orgię, której by się Neron czy Kaligula nie powstydzili. Drugim takim miejscem była Capri, gdzie podobno kontynuował tradycje Tyberiusza. Na szczęście unikał krwawych ekscesów, dzięki czemu nie spotkał go jeszcze los poprzedzających go sybarytów. Ciż sami złośliwi znawcy natury ludzkiej twierdzili, że jest za głupi na prawdziwe okrucieństwo; Sewer sądził raczej, że za tchórzliwy.

„Kto wie, do czego może być ten tchórz zdolny, gdy się go przestraszy nad miarę” – myślał, obserwując, jak szef kancelarii podaje cesarzowi mowę. Julian wziął rulon i zaczął czytać cienkim, piskliwym głosem:

– „Szlachetni Senatorowie, Ludu Imperium! Powszechnie znane są zasługi domu panującego dla trwałości Pax Romana, którym od tylu lat cieszą się podległe nam krainy. Mądrość nasza czyni pokój wiecznym, a władzę Rzymu niezachwianą...”

Sewer Flawiusz westchnął z rezygnacją: ten napuszony wstęp wskazywał na to, że któraś z dworskich koterii znowu namówiła cesarza na redukcję wydatków wojskowych, w celu zasilenia własnych pustoszonych wydatkami na rozrywkę kies; mówiono, że nowy faworyt, Grek Faon, jest szczególnie chciwy. Julian proponował ograniczenie zbrojeń w chwili, kiedy napływające ostatnio z dalekowschodnich dominiów wieści były co najmniej dziwne, jeśli nie niepokojące. Sprawa wyglądała na beznadziejną – senat zwołano jak zwykle po to, aby oznajmić mu wolę władcy. Od dawna nie decydowano tu o niczym. Sewer przestał słuchać nadętej oracji Juliana i pogрузzył się w swobodnych rozmyślaniach. Nie wiadomo dlaczego przypominał sobie o smukłym udzie Klaudii i jej niepokojącym uśmiechu.

* * *

Teatr Marcellusa przywitał ich pełną, prawie premierową iluminacją. Starożytną,

pamiętającą czasy Oktawiana fasadę zdobiły rzędy płonących pochodni, po jednej na każdą arkadę. Wieczorne przedstawienie musiało być popularne, ponieważ przed głównymi wejściami kłębił się gęsty tłum pospolitaków, zajmujących górne rzędy. Oni skierowali się do bocznej furty, prowadzącej wprost do *orchestry*, gdzie znajdowały się wydzielone miejsca zwane „senatorskimi”, jako że zawarował je sobie senat specjalną uchwałą. Usiedli tam, mając za plecami huczący tłum, wypełniający do ostatniego skrawka ławki półokrągłą widownię. Sewer spostrzegł z niejakim zdziwieniem, że prócz niego i Afraniusza miejsca na *orchestrze* zajęli głównie młodzi senatorowie z Galii i Brytanii, stanowiący przeciwny „Kwirytom” trzon stronnictwa „Prowincjałów”. Ci ostatni całkiem już niedwuznacznie zmierzali do decentralizacji imperium i większej samodzielności prowincji, kosztem, rzecz jasna, niemal absolutnej do tej pory władzy Rzymu. Sewer odczuł pewien niepokój – udział w tym przedstawieniu mógł wyglądać na manifestację sympatii politycznych, a tego wolał na razie uniknąć. Dobrze pamiętał rady ojca, który zwykł mawiać: „Gdy Gal z Brytem, Germanem czy Romem wodzą się za łby, miejsce Wenedy jest z boku, inaczej wszyscy oni w kupie wychędożą go na sucho”. Stary Septymiusz słyszał z niewyparzonego języka i głębokiego sceptycyzmu co do wartości ludzi Zachodu.

– Co to właściwie za sztuka? – wychylił się ku Afraniuszowi, znanemu ze swych teatralnych pasji.

– To dzieło młodego Bityńczyka z Heraklei, Deopolosa, „Pan i Aretuza”, pantomima erotyczna, przebój tego sezonu.

– Ach, tak... – Popatrzył na scenę, zastawioną donicami z drzewami i krzakami, mającymi imitować las. Między nimi siedzieli przyodziani w kozie skóry fleciści, którzy rozpoczęli właśnie wstępne przygrywki. Z lewej strony w tanecznych podskokach wbiegła Aretuza, w postaci piersiastej, solidnie zbudowanej blondyny, ubranej w muślinową, przejrzystą tunikę szytą przez nadzwyczaj skąpego krawca. Wyglądała mu na Galijkę lub Germankę czystej krwi. Dopłynęła do skraju sceny, skąd popatrzyła tęsknym wzrokiem ku pierwszym rzędom, gdzie zasiadali dziedzice największych fortun imperium. Wywołała należyte wrażenie, co poznał po ożywionym szmerze. Aktorka uśmiechnęła się szeroko i stanęła w jeszcze bardziej zachęcającej pozie, wypinając ku przodowi symbolicznie okryte piersi. Zupełnie słusznie uważała je za swój najważniejszy atut. Wyraźnie chodziło jej o senatorów, a raczej o ich wypchane kiesy.

– No i co o tym sądzisz? – zapytał Afraniusz przyciszonym głosem, ale tak, że słyszało chyba pół teatru. – Klacz godna senatora?

– Zapewne, zapewne – odpowiedział Sewer w ten sam sposób. – A jakże, wspaniała... w sam raz dla ekwitów.

Otacząca ich młodzież wybuchnęła śmiechem, a dziewczka rzuciła mu wściekłe

spojrzenie. Swoim żartem niewątpliwie obniżył jej klasę, a może i całkiem przekreślił karierę w Rzymie. Sewer zaś z pewnym smutkiem skonstatował, że w dzisiejszych czasach teatr jest niczym więcej niż wybiegiem dla debiutujących heter, gdzie mogą publicznie prezentować swoje walory. Wielkich tragików zastąpili schlebiający pospółstwu farsiarze. Tak było ze wszystkim. Farsą stała się polityka i miłość – o tym w czasie swego przeszło rocznego pobytu w Rzymie zdołał się już dostatecznie przekonać. Wielka sztuka obumierała, Ajschylosa czy Eurypidesa grywano jedynie w teatrach szkolnych, nawet Ateńczycy, ojcowie dramatu, woleli płaskie komedie na granicy dobrego smaku. „Karlejemy, jak drzewa na jałowym gruncie” – myślał, patrząc na prężącą się, prawie że kopulującą z pniem palmy dziewczkę. Bardzo ognista, musiał przyznać.

Pantomima tymczasem trwała dalej. Huknęły spiżowe trąby i na scenę uroczyście wkroczył Pan ze swym orszakami. Sewer, nieprzyjemnie zaskoczony, drgnął na jego widok. Aktor grający bożka dziwnie przypominał cesarza, podobnie zgarbiony i włochaty, poruszał się nawet z odpowiednią manierą. Wiele wskazywało na to, iż nie było to podobieństwo przypadkowe. Poczul nagłą złość na Afraniusza, że go, w to wmieszał. Po jego odzywce komentującej walory heroiny wszyscy będą wiedzieli, że był na tym przedstawieniu. Niektórzy – a myślał o doradcach z politycznego gabinetu cesarza – bez żadnych wątpliwości odczytają to jako rodzaj deklaracji politycznej. Tego nie chciał, postanowił więc bez względu na okoliczności opuścić teatr. Na scenie zjawiała się właśnie nowa postać, galijski pasterz, co każdy poznał po kroju sukni i frygijskiej czapce, powszechnie tam noszonej. Pasterz zasłonił sobą uciekającą przed chutliwym bożkiem nimfę, a samego Pana wybił tego kosturem. Senatorowie podnieśli się z miejsc i zaczęli bić brawo, a za ich przykładem poszła reszta publiczności. Hołocie wystarczały proste gusty i jeszcze prostsze aluzje.

Sewer, zniesmaczony, wyszedł z teatru w środku tych huraganowych oklasków. Uważał podobne demonstracje za szczyt głupoty i niepotrzebne drażnienie i bez tego podejrzliwego władcy. Prawdziwa gra toczyła się zupełnie gdzie indziej i nic dla niej nie znaczyła aprobata wypełniającej teatry tłuszczy. Jutro z równym zapałem będą klaskali Julianowi, na punicką wierność rzymskiego tłumu mogli liczyć wyłącznie durnie lub szaleńcy. „Głupcy” – syknął, wściekły na Afraniusza i jego galijskich kompanów.

Przystanął na chwilę w tłumie przekupniów i prostytutek, jak co noc kotłujących się na placu przed teatrem i szukających okazji do oskubania naiwnych. Jakoś nie mógł znaleźć swojej lektyki i niewolników, aż przypomniał sobie, że ich odprawił, polecając zjawić się po spektaklu.

Rozejrzał się bezradnie dookoła. Czuł się nieswojo w pstrokatej ciżbie, która korzystając z oświetlenia fasady teatru, załatwiała tu najrozmaitsze interesy. Wszedł

pod jedną z arkad, niepewny, co dalej czynić: czekać na lektykę czy iść pieszo, co o tej porze nie było zbyt bezpieczne. Ktoś dotknął jego ramienia. W głębi wnęki stała uliczna dziewczka, o trudnym w ciemności do ustalenia wieku, za to z wyraźnie widoczną na bladej twarzy plamą pomalowanych na czarno ust. Znowu mimochodem pomyślał o Klaudii: może naprawdę warto pojechać do Ancjum? Rzymu, z jego upałem i politycznymi farsami, zaczynał mieć serdecznie dosyć. Dziewka trąciła go wysuniętą stopą.

– A więc jak, młodzieńcze, pobawisz się dzisiaj ze mną? – spytała chrapliwym szeptem.

Dopiero teraz wyraźniej zobaczył jej pomarszczoną twarz, pokrytą grubą warstwą pudru.

– Nie – odparł i śpiesznie wyszedł spod arkady. Teraz nie zostawił sobie innego wyjścia, musiał się ruszyć. Pośród tego tłumu jego odziana w porządną togę osoba była zbyt łakomym kąskiem. Postanowił pójść przed siebie, na Eskwilin, najpierw wzdłuż resztek murów Tuliusza, potem obok Kapitolu i przez Forum Romanum. Tą drogą mógł najszybciej dotrzeć do domu. Nie czekając na nic więcej, ruszył w drogę.

Na początku należało przebyć labirynt wąskich uliczek, wiodących w górę, ku Kapitolowi. Zabudowa tej części miasta składała się z dwu – i trzypiętrowych czynszowych kamienic, zamieszkałych przez biedotę i drobniejszych kupców i rzemieślników; w niektórych oknach paliło się wciąż światło, toteż początkowo nawet co nieco widział, cały czas mając za przewodnika oświetlone świątynie Kapitolu. Za którymś razem musiał najwidoczniej źle skręcić, ponieważ kolejna uliczka gwałtownie opadała w dół, ku Tybrowi, a wzgórze kapitolińskie niespodziewanie znalazło się za plecami. Chciał się cofnąć, kiedy z najbliższej bramy dobiegły go podejrzane odgłosy, metalowy szczęk i gorączkowe szepty. Zamarł w bezruchu, pełen najgorszych przeczuc.

Z ciemności wynurzyło się czterech oberwańców i wnet zatrzymało, najwyraźniej zaskoczonych jego widokiem. Na głowy mieli zarzucone spiczaste kaptury z otworami na oczy. Sewer z przerażeniem pojął, że wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi trafił na jedno z przestępczych bractw, trudniących się nocnym rozbojem i siejących postrach w plebskich dzielnicach Rzymu. Zamaskowane postacie patrzyły na niego w milczeniu, a Sewerowi serce podeszło do gardła. Zanosilo się na wyjątkowo głupi koniec, przynajmniej jak na senatora imperium. Rozmaicie to sobie czasem wyobrażał, ale nigdy w formie zarznięcia w ciemnym zaułku przez pospolitych złoczyńców. Zrozumiał, że natychmiast musi coś zrobić, zanim tamci zdążą go otoczyć.

Nie zwlekając, obrócił się na pięcie i jak szalony pognął przed siebie. Usłyszał tupot biegnących za nim rabusiów. Przyśpieszył, błogosławiąc nauczycieli

gimnastyki, ćwiczących go swego czasu w olimpijskim sprincie. Wyrównał oddech, wyparł ze świadomości ścigających i skupił się na pracy nóg. Gimnastycy tłumaczyli mu, że chodzi o zlanie się z czasem i przestrzenią, tak aby wszystko inne, świat cały, przestał istnieć, a pozostał wyłącznie bieg, czysty ruch ciała stopiony z rytmem pracującego serca...

Ocknął się w okolicach teatru Pompejusza, ciemnego i cichego, jako że dziś nie dawano nocnego przedstawienia. Zwolnił i raptownie skręcił w bok, jednocześnie oglądając się za siebie. Nikt go już nie ścigał. Rabusie zapewne dawno zrezygnowali, zniechęceni chyżością jego nóg. Najwidoczniej woleli mniej żwawą zwierzynę.

Uciekając, zapędził się w jeszcze odleglejsze od Kapitolu miejsce, prawie na Pole Marsowe. Pomyślał, że mógłby podejść do Term Nerona, czynnych całą dobę, i stamtąd pchnąć do domu posłańca po lektykę. Bez zwłoki ruszył w drogę, bacznie rozglądając się na boki, szczęściem, nieliczni przechodnie mieli odkryte twarze i sami śpiesznie pomykali pod ścianami. Poza tym ta część Rzymu uchodziła za znacznie bezpieczniejszą od dzielnic bezpośrednio przylegających do Tybru. Wydłużył krok, zostawiając za sobą monumentalną bryłę teatru Pompejusza, kierując się wprost na termy. Jedna z ulic, obustronnie zabudowana małymi świątyniami bliżej mu nie znanych bogów azjatyckich czy indyjskich, wychodziła na obszerny plac, w głębi którego dostrzegł oświetlony pochodniami trójkątny fronton. W pierwszej chwili sądził, że to jeszcze jedna świątynia, dopiero gdy spojrział uważniej, poznał ze zdumieniem, że stoi przed Panteonem.

Podszedł bliżej. Otwartego na oścież wejścia strzegło dwóch wspartych na włóczniach strażników. Stali nieporuszenie, nie zwracając na Sewera uwagi, nawet gdy znalazł się tuż obok; może rozpoznali w nim członka senatu, może wzięli go za spóźnionego pielgrzyma, dość, że swobodnie wszedł do środka. Nie bardzo wiedział po co. Chyba dlatego, że dziś był w tym miejscu dopiero drugi raz od chwili przybycia do Rzymu.

Panteon powitał go chłodem i ciszą. Nieliczne lampki oliwne oświetlały biegnące naokoło wielkiej, okrągłej sali nisze, w których zgromadzono posągi bóstw wyznawanych przez narody imperium. W jednej z nich, już dobrze nie pamiętał w której, ustawiono również małe drewniane posąжки Swaroga, Peruna i Świątowita, mające świadczyć o tym, że Rzym jest także Wenedią. Albo Wenedia Rzymem.

Środek sali zajmował przywieziony przez Juliana Apostatę, a znaleziony gdzieś na Wschodzie, olbrzymi, wyciosany w chropawym kamieniu posąg Kybele, którą wielki cesarz uczynił matką-opiekunką Rzymu – kult jej w specjalnym edykcie ustanowił główną religią imperium, mającą w jego strategicznych zamysłach przeciwstawić się chrześcijańskiej zarazie. Co też i się ostatecznie dokonało, choć walkę religii i tak musiały dokończyć miecze.

Posąg stał dokładnie pod okulusem, okrągłym otworem w kopule, przez który wlewało się do sali blade światło księżyca. Patrzył na oblaną zimnym blaskiem surową twarz bogini, na jej grubo ciosane ręce, spoczywające ciężko na kolanach. Podobno posąg ten wykonał lud, zamieszkujący ziemię w prapoczątku świata, a od którego podobno wywodzą się wszystkie dzisiejsze narody. Znalezione go na pustyni syryjskiej, w miejscu, gdzie Julian miał widzenie, w którym Kybele zabroniła mu wojny z Partami; wtedy też ostatecznie zrozumiał, kto jest najważniejszym wrogiem imperium. Tej samej nocy piorun uderzył w pobliskie skały, odsłaniając pieczarę z ukrytym w niej posągiem bogini. Od tego wydarzenia Kybele stała się główną boginią Rzymu, a właściwie symbolem juliańskiej idei uniwersalnego Imperium Romanum, będącego dla podległych mu krain i narodów surową i sprawiedliwą, ale jednak – matką.

„Czym właściwie jest Rzym dla świata?” – zastanowił się nagle. Spajającą go, ideą, wieczystą zgodą narodów czy też wiążącym je łańcuchem, dozorcą niewolników? Cóż on właściwie znaczy dla mnie, Wenedy? A może już nie Wenedy, lecz Rzymianina? Jego przodkowie, sklawińscy książęta mieszkający w kurnych chatkach, brali za świat to jedynie, co sami widzieli, okoliczne puszcze i moczary; niewiele też ich więcej obchodziło. On, ich potomek, uczestniczył w wydarzeniach dziejących się na przestrzeniach zgoła niewyobrażalnych, ciągnących się od Indyj na wschodzie po słupy Herkulesa na zachodzie. Ale mimo to nadal trapiły go wątpliwości: Kto z nich żył naprawdę? Kto naprawdę władał? Życie to znaczy rządzić – kto to powiedział? Na pewno któryś z jego przodków, może Dago, który jako ostatni samodzielnie rządził Wenedami.

Poczuł mimowolny wstyd. Zapewne panujący nad vistulańskimi błotami przodkowie wydawali się dziś, z perspektywy rzymskiej senackiej kurii, mali i śmieszni, ale cokolwiek czynili, czynili to naprawdę, a nie, tak jak on, komentowali się pozorami światowego władztwa, farsą niewiele więcej wartą od sztuczydeł wystawianych w teatrze. „Bo kimże ja właściwie jestem?” – zastanowił się. Było tu kilka sposobnych odpowiedzi. „Aktorem? Senatorem? Namiestnikiem? Błaznem? Wenedą czy Rzymianinem? Wystawioną na kiju papugą, małpą w koronie udającą króla?”

– Małpą w koronie udającą króla? – usłyszał. Wzdrygnął się; czyżby mówił do siebie na głos?

– Wenedą czy Rzymianinem? – głos, dziwnie znajomy, dobiegał gdzieś z boku, z wnęki mieszczącej posąg Minerwy. Postąpił parę kroków w tym kierunku i dostrzegł postać mężczyzny, ukrytą częściowo za jedną z dwóch przegradzających niszę kolumn. Lampka u stóp posągu z wolna dogasała i w rzucającym rozchwiane cienie świetle nie mógł zobaczyć twarzy.

– Wenedą czy Rzymianinem? – powtórzyła postać.

Wtedy dopiero rozpoznał ten natrętnie znajomy głos i zmartwiały, ogarnięty zimnym przerażeniem. Przecież to było niemożliwe!

– Quietus? – spytał, pełen niedowierzania. Chciał podejść bliżej, ale człowiek za kolumną powstrzymał go stanowczym gestem. – Przecież ty nie żyjesz!

– A ty żyjesz? – powiedziawszy to, postać cofnęła się w gęstą ciemność w głębi niszy. Płomyk w ostatnim spazmie błysnął silniej i zgasł, ale Sewer zdążył zobaczyć, iż przy ołtarzu Minerwy nie było nikogo. Przeciągnął dłonią po zroszonej potem skroni; czuł, że łapie go bagienna gorączka, bardzo zdradliwa w tych rejonach miasta. Przycisnął czoło do zimnego marmuru kolumny.

– Nie wiem, Quietusie – powiedział bezradnie. – Naprawdę nic już nie wiem.

Spojrzał na masywny posąg Kybele, na jej grubo wyciosaną, posepną twarz i kamienne, ślepe oczy, jakby pragnął wyczytać z niej los swój, los Wenedów i Rzymu.

We wszystkich częściach świata wspaniale zatryumfowała religia, ukazując ów miły sercu widok, jakim są płonące ołtarze, krwawiące ofiary, dym kadzideł, a także prorocy i kapłani, którzy sunęli w uroczystym pochodzie bezpiecznie i bez obawy. Modły i muzykę słyhać było na szczytach najwyższych gór i ten sam wół stanowił ofiarę dla bogów i wieczerzę dla ich radosnych czcicieli.

Lucjusz Domincjusz zrobił typową dla sofistów nowej szkoły, wieloznaczną minę i odłożył zwój na półkę. Sięgnął po wodę z winem i popił obficie, ocierając pot z czoła. W podręcznym skrypcorium panował ukrop jak w łaźni.

– I tak dalej, i tak dalej, w *Przemowach* Libaniasza niewiele można znaleźć poza zachwytem z przywrócenia kultu starych bogów i peanami na cześć Juliana. W jednym istotnym punkcie Libaniasz jest zgodny z Ammianem Marcellinusem. Ich zdaniem ostatnie większe czystki przeprowadzono pięć lat po bitwie antiocheńskiej, przynajmniej na Wschodzie. Na Zachodzie mogły trwać znacznie dłużej, choć nic się o tym nie pisze, nie zapominajmy jednak, że następca Juliana, cesarz Walentynian, ponownie polecił ocenzurować archiwa, dlatego trudno polegać na oficjalnych kronikach, a tym bardziej na wynurzeniach podobnych Libaniaszowi panegirystów.

– No właśnie... – Stojący przy oknie i patrzący tęsknie na termy Sewer obrócił się i podrapał w zamyśleniu po nosie. – Skoro akcja została przeprowadzona tak dokładnie, że ocenzurowano nawet literaturę, to skąd ta gmina w Calisji? Jeśli ci chrześcijanie ocaleli, to mogą być też inni, w innych miejscach.

Lucjusz skrzywił się niemiłosiernie, jakby zamiast wina popróbowował octu. Chyba miał już na dzisiaj dosyć chrześcijan, historyków panegirystów, morderczego upału i bezpłodnych dysput.

– Tajna Służba uważa podobnie, sądząc po okólniku, jaki rozesłali do wszystkich

provincji. Przetrzęsają teraz każdą podejrzaną wiochę.

– Niech ich dobre bogi prowadzą – powiedział z przekąsem senator. Nikt w imperium nie lubił tych podstępnych i bezwzględnych szpicli, gotowych wykonać każdy, choćby najbardziej absurdalny rozkaz. – Nadal jednak nie mogę się opędzić od myśli, iż fakt odkrycia przez Quietusa chrześcijan ma bezpośredni związek z jego śmiercią. Na pewno nie taki, jaki sugeruje Kunon. Byłoby nam o wiele łatwiej, gdybyśmy wiedzieli coś więcej o owej tajemniczej sekcie i jej doktrynie religijnej – może tam tkwi odpowiedź?

– Może – zgodził się bez przekonania Lucjusz. – Jedno jest wszak bezsporne: ludzie ci porwali się na władztwo Rzymu. Za mniejsze rzeczy skraca się o głowę.

– Bzdury – mruknął Sewer. – Quietus spiskujący przeciwko Rzymowi? Na dodatek z chrześcijanami? Różne głupoty mogły mu przyjść do głowy, ale nie to. Przecież go znałem.

– I w ten prosty sposób wróciliśmy do punktu wyjścia. – Sekretarz uniósł deskę pulpitu i wsadził do środka zbędne karty, rysiki i pióra. – Co myślisz robić dziś wieczorem? Słyszałem, że Publiusz Optacjan Porfiriusz ma czytać w bazylice Numeriana swój ostatni poemat. Podobno zapowiadał się sam cesarz.

Publiusz Optacjan, zawołany następca Wergiliusza, przewodził bandzie wierszokletów, miernot wyspecjalizowanych w podlizywaniu się Julianowi. Wsławili się wynalezieniem wierszy w kształcie cytr, ołtarzy, posągów, fletów a nawet organów wodnych. Sam Publiusz zaskarbił sobie cesarskie względy napisaniem dwudziestu sześciu pieśni w tak regularnym heksametrze, że były prawie kwadratowe, przy czym niektóre, umyślnie kreślone na czerwono litery układały się (niezależnie od zasadniczego tekstu poematu) w sentencje sławiące łaskawość wspaniałego władcy i hojnego protektora. Znaczna część rzymskich patrycjuszki pocytywała sobie stąd bywanie na jego publicznych recytacjach za niemiły obowiązek, swego rodzaju deklarację lojalności. W ten oto prosty sposób poezja dołączyła do gromady muz sprostywowanych.

Lucjusz, widząc kwaśną minę pryncypała, dodał śpiesznie:

– To może w takim razie znowu do teatru?

– O nie! – obruszył się Sewer i chciał mówić dalej, ale do gabinetu wszedł majordomus, stary Rutyliusz, wyzwoleniec jego ojca, od lat służący wiernie rodzinie, i namaszczonym tonem oznajmił, że przyszedł senator Afraniusz Getoryks, z pilną sprawą.

Zaraz też i pojawił się sam Gal, ubrany w strój podróżny, mimo upału tryskający rzeźkością i nie skrywającą ochotę do zabawy.

– Mieliśmy przecież jechać do Ancjum – zwrócił się bez wstępów z wyrzutem do Sewera. – Dostałem właśnie list od Klaudii, pisała też o tobie. Koniecznie chciałaby z

tobą porozmawiać. – Tu mrugnął porozumiewawczo okiem. – To naprawdę bardzo interesująca kobieta.

Sewer zawahał się. Właściwie zamierzał zdrowo obtańcować Afraniusza za ciągnięcie go na idiotyczne antycesarskie pantomimy, ale już mu od wczoraj trochę przeszło, poza tym zbyt lubił tego w gorącej wodzie kąpanego Gala. Czuł się też nieco niezdrów i obwiniał o to wilgotny, bagienny klimat Rzymu, szczególnie nieznośny latem. No i sama legendarna Klaudia, o której tyle ostatnio mówiono... Uświadomił sobie, że jeszcze nigdy nie rozmawiał z kurtyzaną. Jakoś go do tej pory nie ciekawiło, co myślą kobiety. Nawet tak inteligentne jak kurtyzany.

– Powóz stoi na dole – przypomniał o sobie Afraniusz.

Quintus Polibus, niedysiejszy król korzennych szlaków, musiał być rzeczywiście bardzo bogatym człowiekiem, a także i niewątpliwym szaleńcem, skoro jedynie przyływ namiętności spowodował, iż to, co teraz w wielkim zadziwieniu oglądał Sewer, ot tak sobie podarował kurtyzanie, niechby i najpiękniejszej w całym Rzymie. Afraniusz zatrzymał konie na niewielkim wzniesieniu, aby mogli sobie dokładnie obejrzeć całość byłej posiadłości korzennego magnata.

Willa – albo raczej kompleks architektoniczny – dzieliła się na trzy kontrastujące ze sobą części. Pierwsza, sąsiadująca bezpośrednio z morzem, składała się z trzech zachodzących na siebie kwadratowych tarasów, z których niższy był o połowę większy od wyższego. Otoczone kamiennymi, rzeźbionymi balustradkami, zostały wyposażone w okrągłe sadzawki i fontanny, ułożone w miłe dla oka konfiguracje. Wewnętrzną przestrzeń każdego tarasu organizowały alejki i placyki, wytyczone nisko ściętym żywopłotem. Najniższy taras otwierał się ku morzu, kończąc się białą jak śnieg plażą.

Część środkową stanowiła klasyczna rzymska willa, z wewnętrznym dziedzińcem zajęтым przez wykładany marmurem basen. W nieklamany podziw wprawilo go dopiero to, co znajdowało się z tyłu, już na wysokim brzegu – prawdziwy ogrodowy labirynt, złożony z istnej gęstwy krytych, przecinających się ścieżek, wyznaczonych kolumnadami różnej wysokości i szerokości, poprzetykanych sadzawkami, fontannami, altanami lub grupami posągów, przedstawiających znane sceny mitologiczne. Misterna ta ogrodowa konstrukcja jakby niepostrzeżenie wsiąkała w niskopienny las, porastający wciąż jakimś cudem tę część Lacjum. Cała posiadłość miała co najmniej ćwierć mili długości i podobną, nieco mniejszą szerokość. Na takiej powierzchni zmieściłaby się przyzwoita winnica.

Przed wejściem do willi, płaskim podestem nakrytym dachem, który wspierały atlanty w postaci dźwigających nieboskłon Atlasa i Herkulesa, stała już Klaudia w towarzystwie kilku młodych ludzi. Sewer rozpoznał senatorów z Galii i Brytanii.

Śmiali się głośno, pewnie z jakiegoś żartu. Afraniusz ściągnął lejce i powóz zatrzymał się. Służba podbiegła do koni, a oni powoli podeszli do rozbawionej grupy na podeście. Kurtyzana na widok Sewera uśmiechnęła się dyskretnie, co ten od razu zauważył. „Czyżby naprawdę chciała mnie włączyć do kolekcji wielbicieli?” – przemknęła mu myśl, ale nic nie dał po sobie poznać, skłonił się tylko z przesadną galanterią. Postanowił, że będzie dla niej udawał niezdarne, nieco staroświeckiego prowincjusza. Nawet kurtyzantom należało się trochę rozrywki.

– Cieszę się, że przyjęliście moje zaproszenie – powiedziała Klaudia, dygając wdzięcznie. – Niech bóstwa opiekuńcze tego domu będą i waszymi.

Weszli do obszernego atrium, zaprojektowanego z myślą o biesiadach, co można było poznać po marmurowych sofach, rozstawionych wokół kamiennego stołu, a wyściełanych suto materią i poduszkami. Sługa wskazał im drogę do bawialni, gdzie mogli obmyć się z kurzu i przywdziać odpowiednie do okazji togi. Potem wrócili do atrium. Większość biesiadników zajęła już swoje sofy, a pierwsze dziewczki, gibkie i smagłe Mauretanki, jeły krążyć z dzbanami. Sewer zauważył mimochodem, iż są przy tym bardzo ładne, co, jak mu na ucho wyjaśnił Afraniusz, należało do tradycji domu. Nie były też zbyt dokładnie ubrane – miały więcej niż kuse tuniki, czego goście, jeszcze trzeźwi, nie wykorzystywali, poza okazjnymi klapsami w odkryte pośladki. Sewer chwycił za swój kielich i umoczył usta w winie, ciężkim czerwonym kalabryjskim, którym łatwo można się było upić. W tej też chwili na salę biesiadną wkroczyła Klaudia.

Podobnie musiał chyba wyglądać wjazd do Rzymu legendarnej Kleopatry, oblubienicy Cezara; Sewer czytał kiedyś pasjonujący opis tego wydarzenia. Kurtyzana, ubrana w powłóczystą, otwartą na piersiach szatę egipskiego kroju, mieniącą się złotem i srebrem z powszywanych nitek, a częścią przejrzystą, obfitą muślinowymi falbankami, od ramion odchodzącą w skrzydlatą pelerynę, raczej wleciała niż weszła. Dwójka pacholąt, puciołowatych Amorków, z atencją niosła kraje tej tak wysmakowanej sukni. Przypominała w tym przebraniu nie tyle kobietę, ile raczej królową pszczoł – podkreślała to dodatkowo jej kunsztownie zbudowana fryzura, piramida włosów podtrzymywana masą spin i diademów, sztukowana, jak mniemał Sewer, peruką. Porównanie do królowej pszczelego roju wydało mu się tym bardziej trafne, ponieważ to, co widział wokół, było niczym innym jak zgromadzeniem zaślepionych, palonych żądzą trutni.

Tymczasem przy stole wywiązała się żywa dyskusja. Na pytanie, którego pograżony we własnych myślach Sewer nie dosłyszał, odpowiadał grecki filozof, przybyły niedawno z Aten odnowiciel sofistyki, Andronikos. Zdobył już sobie sławę w Rzymie paroma błyskotliwymi paradoksami. Zdaniem Sewera to, co niektórzy szumnie ośmielali się nazywać współczesną filozofią, wyglądało na jeden wielki

paradoks.

– Pytając o Rzym, pytasz o rzeczywistość, bo przecież wszystko jest Rzymem – wywodził Grek z charakterystycznym dla sofistów namaszczaniem. – Stąd tedy mamy dwie równouprawnione tezy, które można postawić w odpowiedzi: raz tedy, że to, co teraz mamy, jest to doskonałość najdoskonalsza, i dwa: że jest wręcz odwrotnie. Pogląd nasz będzie zależał od tego, jak zinterpretujemy proces historyczny: czy jako pęd świata ku doskonałości czy niedoskonałości. Zaręczam ci, że każdy średnio wprawny sofista z Aten wyliczy tę samą liczbę argumentów uzasadniających obie tezy.

– Czyli, że możemy sobie podarować filozofię jako źródło poznania? – zauważył złośliwie któryś z Brytów, chyba Lentullus.

– Niezupełnie – zaprzeczył poważnie Andronikos. – Filozofia dowodzi tylko niemożności poznania, ale fakt ów jest też formą poznania właśnie.

– Trochę to mało, liczyłem na więcej ze strony królowej nauk – powiedział Afraniusz, wyraźnie rozczarowany. – Miałeś nam powiedzieć, dlaczego Rzym trwa, mimo że dawno powinien runąć.

– O to pytajcie wieszczków, chociaż i ci są funta kłaków warki, taki na przykład Wettiusz objawił, że Rzym będzie istnieć dwanaście wieków, bo tyle pono sępów krążyło nad Romulusem, gdy ogarnięty gniewem zabijał brata. No i proszę, dopiero co minął piętnasty. – Filozof sięgnął po czarę i opróżnił ją nie bez przyjemności.

– Może Romulus nie umiał liczyć – rzucił ktoś i biesiadnicy wybuchnęli śmiechem.

– Powiem wam, dlaczego Rzym trwa wbrew wszystkiemu. – Afraniusz odstawił kielich i uniósł się nieco na sofie. Oczy błyszczały mu zapalczywie. – To dzięki nam, ludziom z prowincji. To nasze pieniądze i nasza praca podtrzymują to strupieszale imperium. Zawsze tak było, od czasów republiki, tylko że przedtem byliśmy za głupi, aby to wiedzieć. Ale czasy, gdy legiony zgarniały pod skrzydła imperium dzikusów z kurnych chat, już dawno minęły, czego w Rzymie jakoś nie chcą przyjąć do wiadomości. Ja zaś z kolei wiem, że jeśli się gdzieś coś nowego dzieje, coś zostanie odkryte czy ulepszone, wymyślają to ludzie z Durocortorum, Colonii czy Londinium. Rzym od wieków nie daje nic, a bierze coraz więcej. Jego władza nad nami, niegdyś zrozumiała dominacja silniejszego i mądrzejszego nad słabszym i głupszym, jest w tej chwili jak weksel, którego pokrycie ktoś dawno przepił lub przegrał w kości. Ot, i macie potęgę i wielkość Rzymu.

Sewer patrząc na zacietrzewionego Afraniusza, pomyślał z przerażeniem, że prócz miny i różu pachnie w tej sali spiskiem. Prawdę mówiąc, od dłuższego czasu pachniało nim w całym Rzymie, a dokładniej w środowisku delegowanych z prowincji senatorów, jako że plebs, póki starczało bezpłatnego zboża i oliwy, sprawy

wielkiej polityki miał w głębokiej pogardzie. Zastanowiło go, dlaczego spiskowali u najmodniejszej w sezonie kurtyzany. W podobny sposób postępowali już Pizonowie i nie skończyło się to dla nich najlepiej. Sprzysiężenie zostało przed czasem odkryte i Pizonowie wraz z gromadą przyjaciół zostali do nogi wytraceni przez Nerona. Zginęła też nieszczęsna kurtyzana. Czyżby Afraniusz nie widział tej tak oczywistej analogii? Sewer postanowił wysłać mu egzemplarz *Żywotów* Swetoniusza z zaznaczonym odnośnym fragmentem.

Tymczasem wokół słów Afraniusza rozgorzała ostra dysputa – młodzi senatorowie na wyścigi podawali przykłady krzywdzących prowincje rozporządzeń. Zapalano się coraz bardziej, na nic już nie bacząc. W konkluzji wysunięto wniosek, że prowincje mogłyby dojść do znacznie większej pomyślności, gdyby nie pasożytnicza biurokracja imperium. Lentullus, widać uzdolniony matematycznie, obliczył na głos, ile podatków i jakie sumy trzeba przeznaczyć na utrzymanie dziesięciu tysięcy stołecznych urzędników, zajętych administrowaniem prowincjami, które bez ich czulej i coraz mniej kompetentnej opieki dawałyby sobie dwakroć lepiej radę. Ktoś wówczas wspomniał o wydatkach dworu cesarskiego, koteriach oraz faworytach i zapadło nagle krępujące milczenie. Widać bano się jeszcze otwartej krytyki Juliana.

Pani domu w tym tak niebezpiecznym momencie stanęła na wysokości zadania. Na jej kłaśniecie zjawił się w sali zespół ciemnoskórych cytrzystów wraz z tancerkami z Kos, które wnet rozpoczęły mocno erotyczne przedstawienie, oparte na nieco podretuszowanych pod tym kątem przygodach Diany i jej towarzyszek, niby to zwolenniczek miłości safickiej. Nie one miały być jednak głównym punktem programu.

Klaudia, która zniknęła z atrium zaraz po wejściu cytrzystów, zjawiła się znowu, ale w jakże odmienionej postaci! Misternie upięta piramida włosów rozsypała się, okrywając ją deszczem ciemnych, sięgających ziemi splotów. Była naga, jeśli nie liczyć złotego łańcuszka opasującego biodra i trzymanego w rękach łuku. Mierzyła z niego w satyra, krępego młodziana w kostiumie z baraniej skóry, który zbliżał się do niej w celach miłośnie niedwuznacznych. Rozpoczęli fantazyjny taniec, opowiadający o zalotach leśnego bożka do bogini łowów. "Pyta i polityka" – skontatował z niesmakiem Sewer. „Naprawdę jest już tak źle, że nie warto zajmować się niczym więcej?”

Rozmowy ucichły, biesiadnicy w milczeniu kontemplowali przedstawienie, gorączkę polityczną z wolna zastępowała erotyczna: napastliwy satyr coraz częściej dotykał białego ciała bogini, pożądliwie ocierał się o nią włochatym, dobrze umięśnionym cielskiem, a i ona coraz niechętniej mu uciekała. Sewer patrzył na te igraszki z kamiennym spokojem, skubiąc od niechcenia winogrona. Widział, jak

omdlewająca w łapczywych objęciach satyra Klaudia rzuca mu ukośne, prowokujące spojrzenia, zdające się obiecywać wiele, a może jeszcze więcej. Przypomniało mu się bezwiednie, co sądził o kobiecych obietnicach Katullus:

*Albo twoją zostanę, lub niczyją wcale,
Choćby mię chciał sam Jowisz w całej swojej chwale!
Rzekła, lecz co kobieta kochankowi rzecze,
Pisz na wietrze lub na fali, która wartko ciecze.*

Rozgrzani podniecającą atmosferą goście jawnie już zajmowali się pośladkami podających dziewczek. Niektórzy kiwali zachęcająco do tancerek, które wcale nie były od tego, dobrze znając hojność podchmielonych senatorów. Muzyka stała się szybsza i dziksza, satyr odrzucił wszelkie pozory i lubieżnie pochwycił zda się omdlałą z wyczerpania boginię. Sewer uśmiechnął się pod nosem, po czym wziął w dłoń kiść słodkich winogron, które dzisiaj smakowały mu nadzwyczajnie; postanowił dokończyć ją w spokoju na dworze, w zielonym i chłodnym labiryncie ogrodu.

Przeszedł przez perystyl i idąc dalej wzdłuż basenu, dotarł do zdobnego amorami Zeusa i Europy łuku kamiennej bramy, wiodącej wprost do ogrodu-labiryntu. Był on nawet nieco oświetlony pochodniami umocowanymi pod kapitelami kolumn. Wszedł na pierwszą alejkę, tak gęsto oplecioną bluszczem, iż zdało mu się niespodzianie, że idzie w jakimś zielonym tunelu, nieskończenie długim, który, przebiwszy się przez Alpy, stepy Pannonii i Karpaty, zawiedzie go wprost do Wenedii... do domu?

Spacerował powoli, rozkoszował się chłodem nocy i pogryzał winogrona, zatrzymując się czasem, aby podziwiać jakąś szczególnie udaną rzeźbę. Dominowały oczywiście motywy erotyczne, choć, co musiał przyznać, przedstawione z dużym smakiem. Ale nie wiedział, czy ma za to chwalić Polibusa, czy też raczej jego uzdolnionego architekta. „Tego bym chciał zatrudnić” – pomyślał, gdy przypomniał sobie o swym namiestnikowskim „pałacu” w Calisji, i tak uchodzącym w Wenedii za szczyt rzymskiej wykwintności. „No i proszę, oto wielkość i chwała Rzymu” – powtórzył w duchu za Afraniuszem. „Kurtyzany żyją lepiej od potomków udzielnych książąt”. Ostatni władca Wenedii, sławny Dago, mieszkał w sklawińskim drewnianym dworcu niewiele lepszym od kurnej chaty. Ba, ale czy był przez to naprawdę nieszczęśliwy? Podania rodzinne powiadały, iż zmarł z uśmiechem na twarzy.

Zatrzymał się, uderzony wyglądem pewnej wyrzeźbionej w marmurze grupy, służącej jednocześnie za fontannę. W górze polatywał mały, pyzaty Eros, uzbrojony w tradycyjny łuk i strzałę, pod nim, w dość swobodnej pozie i niedbałym stroju, spoczywała nimfa, z zamkniętymi oczyma i lekko odchyloną do tyłu głową. Z

wydętych policzków Erosa tryskał cienki strumyczek wody, który rozbijał się setkami kropel na jej piersiach i ramionach. Coś go zastanowiło w wyglądzie leżącej nimfy. Dopiero gdy spojrział pod nieco innym kątem, poznał, że modelką była niewątpliwie Klaudia: te same smukłe kształty, charakterystyczna poza, z jedną nogą lekko podkurzoną, i ten sam zmysłowo-prowokujący uśmiezek, ukryty w wyrazie kapryśnie wydętych ust. Podszedł bliżej i napelniwszy wyciągniętą dłoń wodą, zwilżył wargi i przetarł oczy. Później opuścił rękę i dotknął końcami palców ust posągu, potem brody, rzeczywiście ślicznie wykrojonej, ramion, krągłych i szczupłych jednocześnie. Dłoń, jakby oswobodzona od jego woli, gładziła w zapamiętaniu kamień, nie zważając na chłód i wodę... Znowu przyszedł mu do głowy odpowiedni do sytuacji fragment z Katullusa, który postanowił sobie głośno zacytować:

*Odkąd ujrzałem Cię, Lesbio, przez usta
Nie płyną słowa,
Język mój drętwy i lekkim płomieniem
Ogień po ciele moim się rozpływa
I uszy dźwięczą dzwonków cichym drżeniem –
Wzrok noc okrywa.*

Kiedy skończył recytować, za jego plecami zaszeleścił bluszcz.

– Ja jestem tutaj – usłyszał.

Obrócił się gwałtownie. Stała pod jedną z kolumn, w prostej białej szacie, z nadal rozpuszczonymi włosami. Sewer podszedł do niej i w pierwszym odruchu chciał uczynić to samo co z posągiem, ale wzniesiona ręka opadła mu nagle bezwładnie. Nie mógł – nie chciał? Bez słowa poszedł dalej, do końca alei, która wychodziła na placyk z małą sadzawką. Tam przystanął i zapatrzył się na marszczoną podmuchami wiatru wodę. Poczul, jak stojąc tuż za nim, wkłada mu ręce pod tunikę, jej ramiona sunęły powoli po jego ciele niczym dwa rozgrzane słońcem węże. Najpierw ku górze, ku płatowi piersi, potem w dół, ku węzłom brzucha.

– Klaudio... – powiedział, zdobywszy się na resztki oporu. – Miał cię cały Rzym.

Ręce zatrzymały się, aby po chwili podjąć na nowo wędrówkę, tym razem wzdłuż bioder. Przeniknął go pulsujący, głęboki dreszcz. Głowy węży gorzały prawdziwym ogniem.

– Czyż jesteś całym Rzymem, panie?

Ateńczyk Andronikos ani chybi należał do szkoły perypatetyków – zamiast, wzorem innych retorów, stać za pulpitem, chodził wokół niego niespiesznie,

spozierając od czasu do czasu do trzymanego w rękach zwoju. Wypełniająca bazylikę publiczność, przyciągnięta na wykład jego stale rosnącą sławą odnowiciela sofistyki, zrazu rozgadana, teraz raptownie ścisła, wyraźnie zaintrygowana niekonwencjonalnym zachowaniem filozofa. Damy, żony notabli i ich kochanki, wzdychały nostalgicznie, podziwiając jego mocno zbudowaną, kanciastą sylwetkę, właściwą bardziej gladiatorowi niż zakopanemu w papirusach retorowi.

Andronikos nagle stanął w miejscu i z ostentacją podarł trzymany w ręku rulon na kilka części. Resztki rzucił przed siebie, tak że frunęły pod nogi słuchaczy z pierwszych rzędów, którzy wstrzymali oddech, ponieważ był to tekst wykładu, zaakceptowany uprzednio przez cenzora. Nic jednak szczególnego się nie stało, Andronikos nadal spacerował wokół pulpitu, z zadartą do góry głową, tak jakby podziwiał sklepienie bazyliki, ozdobione malowidłem przedstawiającym wyłanianie się z Chaosu pierwszych bogów. „Niezły kawał kabotyńca” – pomyślał sobie obserwujący go Sewer. „Pewnie będzie gadał z pamięci”.

– Dziś porozmawiamy o drzewach – powiedział w zupełnej ciszy Andronikos. – Drzewa, podobnie jak i inne rośliny czy w ogólności żywe stworzenia, wyrastają z małego ziarna, drobiną będącej pierwotną kolebką wszelkiego życia. Potem, zgodnie z nadanymi im prawami natury rozprzestrzeniają się, wbijając korzeniami w ziemię i sięgając koronami nieba. Przeżywają wiek młodzieńczy, później dojrzałość, ciesząc się chwałą pełnego wzrostu i potęgą kwitnącego życia. Z kolei przychodzi starość: żyły i ścięta wapnieją, mięsz kruszeje, drzewo kostnieje i zastyga, stając się pastwiskiem robaków. Potem przychodzi nieuchronny schyłek, koniec ziemskiej drogi – śmierć.

Filozof zatrzymał się raptownie i popatrzył twardo na publiczność. W jego czarnych oczach czaiło się coś hipnotycznie zniewalającego.

– Nie oszukujmy się. W kosmosie zjawisk niepewnych, domniemyanych lub prawdopodobnych jednej rzeczy jesteśmy całkowicie pewni: śmierci. Codzienne doświadczenie mówi nam, iż świat, wszystkie jego składowe elementy podlegają zagładzie, tylko byt jest wieczny, jako pewna suma nietrwałych i zmiennych składników. Każda rzecz będąca wytworem natury jest naznaczona piętnem przemijania, reszta to domena czasu i powiadam wam, że nawet piramidy faraonów kiedyś rozsypią się w proch!

Przerwał dla zaczerpnięcia oddechu. Cała sala w ogromnym napięciu śledziła każde jego poruszenie. Gdyby w tym momencie do bazyliki wpadła mucha, jej bzyczenie słyszano by jak głos trąby ogłaszającej koniec świata.

– Ktoś mógłby w takim razie zapytać – podjął po chwili Andronikos – dlaczego, skoro wszystko przemija, świat jednak trwa nadal. To proste: przemijanie to nie tylko śmierć, to także powstawanie. Ojciec, umierając, pozostawia syna, który obejmuje po

nim dziedzictwo. Drzewo, nim do końca spróchnieje, wyda owoce, w których będzie żyło nadal. Natura rzeczy zakłada się zatem na umieraniu i rodzeniu – to, co dla jednego jest grobem, dla drugiego może być kolebką.

Zatrzymał się przy pulpicie i oparł o niego, patrząc wprost na słuchaczy, którzy spijali mu z ust każde drogocenne słowo.

– Nie każdy jednak chce się z tą przemijalnością bytu pogodzić. Bywają drzewa, które nie zamierzają przyznać, że ich czas dobiegł końca, siły witalne uległy wyczerpaniu, a korę wyjadło robactwo. Takie drzewo nie pragnie wydać owoców, sądząc w swej naiwności, że jeśli uniknie narodzin nowego, to nie będzie także i śmierci starego. Czepia się tedy rozpaczliwie resztek swego istnienia, nie pozwalając, aby zdrowe ziarno, które jeszcze jest w stanie z siebie wydać, padło na dobry grunt i dało początek nowym, młodym drzewom. To głupie i nierozsądne, jak każdy opór wobec mechanizmów natury.

Na sali podniósł się nieśmiały szmer, ale wnet ucichł, zgaszony surowym spojrzeniem Andronikosa. Filozof bynajmniej nie skończył i podniósł do góry ostrzegawczo palec.

– Biada drzewu, które ignoruje prawa natury. Cechą natury jest nieustanna przemiana, martwego w żywe, żywego w martwe. Stare jest zastępowane przez młode, nieznanne przez poznane. Byt to prąca przed siebie rzeka następstw, tak jak widział to Heraklit. Każda kolejna fala, choć z pozoru podobna do poprzedniej, jest jednak inna. Podstawowa cecha określająca byt to wieczność, ale i zarazem nieustanna zmienność – istnieje on w coraz to nowej formie i nowym kształcie. Dlatego syn różni się od ojca, a obaj są odmienni od dziada. Także drzewo, jeśli wyrośnie z uronionego ziarna, jest podobne, ale i jednocześnie inne od rodziciela. Takie są boskie prawa natury.

Andronikos znowu zaczął okrażać pulpit, zupełnie nie zwracając uwagi na publiczność. Wbił wzrok w posadzkę i mówił jakby do siebie:

– Biada jednak drzewu, które nie chce uznać, że jego czas dobiegł końca. Odmawiając prawa do kontynuacji swoim następcom, w najoczywistszy sposób postępuje wbrew naturze. Myśli naiwnie, że zdoła ją oszukać. Wydaje mu się, że skoro jeszcze stoi, to sprawy nie mają się tak źle, a przecież tak naprawdę żyje tylko dlatego, bo nie wie, że jest martwe. Ale powiadam wam, że o ile wszystko na tym świecie podlega zwątpieniu, to jednego możemy być całkowicie pewni: natury oszukać się nie da! Przemiana, prędzej czy później, nadejdzie.

Sala wybuchła szaleńczą wprost owacją. Największą klakę czynili senatorowie z Galii i Brytanii oraz ich licznie przybyli na wykład klienci. Andronikos kłaniał się w pas, w deszczu laurowych wieńców. Niektóre bardziej afektowane damy mdlały ostentacyjnie, nie zapominając jednak o powłóczystym spojrzeniu, rzucanym

filozofowi gasnącym wzrokiem.

– To tylko kabotyńska sofistyka, zabawa z alegoriami – oświadczył, nie kryjąc rozczarowania Lucjusz. – Jutro wygłosi równie efektowny wykład, w którym będzie wychwalał Rzym pod niebiosa. Będzie pewnie gadał, że to wyjątek potwierdzający regułę. Sądziłem, że stać go na więcej niż tylko sofistyczną grę ze znaczeniami.

Sewer uśmiechnął się melancholijnie i nic na to nie powiedział. Mowę Andronikosa odczytał jako deklarację czysto polityczną. Wiedział, że są na tym świecie argumenty i racje ważące jak młyńskie kamienie, są też i takie z pozoru poważne, a w istocie lekkie niczym łabędzie piórka. Dla niewprawnego oka jedno i drugie wydawały się identyczne. A reszta była rzeczywiście kwestią sofistyki.

Sto tysięcy ludzi wstało jednocześnie i zgodnym, rozdzierającym uszy wrzaskiem uczciło zwycięstwo Pompejusza Epafroditusa, czołowego woźnicy klubu „zielonych”, który po zwycięskim biegu wykonywał swą bigą triumfalną rundę wokół Circus Maximus, wyciągniętą ręką pozdrawiając swych wielbicieli. Dla zgromadzonych w cyrku Rzymian był w tej chwili najważniejszym człowiekiem na świecie, herosem dorównującym bogom olimpijskim. Stojący bliżej widzowie rzucali mu gałązki wawrzynu, damy zaś karteluszkami z wyrazami uwielbienia i, kto wie, może propozycjami schadzki. Prowadzący igrzyska edyl, zgrzybiały, ale dość jeszcze zwawy staruszek, zniecierpliwiony przedłużającą się ceremonią, dał znak nakazujący Pompejuszowi powrót do wozowni. Tłum przywitał to gwizdami i tupaniem, sam Pompejusz, z miną pełną pychy i lekceważenia, pogonił jednak konie i zniknął pod wiodącą do stajen arkadą. Na starcie spiesznie ustawiały się kwadrygi.

– Postawiłeś coś na niego? – spytał Afraniusz, wachlując się kwitem loteryjnym. Upał, choć mniejszy niż dekadę temu, nadal był bardzo dokuczliwy.

– Nie. – Sewer Flawiusz, podobnie jak jego ojciec, słynny z oszczędności, uważał hazard za wyjątkowo głupi sposób tracenia pieniędzy. – Mam ostatnio sporo innych wydatków.

– Rozumiem, Klaudia. – Afraniusz łobuzersko puścił do niego oko. – Czyżbyś bał się losu Polibusa?

– Nie dałem jej jeszcze ani sestercji – odparł Sewer i pomyślał naraz, że to naprawdę bardzo dziwne: kurtyzana, która świadczy usługi i nie żąda przy tym pieniędzy. Nigdy o czymś podobnym nie słyszał.

Gal patrzył na niego z dość dwuznacznym uśmiechem, kryjącym głębokie doświadczenie. W końcu karierę złotego młodzieńca zaczął znacznie wcześniej od Sewera.

– Od razu widać, że nie znasz kurtyzan – powiedział, jakby czytając w jego myślach. – Obrala starą jak świat taktykę, po prostu czeka, aż wenedyjski niedźwiedź

rozsmakuje się w jej miodzie. Rachunek będzie potem i, wierz mi, z pewnością nie zapomni go wystawić.

Sewer prychnął lekceważąco i nie mając ochoty kontynuować tej rozmowy, popatrzył na cyrk: publiczność usiadła już na swoich miejscach i oczekiwała na kolejną gonitwę. Z miejsc senatorskich miał doskonały widok na cały, blisko półmilowy tor. Na spinie podniesiono właśnie siedem delfinów, znak, że za chwilę kwadrygi ruszą do siedmiu okrążeń. Rydwany stały już na linii startu, a woźnice z trudem powstrzymywali wyrrywające do przodu rumaki. Prowadzący zawody edyl dał znak białą chorągwią i konie ruszyły z kopyta. Na czoło od razu wysunął się Diokles, faworyt „czerwonych”. Z tym, że deptał mu po piętach Polidox, gwiazda „niebieskich”. Dwaj pozostali, reprezentujący stronnictwa „białych” i „zielonych”, od razu znaleźli się z tyłu, wyraźnie nie liczyli się w tym biegu. Wyglądało na to, że nagrodę weźmie któryś z dwóch pierwszych – tak też osądził i tłum, błyskawicznie dzieląc się na dwie partie, każda kibicowała jednemu z woźniców. Hałasował zwłaszcza plebs, przewalający się w dolnych trybunach i nie przebijający specjalnie w słowach. Nawet do położonych dość wysoko ław senatorskich dochodził bijący od niego odór czosnku, potu i taniego wina. Sewer skrzywił z niesmakiem usta; mimo to wyścigi były jednak znośniejsze od walk gladiatorских, wprawiających zwykle tłum w ekstatyczny, krwiożerczy szal. Nie pochwalał tej publicznej rzeźni, zniesmaczony wzorem klasycznych filozofów i estety, chociaż od czasów Juliana gladiatorstwem mogli się zajmować wyłącznie ludzie wolni. Ale to, że na arenie zarzynali się ochotnicy, wcale nie podnosiło w oczach Sewera estetyki widowiska. Wolał klasyczne greckie olimpiady, przepojone czystym, bezkrwawym duchem rywalizacji.

Opuszczono drugiego delfina. Obie kwadrygi szły łeb w łeb, woźnice niczym oszalali okładali spienione grzbiety rumaków. Doping tłumy stał się wręcz ogłuszający, ludzie wyli tak przeraźliwie, jakby od zwycięstwa faworyta zależało ich życie. Smród bijący z ławek rozochoczonego plebsu także wzmógł się znacznie, toteż Sewer prawie że poczuł wdzięczność do jednego z szambelanów dworu, powszechnie szanowanego Prudencjusza, gdy ten przecisnął się do ich miejsc i kazał mu bez zwłoki iść za sobą. Zmierzała w górę, do łoża cesarza.

Wznoszący się na palatyńskiej stronie cyrku pulvinar nie był właściwie łożem, lecz raczej osobną budowlą. Płaski mannurowy podest, kryty dachem podpieranym od frontu przez dwie tylko kolumny, dawał panoramiczny widok na cały cyrk i spory kawałek Rzymu dookoła. Z tyłu, od Palatynu, postawiono pojedynczą ścianę, w której znajdowało się wejście do łoża, strzeżone przez najwierniejszych pretorianów. Tam też zaprowadził go szambelan i polecił czekać. Sam zniknął wewnątrz pulvinaru. Trwało to dosyć długo, aż spuszczone ostatniego delfina; dopiero wtedy Prudencjusz wrócił i kazał mu wejść. Cesarz siedział w łożu sam; zwykle nie miał tego w

obyczaju, ale widocznie pragnął porozmawiać z nim bez świadków, co nie wróżyło nic dobrego. Sewer stanął obok jego krzesła i razem obejrzeni zwycięstwo Dioklesa.

– Straciłem zatem tysiąc sestercji – odezwał się gniewnie Julian. – Przeklęty Polidox i te jego chabety.

Sewer milczał, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

– No cóż, mój cnotliwy Wenedo, nie pochwalasz pewnie hazardu. – Cesarz obrócił się ku niemu i spojrzał przenikliwie spod krzaczastych brwi, a kiedy Sewer nadal milczał, nie bardzo pojmując, ku czemu Julian zmierza, dodał z przekąsem: – Wiesz, że zowią cię Milczącym Flawiuszem? I, prawdę mówiąc, jak na mój gust, wydajesz się zbyt milczący – zupełnie tak, jakbyś coś przed nami ukrywał...

– Wasza Cesarska Mość, ja... – zaczął Sewer gwałtownie, ale Julian podniósł błyskawicznie do góry prawą rękę, co oznaczało, że należy go słuchać bez komentarzy.

– Oczywiście powiesz mi, że wygłosiłeś kilka mów w senacie. Racja, przejrzałem je dość dokładnie. I wiesz, co odkryłem? Że absolutnie wszystkie prócz mnóstwa napuszonych frazesów i dobrze brzmiących ogólników nie zawierają ani jednej myśli, którą można by uznać za twą, szlachetny Flawiuszu, oryginalną własność. Tak, Flawiuszu, też byłem tym zaskoczony – dodał, widząc jego zmieszaną minę.

„A tak ciężko pracowaliśmy nad banalną płaskością tych senackich oracji” – pomyślał Sewer. „Okazuje się, że na próżno”.

Julian przestał mówić i czas jakiś obserwowali start kolejnej gonitwy, tym razem tryg, dość osobliwie zaprzężonych, w każdym bowiem wozie dwa boczne konie były hebanowoczarne, a środkowy biały jak mleko. Rumaki, widać podrażnione wypełniającym cyrk gwarem, zarzucały niespokojnie łbami i nie pozwalały ustawić równo rydwanów na linii startu, mimo przekleństw i batów szczerze wydzielanych przez zdenerwowanych zawodników. Cesarz spoglądał na to obojętnie, widocznie tej gonitwy nie obstawiał.

– Taki erudyta jak ty, mój Flawiuszu – zaczął znowu po chwili – zapewne wie, że był kiedyś człowiek, który za dużo milczał. Nazywał się Trazea Petus i doprawdy źle skończył. Przesadził, jak sądzę. Czasami milczenie może być donośniejsze od najgłośniejszego krzyku, nie sądzisz?

Sewer poczuł, jak po kręgosłupie maszerują mu stada lodowatych mrówek. Zacisnął spazmatycznie zęby, bojąc się, że zaraz usłyszy ich dzwonienie. Gwałtownie zapragnął też usiąść, ale na całym podeście poza cesarskim nie było żadnego krzesła czy stołka. Julian uważał, że na stojąco ludzie wyrażają się zwięźle i trafniej, a i słuchają o wiele uważniej.

– Słyszałem, że ostatnio często zadajesz się z Galami i Brytami – kontynuował jakby bez związku cesarz. – Chadzasz na kontrowersyjne wykłady filozoficzne,

bywasz na ucztach z Afraniuszem i Lentullusem. Właściwie to powinienes brać z nich przykład: ci z pewnością sobie nie żalują, zawsze mają coś do powiedzenia, zwłaszcza o sprawach, które nie powinny ich obchodzić. Pragną nowinek, zmian, a tu już powinienes, mój ostrożny Flawiuszu, uważać, przecież, jak powiadają w Rzymie, co Gal wymyśli, to Weneda polubi, he?

Tym razem Sewer nie miał ochoty na polemikę, obracał za to w myślach najordynarniejsze wyzwiska, głównie zresztą pod swoim adresem. To, że z Afraniusza spiskowiec jak z niego kapłan Astarte, spostrzegł jakiś czas temu. Nie przypuszczał jednak, że Julian jest aż tak dokładnie poinformowany, bo że cesarz wiedział więcej, niż mówił, to było jasne od początku. „Ktoś musiał donieść” – przemknęło mu panicznie przez głowę. „Któryś z tych młodych durniów? A może ten grecki sofista, niewątpliwie duchowy filar konspiracji? Kto jeszcze był na tej przeklętej uczcie?”

I wtedy, zupełnie bez związku, pomyślał o Klaudii i aż drgnął, uderzony nagłym skojarzeniem. No tak, przecież to proste – kurtyzana i Tajna Służba, trudno o bardziej dobrane zbójce małżeństwo. Niespodziewane i nad wyraz gwałtowne zainteresowanie Klaudii jego osobą wydało mu się teraz dziwne i podejrzane, mogła przecież bez trudu zdobyć łatwiejszych i bogatszych wielbicieli, w samej Italii znalazłoby się ze stu posażnych magnatów. Po co zatem jej skromny senator i dziedziczny namiestnik Wenedii, dalekiego i dzikiego kraju, gdzie podobno do tej pory, jak gadają rzymskie przekupki, żyją ludzie z psimi głowami? Dlaczego właściwie go uwiodła? Na pewno nie dla pieniędzy i prestiżu... Chyba że ktoś kazał jej to zrobić. Na przykład po to, aby dowiedzieć się, co naprawdę ów milkliwy Weneda myśli. A kto jest najbardziej ciekawym świata i ludzi człowiekiem w Rzymie?

– Ta wasza ustawa o senatach prowincjonalnych wydaje mi się wielce niefortunna. – Cesarz klasnął w dłonie i w loży zjawił się podczaszy z dzbanem i kielichami. – Napijesz się może wina? – zaproponował uprzejmie, ale Sewer odmówił ruchem głowy, przez jego ściśnięte przerażeniem gardło nie przeszłaby ani kropla. – Szkoda, to słoneczny, tokański rocznik. Wróćmy jednak do ustawy, mógłbym ją oczywiście zawetować, ale to tylko woda na galijski młyn. – Upił łyk wina i oddał kielich podczaszemu. – Przez pół roku byłby wrzask o cesarskim despotyzmie. Galijski kogut by się jedynie na tym utuczył. Postanowiłem tedy, że zrobimy inaczej: wniosek o oddalenie ustawy postawi ktoś, kogo powszechnie uważa się za sympatyka autorów i kto jednocześnie zyskał sobie autorytet demonstracyjną neutralnością, manifestowaną przez wielkie trazeailskie milczenie. Czas najwyższy, aby wenedyjski Trazea przemówił. I opowiedział się, po której właściwie jest stronie.

Cesarz popatrzył znowu na niego z uwagą, a Sewer odczuł to spojrzenie jak

przywalenie kolosem Memnona. Na ustach Juliana błąkał się okrutny uśmieszek, taki sam, jaki czasami widywano u niego w czasie igrzysk, gdy gladiator, omotawszy przeciwnika siecią, szykował się do poderżnięcia mu gardła. Ale Sewer wiedział, że za tym manifestacyjnym okrucieństwem stał cuchnący, zwierzęcy strach zagrożonego samowładcy. Julian nie miał konkretnych dowodów przeciwko grupie Afraniusza – donosy z pijackich orgietek nie wystarczały – dlatego chciał wbić w nią klin, temu celowi służyło zmuszenie go do zgłoszenia w senacie samobójczego wniosku. Sewer pojął, że dał się wciągnąć w miażdżące tryby imperialnej polityki, czego tak starannie unikał od chwili przybycia do Rzymu. I to było w tym wszystkim najgorsze.

– Z twego milczenia wnioskuję, że się zgadzasz. Ciesz się ten przejaw rozsądku, do zobaczenia zatem na najbliższym posiedzeniu senatu. – Julian podał mu łaskawie upierścienioną dłoń do pocałowania. Audiencja dobiegła końca.

Do wcale nieodległych ław senatorskich Sewer wracał dość długo, nie mogąc otrząsnąć się z szoku. To, co powiedział mu Julian, było w istocie niczym innym jak formalnym ultimatum. Nie bez kozery powoływał się na Trazęę Petusa i jego smutne losy. Bardziej to zapewne zdaniem cesarza przemawiało do wyobraźni niż ordynarne, sformułowane wprost pogrożki. Z drugiej strony, jeśli Julian myślał i w innych rzeczach naśladować Domicjana, to i jego cezariański, purpurowy kres mogło wyznaczyć siedem spiskowych sztyletów.

Gdy usiadł już na swoim miejscu, poczuł na sobie pytający wzrok Afraniusza. Gal przyglądał mu się bacznie, wyraźnie zaniepokojony marnym wyglądem przyjaciela.

– O czym rozmawiałeś z cesarzem? – zapytał lekko drżącym głosem. Nie trzeba było wielkiej głowy, aby domyślić się najbardziej prawdopodobnego tematu rozmowy.

– O wyścigach – odparł Sewer i porwał od przechodzącego sługi dzban wina. Pił długo i łapczywie, nie mogąc się nasycić.

– I do jakich doszliście wniosków? – niecierpliwił się Afraniusz.

– Że tak naprawdę to każdy bieg rozstrzyga się w czasie ostatniego okrążenia. – Odstawił prawie opróżniony dzban i poczuł, że za chwilę będzie zupełnie pijany.

Edyl opuścił chorągiew i na tor wpadły cztery gnające na złamanie karku kwadrygi.

Miotał się po gabinecie niczym tygrys w klatce. Dwanaście kroków po przekątnej, potem osiem pod półkami ze zwojami, skręt w prawo, dziesięć kroków pod oknem, rzut oka na termy, wyjątkowo dzisiaj zatłoczone i hałaśliwie, i z powrotem po przekątnej. Kolejna fala upału zastygła nad miastem, gęsta i mokra, zatykająca dech na podobieństwo świeżo wyrobionego ciasta – w takiej też postaci

zar wlewał się przez okno. Myślał przez chwilę, aby kazać je zasłonić mokrym sukniem, ale to dawało efekt mocno pozorny, jako że pokój zmieniał się wówczas w rozpalony garnek z parą. Klasnął w dłonie i wszedł służący z napojami chłodzącymi, ale i z tego w końcu zrezygnował: dzisiaj napitki zamiast zaspokajać, tylko podniecały jego pragnienie. Lucjusz wiercił się za pulpitem i zręcznie symulował, że pracuje, z udaną pilnością skrobiąc coś na karcie pergaminu. Sewer zatrzymał się i popatrzył na niego z zastanowieniem.

– Mam coś dla ciebie – oznajmił, pstrykając palcami. – Takie małe ćwiczenie w sofistyce. Napiszesz mi na jutro mowę, w której wyłożysz przedwczesność, a nawet i szkodliwość ustawy o senatach prowincjonalnych.

– A niech to! – Oko Lucjusza błysnęło w nagłym zrozumieniu. – A więc o to wczoraj poszło.

– Jeśli się dobrze sprawisz, majordomus wypłaci ci tysiąc... – zawahał się, widząc mało zachwyconą minę sekretarza; Lucjusz narobił ostatnio trochę kościanych długów. – No dobrze, dwa tysiące sestercji, ma to być jednak majstersztyk!

– Cóż to dla nas, sofistów. – Lucjusz, który, o czym Sewer doskonale wiedział, mimo rozmaitych zastrzeżeń gorliwie uczęszczał na wszystkie wykłady Andronikosa, wzruszył ramionami i sięgnął po nową kartę. – Naprawdę tego właśnie chciał cesarz? – spytał, nie podnosząc głowy.

Sewer stał nieporuszony przy oknie, ignorując to pytanie. Z utęsknieniem czekał na koniec upalnego dnia i tych parę godzin ulgi, jaką miała przynieść noc. Noc w ramionach Klaudii. Jaka szkoda, że jest teraz w Ancjum... „Przeklęta dziewczka” – mruknął pod nosem. Na dobrą sprawę powinien bez zwłoki z nią zerwać, ale to wzbudziłoby natychmiast podejrzenia Tajnej Służby. Wnet podsunęliby innego agenta, albo, co pewniejsze, usiłowałiby groźbą i prośbą przekabacić kogoś z jego otoczenia. Poza tym mógł ją wykorzystać jako kanał dezinformacyjny, skoro już został wciągnięty do gry. No i sama Klaudia... Prawdę mówiąc, przestał się dziwić Polibusowi, że dla niej oszalał. Była rzeczywiście urodzoną kurtyzaną, oddającą się zawodowi z pasją i zapamiętaniem bynajmniej nie udawanym, sztukę miłosną opanowała zaiste perfekcyjnie. O czym zdążył się dowodnie przekonać.

Do gabinetu wkroczył Rutyliusz, z dość dziwną, jak na biegłego przecie majordomusa, miną. Przez chwilę milczał niezdecydowanie, potem długo chrząkał, jakby nie wiedząc, co powiedzieć.

– Panie – zaczął w końcu. – Zgłosił się jakiś oberwaniec i twierdzi, że musi się z wami widzieć. Kazał to oddać. – Podał na wyciągniętej dłoni ośniedziały miedziany pierścień. – Czy mam go wyrzucić?

– Nie – powiedział wolno Sewer, patrząc na pierścień i nie wierząc własnym oczom. – Przeciwnie, natychmiast go tu przyprowadź.

Majordomus zniknął i po chwili wrócił z młodym, opalonym człowiekiem o pociągłej, szlachetnej w wyrazie twarzy i w mocno przykurzonym i przetartym odzieniu. Majordomus stanął pod ścianą, gotów w razie potrzeby do interwencji, ale Sewer odprawił go ruchem ręki. Nie chciał mieć żadnych zbędnych świadków następnej sceny.

– Skąd to masz? – zwrócił się do oberwańca, stojącego bez ruchu przy drzwiach.
– Kto ci to dał?

– Mogę rozmawiać jedynie w cztery oczy i wyłącznie z potomkiem i spadkobiercą księcia Wenedów, szlachetnego Dagona – odparł nieznajomy, w jakimś dziwnym i zarazem archaicznym metrum, jakiego nikt już nie używał, z wyraźnym podziałem na głoski długie i krótkie. Ostatni raz tak się mówiło może za czasów Apostaty, potem iloczias stopniowo zanikł zupełnie – tak przynajmniej twierdzili gramatycy.

– Masz go przed sobą – odrzekł powoli Sewer. – A przed moim sekretarzem, Lucjuszem, nie mam żadnych tajemnic.

– Jak sobie życzysz, panie, Jestem Tytus Aureliusz Wiktor, pierścień zaś otrzymałem od przełożonego mojej gminy, biskupa Cypriana, jedyne apostolskiego przewodnika naszego Kościoła.

Sewer i Lucjusz popatrzyli na siebie w niemym zdumieniu, nie wierząc własnym uszom. Potem Sewer jeszcze raz starannie obejrzał pierścień. Był to pieczętkowy sygnet ze stylizowaną mitrą książęcą i wyraźnie widocznym na owalu napisem DAGOME DUX. Podał go Lucjuszowi.

– Sprawdź to – polecił.

Lucjusz też starannie obejrzał sygnet, potem sięgnął na najwyższą półkę i wziął stamtąd podłużną skrzynkę z woskowanego drewna. Położył ją na pulpicie i wyciągnął ze środka dwa pergaminowe rulony, opatrzone pieczęciami. Wyjął też kawałek laku, a służący przyniósł mu lampkę oliwną. Sekretarz nakapał na czystą kartę roztopionego laku i odcisnął w nim przyniesiony przez przybysza sygnet. Później długo porównywał odciski – ten z karty i te przy rulonach.

– Nie ma wątpliwości – odezwał się wreszcie. – To ten sam pierścień.

– Tak – powiedział w zamyśleniu Sewer. – Chyba nie ma sensu dłużej ukrywać, że mój przodek, sławny Dago, był chrześcijaninem. W czasie, gdy wybuchła antyrzymska rabacja, przebywał w Antiochii. Nie chciał użyć do tłumienia rebelii wenedyjskich legionów, dlatego mu je odebrano, wraz z mitrą książęcą. Julian tylko tym się zadowolił, pomny na jego dawniejsze zasługi: Dago uratował mu życie pod Adrianopolem, podczas bitwy z Wandalami. To wtedy w akcie zrzeczenia zastrzegł, że rzymskim namiestnikiem Wenedii może być jedynie człowiek pochodzący z jego rodu, co mu Julian obiecał solennie w imieniu swoim i następców. Sama książęca

sygnetowa pieczęć gdzieś zaginęła, choć druga wersja rodzinnego podania mówi, że komuś ją podarował.

– Pierścień otrzymał biskup Sylwaniusz, który potajemnie odwiedził księcia. Książę Dago przyrzekł, iż każdy z jego rodu, komu zostanie on okazany, udzieli pomocy okazującemu – uzupełnił z kamienną twarzą młody człowiek nazywający siebie Tytusem. Sewer przyglądał mu się z namysłem.

– Jesteś zatem chrześcijaninem – stwierdził raczej, niż zapytał. – To nad wyraz ciekawe. Zauważ, Lucjuszu, jak to sypnęło nam chrześcijanami, niczym z rogu obfitości – najpierw ci w Calisji, teraz ten tutaj. Ciekawe, gdzie się jeszcze uchowali? Ale tego pewnie nasz gość nie zechce powiedzieć?

– Teraz to żadna tajemnica – odparł Tytus. – W Nipu.

Gdyby powiedział, że na Księżycu lub wśród Hiperborejczyków, nie wywołałby podobnie piorunującego wrażenia. Sewer i Lucjusz znowu na siebie popatrzyli i nagle wybuchnęli niepohamowanym śmiechem. Zginali się w pół, miotani kolejnymi atakami zaraźliwego chichotu. Tytus obserwował ich ze spokojem i godnością, niczym widz patrzący na igrające w wiwarium małpy. Pierwszy opanował się Sewer.

– Przyjacielu – zwrócił się do Tytusa, tłumiąc usilnie rechot. – Jeśli nie chcesz, to nie mów, jednakże nie opowiadaj nam bajek. Gdzie Rzym, gdzie Krym? Rok przeszło temu rozmawiałem przecież z księciem Tsuomi i... – Nagle błyskawicznie otrzeźwiał. Przypomniał sobie, o czym rozmawiali. – Na Cerbera, gadaliśmy też o chrześcijanach! Bardzo był zainteresowany doktryną i dziejami sekty.

Oparł się o ścianę, tamta scena stanęła mu jak żywa przed oczyma. O chrześcijanach wymienili zaledwie parę słów, Sewer wyraźnie nie orientował się w temacie, mając go za zupełnie historyczny i mało interesujący. Potem książę wspomniął o zamiarze podróży do Galii, a następnie Wenedii. Czy to wtedy powiedział mu o Quietusie? Cała sprawa z tą chwilą nabierała dziwnego kontekstu, którego z pewnością nie można było lekceważyć.

– Dobrze, załóżmy, że mówisz prawdę – zwrócił się do Tytusa. – Nie wnिकam teraz, jak to możliwe i jakim sposobem tu przybyłeś, to na potem. Pierścień niewątpliwie jest prawdziwy, zatem mów, czego ode mnie żadasz?

– Dla siebie i mojego Kościoła już niczego – powiedział Tytus z niespodziewanym smutkiem. – Chodzi tu o was, o ludy i kraje Zachodu, którym grozi nieuchronna zagłada. W Nipu obecnie trwają ogromne przygotowania wojskowe, zgromadzono wielką armię i flotę, które lada moment uderzą na Rzym.

Tego to nawet się trochę Sewer spodziewał. Mimo udanej z pozoru misji księcia Tsuomi, deklarującego w imieniu cesarstwa Nipu chęć przystąpienia do Pax Romana, czytywane przez niego raporty z Cattigary donosiły o coraz sztywniejszej postawie Nipuańczyków, wyraźnie zmierzających do zamrożenia stosunków z Rzymem.

Ostatni list informował, że posłowie nipuańscy opuścili swoje przedstawicielstwo na Formosie. Wydawało się to całkowicie nielogiczne.

– Ale dlaczego? – spytał. – Jaki jest powód?

– To oczywiście – odpowiedział nie Tytus jednak, lecz Lucjusz. – To ma być zemsta, odwet za Apostatę.

– Nie inaczej – potwierdził Tytus. – Zemsta wypędzonych, nowa, stokroć od poprzedniej straszniejsza wojna o krzyż.

W chwili, gdy padły te słowa, do gabinetu zajrzał majordomus z wiadomością, że przyszedł posłaniec od dostojnej Klaudii, która przybyła właśnie do miasta i chętnie ujrzałaby szlachetnego senatora dzisiejszego wieczoru. W pierwszym porywie Sewer chciał go odesłać w objęcia Plutona, ale na szczęście w porę się zmytygował. Gra stawała się coraz poważniejsza i niczego nie wolno mu było zaniedbać.

– Powiedz mu, że dziś zajmują mnie sprawy wagi państwowej, stąd nie mogę być w jej dyspozycji, ale za kilka dni chętnie spędzę z nią trochę czasu w Ancjum, dlatego niech najlepiej zaraz tam wróci. Zaczekaj jeszcze – powstrzymał majordomusa, który zbierał się do odejścia. – Ten oto człowiek jest moim gościem. – Wskazał na Tytusa. – Masz go nakarmić, wykapać i dać nowy, porządny przydzwiek. Potem przyprowadź go z powrotem do mnie. Bez dyskusji – uciał, widząc gniewną minę starego sługi, niezadowolonego z konieczności goszczenia przybłądy.

Kiedy obaj wyszli, odwrócił się do okna i stwierdził z ulgą, że wreszcie nieco się ochłodziło. Nad Wieczne Miasto nadciągały znad morza pasma brunatnych chmur, przesłaniając rozpalone słońce. Wyglądało na to, że w nocy spadnie deszcz, jeśli wiatr ich wcześniej nie rozpędzi. Pierwszy jego podmuch poczuł właśnie na twarzy.

– Tak, Tytusie... – mruknął do siebie i głęboko odetchnął wreszcie chłodniejszym powietrzem. – Musimy sobie dużo opowiedzieć. Bardzo dużo – przeszło trzy wieki.

Sala posiedzeń senatu huczała wrzawą podniesionych głosów, co się już dawno nie zdarzało w tym szacownym gremium. Obydwa stronnictwa, „Kwiryci” i „Prowincjałowie”, naradzały się gorączkowo, zliczając zwolenników i usilnie kaptując niezdecydowanych. Tu wielką aktywność wykazywali Afraniusz i Lentullus, w gorliwym zapale nagabując nawet co niektórych zatwardziały „Kwirytów”. W gruncie rzeczy wynik głosowania nad ustawą wciąż był niepewny. Przed posiedzeniem Afraniusz po raz kolejny zapewnił Sewera, jak wiele zależy od jego głosu i autorytetu. Wenedyjski dziedziczny namiestnik cieszył się niewytłumaczalnym na dobrą sprawę mirem wśród części konserwatywnych senatorów. Zapewne grał tu dużą rolę jego do niedawna umiarkowany styl życia, kontrastujący z hulankami innych młodych członków senatu. Jawne poparcie Sewera dla ustawy zachwiałyby stanowiskiem niektórych i na to Afraniusz w znacznej mierze

liczył.

Sam potencjalny bohater dnia siedział spokojnie na swoim miejscu, wcale nie przejęty dookólnym harmiderem, dokładnie wiedząc, co robi. Całą noc spędził na szczerzej rozmowie z Tytusem: rewelacje objawione przez przybysza wstrząsnęły nim do głębi. Kiedy znużony gość zasnął nad ranem, wypracowali z Lucjuszem nowe stanowisko, które wedle ich rozeznania powinno doprowadzić do zawieszenia sporów i skupienia się nad najważniejszą dla imperium sprawą. „Jaki Rzym jest, każdy widzi, ale to ciągle nasza łajba i wszyscy w niej płyniemy” – podsumował Lucjusz, gdy już przepisana mowę chował do tubusa. Sewer też się zgodził, że na razie innego nie mają. W pełni oddawał to tytuł przemowy. „Ratujmy nasz dom!”

Gwoli sprawiedliwości winien żywić do losu wdzięczność za przybycie Tytusa. Dzięki niemu, a właściwie wieściom o nipuańskiej inwazji, mógł w miarę bezpiecznie wywinąć się z zastawionej przez Juliana pułapki, w której ugrzązł po części przez własną nieostrożność, a po części przez niepomysłny zbieg okoliczności – wpadł między Juliana a secesjonistów tak jak okruch ziarna między młyńskie żarna. Cokolwiek by uczynił, i tak zostałyby starty na proch. Na szczęście zjawił się Tytus, jakby zesłany przez sprzyjających bogów, dzięki czemu Sewer mógł wreszcie wykonać własny ruch w tej parszywej grze.

W przygotowanym wystąpieniu proponował odłożenie na czas nieokreślony dyskusji nad projektem ustawy o senatach prowincjonalnych, a zamiast tego żądał natychmiastowego zajęcia się problemami obronności, zwłaszcza położonych najdalej na Wschodzie faktorii i domen. Sprytnie przy tym wyzyskał ostatnie wieści z Cattigary, niedwuznacznie sugerując, że od strony Nipu można się spodziewać kroków co najmniej nieprzyjaznych, jeśli nie wręcz próby przejęcia samej kolonii, wraz z pobliską Taprobane, wyspą-bazą o kapitalnym znaczeniu dla rzymskiego Najdalszego Wschodu.

Sewer nie zamierzał sformułować wprost ostrzeżenia przed inwazją, ponieważ nie miał na to żadnych dowodów, poza, oczywiście, osobą Tytusa. Jednakże pomysł postawienia przed senatem chrześcijanina z Nipu uprzedzającego przed chrześcijańską nipuańską inwazją wydawał mu się zbyt ryzykowny, choć nie wykluczał tego posunięcia jako kroku zupełnie już desperackiego. Najprawdopodobniej znacznie rozsądniej byłoby przedstawić Tytusa najpierw wąskiej grupie najświetlejszych, a dopiero potem samemu Julianowi.

We wnioskach praktycznych proponował wysłanie do Cattigary i na Taprobane po jednym legionie, z odpowiednią liczbą okrętów. Na wszelki wypadek, ponieważ nie znano potencjału wojennego ewentualnego przeciwnika, sugerował też mobilizację i uzupełnienie stanów w armiach Syrii i Mezopotamii. Nie od rzeczy byłoby też podniesienie ogólnych wydatków wojskowych i przeprowadzenie w

pozostałych prowincjach przeglądu twierdz i innych urządzeń obronnych. Mimo iż użyte przez niego sformułowania brzmiały w miarę niegroźnie, w rzeczywistości oznaczały częściową mobilizację. I o to Sewerowi chodziło.

Zbliżała się pora wejścia cesarza, woźni wzmożonym klekotem kołatek przywoływali senatorów do porządku i zajmowania miejsc. Wszedł Julian, dziwnie zdawkowy, ale i zarazem energiczny, złożył symboliczną ofiarę na ołtarzu Kybele i ogłosił rozpoczęcie obrad. Jeden z sekretarzy przeczytał porządek posiedzenia, wystąpienie Sewera przewidziano na samym początku. Kiedy Julian łaskawie udzielił mu głosu, senatorskie głowy jak nakręcone obróciły się w jego kierunku. Zwłaszcza Afraniusz patrzył nań ufnym wzrokiem, pewien, że otwarte poparcie Sewera załatwi sprawę. Gdy otwierał puszkę z mową, zerknął ukradkiem na cesarza. Julian oparł łokieć o poręcz tronu i zdawało się, że patrzy na podłogę, podziwiając mozaikę z boginią Fortuną, Sewer zauważył jednak nieznaczny, drapieżny uśmiezek, plątający się w kąciakach sardonicznie wykrzywionych ust. Rozwinął pergamin i chrząknął parę razy, chcąc lepiej nastroić gardło. Już miał zacząć inwokację, poświęconą Kybele, matce-opiekunce Rzymu, kiedy w głębi kurii powstał jakiś hałas. Na salę posiedzeń wkroczył prefekt pretorianów, Wibliusz Kurcjusz, w pełnej bojowej zbroi. Nad senatem uniósł się szmer niezadowolonych głosów, równy we wszystkich frakcjach. Nawet Julian, jawnie niekiedy lekceważący czcigodne zgromadzenie, nie odważył się naruszać świętości obrad. Prefekt zignorował nieprzychylny gwar, zdecydowanym krokiem podszedł do cesarza i zaczął mu coś gorączkowo szeptać na ucho. Zebrani na posiedzeniu senatorowie, także ci siedzący najdalej, dostrzegli, jak Julian nagle zbladł jak ściana. Wstał gwałtownie i wyciągnął do góry rękę, dając znak, że chce mówić.

– Senatorowie! – zawołał dramatycznym, łamiącym się głosem. – Ludu Rzymu! Otrzymałem wiadomość, iż wojska cesarza Nipu, łamiąc Pax Romana, napadły i zdobyły nasze azjatyckie dominium, Cattigarę. Zatem wojna!

Gwar ścichł momentalnie – zapadła martwa cisza. Senatorowie patrzyli na siebie w niemym zdumieniu, przerażeni tym, co usłyszeli. Potem hałas wybuchnął z nową siłą, wszyscy mówili do wszystkich. Sewer Flawiusz usiadł powoli, wciąż ściskając w ręku rulon z niepotrzebnym już przemówieniem. „A więc stało się” – pomyślał. „Nipuańska inwazja ruszyła”.

Przymknął oczy i usiłował zachować w pamięci tę właśnie chwilę, rozdyskutowany senat, serdecznych przyjaciół i nienawistnych wrogów, wreszcie sam przedwieczny Rzym w to do niedawna zwyczajne, letnie, skwarne popołudnie. Z całą siłą i jasnością dotarło do niego, że Andronikos ma rację – zbliża się oto czas wielkiej przemiany i nic już nigdy nie będzie takie jak dawniej.

IV. Wyspy

Resztę nocy przeczekał na plaży, w płytkim dołku, który wygrzebał za osłaniającą go przed falami wydumą i wygodnie wymościł grubym, podróżnym płaszczem. Pogryzał oszczędnie kołacz, popijając winem z bukłaka i cierpliwie czekał świtu. Miał w sakwie zapas na cztery, góra pięć dni, głównie jęczmienne placki i suszone ryby, które dostał od Sin Tana; potem będzie musiał coś wymyślić. Zostało mu jeszcze parę aureusów, które spodziewał się zamienić na żywność w najbliższej wiosce. Z tego, co powiedział Seryjczyk, jasno wynikało, że lud na Wyspach znał wartość złota. Noc mijała powoli; tuż przed świtem zasnął, ukołyszany przez szumiące morze. Spał spokojnie, bez koszmarów. Obudził się już o pełnym słońcu, wstrząsany porannym chłodem. Wstał rażno wypoczęty, i przeciągając kości, rozejrzał się ciekawie.

Wokół panowała cisza i pustka, nie słyszał żadnych głosów poza monotonnym szumem morza. Patrząc na linię horyzontu, dostrzegł w oddali niewielki statek, pod jednym tylko żaglem. Wyteżał wzrok, ale nie zdołał rozróżnić żadnych sylwetek na pokładzie. Łódź zresztą zaraz skryła się za pobliskim przylądkiem. Spojrzał z kolei na ląd. Na tym odcinku wybrzeże składało się z szeregu niskich, płasko ściętych wzgórz, których porośnięte morską trawą, kudłate jak grzbiety baranów zbocza schodziły wprost na pas żółtej plaży, wygięty w łuk szerokiej zatoki. Sin Tan mówił mu, że powinien iść na wschód, daleko w głąb lądu, gdzie znajdowały się pola uprawne i wioski tubylców; gdzieś dalej, ale tego Seryjczyk nie był pewien, leżała stolica, którą powszechnie zwano Narą. Marcus żywił nadzieję, iż w końcu znajdzie kogoś, kto mu wskaże do niej drogę.

Postanowił dłużej nie zwlekać, nie wiedział przecież, ile czasu przyjdzie mu się tulać po nipuańskich bezdrożach. Przeszedł kawałek wzdłuż plaży, znalazł pagórek o mniej spadzistym niż inne stoku i bez trudu wdrapał się na wierzchołek. Tam stwierdził, że cała okolica w zasięgu wzroku składa się właściwie z samych pagórków, o różnej wielkości i kształcie, szczęściem przeważnie niewysokich, o łagodnych stokach porośniętych wysoką trawą i gdzieniegdzie kołtuniastym lasem. Drzewa z grubsza wydały mu się podobne do tych, które już widział na Formosie,

choć nie rosły w takiej ilości, aby tworzyć prawdziwie tropikalną dżunglę. Przeprawa przez zielony, parujący gąszcz chyba mu nie groziła, okolica wyglądała na wybitnie wyżynną, na horyzoncie wyraźnie rysowało się pasmo wysokich, ośnieżonych gór. Tyle mu wystarczyło – ruszył śmiało przed siebie, w miarę możliwości pilnując wschodniego kierunku.

Szedł tak bez odpoczynku do południa, niczym zahartowany w trudach legionista. Droga, początkowo łatwa, z czasem stawała się trudniejsza, zwłaszcza niezajomość terenu dała mu się mocno we znaki. Często po przejściu sporego odcinka musiał się cofać, zabrnawszy nad urwisko czy pod zbyt stromy stok. Raz i drugi zatoczył nieświadomie koło, wracając do przebytego już miejsca. Poza tym południowe słońce zaczynało być dokuczliwe: kraj może i był górzysty, ale nadal w strefie tropikalnej. Wreszcie dał za wygraną i nieludzko zmordowany przysiadł pod krzakiem na połoninie rozciągającej się za wierzchołkiem dopiero co pokonanego pagórka; usprawiedliwiony przebytą drogą, sięgnął do sakwy po zapasy. Żując kawałek suszonej ryby, zastanawiał się, co dalej – koniecznie musiał trafić na jakiś uczęszczany szlak, który zaprowadziłby go do ludzkich siedzib. Na razie jednak nie dostrzegał wokół siebie żadnych śladów działalności człowieka, co wydało mu się dziwne: przecież słyszał, że Nipu to kraj raczej ludny i nieźle zagospodarowany. Znalazł się już dość daleko od brzegu, a wciąż nic tego sądu nie potwierdzało, nie trafił na bodaj ślad siekiery na pniaku. Trawiaste połoniny zdawały się zamieszkane wyłącznie przez świstaki i pękate, podobne do kuropatw ptaki.

Westchnął z irytacją i sięgnął po bukłak, w którym zostały może ze trzy łyki wina, kiedy coś poniżej, u stóp wzgórza, zwróciło raptem jego uwagę. Odniósł wrażenie, że dostrzega nieregularną, przerywaną linię, biegnącą dolinką między wzgórzami. To mógł być wyschnięty potok lub... ścieżka! Porwał sakwę i błyskawicznie zbiegł na dół.

To istotnie była ścieżka, nawet dość szeroka, kiedyś – ponieważ teraz ledwo ją rozpoznawał pośród wyrosniętych traw i kolczastych chwastów. Oceniał, że przynajmniej z pół roku nikt tędy nie chodził. Musiała jednak dokądś prowadzić. Stał chwilę niezdecydowany, popatrując na słońce i medytując, w którym pójść kierunku. W końcu poszedł na północny wschód; uznał, że w stronę morza nie ma po co zawracać, a raczej trzeba iść w głąb lądu. Pomaszerował szybko, nie zważając na sięgające kolan trawy i czepiające się krajów chlamidy chwasty.

Najpierw usłyszał odległy szmer płynącej wody. Przystanął zdezorientowany. Dróżka w tym miejscu wiodła skrajem niezbyt gęstego, przeważnie sosnowego lasu, całkowicie zlewając się z poszyciem. Szum wody słyszał z lewej, zza ściany drzew. Trudno było określić, czy to jedynie leśny potok, czy też wreszcie poszukiwana wioska. Chwilę się zastanawiał, nie wiedząc, co czynić, ale ponieważ ścieżka i tak

bezpovrotnie znikła, postanowił zaryzykować i poszukać potoku. W najgorszym wypadku nabrałby do bukłaka wody; z resztką wina dopiero co się pożegnał. Skrecił w lewo i ostrożnie zagłębił się w las. Szedł powoli i uważnie, co chwila przystając i sprawdzając, czy nie zgubił źródła szumu. Odgłos płynącej wody stopniowo się nasilał. Po może stu krokach ujrzał między drzewami pierwsze prześwity, a po następnych trzydziestu stanął na skraju lasu.

Wioska prezentowała się niezbyt okazale, liczyła zaledwie około dwudziestu kwadratowych chałup krytych słomianymi strzechami, ustawionych jednakże porządnie, w równych odstępach wzdłuż szerokiego gościńca. Strumyk, którego szmer usłyszał, płynął, wijąc się leniwie między skrajem lasu, gdzie się zatrzymał, a samą wioską. Na drugim brzegu dostrzegł ustawione na kozłach drewniane rury i koryta, wraz z żurawiovymi czerpakami. Domyślił się w nich urządzeń do nawadniania pól ryżowych, otaczających wieś nieregularną szachownicą. Zaniepokoił się: nikt przy nich nie pracował, podobnie jak na polach, straszących skorupą zaschłego błota. Nie zdołał wypatrzeć bodaj jednej zielonej łodygi ryżu. „Czyżby już po zbiorach?” – pomyślał. Gdy opuszczał Cattigare, zostało do nich ponad miesiąc. Jakoś nie chciało mu się wierzyć, że roślinna wegetacja na Wyspach biegnie o tyle szybciej.

Obserwował dalej wioskowe zabudowania, skryty za pniem drzewa. Drugą niepokojącą rzeczą jawił się brak choćby pojedynczego dymu nad chatami i w ogóle jakiegokolwiek ruchu. Nie mógł dojrzeć ni człowieka, ni zwierzęcia. „Pomór czy co?” – mruknął pod nosem, nie na żarty zaniepokojony. Wiedział, że nawet jeśli wymrą ludzie, to zostają zwierzęta, chociażby niektóre. Chyba że Nipuańczycy odżywiali się tylko ryżem. Popatrywał tak na wioskę może ze dwie kwadry, ale nic się nie zmieniło. Wieś trwała w całkowitym bezruchu. Dalsze sterczenie w lesie straciło sens, postanowił więc naocznie sprawdzić, co się stało.

Przebrnął przez potok i idąc ostrożnie po wąskich, spękanych od upału groblach, oddzielających od siebie poszczególne poletka, dotarł do pierwszych chałup. Były to dość nędzne budowle, idealnie kwadratowe, jak na rzymskie standardy zbyt niskie, bez okien, o ścianach wykonanych z bambusowej plecionki uzupełnionej ryżową trzcina. Zapewne w razie potrzeby dawały się łatwo usuwać czy podnosić. Jedyne widoczny otwór, prostokątne wejście, znajdował się od strony drogi.

Zajrzał ostrożnie do najbliższej z chałup. Na środku glinianej podłogi znajdowało się palenisko, dawno nie używane, parę rozrzuconych bezładnie mat i nieco potłuczonych skorup. Spodziewał się zwłok lub szkieletów ludzi i zwierząt, ale nic takiego nie zauważył. Dom sprawiał wrażenie opuszczonego bez zbytniego pośpiechu, mieszkańcy zabrali ze sobą niemal wszystko, co mogło im się przydać. Tak to przynajmniej na pierwszy rzut oka wyglądało.

Sprawdził na wszelki wypadek trzy następne chałupy, wszędzie znajdując podobny stan metodycznej ewakuacji. Nie bardzo mógł sobie wyobrazić przyczynę tak zupełnego opuszczenia wsi przez mieszkańców. W strumieniu było dość wody, tedy pewnie nie chodziło o suszę. Może rzeczywiście jakaś zaraza?

Zmęczony, usiadł na progu ostatniej chaty, nie bardzo wiedząc, co dalej powinien począć. Miał co prawda przecinający wioskę gościniec, wiodący prosto na wschód, może do samej Nary. Nie mógł się, niestety, w żaden sposób o tym upewnić. Z braku innych pomysłów sięgnął po bukłak, ale przypomniał sobie, że ma w nim tylko nabraną w potoku wodę. „*In vino veritas*” – mruknął smętnie, całkiem już zrezygnowany. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek jeszcze będzie mógł zaczerpnąć z tego źródła prawdy, choć oczywiście wolałby pivo. I wtedy ich zobaczył.

To było pięciu ludzi, zgrupowanych na wschodnim krańcu wioski. Stali nieruchomo, przyglądając mu się bacznie, pewnie od dłuższej już chwili. Wojownicy, to poznał od razu: w czarnych jak smoła, błyszczących zbrojach, jakich nigdy nie widział, złożonych z przylegających do siebie kwadratów i prostokątów, przez co przypominali trochę geometryczne modele pól euklidesowych. Każdy trzymał łuk, miecz o długiej rękojeści i wygiętym kształcie, a także lekką włócznię. Ich płaskie hełmy o szerokiej kryzie zdobiły proste, długie rogi. Marcus odetchnął z ulgą, wstał, otrząsał się z grubsza z kurzu i ruszył wprost ku nim.

Stojący na czele oddziału żołnierz najpewniej był dowódcą, dlatego postanowił zwrócić się najpierw do niego. Wyciągnął z sakwy rulon z listem do księcia Tsuomi, który opatrzył uprzednio znakiem, zupełnie dlań niezrozumiałym układem poziomych i poprzecznych kresek, odrysowanym z lektyki jego żony, pani Taiko. Liczył, że po tym znaku Nipuańczycy poznają adresata.

Spojrzał na stojącego na przedzie wojownika. Wzrok skośnookiego żołnierza uderzył go jak biczem, ciemny i w osobliwy sposób wyprany z najmniejszych śladów emocji, martwy. Nie uczynił żadnego ruchu, patrzył tylko, toteż Marcus podsunął mu pismo pod nos, wskazując palcem na znak. Tamten nadal nie reagował.

– Tsuomi – powiedział Marcus, mając nadzieję, że imię ambasadora cesarza Nipu wymawia w miarę poprawnie. Potrząsnął znacząco zwojem. – Oddaj to księciu Tsuomi.

Wtedy Nipuańczyk coś powiedział, bardzo szybko, co zabrzmiało w uszach Marcusa jak gniewne szczerzenie. Jeszcze raz potrząsnął zwojem, wskazując uparcie palcem wymalowany na nim znak. Wojownik cofnął się i znowu coś powiedział, czego oczywiście Marcus nie rozumiał. Jeden ze stojących z tyłu żołnierzy podbiegł błyskawicznie do niego i zamachnął się drzewcem włóczni. W tym samym momencie Marcusa ogarnęła ciemność.

Ocknął się, czując na twarzy wodę. Ktoś troskliwie ocierał mu czoło mokrą szmatą. Poruszył ostrożnie głową, ale zaraz dał spokój, kiedy czaszkę przeszył na wskroś palący ból. Nieźle mu przyłożyli. Uchylił nieco powieki, ale nie mógł się przebić przez rój wirujących czarnych płatków. Zamknął je z powrotem i parokroć głęboko odetchnął. Pomogło – teraz widział znacznie lepiej.

Znajdował się w niskim, oświetlonym marnym kagankiem pomieszczeniu, o ścianach wykonanych z grubych bambusowych bali, przynajmniej częściowo wkopanych w ziemię, ponieważ przez szpary wyglądał żółty piasek. Wraz z nim przebywało tu koło dwóch tuzinów brudnych i obdartych ludzi, siedzących nieruchomo pod ścianami. Głowy mieli opuszczone na kolana i zdawali się drzemać. Panowała całkowita cisza, przerywana czasem sapnięciem któregoś ze śpiących. Nad nim pochylał się zgarbiony starzec ze szmatą; dopiero w tej chwili spostrzegł, że nie był to Nipuańczyk. Trzęsący się, siwiutki jak gołąb, ale – biały!

Starzec bez słowa pomógł mu się podnieść i oprzeć o ścianę. Marcusowi znowu zawirowało we łbie; sięgnął dłonią do potylicy i wymacał potężnego guza, na szczęście skóra nie została rozcięta. Starzec przyklęknął przed nim i przypatrywał mu się pilnie, nie starając się kryć widniejącego na twarzy zdumienia.

– Kim jesteś, przybyszu? – zapytał wreszcie, widząc, że Marcus dochodzi do siebie. Mówił łaciną, z archaicznym, dziwacznie brzmiącym metrum, jakiego nigdy przedtem nie słyszał.

– Nazywam się Marcus Corejmus Tranquillus – powiedział, pokonując suchość w gardle. – Mógłbym dostać trochę wody?

Starzec sięgnął za siebie i podał mu glinianą czarkę z odrobiną płynu. Woda była stara i cuchnąca, ale mimo to wychylił czarkę do dna.

– Nie znam cię – stwierdził stary, jakby ze zdziwieniem. – Skąd pochodzisz?

– Z Wenedii, a teraz przybywam z Rzymu. – Marcus rozejrzał się jeszcze raz po pomieszczeniu; raczej nie przypominało gospody, choćby i nipuańskiej. Zakonotował przy tym, że reszta obecnych też wyglądała na białych. – Gdzie teraz jestem?

Ale starzec milczał, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Z Rzymu? – spytał. – Jak to możliwe?

– Wysadził mnie na brzegu formosyjski pirat. Co to za miejsce?

– Więzienie prowincji Kii. Kto cię tu przysłał? Pogański cesarz Rzymu? A może nasi bracia z ocalałych gmin?

– Nie – odparł Marcus. – Nikt mnie nie posyłał do Nipu. To prywatne przedsięwzięcie. Przybyłem tu sam, z własnej woli.

– Toś jest chyba szalony. – Starzec cały czas kręcił głową w rosnącym zadziwieniu. – To prawdziwy cud, że pozwolili ci żyć do tej pory.

– A ty, panie, kim jesteś? – zapytał z ciekawością Marcus.

Stary człowiek uniósł głowę dumnie do góry. Chybotliwy płomyk kaganka oświetlił jego pomarszczoną twarz o małych, żywych, ale i nieludzko zmęczonych oczach.

– Jam jest Cyprian, jedyny i ostatni apostołski biskup Nary, a ci tam nieszczęśnicy – wskazał na skulone pod ścianami postacie – to moi bracia w Chrystusie, członkowie gminy, której przewodziłem. Ostatni, jacy pozostali przy życiu.

Biskup przestał mówić i popatrzył w górę, ku niebu widocznemu między rzadkimi belkami sufitu. Światło blednących gwiazd przysłonił jakiś cień – to spacerujący wokół ziemianki strażnik zatrzymał się na chwilę. Potem miarowym krokiem znowu zaczął ją obchodzić dookoła. Do świtu została może godzina.

– Zatem – zrekapitulował Marcus – cała historia zagłady waszego Kościoła zaczęła się w dniu, gdy donatyści zamordowali owego Augustyna?

– Tak było w istocie – biskup podjął przerwany wątek – jedynie Augustyn z Hippony mógł ich powstrzymać, dlatego też go zabili. Zaraz potem, groźbą i prośbą, opanowali chrześcijańskie gminy Afryki, a później Egiptu. Rozpalili w sercach ludzkich fanatyzm i ślepe nienawiść do Rzymu. Upatrywali w cesarstwie źródła wszelkiego zła i żądali wyplenienia go z korzeniami, chcieli starcia imperium z oblicza ziemi. Twierdzili, że na tym właśnie ma polegać Królestwo Boże, które Pan obiecał wiernym. To już przestała być jeno schizma, od której zaczynał Donat, natchniony przez samego chyba Szatana. Podnosząc zbrojne ramię na Rzym, stali się heretykami, zaprzańcami, albowiem prawdziwie apostołski Kościół miał zdobywać świat Słowem i Miłością, a nie mieczem i krwią. Ale zwolennicy Donata wypaczali słowa Chrystusa, wybierając, przekręcając i głosząc wyłącznie te, które im odpowiadały.

– I to oni zbuntowali legiony azjatyckie?

– Nikt inny – potwierdził Cyprian. – Gminy prawdziwie apostołskie nie miały z tym nic wspólnego, ale też i nic nie mogły uczynić, aby zapobiec tej nieszczęsnej rebelii. Donatyści każdy głos sprzeciwu traktowali jako rzucone Bogu wyzwanie i karali okrutnie. A po bitwie antiocheńskiej żołnierze Juliana nie deliberowali, kto jest lub nie jest donatystą. Prześladowania spadły równo na wszystkie gminy.

– A skąd pomysł ucieczki do Nipu?

– O tym wówczas nikt nie myślał i nie wiedział. Biskup Sylwaniusz, jedyny, który ocalał z ówczesnych przewodników gmin chrześcijańskich, zamyślał o wyprowadzeniu z pogromu chociaż grupy wiernych, aby uratować bodaj ułomek, małe ziarno, z którego kiedyś wyrośnie Nowy Kościół. Początkowo zamierzał udać się do kraju Partów...

– Ale dowiedział się o tym Julian.

– Musieli uchodzić dalej, do Baktry. I tam jednak nie zdołali się zatrzymać, a to stąd, że zaraz za nimi nadeszli niedobitkowie rozgromionych donatystów, którzy powzięli podobny do Sylwaniusza zamiar. Przewodził im niejaki Petyliusz, człek głupi i zaślepiony. Zaczął publicznie obrażać baktryjskich Greków, nazywając ich bogów demonami zła, a ich samych czcicielami Szatana.

– I stamtąd musieliście uciekać?

– A jakże, Grecy, podobnie jak żołnierze Juliana, nie rozróżniali nas zupełnie, stąd przegnali wszystkich i musieliśmy uchodzić do Indyj, w których gorzała wówczas wielka wojna między królestwami Kosala i Magatha. Nie mogliśmy tam osiąść.

– Potem była Cattigara?

– Przez jakiś czas, mniej niż jedno pokolenie, żyliśmy spokojnie na Taprobane, pośród dobrego ludu Syngalów, aż doszły nas wieści o rzymskich galerach u brzegów Gedrozji. To nas pchnęło do dalszej wędrówki, na wschód, a za nami, niczym chciwe łupu wilki, ciągnęły gromady donatystów.

– Na Wyspy przybyliście razem z owymi donatystami?

– Okoliczność ta okazała się największym naszym nieszczęściem, i nie tylko naszym, niestety. Odczuł to cały lud tej krainy, z natury łagodny i spokojny, który wraz z przyjściem rzymskich wygnańców został wydany na pastwę Szatana. Wiedz bowiem, Marcusie, że przynieśliśmy ze sobą trąd!

– Nie bardzo pojmuję...

– Początkowo obie grupy zostały przyjęte jednakowo przychylnie. Nipuańczycy, a właściwie dwór tutejszego cesarza, bardzo byli ciekawi przybyszów z dalekich krajów oraz tego, co mają do opowiedzenia. Bardzo też byli zainteresowani naszą wiedzą, wielu bowiem mieliśmy wśród nas mężów uczonych i zręcznych rzemieślników, a to stąd, że dbaliśmy, aby syn po ojcu dziedziczył nie wyłącznie imię, ale i wiedzę. Tym dawano chętnie zatrudnienie przy budowie dróg i mostów, a także pałaców dla arystokracji. Nipuańczycy, poza nielicznymi znawcami seryjskich hieroglifów, nie znali szerzej pisma, tedy zadziwiły ich płynące stąd pożytki. Jeden z naszych uczonych w piśmie, Hieronim, wyuczył się szybko ich języka i po wielu próbach ułożył dla niego alfabet, z greki i łaciny czerpiący. Podniosło nas to wielce w oczach cesarza, który okazywał nam otwartą już przychylność, a wraz z nim czyniła to znaczna liczba związanych z dworem rodów arystokratycznych.

– Cóż po tak pomyślnym przyjęciu zamierzaliście dalej?

– Biskup Sylwaniusz, a żył wówczas jeszcze, myślał, że pobyt nasz w Nipu będzie tymczasowy, że gdy prześladowania w Rzymie ucichną, zaistnieje możliwość powrotu – i przedtem wszak prześladowano Kościół, i zawsze prześladowania te

mijały jak gradowe burze. Sylwaniusz sądził, że tak będzie i tym razem. Dlatego też zabraniał nawracania Nipuańczyków i zawierania mieszanych małżeństw. W każdej chwili był gotów dać hasło do powrotu. Niestety, wieści o edyktach Apostaty i o doszczętnym wyćpieniu gmin chrześcijańskich ogniem i mieczem pogrzebały te nadzieje. Imperium Romanum pozostało przed nami zamknięte. Mimo to Sylwaniusz na łożu śmierci przykazał gminie, aby nigdy nie ustawała w gotowości powrotu do naszej kulebki. Od bitwy pod Antiochią minęło wtedy lat przeszło trzydzieści.

– Ilu członków liczyła w tym czasie wasza gmina?

– Około tysiąca dusz, wraz z kobietami i dziećmi. Donatystów było drugie tyle.

– No właśnie, a co z nimi?

– Piekelnicy owi w przeciwieństwie do nas nie zwlekali z niczym. Pogrom juliański niewiele albo i nic ich nie nauczył, przeciwnie, zapiekli się w swej nienawiści stokroć bardziej. Petyliusz, zaiste za podszeptem Szatana, związał się z jednym z wielkich rodów prowincjonalnych, zwanym Sogo, który podjął się opieki nad jego sektą. Ich przywódcy bardzo chętnie dawali posłuch donatystom, gromko wołającym, iż wołą Niebios jest, aby prawdziwie wierni Bogu, czyli donatyści właśnie, oraz ci, którzy do nich przystaną, powrócili czym prędzej na ziemię rzymskie i wzięli godny odwet na poganach. Wiele przy tym mówili o bajecznych skarbach Rzymu, podbechtując chciwość Sogo, którym nigdy nie było dosyć złota i ziemi. Uczynili więcej jeszcze: do swej i tak już heretyckiej doktryny zaczęli wplątywać wątki z miejscowych wierzeń. Ogłosili mianowicie, że Amaterasu, bogini słońca, której potomkiem ma być mikado, czyli cesarz Nipu, to istota tożsama z jedną z trzech osób Boskich, mianowicie z Duchem Świętym. W związku z tym cesarz też jest, podobnie jak Chrystus, Synem Bożym, i że powinien on władać Królestwem Bożym, powołanym tu i teraz, na ziemi danej mu przez Boga. A przecież Pan nasz powiedział, iż Królestwo Jego nie jest z tego świata.

– A cóż na to rzekł cesarz?

– Cesarze raczej, bo jednanie się donatystów i sintoistycznych Sogo trwało lat prawie sto. Póki biskup gminy naszej stał przy cesarzu, z racji zasiadania w jego radzie przybocznej, tak jak mógł, zwalczał herezję donatystyczną, tłumacząc sens całego bluźnierstwa. Gmina odeszła wówczas od wskazań Sylwaniusza i zaczęła głosić wiarę prawdziwą wśród dworzan. Wielu nipuańskich arystokratów dawało posłuch Słowu Bożemu, wielu też przyjęło chrzest. Ale i donatyści nie spoczywali – zaczęli licznie wchodzić w związki małżeńskie z różnymi gałęziami rodu Sogo, tak że po pięćdziesięciu latach byli z nimi zmieszani zupełnie. Wzrosła też ich potęga: wprowadzili w prowincjach zarządzanych przez Sogo administrację na wzór rzymski, o wiele sprawniejszą od starej, cesarskiej. Zagarniali coraz to nowe tereny, a wielu przyłączało się do nich z chęci zysku lub potrzeby siły. Już sto lat temu posiadali na

wyłączną własność jedną trzecią wszystkich prowincji państwa Nipu. Rządził nimi ich wódz, będący zawsze w prostej linii potomkiem Petyliusza i ówczesnego przywódcy Sogo, Soga no-Umako. To ich dzieci jako pierwsze zawarły mieszany związek małżeński.

– Hm, długo to trwało...

– W kraju Nipu czas płynie powoli, o czym się być może sam przekonasz, za to nieubłagane. Sogo i donatyści wciąż rośli w siłę, ich ziemie były coraz bliżej Nary.

– A twoja gmina? Co próbowaliście przedsięwziąć? Nie dostrzegaliście niebezpieczeństwa?

– Wierz mi, czyniliśmy, co było w naszej mocy, aby zapobiec rozkrzewieniu się donatyzmu, ale władza cesarska jest w tym kraju niewielka. Każdy możnowładca może robić w swej prowincji to, co mu się żywnie podoba, o ile nie zaprzecza prymatowi Syna Niebios. A przecież Sogo tego nie czynili, przeciwnie, wraz z donatystami okazywali cały czas, iż uważają cesarza za Syna Bożego i pragną mu służyć. Poza tym zdołali wbić klin w dom cesarski: jedna z gałęzi rodu cesarskiego, dość młoda i ambitna, zaczęła dawać im posłuch. Także część rodów arystokratycznych ujrzała znaczne korzyści ze związku z nimi, ponieważ otwarcie głosili konieczność podbojów, aby imię Chrystusa objęło cały świat. Sogodonatyści twierdzili, że cesarz winien pomścić swego boskiego brata, tak haniebnie umęczonego przez Rzymian na krzyżu. Oznaczało to prędzej czy później wojnę z Rzymem, o którego bajecznych bogactwach napłynęły nowe wieści, wraz z zajęciem przez legiony Cattigary. Nawiązano nawet ostrożne kontakty z Rzymem, za pośrednictwem uzależnionego od Nipu księcia Formosy.

– Wiem o tym. Co się działo później?

– Czterdzieści lat temu posiadłości rodu Sogo objęły połowę kraju. W każdej zajętej prowincji siłą narzucali swoją heretycką wiarę, zagarniali świątynie sinto i zamieniali je na donatystyczne bluźniercze zbory. Opornych kapłanów sinto kamienowano. Wtedy biskup naszej gminy, Hermas, doszedł do wniosku, że przebrała się miarka. W chwili, gdy młody książę z uległej Sogo gałęzi domu cesarskiego uciekł do ich prowincji i wyglądało na to, że ogłoszą go cesarzem, stary mikado Tenchi dał zgodę chrześcijańskiemu rodowi Mononobe, aby zaatakował Sogo i zniszczył ich do szczętu.

– I zostali pokonani przez Sogo?

– Widać Bóg tak chciał – zaprzańcy wybili ich do nogi. Ostatnia ostoja domu cesarskiego runęła. Wojska Sogo zajęły resztę kraju i wkroczyły do Nary.

– Ustanowili nowego cesarza?

– Nie, starego jednak pozbawili zupełnie władzy. Zadowolili się pogromem naszej gminy, biskupa Hermasa ścięli przed cesarskim pałacem, na oczach ludu

stolicy. Zabili też wielu naszych braci, szczególnie zajadle tropiąc te nipuańskie rody, które przyjęły chrzest. I byliby wytepiłi nas jak szczury, gdyby nie wstawiennictwo cesarza Tenchi, który resztką swego autorytetu zdołał wymóc na wodzu Sogo, teraz najwyższym zwierzchniku wojska i administracji, zwanym siogunem, zamianę kaźni ostatecznej na wygnanie. Kilkudziesięciu ocalałym braciom, wśród których i ja byłem, pozwolono osiedlić się w małej wiosce w prowincji Kii. Tam mogliśmy żyć w spokoju, z zakazem głoszenia naszej wiary i przekraczania granic wyznaczonej prowincji. Zaraz po tych strasznych wydarzeniach Sogo rozpoczęli przygotowania do wielkiej wojny. Pierwej jednak napadli na leżące za morzem królestwa koreańskie, a to dla zdobycia zasobów drewna i metalu, nie mówiąc o niewolnikach potrzebnych do budowy floty. Kapłani donatystyczni jęli wówczas gromko głosić, że nastał czas świętej wojny, wojny o krzyż, o panowanie Syna Bożego nad światem. Ogłosili, iż Bóg wybrał Nipuańczyków, aby stali się jego mieczem.

– Co przedsięwzięła w tym czasie wasza gmina?

– A cóż mogliśmy zdziałać? Modliliśmy się, aby Bóg nie dopuścił do najgorszego. Ale wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że widać Jego wyroki są inne. Nawet o nas nie pozwolił zapomnieć.

– Nie pojmuję, co masz na myśli...

– Sogodonatyści nigdy o nikim nie zapominają. Z wieści dochodzących do naszej oddalonej od świata wioski wywnioskowaliśmy, że przygotowywana od lat wielka wojna jest już bardzo blisko. Nie chcieli widać jej zaczynać bez rozliczenia się z nami. Od nadal zaprzyjaźnionych ludzi na dworze cesarskim dowiedzieliśmy się, że zamierzają podstępnie wymordować tę ocalałą resztkę gminy. Nie czekając na to, uciekliśmy z dobytkiem w góry.

– Chyba byłem w tej wiosce. Między lasem a wsią płynie potok nawadniający pola?

– To musiało być nasze sioło. Wysłali przeciwko nam karne oddziały, które tropiły nas blisko pół roku. Wielu zabito, wielu zamęczono, wielu schwytano. My jesteśmy ostatni...

– Dlaczego mi o tym wszystkim opowiadasz?

Cyprian popatrzył na niego bladoniebieskimi oczyma, przepelnionymi głęboką mądrością i spokojną, nostalgiczną rezygnacją. Noc dobiegała końca, brzask wciskał się szparami do środka ziemianki. Kaganek zasyczał i zgasł, zrobiło się ciemniej i Marcus nie widział już jego twarzy.

– Nie wiem, kim jesteś i po coś tu przybył – odpowiedział wolno biskup, ważąc każde słowo. – Lecz czuję w tobie gotowość do objawienia prawdy. Sam dziś o tym nie wiesz, tak się wszak stanie. Nasz los już się dopełnił, ktoś jednak powinien znać prawdę. Zaprzańcy będą mordować w imię Chrystusa, co w myśl szatańskich

zamysłów ma związać w umysłach ludzkich imię Zbawiciela z nienawiścią, krwią i zniszczeniem. Ale Pan do tego nie dopuści i, wierzaj mi, różne usta może wybrać do głoszenia prawdy. Wszak i apostoł Paweł, nim olśniła go chrystusowa prawda, kamienował chrześcijan. Łaska bożej wiedzy może spłynąć na każdego – nawet na kata.

Marcus słysząc te słowa, spurpurowiał, przypomniawszy sobie, co stało się w Calisji. Czyżby ten nawiedzony starzec wiedział o tym? Niemożliwe, jakim sposobem? Poza tym Marcus wątpił w użyteczność owej łaski. Quietus przyjął tę ich prawdę i gryzą go robaki. On na pewno nie będzie taki głupi.

Cyprian popatrzył na coraz jaśniejsze smugi światła, padające przez szpary między belkami.

– Zostało już niewiele czasu. Myślisz zapewne, że to już koniec Kościoła prawowiernych, ale wierz mi, podobnie myślał biskup Sylwaniusz, gdy w rozpacz błąkał się po pustyni z braćmi ocalałymi po pogromie. Miał wówczas sen, w którym nawiedził go Pan. W śnie tym zakreślił On na piasku okrąg, po czym oznajmił biskupowi, żeby nie płakał na próżno, ponieważ Słowo raz zrodzone nigdy nie może zagać, co najwyżej zatoczy krąg, aby ponownie stać się Ciałem. Powiedziawszy to, Pan oddalił się w kierunku wschodzącego słońca. Rano Sylwaniusz opowiedział swój sen zwątpiałym współpracownikom, dodając, że trzeba im uchodzić tam, gdzie nie sięga moc rzymskiego ramienia: na wschód. Nie wszyscy chcieli uciekać – tych oddał pod opiekę Dagonowi, księciu Wenedów, a zarazem utajonemu chrześcijaninowi... Oto i cała historia wygnanej gminy – zakończył Cyprian i umilkł.

Zalegający pod ścianami ludzie zaczęli się budzić i pomrukiwać do siebie niewyraźnie.

– Chyba jednak niezupełnie cała – zauważył Marcus. – Na przykład nic nie powiedziałaś o tym, że wysłaliście do Rzymu pewnego młodego człowieka. Czy tylko po to, by dał świadectwo prawdzie?

Biskup poruszył się gwałtownie i przypadł do niego, łapiąc go kurczowo za ramiona. Marcus czuł, jak starcowi drżą ręce.

– Człowieku boży – szepnął Cyprian gorączkowo. – Skąd o tym wiesz?

– Bez obawy. – Marcus uspokajająco poklepał go po dłoni. – W Cattigarze bawiliśmy jednocześnie u tego samego pirata. Z tego, co wiem, bezpiecznie odpłynął do Rzymu.

Starzec odetchnął głęboko i usiadł pod ścianą, kryjąc twarz w dłoniach. Przez belki zajrzało wschodzące słońce. Ukośne promienie oświetliły całe pomieszczenie, ukazując wynędzniałe, ale i zarazem dziwnie spokojne oblicza ostatnich nipuańskich chrześcijan. Niektórzy poruszali niemo ustami – modlili się?

– Przynajmniej jeden – powiedział cicho biskup. – Jeśli ocaleje choć jedno

ziarno, wyrośnie z niego całe pole. Pamiętaj o tym, wystarczy jedno tylko ziarno...

Na zewnątrz coś zaszurało, rozległy się przytłumione głosy. Zamykająca wyjście krata uniosła się do góry. Do celi weszło dwóch Nipuańczyków, w zbrojach, ale bez hełmów. Jeden szedł przodem i kopniakiem stawiał na nogi siedzących pod ścianą ludzi. Drugi postępował tuż za nim i przypatrywał się uważnie każdemu więźniowi. Kiedy doszedł do Marcusa, ten rozpoznał w nim żołnierza z wioski, dowódcę oddziału. Nipuańczyk skinął głową i bez słowa wskazał mu wyjście.

Strażnicy wprowadzili go do obszernego, drewnianego pawilonu o rozsuwanych, oklejonych żółtym pergaminem ścianach-kratownicach. W głębi, przy niskim stole, siedział na podkurczonych nogach młodzieniec o jasnej skórze, choć niewątpliwie azjatyckich rysach, ubrany w ciemny, obcisły strój przypominający wojskową tunikę. Na stole leżał odpieczętowany list Marcusa do księcia Tsuomi.

– Nazywam się Gajusz Marcellus Sogo – powiedział młodzieniec po łacinie, wyraźnie i w znośnym metrum. – Witam w kraju Nipu. Napijesz się herbaty?

Marcus niemo przytaknął i chrząknął, nie mogąc z wrażenia dobrać głosu. Był prawie pewien, iż pierwszej zostanie wzięty na tortury, a dopiero potem na spytki. Młodzieniec klasnął w dłonie i do pokoju weszła kobieta, czystej krwi Nipuanka w białym jak śnieg, długim do kostek peplos, trzymając w ręku pękaty dzbanek i czarękę. Nalała do niej parującego płynu i postawiła naczynie na skraju niskiego stołu. Gajusz odprawił kobietę, a potem łaskawie wskazał mu miejsce na macie. Marcus niechętnie usiadł, podkurczając pod siebie nogi; nie pochwalał tego mało wygodnego biesiadowania w kucki, widzianego przezeń przedtem u Seryjczyków.

– Wybaczysz mi, ale chyba obejdziemy się bez zwyczajowej ceremonii – rzekł Gajusz. – Wydaje mi się, że jesteś na to zbyt spragniony.

Tak było w istocie, od gadania z Cyprianem język wysechł mu na wiór. Łapczywie chwycił czarękę i zakrztusił się pierwszym łykiem. Zapomniał, że herbatę zawsze dają bardzo gorącą, prawie wrzącą. Nipuańczyk obserwował go w milczeniu, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy podobnej raczej do terakotowej maski niż żywego oblicza. Marcus dmuchał na herbatę i zastanawiał się gorączkowo, kim, u licha, może być ten człowiek. Z pewnością jakąś tutejszą władzą. Gajusz wziął do ręki list, rozwinął rulon i zerknął na zawartość.

– Jesteś niezwykle odważnym podróżnikiem, Marcusie Corejmusie – zauważył jakby mimochodem. – Dotrzeć aż tutaj mimo blokady to naprawdę niezwykle, godny podziwu wyczyn. A właściwie jak tego dokonałeś?

– Przywiózł mnie formosyjski pirat – wyjaśnił Marcus, opróżniając do końca czarękę. Herbata w jego wysuszonym gardle wydawała się ambrozją, wolałby jednak pivo. Ciekawiło go, czy w Nipu warzą coś podobnego z miejscowego prosa – a może

nawet z chmielu?

– Czy nie aby Sin Tan? – spytał obojętnie Gajusz, studiując dalej list.

Marcus, zaskoczony, drgnął nieznacznie, ale szybko się opanował: no tak, pirat oczywiście bał się Nipuańczyków, ale w sumie chyba nie za bardzo. Powinien od razu się tego domyślić.

– Działalność tego osobnika jest nam znana – ciągnął tamten. – Można by rzec, iż ją w pewnym stopniu wspieramy. Handel rzymskimi szpiegami znacznie go wzbogacił...

– Czytałeś, panie, moje pismo? – przerwał mu Marcus, niezbyt ciekaw brudnych konszachtów Sin Tana.

Gajusz obrzucił go ostrym spojrzeniem, widocznie nienawykły do takich manier.

– Owszem, czytałem – odparł po chwili. – Jestem pełnomocnikiem sioguna na tę prowincję, uprzedzono mnie, że być może zjawi się ktoś podobny do ciebie. Dzięki temu nie zostałeś od razu zabity. Posłałem już wiadomość do księcia o twym przybyciu i propozycjach, jakie przedkładasz. Czekam właśnie na odpowiedź, ale mogę z dużą dozą pewności oświadczyć, że w Narze będą chcieli z tobą rozmawiać.

Od dłuższego czasu z dziedzińca przed pawilonem, zasłoniętego przed ich oczyma ścianą z żółtego pergaminu, dobiegały dziwne odgłosy, panował tam ożywiony gwar i harmider, dał się słyszeć stukot drewnianych młotków, któremu towarzyszyły szczekliwe nipuańskie komendy. Marcus nie śmiał o to zapytać Gajusza. Dręczyło go niejasne przecucie, iż całe to zamieszanie dotyczy chrześcijan. Raczej nie mogło to być nic dobrego.

– Czy pochodzisz z samego Rzymu? – zapytał Gajusz.

– Nie, z Wenedii – odparł, coraz bardziej zaniepokojony. Hałas za jego plecami nasilił się. Najwidoczniej na dziedzińcu wznoszono w pośpiechu jakąś drewnianą konstrukcję.

– I jak postrzegasz nasze Boże Królestwo?

– Niewiele zdążyłem do tej pory zobaczyć – zauważył nieco cierpko Marcus. Hałas na dworze znacznie osłabł. Potem rozległo się wierzące uszy piszczenie kołowrotek. – Jeśli chodzi o więzienia, to rzymskie są jednak lepsze.

– Nie ma powodu, aby uprzyjemniać żywot zaprzańców i bandytów – odrzekł Gajusz, nieco ostrzejszym niż przedtem tonem. – Nie ma dość kary dla wrogów Kościoła.

Wstał nagle i ominąwszy łukiem Marcusa, gwałtownym szarpnięciem odsłonił dzielącą ich od dziedzińca ścianę.

– Patrz! – rozkazał.

Marcus obrócił się z wolna. To, co zobaczył, zmroziło mu krew w żyłach. Podobnie bestialskiej kaźni nigdy przedtem nie oglądał, a zdarzyło mu się ongiś

widzieć w Calisji łamanie kołem. Mimo panicznego, paraliżującego myśli przerażenia musiał przyznać, że Nipuańczycy byli znacznie bardziej pomysłowi.

W ziemię dziedzińca wbito w trzech rzędach kilkanaście może dwunastostopowych pali. Mniej więcej na wysokości dwóch trzecich od ziemi w każdy pal wprawiono pod kątem prostym krótki, ostro zastrzony kołek. Chrześcijan, samych mężczyzn, podprowadzano pojedynczo, krępowano im ręce i nogi, po czym specjalnym kołowrotkiem wciągano na szczyt słupa, tak jednak, by koniec kołka wypadał na środku pleców skazańca. Tak ich zostawiano, a nieszczęśnicy, wygięci na kształt łuków, trwali w męce z ostrym drewnem przytkniętym do krzyża, z całych sił odpychając się stopami od pala. Gdy któryś osłabł, prostował się gwałtownie, a wtedy zastrzony kół przebijał go na wylot.

Marcus patrzył na to, zdjęty zimną, paraliżującą grozą. Dopiero gdy minęło pierwsze wrażenie, dotarło do niego, iż żaden z mordowanych ludzi nie wydał najmniejszego jęku. Kaźń odbywała się w całkowitej ciszy, jeśli nie liczyć nipuańskich wrzasków, skrzypu kołowrotek i posapywania ciągnących sznury żołnierzy. „Nic dziwnego, przecież chrześcijanie umierają w milczeniu” – przypomniał sobie. „Tak jak w Calisji”. Zdało mu się nagle, że do każdego trzepoczącego w przedśmiertnych kurczach ciała podchodzi mglisty, mroczny cień Tanatosa, aby muśnięciem czarnych skrzydeł zabrać resztkę życia. Ale było to pewnie złudzenie rozigranej wyobraźni. Znad horyzontu błysnęło zakryte do tej pory chmurami słońce i zalało dziedzińiec potokami światła. Pale zalsniły ciekącą krwią. Nawet oprawcy, którzy powiesili już ostatniego skazańca, ucichli wreszcie, jakby porażeni milczącym ogromem tej śmierci. I dopiero wówczas Marcus pojął, co tak odmieniło Quietusa. Pojął też jeszcze jedno: że podobnie jak dla straconego tak dawno przyjaciela, i dla niego też jest już za późno. Powstał, rozprostowując z trudem nogi, zdrętwiałe od niewygodnej pozy, i podszedł bliżej. Gajusz, wpatrzony we wstające słońce, płakał i szeptał do siebie niezrozumiale, pewnie po nipuańsku. Obrócił się ku Marcusowi, a ten niespodziewanie dla siebie zobaczył w jego pustych, wypełnionych łzami oczach straszliwą, obezwładniającą grozę, którą sam odczuwał. Nipuańczyk zamrugał ostro powiekami i groza cofnęła się gdzieś w głąb – została tylko pustka. Oblicze Gajusza Marcellusa Sogo znowu przemieniło się w martwą terakotową maskę.

– Gniew Boży uderza niczym piorun – powiedział głośno. – Zło należy pnieć w zarodku, topić we krwi bez wahania, inaczej znajdzie do ciebie dostęp i zostaniesz wydany na wieczne potępienie.

Marcus nic na to nie odpowiedział. W tej samej chwili na dziedzińiec wpadł galopem jeździec, w czarnym, jakby tocharyjskim stroju, z zasłoniętą zawojem twarzą. Przed pawilonem ściągnął wodze koniowi i nie zsiadając, podał Gajuszowi

nieduży lakowy tubus, po czym natychmiast zawrócił spienionego wierzchowca i wypadł przez bramę. Gajusz wyciągnął list, rzucił nań okiem i schował z powrotem.

– Książę Tsuomi oczekuje cię w Narze – oświadczył. – To dobrze. Widzisz ten pusty pał? – Wskazał ręką stojący nieco z boku słup. – Przygotowano go dla ciebie.

Marcus obrzucił Nipuańczyka zimnym spojrzeniem i zszedł na dziedziniec. Podążył prosto ku tkwiącym w ziemi słupom, patrząc z natężeniem w twarz umarłym. O dziwo, na żadnej nie widział śladów okropnego przecież cierpienia, tylko raczej coś na kształt smutku i dziwnego, zda się nieziemskiego ukojenia. Emanował z nich spokój ludzi pogodzonych z losem, a nawet w niewytłumaczalny sposób szczęśliwych. „Nigdy tego nie zrozumiem” – pomyślał. „Wszak koniec życia jest końcem wszystkiego, jeśli wierzyć Epikurovi”. Poglądy tego filozofa zawsze wydawały mu się najbliższe prawdy. Stąd oczekiwał po śmierci chłodnej pustki, stanu lodowatej nieświadomości, boskiej obojętności, słowem – nicości. Rozpięci wokół chrześcijanie nie sprawiali wrażenia pograżających się w pustce, przerażonych oczekującą po tamtej stronie nicością. Czyżby w ostatnich chwilach widzieli coś, co tchnęło w ich twarze ten niebiański spokój?

Znalazł słup, na którym wisiał biskup Cyprian. Sędziwy starzec, o pobrużdżonej wiekiem i przeżyciami twarzy, wręcz promieniował łagodnością i spokojem. Kto wie, być może przebywał teraz w swoim Królestwie Bożym, które nie jest z tego świata? Marcus zapragnął pomodlić się za tego człowieka, ale nie wiedział, do których z bogów powinien przemówić – w żadnego właściwie nie wierzył. Postanowił więc zwrócić się wprost do zmarłego. „Niewiele jestem wart – mówił w myślach, patrząc na wiszącą nad nim twarz Cypriana, pogodną, prawie uśmiechniętą – i pewnie źle skończę, ale jedno mogę Ci obiecać: że prawdę Twoją przechowam i przekażę. Jeśli będzie komu...”

Uczuł na ramieniu dotknięcie – stanął przy nim Gajusz i wskazał na wysoki, dwukołowy wóz, podobny do rydwanu, zaprzęzony w dwa niecierpliwie wierzgające konie. Woźnica z całych sił ściągał lejce. Marcus bez słowa wspiął się na wóz i stamtąd raz jeszcze spojrzął na wiszących chrześcijan. Woźnica puścił lejce i z łoskotem wypadli na gościniec. Wschodzące słońce miało kolor purpury.

Nara, stolica państwa Nipu, nie przypominała żadnego z miast tak greckich, jak i rzymskich, które zdarzyło mu się do tej pory zobaczyć w czasie wędrówki przez ziemie Imperium Romanum i jego zamorskie dominia. Grecy na przykład budowali swe miasta na planie przeważnie kolistym, z agorą jako punktem centralnym, przez co architektoniczny układ nabierał przyjemnej, łagodnej symetrii. Rzym zaś z kolei przypominał raczej zbieraninę bezładnie wyrzuconych na płaszczyznę klocków, które układały się jak popadło, mając w głębokiej pogardzie zasady geometrii i harmonii.

Dopiero potem łączono poszczególne budowle nitkami ulic, czyniąc miasto zdatnym do zamieszkania. Takie w każdym razie Marcus odniósł wrażenie, gdy podziwiał panoramę Wiecznego Miasta ze schodów kapitolinińskiej świątyni Jowisza. Podobnie było i w Calisji, śpiesznie i bez rzetelnego planu zbudowanej w czasach juliańskich na fundamentach rybacko-kupieckiej sklawińskiej osady.

Oba te rodzaje miast cechowała wielka różnorodność i architektoniczna wymyślność, ilustrująca gusty i smaki władców, bogatych obywateli czy też całych wspólnot, zawodowych lub religijnych. Wznoszono je z myślą o wygodzie mieszkańców, dla ucieszenia oczu patrzących, aby podkreślić świetność osiadłego ludu lub zachęcić do handlowania i zwiedzania. Każde, mimo że budowane przez pokolenia oddzielone od siebie setkami lat, miało własny, łatwo rozpoznawalny styl i charakter.

Tak też było i z Narą. Spoglądał na miasto z góry, ze szczytu wzgórza, na którym na chwilę przystanął wiozący go rydwan, i przeżywał bodaj czy nie największe z estetycznych zadziwień swego życia. Już sam ogólny kształt jawił się zgoła niezwykle: regularna, jakby odmierzona od liniału szachownica ulic, o jednakowej, znacznej szerokości, biegnących do siebie równoległe lub prostopadle, nigdy w skos czy koliście. Architektura naryjskich budowli nużyła oko nieznośną monotonią: przeważały zdecydowanie surowe, pozbawione wszelkich ozdób prostokątne, czasem piętrowe pawilony o płaskich dachach, stojące setkami identycznych prawie egzemplarzy wzdłuż ulic. Z powszechnej jednostajności wybijały się tylko cztery budynki, usytuowane w samym środku miasta, na przecięciu głównych arterii – wystawały ponad okoliczne pawilony dzięki swym stożkowatym dachom, ze śmiesznie zawiniętymi do góry okapami. Szczyt każdego wieńczył ogromny czarny krzyż. Marcus domyślał się w nich donatystycznych świątyń.

Wjechali pędem między pierwsze budynki. Kolejna różnica od razu rzuciła się Marcusowi w oczy: w przeciwieństwie do miast Zachodu tutejsze domy zdawały się wykonane wyłącznie z drewna, kamienna była co najwyżej podmurówka. I druga rzecz: brak koloru. Drewno można wszak wspaniale malować, ale szybko przejeżdżając rydwanem przez ulice Nary widział jeno szarość i biel; niektóre ściany, chyba te rozsuwane i służące za drzwi, wyglądały mu na kraty oklejone pergaminem czy też podobnym materiałem. Nie sprawiało to zbyt solidnego wrażenia.

Z ciekawością szukał wzrokiem mieszkańców, ale nie zauważył ich zbyt wielu. Tak samo szarzy lub biali, jak ich domostwa, przemykali płochliwie pod ścianami, ustępując z drogi licznym patrolom wojskowym, kroczącym ulicami we wszystkich, zda się, możliwych kierunkach. Prawie nie dostrzegął mężczyzn, a jeśli już – to przygarbionych, siwiutkich dziadków; wśród przechodniów przeważały kobiety, małe i skulone, niektóre z dziećmi na plecach. Pojawiały się i natychmiast znikwały. Nikt z

nikim nie rozmawiał, każdy szedł, truchtał właściwie, w swoją stronę, nie rozglądając się na boki. Ze zdziwieniem odnotował brak handlarzy, których pstrokaty i różnojęzyczny tłum zwykł wypełniać ulice miast Wschodu. Tu na ulicy nie działo się nic. Jedynym przejawem życia byli przemykający się jak szczury mieszkańcy i majestatycznie maszerujący żołnierze. „To miasto jest za ciche” – przeszło mu przez głowę. „Przypomina dom, w którym jest martwy człowiek”.

Jechali śpiesznie dalej, pośród tego milczącego miasta, w ciszy wypełnionej jedynie turkotem ich wozu i chrzęstem zbroi kroczących wojowników. Przemknęli obok świątyń i zatrzymali się przed piętrowym pawilonem, nieco większym i okazalszym od innych. Otaczał go potrójny szpaler żołnierzy, stojących w lekkim rozkroku z pochylonymi do przodu włóczniami, nieruchomymi jak posągi. Woźnica, który w ciągu całej parogodzinnej jazdy nie odezwał się do niego ani słowem, wskazał mu trzonkiem bicia szerokie, wiodące do wnętrza pawilonu schody.

Wejściowe drzwi rozsunęły się ze skrzypiącym szurgotem i wyszedł z nich odziany w niebieską szatę człowiek, dość stary Nipuańczyk wsparty na długiej lasce. Przez może pół kwadry pilnie przypatrywał się stojącemu wciąż na wozie Marcusowi, potem skinął głową i gestem przywołał go do siebie. W tym momencie trzech żołnierzy, po jednym z każdego rzędu, odstaąpiło na bok, otwierając w ten sposób wąskie przejście do schodów. Gdy Marcus dotarł do pierwszego stopnia, starzec zatrzymał go podniesioną laską. Poczłł czyjeś niewidoczne ręce, błyskawicznie obmacujące jego podrózną chlamidę. Potem pozwolono mu wejść dalej; starzec, nadal nie mówiąc ani słowa, pokazał mu końcem kija właściwy kierunek – miał iść w głąb pawilonu. Przeszedł kilka pokoi, każdy wielkości sporego atrium, zupełnie pustych, pozbawionych choćby najprostszych sprzętów. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jest przy tym bacznie obserwowany przez ukryte za ścianami oczy. Dotarł wreszcie do pomieszczenia, z którego nie było już przejścia do następnej komnaty. Drzwi, którymi wszedł, zamknęły się za nim z ostrym trzaskiem. Został sam. Stał nieruchomo, gapiąc się na gołe ściany i próbując zgadnąć, o co właściwie tajemniczym gospodarzom pawilonu chodzi i jakie mogą mieć plany względem jego skromnej osoby. Ale nic sensownego nie zdołał wymyślić zajął się tedy liczeniem deszczulek na nieskazitelnie czystej, wypolerowanej do połysku podłodze.

Nie trwało to długo. Matowomleczna ściana przed nim odsunęła się, odsłaniając następną komnatę. Siedziało tam na niskim, okrytym niebieskim suknem podwyższeniu dwóch ludzi. Jeden, niepozorny mężczyzna o gładkiej jak u kobiety twarzy i bladoniebieskich oczach, ubrany w ów cudaczny nipuański chiton o szerokich rękawach, biały, acz oblamowany złotą nicią, siedział na wprost Marcusa, sztywno wyprostowany i promieniejący władczym majestatem. Drugi, znacznie starszy, w czarnym prostym chitonie, usadowił się nieco z boku i widoczny był z

półprofilu. Marcus dopiero po niejakej chwili rozpoznał w nim księcia Tsuomi. Książę z ceremonialną powolnością obrócił się ku niemu i wskazał miejsce na macie, leżącej dziesięć stóp przed podestem. Marcus skłonił się głęboko i usiadł. W pierwszym mężczyźnie domyślał się władcy, owego sioguna, potomka donatystycznego kapłana i naczelnika rodu Sogo.

– Oto i nasz przybysz, panie, retor Marcus Corejmus Tranquillus z Calisji – odezwał się książę Tsuomi w znośnej łacinie. – Ma dla nas pewną propozycję, z którą, moim zdaniem, powinieneś się zapoznać.

– Niech powie sam – rzekł siogun oschłym tonem człowieka, który nie lubi, aby marnowano mu czas.

Książę Tsuomi ponownie zwrócił się w stronę Marcusa i uczynił zachęcający gest ręką. Marcus, trochę zdziwiony i zarazem podniecony tym, że tak bez ceregieli od razu przechodzą do sedna, jął mówić drżącym z emocji głosem:

– Jak zapewne Waszym Dostojnościom wiadomo, prowincja wenedyjska od wieków dostarcza armii rzymskiej przedniego wojownika. Rekrutowany on jest do trzech tradycyjnie wenedyjskich legii, XXII, XXIII i XXIV, zwanych Masovia, Polonia i Silesia, od nazw dawnych plemiennych krain, z których wywodzili się pierwsi najemnicy. Te trzy legiony stanowią najbardziej wyćwiczoną, wartościową i bojową część armii rzymskiej, ubezpieczającą zachodnie połączenie cesarstwa, a to stąd, że są w stałej gotowości, odpierając częste ataki hord Hunów i Ugrów. Moja propozycja jest prosta: oto podejmuję się przekonać namiestnika Wenedii, Sewera Flawiusza, aby w decydującej chwili wycofał podległe sobie legiony z boju, czyli *de facto* podniósł bunt przeciwko Rzymowi. To powinno wojskom nipuańskim zapewnić przewagę, a w rezultacie dać zwycięstwo w zamierzonej przez was kampanii. Jeśli Wenedowie będą walczyć, nie jest to takie pewne.

– Dlaczego sądzisz, że chcemy wojny z Rzymem? – spytał siogun; po jego woskowej twarzy nie przemknął choćby szczątek cienia, sugerujący, że przemowa Marcusa wywołała jakiegokolwiek wrażenie. Ten zaś uśmiechnął się mimowolnie. Przećwiczył w myślach setki wariantów tej rozmowy.

– Ideę taką nasunęła mi wizyta księcia Tsuomi w Calisji, panie. Pomagając memu przyjacielowi Quietusowi w zleconych mu przez księcia poszukiwaniach, natknąłem się na materiały o chrześcijanach, przegapione widać przez cenzorów. Wtedy też dowiedziałem się o ruchu donatystycznym...

– Skąd to przekonanie o waleczności Wenedów?

– Wiesz zapewne, panie, że w czasie bitwy pod Antiochią to właśnie legiony wenedyjskie zdecydowały o zwycięstwie Apostaty. Potem uczestniczyły w pogromach gmin chrześcijańskich Małej Azji i Egiptu. Jak myślisz, panie, co uczynią, gdy się dowiedzą, że wracają potomkowie tych, którym trzysta lat temu ich

przodkowie sprawili taką krwawą łaźnię? Poza tym to żołnierze pogranicza, znający smak krwi, przeciwnie niż legionści gnuśniejący w garnizonach w głębi imperium. Zaręczam, że będą się bili do ostatniego człowieka.

– I ty sądzisz, że mógłbyś to zmienić?

– Tak, panie, składając w imieniu Waszej Dostojności konkretne obietnice.

– Jakież to obietnice?

– Odpuszczenie przeszłych win przodków, którzy byli jeno nierozumnym narzędziem w ręku Juliana, przyrzeczenie restauracji księstwa z własnym udzielnym władcą, uwolnienie od imperialnych trybutów, traktaty o handlu, przyjaźni i bezpiecznych granicach. Taka jest cena waszego zwycięstwa.

– Czy namiestnik Wenedii przystanie na to? Z jakiego powodu? – W beznamiętnym głosie sioguna coś się pojawiło: sceptycyzm. Nie był to dobry znak.

– Sewer Flawiusz to potomek ostatniego niezależnego księcia, Dagona – wyjaśnił cierpliwie Marcus, starając się panować nad coraz mniej pewnym głosem. – Skądinąd jest mi wiadomo, że mało go zachwyca polityka Rzymu, który traktuje Wenedię jako li tylko źródło tanich najemników i barierę przed dzikimi plemionami z północy. Prowincja znajduje się w głębokiej stagnacji, a i jej znaczenie militarne wraz z trwaniem Pax Romana i postępującą cywilizacją ludów koczowniczych zmniejszy się niechybnie. Nie jest z tego zadowolony ani Sewer Flawiusz, ani Wenedowie. Od dawna zresztą czyniono starania, aby podnieść status prowincji i nadać jej większą samodzielność, ale nic nie uzyskano. Sewer Flawiusz od dawna chciał podjąć ekspansję za Wistulę, ku wschodowi, ale Rzym mu tego zabronił, rzekomo, by nie drażnić panujących nad stepami dorzecza Borysthenesu sklawińskich związków plemiennych. Naprawdę chodziło o utrzymanie podrzędnego statusu Wenedii. Rzym nie lubi zbyt potężnych namiestników.

– A jeśli teraz, gdy w obliczu wojny wartość wenedyjskich legionów wzrośnie, ów Sewer Flawiusz zwróci się o to samo? Czyż nie dostanie, czego zapragnie?

– Panie. – Marcus zwrócił się bezpośrednio do księcia Tsuomi, który słuchał rozmowy z typowo nipuańskim, nieprzeniknionym wyrazem twarzy. – Byłeś w Rzymie i znasz cesarza. Czy zrobił na tobie wrażenie człowieka gotowego do ustępstw?

Księżę milczał dłuższą chwilę.

– Nie – odpowiedział.

– Dlatego Sewer Flawiusz nic nie uzyska, tak jak poprzednio. Cesarz Julian II to autokrata i nawet skrajne zagrożenie imperium nie zmieni jego charakteru. Żądza władzy przyćmiewa mu rozum, nie pozwoli jej uszczknąć, nawet gdyby przyszło zapłacić tronem i życiem.

– Jaką mamy pewność, że twe argumenty przekonają namiestnika Wenedii?

Teraz Marcus milczał czas jakiś, mimo że doskonale wiedział, co powiedzieć.

– Żadnej – rzekł z brutalną szczerością. – Sewer Flawiusz to dziwny człowiek, z pozoru zlatynizowany arystokrata, całkiem już Rzymianin, ale w duchu jest wielce przywiązany do swego sklawińskiego ludu. Myślę, że da się przekonać argumentem, iż jako ksiązę Wenedów przysłuży mu się najlepiej. Ma serdecznie dosyć krepującej opieki Rzymu. Poza tym władca samodzielnego państwa to znacznie więcej niż rzymski namiestnik i jeden z czysto honorowych senatorów.

– To brzmi logicznie – stwierdził ksiązę Tsuomi. – Powiedz nam na ostatek, co ty osobiście pragniesz na tym zyskać? Dlaczego tu przybyłeś?

Marcus opuścił oczy ku ziemi i długo składał odpowiedź, mimo że znał ją od dawna. Nie znaczyło to jednak, że chciał akurat o tym mówić.

– To ja wydałem chrześcijańską gminę ukrytą w okolicach Calisji w rzymskie ręce, a właściwie w twoje, panie – powiedział wreszcie, z największym trudem wyduszając z siebie słowa. – Biedny Quietus był jeno posłusznym narzędziem w mym ręku. Pytasz dlaczego? – Podniósł oczy i patrzył wprost na nich. – Z nienawiści. Albowiem nienawidzę Rzymu silniej jeszcze od was, Dostojni, i nie spocznę, póki choć ostatni syn Romy nie padnie na kolana i nie zapłaci za krzywdy i poniżenia, jakich lud mój od wieków doznaje od Rzymian. Zabrali nam wszystko, język, bogów, dumę, honor, księstwo, dawne sklawińskie swobody, każąc w zamian kontentować się resztkami z imperialnego stołu. Kiedyś byliśmy wolnymi i dzielnymi ludźmi, dziś widzą w nas jeno posługaczy i pachółków, wołanych przez panów, gdy przyjdzie potrzeba. Tak, my Wenedowie mamy zaiste powody, aby kochać Rzym – dodał z gorzką ironią.

Zapadła cisza. Tamci nic nie mówili, tak jakby trawili w sobie gniewne wyrzuty Marcusa.

– Dobrze, możesz uważać, że przekonałeś nas – oznajmił siogun. – Nim wyruszysz w swą misję, pierwej zostaniesz z nami związany na śmierć i życie. To nasz warunek. Pewien jesteś, żeś gotów przyjąć chrzest?

– Tak, Wasza Dostojność – odparł Marcus i w duchu odetchnął z ulgą; a więc kupili jego historię. Nie umrze na palu jak ludzie Cypriana. – Udasz się zatem teraz do jednej z naszych świątyń, gdzie kapłani Boga w Trójcy Jedynej wprowadzą cię w tajniki wiary prawdziwej. – Siogun zamilkł i z powrotem zeszytniał w uroczystej pozie.

Marcus poruszył się niecierpliwie, przekonany, że posłuchanie dobiegło końca. Ksiązę Tsuomi powstrzymał go jednak uspokajającym ruchem uniesionej dłoni.

– To ostatnie pytanie. Wiele win ma Rzym wobec twego ludu, ale powiedz mi, cóż uczynił tobie samemu, retorowi Marcusowi, że go tak nienawidzisz?

Marcus, rozdrażniony, zacisnął zęby; ten cholerny Nipuańczyk był groźniejszy,

niż sądził: potrafił sięgnąć głęboko, dna duszy. Byle co go nie zadowalało, żądał najsekretniejszych motywów. Tego nie przewidział w żadnym z obmyśliwanych wariantów.

– Uczynił mnie człowiekiem małym – odpowiedział po przeciągającej się chwili.

Książę Tsuomi przyglądał mu się z namysłem, jakby widział przed sobą zwierzę nie znanego do tej pory gatunku.

– I w ten sposób chcesz odzyskać wielkość?

Nic na to nie potrafił rzec. Tsuomi odprawił go lekceważącym gestem ręki, z tyłu z szurgotem rozwarła się ściana. Marcus skłonił się nisko, wstał i spieszenie odszedł, myśląc z niepokojem o cieniu drwiny, jaki usłyszał w pozornie beznamiętnym głosie księcia. Audycja była skończona.

Siedem następnych dni spędził w skromnie urządzonym pawilonie – wstręt do wygod jawił się Marcusowi najbardziej widoczną cechą Nipuańczyków – położonym na zapleczu świątyni pod wezwaniem świętego Donata, największej z czterech znajdujących się w Narze. Pod żadnym pretekstem nie wolno mu było go opuszczać. Codziennie przychodził jeden z licznych donatystycznych kapłanów i w długich rozmowach objaśniał mu doktrynę panującego na Wyspach Kościoła. Wbrew pozorom okazała się prostsza, niż pierwiej przypuszczał.

Świat według religii donatystycznej dzielił się hierarchicznie na trzy komplementarne sfery. Najniżej znajdowało się Królestwo Szatana, odpowiednik Hadesu czy raczej Tartaru w greckiej mitologii, gdzie stręcane były na wieczne męki dusze potępione – w pierwszym rzędzie te, które odmawiają przyjęcia objawienia świętego Donata. Wyżej znajdował się materialny wymiar ziemski, ze stanem idealnym w postaci Królestwa Bożego, wspólnoty państwowo-religijnej, którą kiedyś usiłował stworzyć w Palestynie Chrystus, a co, wedle zapewnień nauczających Marcusa kapłanów, dokonywało się obecnie na Wyspach. Nad ziemską sferę unosił się gdzieś w eterze byt trzeci, Królestwo Niebios, wieczysta nagroda dla dusz wyniesionych, którym władał boski Triumwirat w postaci Boga Ojca, Chrystusa Syna i Amaterasu Matki.

Włączenie do chrześcijańskiego panteonu miejscowej bogini słońca było niewątpliwie sprytnym, jeśli nie genialnym posunięciem. Dzięki niemu donatyści uzyskali sankcję religijną ze strony sinto, politeistycznej religii przedtem na Wyspach panującej, która została po prostu wchłonięta do nowego Kościoła, wraz ze znaczną częścią dawnego ceremoniału i – co ważne – boską czią dla cesarza, owego mikada, który nadal zgodnie z tradycją pozostawał Synem Niebios, cielesną emanacją wspomnianego boskiego Triumwiratu.

Marcus w tym miejscu zapytał ze starannie maskowaną ciekawością, jaki jest

wkład Syna Niebios w rządzenie ziemskim państwem, na co usłyszał odpowiedź, iż cesarz jest pogrążony w nieustannych modłach, celem utrzymania kontaktu ze swymi boskimi Rodzicami, stąd ciężar bezpośredniego władania zrzucił na innych, którzy czynią to zgodnie z wiedzą objawioną bezpośrednio takim donatystycznym świętym, jak Donat czy Petyliusz. Marcus pomyślał wówczas mimochodem, że tkwi w tym zarodek przyszłego konfliktu, gdyby cesarz zrezygnował ze swej kontemplacji i powołując się na bezpośrednią sankcję Nieba, zechciał objąć władzę na ziemi. Z takim obrotem sprawy musieli się też liczyć i Sogo, skoro od czasów cesarza Tenchi dwór pozostawał w pełnej izolacji, właściwie wyrugowany z Nary i przebywający w specjalnie wybudowanym kompleksie pałacowym, ukrytym w rozległych ogrodach położonych u podnóży odległego od stolicy górskiego pasma, dozorowany przez najbardziej zaufanych ludzi. Mimo to nadal rządzono w imieniu mikada, wszystkie dekrety siogun ogłaszał, mieniąc się cesarskim pełnomocnikiem. Prawdopodobnie Sogo potrzebowali dla swej władzy cesarskiej, boskiej sankcji. Czyżby lud na Wyspach nie był jeszcze dość zdonatyzowany?

Oczywiście nie powiedziano Marcusowi tego wprost, sam to sobie wykoncypował, trawiąc wieczorami całodzienne nauki i odsiewając ziarna od plew. Inną ciekawą rzeczą wydał mu się system społeczny Bożego Królestwa, swą sztywną hierarchicznością odzwierciedlający donatystyczny system metafizyczny. Nie znano wśród Nipuańczyków zjawiska przechodzenia do wyższej kasty, choć zdarzały się degradacje, zwykle zakończone rytualnym samobójstwem. Tak tedy na dole piramidy wyspiarskiej społeczności znajdowali się chłopci, pozbawieni wszelkich praw, uprawiający w znoju nadaną im ziemię, która w całości należała do Nieba, a konkretniej do mikada, jako widomego jego przedstawiciela. Niewiele więcej od nich znaczyli zamieszkujący nieliczne miasta kupcy i rzemieślnicy, ściśle kontrolowani przez państwo. Nad nimi stali urzędnicy wojskowo-cywilni, zwani samurajami; Marcusowi wydali się odpowiednikiem szlachty na poziomie ekwitów, z tym że byli wielokrotnie liczniejsi i znacznie bardziej wpływowi. Zajmowali się wykonywaniem rozkazów sioguna i codzienną administracją kraju, stanowili też trzon armii. Nad nimi stał wreszcie sam siogun wraz z donatystycznym klerem, ściśle ze sobą zespoleni, ponieważ był on zarazem dziedzicznym biskupem Nary, co automatycznie czyniło go zwierzchnikiem całego wyspiarskiego Kościoła. Reszta stanowisk nie była dziedziczna, niemniej jednak dysponował nimi siogun, obsadzając ludźmi z rodu Sogo. Teoretycznie wyżej jeszcze był cesarz i rody dworskie, vegetujące tajemniczym życiem w ukrytym u podnóża gór pałacu.

Słuchając o tym społecznym urządzeniu kraju Nipu, Marcus nie mógł się oprzeć wrażeniu, iż główną funkcją donatystycznego kleru jest izolowanie cesarza od jakiegokolwiek wpływu na masy wiernych i zarazem jego poddanych. Stworzona

przez nich organizacja religijna całkowicie wypełniała założone doktryną cele – imię cesarza zrównano w praktyce z takimi niepojętymi dla zwykłego człowieka abstraktami, jak jego boska matka, Amaterasu. Marcus poważnie zastanawiał się, czy nie jest to czynione w sposób znacznie bardziej, niż się z pozoru zdawało, zamierzony, z myślą o późniejszym włączeniu cesarza i jego rodu na trwałe do boskiego panteonu. Miejsce bogów jest na Olimpie; nie ma nic groźniejszego niż bóg, który żyje – czyż nie dlatego uśmiercono Chrystusa?

Tych podstawowych mechanizmów rządzących donatystycznym Królestwem Bożym raczej domyślał się, niż dowiadywał, dzięki zastosowaniu elementów sofistycznej analizy. Bał się zadawać niektóre pytania, zwłaszcza o początek schizmy i wspólne dzieje z chrześcijanami apostołskimi; nie chciał, aby wiadano o jego znajomości pewnych spraw. Okrucieństwo, z jakim potraktowano ludzi Cypriana, dowodnie świadczyło, iż uważano ich za poważną konkurencję. Gdy o tym rozmyślał, nie mógł się pozbyć pewnego niepokoju – nie potrafił oto zrozumieć, dlaczego Gajusz pozwolił mu na długą nocną rozmowę z ostatnim biskupem. Czyżby krył się za tym jakiś tajemniczy zamysł?

W toku tak intensywnych nauk szczególnie interesująca okazała się dysputa z pewnym kapłanem imieniem Kukai, który szóstego dnia zaznajomił go z położeniem osoby ludzkiej w Bożym Królestwie. Rozmawiali jak zwykle przy herbacie, pitej w Nipu w ilościach porównywalnych z pivem w Wenedii. Z tym że o wiele uroczysiej, obrzędowo nawet; akt spożycia w istocie stanowił rodzaj skomplikowanej ceremonii, pełnej ukrytych znaczeń i swoistego wdzięku.

– Przed każdym człowiekiem, szlachetny Marcusie Wenedyjczyku, stoją dwie drogi – tłumaczył mu kapłan, gdy z należytą atencją opróżnili już pierwszą czarę. – Jedna wiedzie ku górze, do Królestwa Niebios, i jest nagrodą za prawe i cnotliwe życie na naszym ziemskim padole. Wiesz już zapewne, iż najdoskonalszą, a właściwie jedyną drogę takiego żywota wskazuje nasze Boże Królestwo i Nowy Kościół, zbudowane na objawieniach świętych Pańskich, Donata i Petyliusza. Druga droga prowadzi do Królestwa Szatana i tam trafią ci, którzy odrzucają objawienie prawdy Bożej lub o niej nic nie wiedzą. Tych potępieńców czekają wieczne męki.

– A jeśli ktoś jest tej jedynej prawdy nieświadom, ponieważ nigdy się z nią nie zetknął? – spytał Marcus. – Czy i on będzie potępiony?

– Niewątpliwie – odparł bez wahania Kukai. – Brak wiedzy nie może być usprawiedliwieniem. Niemniej jednak, aby temu zapobiec, dążymy do objęcia naszym Królestwem całego ziemskiego okręgu, zwanego często przez was, przybyszów z Zachodu, *oikumene*. Wtedy wszyscy ludzie będą mogli zaczerpnąć ze źródła prawdy, co ich ocali przed Piekieł.

– Poza tymi, którzy nie doczekawszy tego, już zmarli – zauważył Marcus, kryjąc

ironię.

Kukai zdawał się nic nie dostrzegać i ze spokojem pił herbatę.

– Pamiętaj jedno: nieskończona jest moc naszego Pana, a człowiecza wiedza o niej nikła. Któż może wiedzieć, co im Bóg przeznaczył?

„Dosyć to mętne” – uznał w duchu Marcus. Głośno jednak zapytał o coś innego:

– Na czym polega droga prawdy?

– Na spełnianiu Bożych przykazań, objawionych naszym świętym, Donatowi i Petyliuszowi. Ich najdoskonalszym wypełnieniem jest Królestwo Boże, którego zaczątek masz tutaj, na Wyspach. W podstawowym pojęciu droga prawdy polega na uświadomieniu sobie roli, jaką Bóg wyznaczył każdemu człowiekowi w hierarchii Królestwa i na przyjęciu bez oporu, a z dziękczynieniem, iż się jest co najwyżej małą cząstką, jedną drzazgą w Boskiej budowlu. Życie ma sens i tylko wtedy służy zbawieniu, jeżeli zostanie zaprzęgnięte do wypełniania Bożej misji naszego odrodzonego Kościoła. Należy podporządkować mu się w całości, zrezygnować z przynależnych ułomnej naturze ludzkiej zachcianek i przyjemności, wyrzec zgubnego indywidualizmu, tak aby stać się nikim więcej niż sługą gotowym do wykonania rozkazu Pana. Kościół nasz oparty jest, niczym na skalnej opoce, na posłuszeństwie i całkowitej lojalności, albowiem powiedziane jest, że pokorni, cisi i posłuszni najpierwej trafią do Królestwa Niebios.

– Czyli że trzeba zrezygnować z wszelkiej własności, tak duchowej, jak i materialnej, na rzecz służby Bogu? – ni to spytał, ni podsumował Marcus.

– Oczywiście. – Kukai popatrzył na niego z zadowoleniem, rad widocznie z postępów w nauce swego ucznia. – Wszystko to, co nie służy bezpośrednio Kościołowi i jego misji, jest zbędne, więcej, szkodliwe, jako że przeszkadza w skupieniu się na drodze ku jedynej prawdzie. Nie może być inaczej, skoro celem człowieczego życia jest zbawienie. Czyż nie weźmiesz za rzecz zgoła nierozsądną zajmowanie się czymś, co temu nie służy?

– A skąd wiadomo, które rzeczy i postęпки służą zbawieniu?

– To określa Kościół przez Królestwo Boże, które mocą państwowych edyktów ustala metody i zasady zbawienia w naszym ziemskim, podstawowym wymiarze. W gruncie rzeczy można by ująć obraz Kościoła i Królestwa alegorycznie: masz tu dwa koła po bokach i łączącą je oś, czyli sioguna-biskupa, który swą świętą osobą spaja je ze sobą, aby zgodnie toczyły się po drodze Bożej Prawdy ku Zbawieniu. I tak jak koła wozu zajmują każde inny, lewy czy prawy kraj drogi, tak Kościół i Królestwo zajmują się innymi sprawami. Ale pamiętaj, droga, którą zgodnie zdążają do przodu, jest wciąż ta sama.

„Zaprawdę, iście to żelazny duumwirat” – pomyślał wtedy Marcus. Słowa Kukai wyjaśniły mu wreszcie powszechną surowość stroju, mieszkania i obyczaju, które

wszędę wokół obserwował. Ludzie żyjący dla Boga nie mogli przywiązywać wagi do doczesnych wygod, mogących naderwać i zmącić ich zbożne powołania. Świadomie ograniczano się do tego, co najniezbędniejsze, nawet czarki, z których pili teraz herbatę, były pozbawione bodaj symbolicznych wzorów, oblane tylko matową, czarną polewą. Rzeczywistość winna być celowa i funkcjonalna, a nie piękna. Nagrodę za ziemskie trudy i wyrzeczenia człowiek otrzymywał dopiero po śmierci, w nie objętym rozumem Królestwie Niebios. Z pewnością chodziło też o skłonienie ludności do bardziej wytrwałych starań o zbawienie – w Piekło miało być znacznie gorzej niż na ziemi.

Rozumienie mechanizmu ustrojowego kraju Nipu nie poprawiało bynajmniej Marcusowi dość marnego samopoczucia, zbyt był bowiem przyzwyczajony do rzymsko-greckiego sybarytyzmu. Niegdyś nim ostentacyjnie pogardzał, teraz zaczęło mu go trochę brakować. Chyba nie nadawał się na anachoretę, jako że dobrowolne wyrzeczenie się przyjemności nie leżało w jego naturze. Ale dopiero w Nipu odkrył, że nic tak nie przekonuje człowieka do obżarstwa jak solidny post.

Po tych siedmiu dniach, zwanych naukami wstępными, oznajmiono Marcusowi, że na dalszą edukację wyjedzie w góry, do czegoś w rodzaju zamkniętego gimnazjonu, gdzie uczyli się młodzi kapłani donatystyczni. Nie miał na to specjalnej ochoty i domagał się widzenia z księciem Tsuomi, ale oświadczone mu krótko, że książę sam go wezwie, gdy będzie potrzebny. Marcus zrozumiał, że może tylko zgrzytać zębami, milczeć i być posłusznym. Był przecie w Królestwie Bożym. W trakcie trzydniowej podróży spodziewał się obejrzeć to i owo z osobliwości wyspiarskich, ale ostatecznie nie widział nic prawdziwie interesującego, jeno potoczną ilustrację też o doskonałym urzędzeniu Państwa Bożego.

Miast poza Narą nie widział żadnych, jedynie wioski, rozłożone z nużącą regularnością po obu stronach bitego, dobrze utrzymanego gościńca. Marcus podejrzewał, że umyślnie tak zaplanowano drogę, aby nie zobaczył zbyt wiele; pozyskał co prawda zaufanie sioguna, ale widać dość ograniczone. Mijane po drodze wioski niczym się od siebie nie różniły – te same prostokątne domki kryte słomą ryżową i ubrani w szare sukno ludzie, z mrówczą cierpliwością pracujący od świtu do zmierzchu na kwadratach błotnistych pól. Czasem przemknęli tylko koło nieco okazalszej siedziby lokalnego zarządcy, ozdobionej cesarskim proporcem. Dodatkowym elementem urozmaicającym widoki były liczne oddziały wojskowe, zdążające w jednym kierunku: na zachód. Najprawdopodobniej trwało gigantyczne ześrodkowanie armii wyspiarskiego cesarstwa.

Marcus dawno temu, w młodości, niepospolicie przejęty był naukami przyrodniczymi. Kiedyś cały prawie dzień spędził, obserwując kopiec czarnych mrówek, zawieszony nad nim na rzemiennej siatce. Początkowo bezładna owadzia

krzątania, po paru godzinach, koło południa, nabrała dlań nowego znaczenia: dostrzegł, że jedne mrówki, duże i uzbrojone w potężne szczęki, pilnowały tych mniejszych, objuczonych ciężarami różnego rodzaju, które wchodziły i wychodziły z kopca, uwięzione w kołowrocie nieustannego zajęcia. Teraz, podróżując przez kraj Nipu, nie mógł się oprzeć natrętnemu odczuciu, iż ogląda dokładnie to samo – oblani czarną, błyszczącą laką wojownicy przypominali mu tamtych, mrówczych nadzorców. Pomyślał z niejakim przekąsem, iż donatyści powinni nazwać swe państwo nie tyle Bożym Królestwem, ile raczej mrowiskiem. Choć prawdę mówiąc, było w tych sądach i jego własne rozgoryczenie: nigdy, w najgorszych okresach swego życia w Calisji, nie czuł się tak marnym i pogardzanym, niczym właśnie jedna z tysięcznych mrówek-niewolników.

Starął się rozproszyć podły nastrój podziwianiem przyrody, która jakoś nijak nie mogła dostosować się do ogólnej aury pobożnej ponurości. Góry na południe od Nary, gdzie znalazł się trzeciego i zarazem ostatniego dnia swojej podróży, wydały mu się najpiękniejszym zakątkiem *oikumene*. Widoki miał przed sobą zaiste pyszne: strome skały oplecione girlandami kolorowego kwiecia, naturalne łuki skalne, malownicze wodospady i potoki, krystaliczne, przejrzyste i dźwięczące odgłosem wszelakiego zwierzęcego żywota powietrze. Tropikalna zieleń, jakby kpiąc z ludzkiego szaleństwa ascezy, sama oddawała się niepohamowanej orgii bujności, przelewając się przez skały na kształt pienistych morskich bałwanów. Chwilami odnosił wrażenie, iż jedzie przez ogród, wymyślony i uprawiany przez ogrodnika o boskich zdolnościach i apetytach. Podobnie było na Formosie; teraz już wiedział na pewno, że tak niegdyś, na początku świata, wyglądała Arkadia, nim stała się prozaiczną krainą zżerających co popadnie owiec i melancholijnych pasterzy.

W jednej z dolin, ukrytych pośród tego roślinnego imperium, mieściło się miejsce, ku któremu zmierzał. Nie powiedziano mu, ile dni czy dekad tu zabawi. Przypomnił sobie, co mówił o nipuańskim stosunku do czasu Cyprian, ale przecież koło historii nabrało wyraźnego rozmachu! Czyż jego siedzenie na tym odludziu nie jest czystą stratą czasu i sposobności działania? Jeśli Tsuomi i siogun zaakceptowali jego plan, to powinien wyruszyć zaraz po pierwszej fali sił inwazyjnych, jeśli nie tuż przed nią. Po co zatem ta zwłoka? Nic z tego nie pojmował.

Donatystyczny gimnazjon okazał się osiedlem złożonym z tuzina pawilonów, rozsianych na sporej powierzchni, pośród niskich, rozłożystych drzew, porastających brzegi płynącego doliną strumienia. Przygotowywało się tam pod dozorem doświadczonych nauczycieli około dwudziestu młodych kapłanów donatystycznych, mieszaićców i czystej krwi Nipuańczyków – tak przynajmniej domniemywał Marcus, który innych adeptów prawie nie widywał. Otrzymał osobny pawilon i opiekuna, mocno leciwego, ledwo się ruszającego kapłana, który miał nadzorować jego

medytację nad założeniami donatyzmu. Już pierwszego wieczoru przyniósł mu pęk zwojów, które okazały się głównymi księgami, fundującymi doktrynę Nowego Kościoła. Było ich dwie, wzajem się uzupełniających: „Objawienie Chrystusa”, której autorem jawił się sam Donat i „Objawienie Amaterasu”, spisane przez Petyliusza. Marcus sięgnął po nie z wielką skwapliwością, prawdziwie ciekaw źródła poglądów formujących donatyzm.

Pierwsza księga opisywała objawienie, jakiego doznał Donat na początku swojej działalności, gdy był jeszcze pokornym, nikomu nie znanym pustelnikiem w Numidii. Tam, po czterdziestu dniach postu, doznał widzenia i bezpośredniej styczności z przybyłym z zaświatów Chrystusem. Ówże Syn Boży miał wyjawić Donatowi fakty, które legły u podstaw jego późniejszej doktryny. Przede wszystkim Chrystus oznajmił, iż przybył na ziemię po to, by założyć na niej Królestwo Boże, wzorcową i idealną organizację państwowo-kościelną, której przeznaczeniem będzie poprowadzenie ludu wybranego drogą prawdy. Fiasko swej misji w Palestynie tłumaczył przeciwdziałaniem Szatana, którego sługami są poganie. Akt Ukrzyżowania nie był więc jego ofiarą w sensie czystym, tylko wezwaniem do ponownej próby zbudowania Królestwa Bożego. Obowiązkiem każdego prawego chrześcijanina jest więc dążenie ku temu wszelkimi możliwymi sposobami, wedle wskazówek, które już raz, podczas swego przyjścia, objawił, a teraz przypomina. Tu następowało kilka – mętnych, zdaniem Marcusa – uwag na temat tymczasowości bytu ludzkiego, który winien być w całości podporządkowany służbie Bożej. Na koniec Chrystus zalecił Donatowi, aby zgromadził wokół siebie wiernych, zniszczył bałwochalców (czyli Rzymian) i przystąpił do wznoszenia fundamentów przyszłego Królestwa. Na tym właściwe objawienie się kończyło i następował opis działań Donata, zmierzających do obalenia porządków rzymskich i zorganizowania na terenie Afryki i Małej Azji chrześcijańskiego państwa. Wiele było tu wyrzeknięć na te gminy i ich biskupów, które odrzuciły jego objawienie, trwając przy dotychczasowych zasadach. Wspomniano też jakby na marginesie o największym wrogu donatystów, Augustynie z Hippony i jego skrytym zamordowaniu przez prawowiernych. Ta swoista ni to kronika, ni diariusz urywała się na przygotowaniach do decydującej bitwy pod Antiochią.

Z kolei zapoznał się z dziełem Petyliusza. Ten następca zabitego przez Rzymian Donata szeroko opisywał gehennę jego wyznawców, uchodzących przed gniewem Zaprzańca, jak nazywał cesarza Juliana. Marcus znalazł tu zamieszczone jakby mimochodem szczegóły pobytu u Partów i w Baktrii, skąd też po niedługim czasie musieli uchodzić. Później były Indie, a potem, spłoszeni wojną, udali się do Cattigary, wówczas wolnej kupieckiej republiki. Tu dopiero usłyszeli pierwsze wieści o młodym królestwie Nipu, powstałym na położonych na północnych wodach

Wypach, chętnie przyjmującym uchodźców. Natychmiast postanowili tam popłynąć, tajemnie natchnieni, jak stwierdził Petyliusz, przez Amaterasu.

Sama nipuańska bogini objawiła mu się we śnie trzeciej nocy po zejściu na ląd, ujawniając się jako trzecia osoba boska, ów niezwykle Duch, znany z doktryn chrześcijańskich. Amaterasu stwierdziła, iż Bóg w łaskawości swojej powierzył im to młode, wyspiarskie państwo, aby zaprowadzili w nim Ład Boży, którego nie zdołali stworzyć w rzymskim imperium. Powiedziała też Petyliuszowi, że po właściwym czasie wyruszą na powrót do starej ziemi, niosąc Krzyż i Miecz, Bożą Prawdę dla maluczkich i zagładę wrogom Kościoła. Na ostatek orzekła, iż poświęcony jej i cesarzowi kult sinto ma się zjednoczyć z Kościołem, ponieważ powstał on po to tylko, aby przygotować lud wyspiarski na ich przybycie i przyjęcie Bożej Prawdy. Teraz, tak zabezpieczeni, bez przeszkód wzniosą na danej im ziemi gmach Nowego Kościoła.

Taki to mniej więcej obraz donatystycznych wierzeń wynikał ze studiowanych przez Marcusa pism. Dziwne mu się tylko zdało, że Petyliusz ani słowem nie zająknął o chrześcijanach apostołskich, którzy przecież przyплыnęli na Wyspy równocześnie z donatystami. Być może dlatego, że już wtedy zamierzał bezwzględnie z nimi rozprawić. „A swoją drogą – zastanawiał się Marcus – to aż dziwi ten paniczny wręcz strach przed słabymi przecież i nic nie znaczącymi konkurentami”. Obawa przed starym odłamem Kościoła była tak wielka, że ksiązę Tsuomi odbył długą i niebezpieczną podróż na Zachód, aby doprowadzić do zagłady ich ostatnią gminę. Gdzie w takim razie tkwi owa niezwyczajna, groźna siła; której donatyści tak się lękają?

I wtedy przypomniał sobie o księdze, odnalezionej przez Quietusa, którą ksiązę wywiózł ze sobą. Zależało mu na tych starych papirusach bardziej nawet niż na samych chrześcijanach. Tsuomi wcale nie chciał przy ich pomocy odnawiać doktryny donatystycznej, prędzej szło o ostateczne pogrzebanie idei chrześcijan apostołskich. „Może tam należy szukać odpowiedzi?” – dociekał niezmordowanie Marcus, syt już donatystycznych objawień. Nagle zapragnął zajrzeć i do owego czwórksięgu opisującego żywot Chrystusa, aby zapoznać się i z tą wersją prawdy – jeśli coś takiego jak bodaj odrobinę obiektywna prawda w ogóle istnieje, w co wątpił, jak każdy neocynik. Poczł coś jeszcze, coś na kształt na pół uświadomionego wstydu, bo to on przecież ich, tych z Calisji, wydał.

Chrzest miał odbyć się w głównej świątyni Nary, której patronował sam święty Donat. Marcus stał przed wejściem do drewnianego budynku, o trzech nadbudowanych jeden nad drugim frontonach, zwieńczonych u szczytu posepnym, czarnym krzyżem. Wejście było niskie i szerokie, obramowane dwiema grubymi

kolumnami. Nawet w tym kultowym przecież miejscu nie dostrzegał żadnych ozdób, jedynie gołe ściany wykonane z nałożonych na siebie, kwadratowo obciosanych belek, pomalowanych czarną, połyskliwą farbą. Z wnętrza dobiegał jednostajny, głuchy śpiew, zestaw trzech-czterech sylab, powtarzanych naprzemiennie w dwóch rejestrach. Być może po nipuańsku coś one znaczyły. Towarzyszył Marcusowi młody kapłan, ubrany w powłóczyste, białe szaty, przyozdobione naszytymi czerwonymi krzyżami. Stali tak od dłuższego czasu, słuchając śpiewu i czekając widocznie na wezwanie. Marcus nie mógł nic dostrzec w głębi świątyni, poza blaskiem dalekiego ognia. Śpiew raptownie ucichł i kapłan dał mu znak, że czas wejść do środka.

Wnętrze poświęconego Donatowi przybytku prezentowało się równie ponuro, jak i reszta widzianych przez Marcusa nipuańskich budowli sakralnych. Sklepienie podtrzymywały dwa rzędy drewnianych kolumn, podobnie jak w rzymskiej bazyllice. Tworzyły one nawę główną, mizernie oświetloną smolnymi łuczycami i całkowicie pustą. Tłum wiernych tłoczył się w nawach bocznych – wielka i milcząca masa, ubrana w stare, sfatygowane odzienie. Widział w niej twarze nipuańskie, niekiedy też białe, nie brakło również mieszaińców: wszystkie tak samo płaskie, zmięte i zmęczone, wyzbyte wszelkiego wyrazu, o ciemnych, zgaszonych oczach, świadczących o nieludzkiej cierpliwości i pokorze. „To musi być naród z kamienia” – pomyślał Marcus, ogarnięty nagłym współczuciem.

Kapłan powiódł go w głąb głównej nawy, ku wysokiemu podium, przy którym stały trzy osoby – liczba ta musiała mieć w donatystycznym obrządku szczególne, mistyczne znaczenie. Na ścianie zamykającej nawę umieszczono egzekucyjny krzyż rzymski naturalnej wielkości, tak że można by na nim powiesić człowieka. Na podeście dostrzegł jakieś żeliwne naczynia, z których unosił się gęsty, mdlący kadzidlany opar.

Trójka stojących do tej pory twarzą do krzyża i sprawiających wrażenie pogrążonych w żarliwej modlitwie osób odwróciła się ku niemu niemal równocześnie. Marcus rozpoznał księcia Tsuomi, sioguna i kapłana Kukai. Ręce trzymali nadal złożone razem na piersi i patrzyli na niego w skupieniu.

– Dostąpisz dziś wielkiego zaszczytu, Marcusie Wenedyńczyku – odezwał się książę Tsuomi uroczystym głosem. – Chrzta udzieli ci sam najwyższy kapłan naszego Kościoła, biskup Nary i siogun cesarza, Augustus Dakyo Sogo.

Kiedy to rzekł, zgromadzeni wokół sioguna ofiarnicy odstępili od ołtarza i usunęli się na bok. Został tylko Marcus i towarzyszący mu od początku kapłan. Siogun stał nieporuszony, z przymkniętymi oczyma i lekko pochyloną głową. Ręce wciąż trzymał złożone razem na piersi. Mówił tak cicho, że Marcus ledwo go słyszał.

– Czyś gotów jest przyjąć wiarę naszą, objawioną przez Boga w Trójcy Jedyne go Chrystusowi, Donatowi i Petyliuszowi, wiarę domu cesarskiego i całego

prawowiernego ludu Nipu?

– Tak – odpowiedział.

– Czyś gotów okazać należyte posłuszeństwo Kościołowi i Państwu Bożemu?

– Tak.

– Czyś gotów wyrzec się dotychczasowych błędów i podążyć ścieżką prawdy, wskazaną przez nauki Chrystusa, Donata i Petyliusza?

– Tak.

Po trzecim potwierdzeniu siogun uniósł głowę, opuszczając jednocześnie ręce. Stojący u boku Marcusa kapłan zbliżył się i obnażył jego tors do pasa, zrzucając wierzchnią suknię. Siogun obrócił się ku ołtarzowi i sięgnął do ustawionego pośrodku podestu kociołka, zawierającego rozżarzone węgle i jakiś przedmiot o długiej drewnianej rękojeści. Marcus początkowo mniemał, że to nóż lub miecz, ale było to coś zupełnie innego – chrzcielnica. Siogun zwrócił się teraz ku niemu, trzymając ów niezwykle przedmiot w ręku. Marcus dostrzegł rozpalony do białości metal, uformowany na końcu w głowicę o kształcie równoramiennego krzyża. Po grzbiecie przebiegł mu mimowolny dreszcz.

– Marcusie Wenedyczyku, ja ciebie chrzczę, w imię Boga Ojca, Chrystusa Syna i Amaterasu Matki – powiedział uroczyście siogun i szybszym niż myśl ruchem przytknął mu dymiącą pieczęć do piersi.

Jakaś potworna siła rozwarła Marcusowi szczęki i usłyszał wrzask, jaki wydarł się z jego nagle spęczniałej gardzieli. W powietrzu rozszedł się swąd spalonej skóry. Każdy nerw dygotał w nim z bólu, ale mimo to zdołał zewrzeć szczęki i stłumić drugi wybuch opętane wrzasku, który wypełził pomiędzy zębów w postaci stłumionego charkotu. Siogun patrzył na niego uważnie, wciąż trzymając chrzcielnicę w ręku; dymiły na niej resztki Marcusowego naskórka. Po zrazu nieznośnych impulsach ból trochę zelżał, przemieniając się powoli w ostre pieczenie. Przestał już dygotać, a siogun odłożył narzędzie z powrotem do węgla. Podszedł teraz Kukai wraz z księciem Tsuomi i narzucili mu na ramiona nową szatę, z czarnego jedwabiu, zarezerwowaną dla stanu samurajskiego. Syknął bezwiednie, gdy gładka materia otarła się o pulsującą ranę.

– Niech Pan przyjmie cierpienie twe i gotowość twoją – wyrzekł namaszczonego tonem siogun. – Od tej chwili zwiesz się Marcusem Corejmusem Sogo i jesteś naszym wiernym sługą.

Marcus odetchnął głośno i w milczeniu pochylił głowę, oddając należny hołd swemu nowemu panu. Siogun uczynił nad nim znak krzyża. Z boku wystąpił znowu książę Tsuomi, trzymając w ręku długi, lekko zakrzywiony miecz nipuańskiego stylu. Podał go siogunowi, który zwrócił się ku Marcusowi, nadal niezbyt pewnie trzymającemu się na nogach.

– Oto miecz, którym będziesz nam służył, gromiąc wrogów wiary prawdziwej – rzekł i wręczył mu broń.

Marcus ujął rękojeść i ścisnął ją w desperacji, nie bardzo wiedząc, co zrobić z tym nieoczekiwanym darem. W końcu, wciąż niepewny drżących nóg, oparł się na nim jak na kij. Miał nadzieję, iż ceremonia dobiegła końca, ale wcale na to się nie zanosilo – wszyscy tkwili bez ruchu na swoich miejscach, nikt nie wychodził. Najwidoczniej na coś jeszcze czekano.

U wejścia do świątyni uczynił się jakiś ruch i oczy obecnych podążyły w tym kierunku. Przez szerokie wrota wkroczyło trzech ludzi: dwóch żołnierzy w pełnym rynsztunku wlokło między sobą kogoś trzeciego, półnagięgo i powiązanego sznurami. Żołnierze kroczyli z chrzęstem zbroi, groźni i marsowi, niczym wywołane z Hadesu dusze starożytnych wojowników. Gdy doszli do ołtarza, pchnęli przed siebie więźnia tak, że upadł na kolana. Był to mały, krępy mężczyzna żółtej rasy, nieco, jak się zdawało Marcusowi, odmiennej od nipuańskiej. Klęczał w milczeniu, z opuszczoną nisko głową.

– Widzisz oto przed sobą wściekłego psa, który pokąsał rękę swego pana – rzekł do Marcusa siogun, wskazując pogardliwie na klęczącego człowieka. – Koreańskiego psa, który odrzucił objawienie wiary prawdziwej i zabił wielu służących jej żołnierzy i kapłanów. A wszak Pan objawił świętemu Donatowi: „Ręka, na Państwo Boże uniesiona, winna być ucięta”. I tak niech się stanie – zetnij go!

Marcus zamarł, uderzony w samo serce zimnym kolcem – o tym go nie uprzedzano. Zaskoczony i oniemiały z przerażenia, rozejrzał się bezradnie dookoła, jakby w oczekiwaniu pomocy, lecz wszędzie widział tylko kamienne, wyprane z uczuć, nieruchome twarze. Zatrzymał rozlatany wzrok na księciu Tsuomi. Wydawało mu się, że tamten ledwo dostrzegalnie skinął głową.

– Zetnij go! – powtórzył twardo siogun.

Ujął miecz w obie dłonie i z chrzęstem wyciągnął z pochwy; zerknął przy tym kątem oka na skazanego. Klęczący pokornie człowiek uniósł niespodziewanie głowę, a Marcus zobaczył złane potem oblicze i udręczone, obłąkane ze strachu oczy. W zapadłej ciszy słyszał jego chrapliwy, urywany oddech. Jakby wbrew własnej woli przesunął się parę stóp w bok, w miejsce, skąd mógł zadać pewniejsze cięcie. Podniósł do góry miecz i jeszcze raz spojrzął na sioguna; pojął wówczas, że w oczach tamtego klęczący u stóp ołtarza Koreańczyk już dawno był martwy. W istocie chodziło o niego, Marcusa, o dokończenie chrztu. Próbę ognia przeżył pomyślnie, teraz czekała go próba krwi. Kto wie, czy nie stokroć ważniejsza.

Powoli, jakby wyzbyty własnej woli, kontynuował kaźń: przymierzając cios, dotknął ostrzem szyi ofiary, która wzdrygnęła się i zaczęła dwakroć obficie się pocić. Przez gładką twarz sioguna przemknął cień zniecierpliwienia. Marcus zrozumiał, że

nie może dłużej zwlekać. Podniósł miecz i zamykając oczy, ciął z całym rozmachem. Ostrze weszło gładko, przeszło z ledwo wyczuwalnym oporem przez kręgi szyi i, uwolnione od ciała, świsnęło przeciągle. Najwprawniejszy kat nie mógłby się pochwalić czystszy cięciem.

– Miła jest Panu krew jego wrogów – oznajmił siogun.

Głowa Koreańczyka potoczyła się do przodu i uderzyła o podest. Bezgłowy, tryskający posoką kadłub zwałił się z łoskotem na podłogę świątyni. Marcus milczał wpatrzony w wędrującą po ostrzu kroplę ciemniejszej krwi.

Po chrzcie dwa następne dni przeleżał w malignie, trawiony gwałtowną gorączką; przyszli do niego wszyscy: Sewer Flawiusz, Kuno Lichtenus, Paolos, nawet ten wieprz Agamemnon. Potrząsali mu przed nosem workami złota i żądali wydania chrześcijan; potem siedział zamknięty w skrytorium i pisał nieskończenie długi donos, w którym sam siebie demaskował jako wyznawcę zakazanej sekty. Łoże, na którym leżał, przemieniło się naraz w ogromny drewniany krzyż, Kuno pochylał się z młotkiem i pytał, po ile gwoździ wbijać. W końcu wbił tylko jeden, w pierś. Gwóźdź palił go żywym ogniem. Jako ostatni przyszedł Quietus. Marcus nie mógł zrozumieć, o czym jego zmarły przyjaciel mówi.

– *Gdybym też miał dar prorokowania i znał wszystkie tajemnice, i posiadał wszelką wiedzę, i wszelką możliwą wiarę, tak iżbym góry przenosił, a miłości bym nie miał, byłbym niczym.*

Zamilkł, po czym przystąpił do łoża i dotknął chłodną dłonią jego rozpalonego czoła.

– Nie obawiaj się, Marcusie – powiedział. – Jeszcze nie wybrałeś. Jeszcze nie jesteś potępiony.

Po tych słowach zmory odstały, a Marcus wreszcie zasnął snem człowieka, którego inni nazwaliby sprawiedliwym.

Spienione bałwany waliły z hukiem o skalisty brzeg. Marcus, trzymając się wyrastającego ze szczeliny wąskiego drzewka, spoglądał z góry na kipiącą topiel. Musiała być najwidoczniej pora przypływu – nie widział żadnej innej przyczyny tak wścieklej furii morza, od wielu dni panowała bowiem słoneczna pogoda, wprost wymarzona do żeglowania. Spojrzał ponownie w dół, na wirującą między skałami białą kipieli. Pokręcił z niedowierzaniem głową i zwrócił się ku stojącemu nieopodal księciu Tsuomi.

– To chyba nie jest najlepsze miejsce na przystań – powiedział.

Księżę enigmatycznie wykrzywił usta, co u Nipuańczyków było odpowiednikiem serdecznego uśmiechu.

– Bo też nie ma jej tutaj. Port jest za tym wzgórzem. – Wskazał trzymaną w rękę trzcinką dość stromy grzbiet po lewej stronie.

Weszli tam wąską, uciążliwą ścieżką, prowadzącą na zupełnie płaski wierzchołek. Zastali tam posterunek obserwacyjny złożony z trzech żołnierzy, którzy gorliwie oddali księciu honory. Tsuomi minął ich bez słowa i przeszedł na drugą stronę. Gestem przywołał Marcusa i wskazał trzcinką na dół. Marcus spojrzął i zaparło mu dech w piersiach.

Zatoka, wciśnięta między dwa strome wzgórza, nie mogła być rozległa: około ćwierci mili szerokości i z pół długości. Okalała ją wąska, biała plaża. Wzniesiono na niej kilka przysadzistych budynków, przytulonych do prawie prostopadłych zboczy. Nie to wszakże okazało się niezwykle. Na środku, zacumowane jeden za drugim, kołysały się dwa okręty. Pierwszym była rzymska galera parowa średniej wielkości, cicha, opuszczona i z wygaszonym kotłem. Na pokładzie nie dostrzegął żadnego ruchu, wspomagający żagiel został starannie zwinięty, a ster podniesiony. Za nią kolebał się na wodzie okręt identyczny w kształtach, z tym jednak, że blisko dwa razy większy, wykonany z ciemnego drewna. Tu z komina buchał gęsty dym, a pokład roił się od pracujących gorączkowo marynarzy. Odbierali wielkie paki z zacumowanych przy burcie łodzi i składali je na śródkręciu. Wszyscy, jak się zdawało Marcusowi, byli Nipuańczykami. Dostrzegł też inną odmienność: na dziobie, tam gdzie Rzymianie umieszczali zazwyczaj posąg Fortuny, widniał prosty, czarny krzyż.

– Ten mniejszy został przygnany przez burzę z kotwiczowiska przy Formosie – wyjaśnił książę, nie czekając na jego pytania. – Dokładnie sześć lat temu. To sam Pan nam go zesłał, na znak, że czas wyruszyć.

Marcus wolał nie pytać, co zrobiono z załogą. Zapewne przed śmiercią dokładnie opowiedzieli, co im było wiadomo o budowie parowych galer. W każdym razie nipuańska replika wyglądała na doskonałą i równie solidny okręt.

– Tych zaś mamy sto dwadzieścia. Większość już odpłynęła.

– Dokąd? – spytał, niemile zaskoczony, że mu o tym wcześniej nie powiedziano.

– Do Cattigary – objaśnił spokojnie książę. – Sprzymierzone z nami puszczańskie plemiona uderzyły z głębi lądu na miasto, flota zaatakowała od morza. Nie bronili się długo.

„A więc zaczęło się” – pomyślał Marcus. „To jednak wysłannicy Nipu podburzali dzikusów z dżungli”. Przypomniał mu się Labienus, Tong Po, Letycja, Sian i inne gibkie a wesołe dziewczyny z teatralnego burdelu. Jeśli nie zdołali uciec, to leżą gdzieś wśród ruin, pocięci krzywymi mieczami nipuańskich wojowników lub, jeśli mieli mniej szczęścia, zostali uprowadzeni w dżunglę jako zapas białego mięsa na uroczyste okazje. Mogli też czekać, trwożliwie ukryci w zatęchłych norach, co postanowią nowi władcy. Jeżeli los będzie łaskawy, to poznaczeni jak bydło zostaną

nowymi członkami wspólnoty Państwa Bożego. Machinalnie uniósł rękę i dotknął miejsca na piersi, gdzie zablizniała się rana. Prawie już nie odczuwał bólu.

– Jutro wyruszysz tym właśnie okrętem. – Książę wskazał na większą galeryę. – Dogonisz flotę, w Cattigarze, przesiądziesz się na zdobytą w porcie łódź i śpiesznie popłyniesz na Taprobane. Tam podasz się za uciekiniera. A co czynić dalej, to sam wiesz najlepiej.

– Tak, wiem – potwierdził Marcus.

– Ktoś ci będzie towarzyszył – ciągnął Tsuomi. – Nasz zaufany człowiek, ale dobrze znający łacinę i obyczaj rzymski, był zresztą wraz ze mną w Rzymie i Wenedii. To takie dodatkowe zabezpieczenie naszej umowy.

Marcus uśmiechnął się zdawkowo. Książę może i był donatystycznym fanatykiem, niemniej jednak doskonale znał reguły gry spiskowej i potrafił się nimi posługiwać. No cóż, ciągle mu nie ufali – i wcale nie zamierzali tego ukrywać.

– Czy go znam? – spytał.

– Masz go za plecami.

Za nimi, wsparty oburącz na własnym mieczu, stał Gajusz Marcellus Sogo i zasepiony patrzył w milczeniu na morze.

V. Droga do Calisji

„Najgorsza bywa ta chwila – snuło się po rozleniwionej głowie Sewera Flawiusza – kiedy zmysły są już nasycone i to drugie, leżące obok ciało jest w istocie zbędne, aż do chwili nowego ich porywu”. Co zatem robić? Rozmawiać? Patrzyć, podziwiać i milczeć? Chyba najlepiej napić się wina, zdecydował. Sięgnął do stolika, gdzie postawił puchar. Pijąc, kontemlował boskie kształty Klaudii, wyciągniętej na łożu jak struna i odwróconej do niego plecami. Chcąc nie chcąc, musiał przyznać, że są zachwycające: smukłe, o klasycznych proporcjach wziętych ze starogreckich rzeźb, gładkiej szyi, szczupłych plecach, pięknie zaokrąglonych biodrach, w miarę pulchnym, ale i sprężystym tyłeczku, mocnych, zwartych udach, idealnej łydce i tak zgrabnie toczonyj kostce i stopie, że nie powstydziałaby się jej sama Afrodyta. Nic dziwnego, że cały Rzym pragnął pieścić to ciało.

– Daj i mnie trochę – powiedziała, nie odwracając się.

Podał jej puchar, upiła łyk, zakrztusiła się i obróciła na wznak. Resztkę wina wyciekła jej na piersi. Pochylił się i zlizwał czerwone krople z głębokiego rowka między piersiami – bardzo ładnymi, twardymi i sterczącymi prężnie niczym dwaj pretorianie na warcie. „Są dokładnie takie, jakie lubię” – stwierdził, muskając wargami ich brodawki. Klaudia westchnęła lekko, a on odczuł przyływ nagłego pożądania. Ale przecież mieli rozmawiać.

– Powiedz mi, Klaudio – rzekł, opadając z powrotem na plecy – dlaczego wybrałaś właśnie mnie? Do tej pory nie dałem ci złamanej drachmy. Czy tak postępują dbające o swe interesy kurtyzany?

– Może dlatego, że jesteś inny niż wszyscy? – powiedziała, przewracając się na bok powolnym, starannie wystudowanym ruchem. Patrzyła teraz na niego zwodniczymi, ciemnymi oczyma dziewiczej lani, przyprószonymi gdzieś na dnie złotymi ognikami tajonej perwersji.

– Pojmuję – uśmiechnął się sardonicznie. – Inni wyciągali sakiewki już przy pierwszym spotkaniu.

– Wstręciuch – odrzekła urażonym tonem, ale jej oczy śmiały się figlarnie. Zaiste, kurtyzana była znakomitą, godną następczynią Aspazji, Fryne czy jej rzymskiej

poprzedniczki, Klodii, pierwszej divy schyłku republiki. Nie kaprysiła też przesadnie, co na przykład greckie hetery uważały za element niezbędny w omotywaniu każdego kochanka. Przyszło mu do głowy, aby się z nią trochę podroczyć.

– A co byś powiedziała, moja droga, gdybym nigdy ci nie zapłacił?

– To nie zapłacisz. – Jej oczy śmiały się nadal.

– Czyżby ktoś mnie w tym wyręczył? – spytał, siląc się na obojętny ton głosu.

– Co przez to rozumiesz? – Poderwała się ostro i usiadła, patrząc na niego zimno, już bez śladów uśmiechu.

– Nic. – Wyciągnął rękę i pogładził ją po gładkim, pokrytym niewidocznym puszkim policzku. Dotknął delikatnie ust, mając nadzieję, że jak zwykle złapie go zębami za któryś z palców. Ale teraz nie chciała się w to bawić. – Naprawdę nic.

– Nie wierzę ci – powiedziała z powagą, najeżona na podobieństwo rozłoszczonej kotki.

Uśmiechnął się przyjaźnie i nic nie mówiąc, pchnął ją łagodnie z powrotem na łóżko. Opadła na poduszki, wciąż spięta i czujna. Ponownie się uśmiechnął, najsympatyczniej jak potrafił, i zaczął ją pieścić, poczynając od pocałunku w kącik skrzywionych i niechętnych ust. Widocznie spisywał się nieźle, skoro po chwili westchnęła głęboko i, odprężona, objęła go ramionami. Wykorzystał to natychmiast i wszedł w nią bez dalszych ceregieli. Otworzyła się całkowicie, zgarniając go w siebie dość osobliwym ruchem bioder, który brał za indywidualny wkład Klaudii do zawodu. Wszedł jeszcze głębiej i zaczął się poruszać, zrazu płytko i wolno, bez zbytniego pośpiechu. Klaudia oddychała coraz głośniejsze. Uniósł się na rękach i spojrzał jej w twarz, poczynającą drgać i nabrzmiewać od napływającej z głębi ciała nieodpartej rozkoszy. Odrobinę zwiększył tempo zauważając z zadowoleniem, jak na jej wardze, tuż pod kształtnym nosem, ukazuje się kropelka potu, która wnet spłynęła ku kącikowi ust. Przekręciła głowę i przymknęła szkliste, rozlatane oczy, głośno oddychając szeroko otwartymi ustami. Znieruchomiał na moment i wtedy zapytał:

– Kto?

Otworzyła oczy i spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem. Wznowił ruch bioder, tym razem starając się drażyć jak najgłębiej. Jęknęła i zagryzła wargi.

– Kto ci kazał to robić?

– Co robić? – sapnęła. I ona zaczęła się ruszać, coraz bardziej podniecona. Jej biodra, napięte uda, brzuch i pośladki współgrały z nim z cudowną zręcznością utalentowanej i wyćwiczonej tancerki. Znowu przymknęła powieki, całkowicie pochłonięta miłosnym rytmem.

– Kto ci kazał ze mną sypiać? – powtórzył, nie zwalniając tempa. Klaudia wzdrygnęła się, zamarła i niespodziewanie, całkowicie otrzeźwiona, usiłowała się spod niego wydobyć, ale jej nie pozwolił. Przygwoździł kurtyzanę całym ciałem do

łóżka, nie zważając na jej desperackie podrygi. Powoli i z niejakim trudem zaczął jeszcze raz od początku.

– Kto? – zapytał znowu.

Próbowała ukąsić go w nos, ale się uchylił, gryząc ją w odwecie w szyję. Jego cierpliwe zabiegi z wolna przynosiły rezultaty: ciało Klaudii przeszły nagły dreszcz i jej opór cokolwiek zmalął. Pchał coraz silniej, z mocą i regularnością portowego kafaru, aż się zupełnie rozluźniła i poddała nadciągającej rozkoszy. Bezwiednie, wbrew sobie, podjęła pracę biodrami, zacisnęła przy tym zęby i miast spazmatycznych, pieszczących ucho westchnień słyszał coś na kształt syku wścieklej zmi. Ale to mu zupełnie nie przeszkadzało. Ciało Klaudii ponownie zaczęło sztywnieć, już nie próbowała się uwolnić, wygięta w łuk i wstrząsana falami przepływającego przez nią spełnienia. Krzyknęła raz tylko, głośno, i ścisnęła go przy tym z całej siły udami. Wtedy zapytał jeszcze raz.

Powiedziała. Usłyszał imię pośród nieartykułowanego, zdławionego jęku. Wyrwał się z niej, nie dbając o własną przyjemność, i wyskoczył z łóżka. Klaudia, wciąż jęcząc, zwinęła się w kłębek i gryzła prześcieradło. Wstrząsały ją gwałtowne dreszcze, które rozpaczliwie usiłowała opanować. Obserwował to z oddali z chłodnym namysłem godnym filozofa szkoły neodogenejskiej. Przysiadł na kraju łoża, nalał sobie wina i popijając, czekał, aż kurtyzana trochę się uspokoi. Darcie tkaniny ustało i gdzieś ze środka zwiniętego kłębka dobiegł stłumiony szloch.

– Spałaś z nim? Czy jest w łóżku lepszy ode mnie?

Kątem oka zauważył, że przestała się poruszać. Wyprostowała się nagłym ruchem, niczym przygięta do ziemi trzcina, i spojrzała na niego wściekle. Łzy wyraźnie szkodziły jej urodzie, czyniąc twarz opuchłą i zaczerwienioną.

– Sewerze Flawiuszu, jesteś największym łajdakiem w imperium, prócz niego oczywiście – oświadczyła schrypniętym głosem. – Sam wiesz doskonale, że nie mogłam odmówić.

– Wiem – odparł i wstał, podchodząc do ażurowej kraty, oddzielającej sypialną komnatę od nadmorskiego tarasu. Uchylił ją i do środka wpadła słonawa, świeża bryza. Oslaniające łoże muśliny zaszeleściły, falując i wyginając się w fantazyjne, powiewne kształty. Za nimi w głębokim mroku białło nieruchome ciało Klaudii. Raptem zrobiło mu się żal nieszczęsnej kurtyzany. Rzeczywiście, nie mogła odmówić. Z drugiej strony, roztrząsał zimno dalej, cóż Julian mógł się o nim od Klaudii dowiedzieć? Że sprawniej od niego spółkuje? – Miłość jest obrazem wojny, Klaudio – powiedział, na poły świadomie cytując Owidiusza. Kurtyzana milczała, jej plecy wciąż drgały wstrząsane dławiącym, spazmatycznym łkaniem. – Tak, Klaudio, ja naprawdę kocham, wręcz uwielbiam... twą sztukę miłowania. Twój wielbiciel nie przesadza, jesteś pierwsza w całym Rzymie, najlepsza. Naprawdę.

Nic mu na to nie odrzekła. Odwrócił się w stronę okna i popatrzył na znikające nad horyzontem gwiazdy, pochłaniane przez jaśniejący błękit nieba. Noc przedajnej miłości dobiegła końca. „Nie martw się, moja droga” – powiedział do niej w myślach z niespodziewaną czułością. „Ta chwila, tak jak i wszystko, co przeżyliśmy, dobrego i złego, przepadnie na zawsze w heraklitowej rzece czasu”.

Kurtyzana ciągle szlochała, wstrząsana spazmatycznymi drgawkami – ale jakoś nie potrafił wykrzesać w sobie poczucia winy.

* * *

Czarna galera rzuciła kotwicę na redzie portu w Cattigarze. Majtkowie pokrzykiwali rytmicznie, odkręcając bęben z kotwicznym łańcuchem. Marcus stał przy burcie i oniemiały patrzył na rozciągnięte za portem miasto, tak dobrze znajome – dziś ledwo je rozpoznawał. Ostatnie walki zakończono dziesięć dni temu, a mimo to do tej pory nad całym przymorskim obszarem unosił się sinobury opar, zasilany nieustannie dymem z tłących się tu i ówdzie pogorzeliisk. Zniszczenia były ogromne; znaczne kwartały Cattigary zostały wręcz zniesione z powierzchni ziemi, nie mógł tylko dociec, czy w wyniku walk, czy też planowych, rozmyślnych wyburzeń. Zniknął cyrk, co okazalsze bazyliki i większość świątyń, wyburzono także niektóre dzielnice mieszkaniowe. Na ich miejscu rozciągało się ponure gruzowisko, z którego sterczały gdzieś resztki potrzaskanych ścian i kolumn. Dzielnica portowa wyglądała na spaloną do fundamentów, nawet z tej odległości widział pozbawione dachu domy i osmalone fasady. Jedynie kłocowata twierdza wyglądała na zupełnie nie ruszoną, patrolując z wysoka smętnym ruinom kwitnącego niegdyś miasta. O nabrzeże tłukły się niesione przyplływem resztki po zniszczonych rzymskich okrętach. Dalej widział grupy ludzi, nadzorowanych przez nipuańskich żołnierzy, którzy kładli na stosy ciała zabitych. Inni przekładali je wyłowionym z morza drewnem. Trupów podobno było tak dużo, że poważnie obawiano się epidemii, mogącej zdziesiątkować ocalałych mieszkańców i zagrozić garnizonowi. Mdlący odór śmierci czuło się aż tutaj, pół mili ód brzegu.

Patrzył na ten trupi pejzaż ze ściśniętym grozą gardłem, wciąż nie dając wiary własnym oczom, gdy usłyszał za sobą kroki i tuż obok oparł się o reling Gajusz. Podążył za wzrokiem Marcusa i przez moment razem spoglądali na miasto.

– Byłeś tu już kiedyś... – ni to stwierdził, ni zapytał Nipuańczyk.

– Owszem. – Marcus opuścił głowę i patrzył teraz na ołowianą wodę chlupoczącą o burtę. – To miasto nie było ani lepsze, ani gorsze od innych. Może nieco weselsze.

– Chciałbyś tam popłynąć?

– Nie. – Odwrócił się plecami do brzegu. – Nie ma po co. Czy długo będziemy tu kotwiczyć?

– Zaraz odpływamy. – Gajusz wskazał ręką człowieka, który wdrapywał się na pokład galery od strony morza. – Właśnie zjawił się nasz przewoźnik.

Marcusowi w pierwszej chwili zaparło dech ze zdumienia – zbliżał się oto ku nim nikt inny, tylko Sin Tan, formosyjski kupiec i jego przedsiębiorczy przewoźnik. Seryjczyk też go chyba rozpoznał, bo nieznacznie zwolnił, ale niczym innym się nie zdradził. Przystanął trzy kroki przed nimi, kłaniając się głęboko i z uszanowaniem. Marcus nie podejrzewał, że stać go na tak dworne maniere.

– Jestem na wasze rozkazy, dostojni.

– To pirat z Formosy, pochwycony przez naszą flotę. Powinien zawisnąć na maszcie, ale książe Tsuomi doszedł do wniosku, iż idealnie nadaje się do odwiezienia nas na Taprobane. Wszak dobrze znasz tamtejsze wody?

– Jakbym się na nich urodził, panie – oświadczył Sin Tan gorliwie.

Na Marcusie zrobił wrażenie mocno przerażonego, co było trochę dziwne, zważywszy, iż uprawiając zawód pirata, ryzykował gardło nader często. Sam jednak musiał przyznać, że Nipuańczycy potrafili wystraszyć. Nie znał innej nacji, której zadawanie śmierci przychodziłoby z większą łatwością. Gardzili życiem, jako jeno drobnym, nieistotnym epizodem w drodze ku Królestwu Niebios.

– Czy dżonka gotowa do drogi? – zapytał sucho Gajusz.

Seryjczyk skwapliwie przytaknął, prowadząc ich na drugą stronę okrętu. W dole, tuż przy burcie galery, cumował ten sam stateczek, którym swego czasu dostarczył Marcusa na Wyspy. Uwijało się po nim zwawo kilku ludzi z załogi nipuańskiej galery, ładując drewniane beczki i inne, opakowane w trzcinową matę pakunki. Dwóch starych majtków Seryjczyka stawiało skośny żagiel, który natychmiast wypełnił się dmącym od strony lądu wiatrem. Sin Tan oznajmił im, że teraz jest najkorzystniejsza pora, aby odbić i popłynąć wprost na południe. Marcus dostrzegł, że na pokładzie dżonki jakimś trafem znalazł się węzeł z jego rzeczami. Gajusz skinął przyzwalająco głową i zaczęli po linowej sieci schodzić w dół ku kołyszącej się na fali łodzi.

Wielka, kreślona intensywnymi kolorami mapa Imperium Romanum zajęła całą wschodnią ścianę w gabinecie Sewera. Patrzyli na nią w ponurym milczeniu, słysząc było jedynie szelest kart, układanych przez Lucjusza na pulpicie w porządnym stos. Zawierały odpisy najnowszych raportów, które dopiero co przestudiowali. Nie przynosiły zbyt pomyślnych wieści. Pierwszy poruszył się Sewer Flawiusz, wstając ze stołka. Podeszedł do mapy, biorąc z pulpitu rylec, potrzebny mu jako wskaźnik.

– Zatem sytuacja powoli się wyjaśnia – powiedział. – Po zdobyciu Cattigary flota nipuańska przepłynęła cieśniny syjamskie i znajduje się gdzieś na Oceanus Indicus – wskazał niebieską plamę między Taprobane a wyspami położonymi na południe od

Syjamu, Chersonesusem i Agathodaemonisem. – Ich celem będzie tym razem niewątpliwie Taprobane, a konkretniej nasze faktorie położone na zachodnim wybrzeżu tej wyspy. Oslania je co prawda Legia India, ale nie sądzę, aby byli w stanie bronić się dłużej niż Cattigara.

– Wielu senatorów jest zdania, że Nipuańczykom chodzi li tylko o przejęcie naszego azjatyckiego dominium, że poprzestaną na zamorskich faktoriach. Inni z kolei mówią, że obróca się przeciwko Baktrze lub krajowi Partów, nie mówiąc o Indiach, bogatych i łatwych do podboju, bo podzielonych na skłócone ze sobą królestwa – zauważył Lucjusz.

– Powinni w takim razie porozmawiać ze mną – wtrącił Tytus. – Nie po to Sogo uruchomili tę wojenną maszynę, aby kontentować się resztkami z pańskiego stołu. Na nich też przyjdzie kolej, później. Siogun, a dokładniej popierający go kler donatystyczny, chce przede wszystkim Rzymu. I ma ku temu możliwości, wyprawę przygotowywano dziesiątki lat. Już sto lat temu cały kraj Nipu został temu podporządkowany.

– Stąd nie ma pytania „czy uderzą?”, tylko „gdzie?” – Sewer odsunął się nieco od mapy i popatrzył na nią z zastanowieniem. – Po zajęciu Taprobane mają dwie drogi do wyboru. Ta dłuższa wiedzie przez Mezopotamię. – Pokazał zaznaczone intensywną zielenią dorzecze Tygrysu i Eufratu. – Mogliby maszerować wzdłuż tych dwóch rzek, mając długi czas wsparcie płynącej z nimi floty. Z tym że w końcu musieliby ją porzucić i maszerować dalej bez niej, przez całą Syrię, Galatię i Frygię, dzięki polityce Juliana prawie ogołocone z wojska... Później byłaby przeprawa do Tracji, przez przesmyk bizantyjski, dalej wzdłuż Dunaju aż do Alp, za nimi już jest Italia. Droga to długa i niebezpieczna, na której mieliby trochę niezgorszych twierdz do zdobycia. Dałoby to też Rzymowi czas na zgromadzenie wielkiej armii, wystawionej przez zachodnie prowincje. Myślę, że wtedy główna bitwa rozegrałaby się gdzieś tutaj. – Zakreślił rylcem szary obszar Pannonii i Noricum.

– A jaka jest druga możliwość? – spytał Tytus.

– Mogliby uderzyć też tutaj, w Egipcie. – Sewer pokazał cienką, czarną kreskę kanału łączącego Sinus Arabicus z deltą Nilu. – Gdyby opanowali kanał faraona Sezostriasa, zyskaliby możliwość przerzucenia floty na Morze Śródziemne, gdzie dzięki wspomnianej polityce Juliana wojennych galer rzymskich jest tyle, co wstydlivosti u babilońskiej hetery. Mając przytłaczającą przewagę we flocie, mogliby przeprowadzić desant wprost na wybrzeże Italii. Jest tu jedna właściwie kwestia – sam kanał, który bardzo łatwo w razie zagrożenia zmienić w płytkie bajoro, rozkopując chroniące go przed pustynią wały. Można też zatopić w nim parę załadowanych kamieniami galer. Uporządkowanie tego bałaganu (który jest w stanie sprawić nie więcej jak tysiąc ludzi w trzy, cztery dni) zajmie z pewnością długie

miesiące. W tym czasie można by zablokować flotę nipuańską w Sinus Arabicus, zatykając naszymi galerami cieśninę etiopską. Wtedy cała armia nipuańska znalazłaby się w śmiertelnej pułapce, narażona na równoczesne uderzenie od strony Syrii – myślę tu o tych paru ocalałych po redukcjach legionach azjatyckich, a także od Kartaginy, gdzie łatwo by się przeprowiły posiłki z prowincji zachodnich. Nipuańska awantura skończyłaby się wówczas gdzieś koło Heliopolis.

Przestał mówić i popatrzył na nich pytająco, czekając na ewentualne komentarze.

– Którą drogę twoim zdaniem wybiorą? – spytał Tytus.

– Hm, sęk w tym, że nie wiem. – Sewer w zamyśleniu podrapał się rylcem w nos.

– Mam tylko ogólne wrażenie, że jeśli bardziej liczą na wojska lądowe, to pójdą przez Mezopotamię, a jeśli bardziej ufają flocie, to uderzą na Egipt. Mogę się jednak mylić. A ty sam, Tytusie, jakiego jesteś zdania?

– Trudno coś sensownego orzec, jak się to donatystyczne nasienie zachowa.

Kierujący nimi Sogo nie są głupcami, to pewne. Fanatyzm i okrucieństwo wcale nie przyćmiewają im umysłów, przynajmniej tym najważniejszym, przywódcom.

– Na to wygląda. – Sewer wrócił z powrotem na stołek. – Książę Tsuomi zrobił na mnie wrażenie bardzo trzeźwego człowieka. Udało mu się omamić cały prawie Rzym, nie wyłączając Juliana, co akurat nie było takie trudne. Wykazał się jednak niepospolitym sprytem, skoro tak dokładnie zdołał ukryć prawdziwy cel swojej misji.

Klasnął w dłonie i niewolnik przyniósł im napoje: dla niego i Tytusa sok pomarańczowy z wodą, dla Lucjsza wino, którego uczony sekretarz nie życzył sobie rozcieńczać. Ciągące się od zeszłego miesiąca upały trwały nieprzerwanie, jakby słońce pragnęło swym żarem wypalić Wieczne Miasto do kości, nie czekając z tym na Nipuańczyków. Lucjusz wychylił swoją porcję duszkiem i chciał uzupełnić kubek, ale Sewer go powstrzymał.

– Chcę, abyś coś jeszcze napisał – powiedział. – Prywatny list do namiestnika Egiptu, Roscjusza, w którym chcę go uprzedzić o możliwym ataku. Z tego, co wiem, to dość energiczny człowiek i powinien poradzić sobie z blokadą kanału.

Do gabinetu wszedł majordomus i zaanonsował przybycie szlachetnych senatorów Afraniusza i Lentullusa z pilną sprawą. Sewer początkowo chciał ich odprawić – nie miał czasu na towarzyskie pogaduszki – ale ostatecznie postanowił porozmawiać z nimi w położonym na pierwszym piętrze atrium. Nie było go blisko kwadrę, w końcu wrócił z bardzo dziwną miną. Chwycił za kubek, nalał do niego wina i wypił łączywie. Tytus i Lucjusz patrzyli na niego ze zdumieniem.

– Nic w tym dziwnego – wyjaśnił zduszonym głosem. – Nie co dzień otrzymuje się propozycję uczestniczenia w antycesarskim spisku. Sam nie mogę pojąć, jakim sposobem ci głupcy noszą do tej pory głowy na karkach. Wiecie, co wymyślili? Ubzdurali oto sobie, że przeprowadzą teraz zamach stanu, obalą Juliana, a władzę

przejmie senat. Ten genialny pomysł świadczy, że nie mają żadnego poważnego planu. Tak czy owak, będzie dla nas lepiej, jeśli stąd znikniemy na jakiś czas. Lucjusz – zwrócił się do sekretarza. – napiszesz jeszcze jeden list, właśnie do senatu, informujący o moim wyjeździe do Wenedii, celem osobistego przypilnowania mobilizacji tamtejszych legionów. Na szczęście jako namiestnik prowincji mogę to uczynić. Ty zaś, Tytusie, idź do majordomusa i każ mu przygotować wszystko do drogi. Wyruszamy dziś przed wieczorem.

Później, będąc już sam, stanął w oknie i osłaniając oczy od słońca, patrzył na miasto, na jego mury, termy, fora, cyrki i teatry, na Palatyn wreszcie – wspaniałe budowle, niektóre trwające nienaruszenie od czasów Cezara, a nawet wcześniejszych, drgały w nagrzanym powietrzu, lśnią wypolerowaną cegłą lub śnieżnobiałym marmurem. Cały ten architektoniczny ogrom, to pulsujące serce świata dyszało ciężko, jakby trawione wewnętrzną gorączką, przeczuciem bliskiego końca. Naprawdę, *finis Romae aeternae*? Koniec rzymskiej wieczności, uciętej nipańskim mieczem?

Zanurzył dłoń w dzbanie z wodą i obmył sobie spoconą twarz. Gdzieś tam za oknem znajdowała się też Klaudia, beztroska i radosna, szukająca pewnie ochłody pośród jedwabnych prześcieradeł. Znowu przyszedł mu na myśl Katullus, ów natrętny poeta nieszczęśliwej miłości.

*Niech sobie żyje z gachami szczęśliwa,
Setka ich naraz w domu u niej bywa;
Każdemu sprzyja, choć w sercu nie lubi
I chytrze gubi.
Mnie niech da spokój. Czar prysnął, jam wolny.*

– Tak – mruknął do siebie z ironią. – Naprawdę wolny.

Liny skrzypnęły przeciągle i żagiel z łopotem odchylił się pod ostrym kątem, stosownie do zmienionego kierunku wiatru. Płynęli trzeci już dzień, gnani nieprzerwanie na południe przez porywisty monsun. Łódź podskoczyła, przecinając grzbiet wysokiej fali, ale Sin Tan, mocno zaparty w pokład, krzepko dzierżył ster. Co chwila zerkał na magnetyczną różę wiatrów, podługowatą figurę z szarego metalu, której jedna część, wyrzeźbiona w kształcie dłoni, nieodmiennie wskazywała północ. Teraz skręcali łagodnym łukiem na zachód. Dwaj stanowiący załogę dżonki majtkowie siedzieli na dziobie i naprawiali nadwyreżony wichrem element ożaglowania. Gajusza do tej pory nie widział, siedział zapewne pod pokładem w

dusznej klitce bez okien. To nawet cokolwiek Marcusa zdziwiło, ranek był bowiem przyjemny, powietrze rzeńskie, świeże, bez śladów tropikalnego upału, który jak zwykle zaatakuję za godzinę lub dwie, czyniąc do wieczora życie lepkiem i nieznośnym. Miał już powyżej uszu Najdalszej Azji. Chciałby być wreszcie w domu... Zwrócił się ku Sin Tanowi.

– Jak myślisz, kiedy ujrzymy Taprobane? – zapytał.

Seryjczyk popatrzył najpierw na słońce, niespiesznie drapiące się w górę, potem na linię horyzontu przed dziobem.

– Trudno powiedzieć, panie, może dziś, może jutro. Wiatr mamy dobry.

– To piękna wyspa, cała w kwiatach – zauważył nostalgicznie Marcus. –

Gospody wygodne, jadło smaczne, dziewczki chętne i bez przesądów, wina i piva ile chcesz. Ech, pivo – westchnął. – Dałbym choćby i mą nawróconą donatystyczną duszyczkę za bodaj jeden kufelek...

Marzenia te przerwało nagłe poruszenie na dziobie. Majtkowie, porzuciwszy robotę, podskakiwali radośnie i wskazywali na coś przed sobą. Krzyczeli przy tym po seryjsku. Twarz Sin Tana, od początku podróży stale spięta i poważna, odprężyła się gwałtownie. Zagościł na niej skąpy uśmiech.

– Ziemia – wyjaśnił. – Oni widzą ziemię.

Marcus paroma susami dopadł dziobu, odepchnął obu Seryjczyków i jał sam wypatrywać. Początkowo nie widział nic, dopiero po niejkiej chwili w miejscu, gdzie daleko przed nimi ciemniejsza woda stykała się z błękitnoniebieskim nieboskłonem, dostrzegł niewielką kreskę, pośrodku nieznacznie wypukłą. Wyglądało to istotnie na jakiś ład, bardzo jeszcze odległy. Zamrugął ostro oczyma i ponownie spojrzął w to samo miejsce, ale kreska nie znikala, stąd raczej nie była złudzeniem.

– Jesteś pewny, że to Taprobane? – spytał, nie odwracając głowy. – Zawiniemy najpierw do faktorii Narragara na wschodnim wybrzeżu, znam tam znakomitą gospodę. Chyba zasłużyłeś na porządny kufel...

Nikt mu nie odpowiedział. Na pokładzie panowała wzorowa cisza, słyszał tylko łopot żagla. Tknięty złym przeczuciem, odwrócił się powoli. Sin Tan nie mógł nic odpowiedzieć, ponieważ bezwładnie zwisał na drążku wiosła sterowego, z odchylną do tyłu głową, z gardłem przebitym krótką, grubą strzałą. Dwaj majtkowie leżeli pod lewą burtą, twarzami do pokładu, zupełnie nieruchomi. Obok stał Gajusz z czymś w rodzaju małej kuszy w lewej, a mieczem w prawej ręce. Kopnął jednego z leżących, a gdy ten się nie poruszył, odrzucił precz kuszę, a miecz schował do pochwy. Potem podszedł do steru i zepchnął Sin Tana na deski pokładu. Sam chwycił drążek i zamarł w bezruchu, z wzrokiem wlepionym w ciemną kreskę na horyzoncie. Marcus patrzył na niego z otwartymi ustami, nie mogąc dobyć głosu.

– Człowieku – wykrztusił wreszcie. – Dlaczegoś to uczynił?!

Gajusz pominął to pytanie pogardliwym milczeniem. Spojrzał na różę wiatrów i lekko skorygował kurs.

– Wyrzuć zwłoki za burtę – polecił beznamiętnym, rzeczowym tonem, jakby chodziło o snopki słomy. – Nie możemy przecież pokazać się z nimi w faktorii.

Marcus nie posunął się ani o ćwierć stopy. Za to czuł wielką ochotę dołączyć do kolekcji ciał jeszcze jedno.

– To było zupełnie niepotrzebne. Sin Tan nic by nie powiedział.

Spojrzenie Nipuańczyka wydało mu się prawie obelżywe.

– Głupcze! – syknął. – Czy naprawdę myślisz, że wysyłający nas na tę misję zezwolili na najdrobniejsze ryzyko? A milczenie najpewniej można kupić poderżniętym gardłem. Wciąż do ciebie nie dotarło, że wkroczyłeś na drogę krwi i nigdy już z niej nie zejdziesz? Zapomnij, że jesteś kimkolwiek innym niż Corejmusem Sogo, sługą Państwa Bożego. Twoje opinie i sądy zostały z tamtym Marcusem Wenedyczykiem, którego sam przecież unicestwiłeś. Teraz jesteś niczym więcej niż częścią Bożego planu, ślepym i posłusznym narzędziem... pojąłeś to wreszcie?

Umilkł i znowu poruszył drążkiem, poprawiając kurs. Twarz miał chmurną i zaciętą, przemienioną w terakotową maskę bez cienia litości – ani czegokolwiek.

– Wyrzuć te trupy! – rozkazał.

Marcus stał nadal bez ruchu, na ostatek podniósł do góry obie ręce i spojrzał na nie bezradnie. Duże, twarde graby, zawsze bardziej zdatne do kufłowych bitew niż do skrobania po pergaminie. Teraz były warte tyle, co i łapane nimi powietrze. „Tak, Gajusz ma rację, krwią się to w Calisji zaczęło i krwią skończy” – pomyślał. *Alea iacta est*. Kości zostały rzucone i nic na tym świecie nie mogło zatrzymać biegu wypadków.

Z majtkami poradził sobie względnie łatwo, leżeli tuż przy niskiej burcie, wystarczyło jedynie przerzucić przez nią tułów i pozwolić działać prawom fizyki. Chlupnęli w morze prawie bezgłośnie. Gorzej rzecz szła z Sin Tanem, którego musiał od steru powlec za nogi parę kroków. Starał się nie patrzeć na twarz przewoźnika – czuł się jak oszust, mimo że przecie nie obiecywał mu życia. Szczególnie dobijała go stercząca z krtani Seryjczyka strzała, groteskowo przypominająca rurkę z opium. Przynajmniej mało cierpiał. Ujął ciało pod pachy i z trudem wywindował na burtę. Jak na małego z pozoru człeczynę, ważył zadziwiająco dużo. Wreszcie udało mu się odchylić nogi i trup z upiorną gracją pogrążył się w falach. Od razu poszedł na dno, opadając z szeroko rozwartymi ramionami, przysposobiony do podwodnego lotu. Gdzieś z boku mignął w głębi wody obły, ciemny kształt. Zawsze czujne rekiły zdążyły na ucztę.

Oplukał dłonie i poszedł na dziób łodzi, gdzie usiadł plecami do Gajusza,

milczący i wpatrzony przed siebie. Wypukła kreska na horyzoncie rosła w oczach.

Przeprawa przez Alpy zajęła im dokładnie dziesięć dni. Mimo sprzyjającej pory roku nie poszło im najlepiej, górskie drogi pozostawiały wiele do życzenia, wąskie, wyboiste i rzadko naprawiane. Czwartego dnia stracili jeden z wozów, który stoczył się w przepaść na szczególnie niebezpiecznym odcinku; szczęściem woźnica zdążył wyskoczyć. Stracili jednak trochę zapasów, w tym parę beczulek przedniego tuskulańskiego wina, co zwłaszcza zmartwiło Lucjusza. On też najbardziej się ucieszył, gdy pozostawiając za sobą ośnieżone szczyty, jęli schodzić w doliny, gdzie nareszcie można było oczekiwać wygodnej gospody. Także Lucjusz pierwszy dostrzegł w dole na tle zielonych łąk prostokątną plamę jadowicie czerwonej dachówki. Stanął w strzemiączkach i patrzył w dolinę, przepełniony nadzieją przemieszana z obawą przed rozczarowaniem.

– Czy to aby nie ta sama karczma, w której stanęliśmy w drodze z Calisji do Rzymu? – spytał Sewera, który zatrzymał konia tuż za nim.

– I mnie się tak zdaje – odparł senator. – Co prawda minęły prawie dwa lata, ale może to być tylko przybytek starego Tyrbućjusza. W tej okolicy nie ma innej gospody.

W przeciwieństwie do sekretarza bynajmniej nie kwestia gospody zajmowała mu głowę. Od początku podróży nie mógł się opędzić od myśli o Klaudii, a zwłaszcza od natrętnego wspomnienia ostatniego z nią spotkania.

Z przygotowaniem do podróży uwinęli się tak zgrabnie, że zdołali wyprowadzić w pole wszystkich, łącznie z Tajną Służbą – poza kurtyzaną. Gdy wyjechali z Rzymu i zdążyli odsądzić się już spory kawałek za Porta Flamina, spostrzegli z niemiłym zaskoczeniem, że cała, dość szeroka Via Lata, którą pędzili na północ, jest przegrodzona przez zdobną lektykę i sporą grupę otaczających ją ludzi, uzbrojonych w grube pałki. Przez moment Sewer podejrzewał, że to agenci Tajnej Służby szykują jakąś prowokację, ale podjechawszy bliżej, poznał lektykę Klaudii. Ściągnął cugle swego wierzchowca i zwrócił się do towarzyszy:

– Zaczekajcie chwilę, porozmawiam z nią.

Zsiadł z konia i prowadząc go za sobą, podszedł do lektyki. Firanki uchyliły się i zobaczył rozgniewane oczy kurtyzany. Przystanął i patrząc na nią możliwie obojętnym wzrokiem, czekał cierpliwie, aż sama zacznie. Nie musiał czekać zbyt długo.

– Jesteś łajdakiem, Sewerze Flawiuszu! – krzyknęła z pasją. – Największym, z jakim miałam do czynienia.

Nic nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko jak najbardziej łajdacko, aby nie wypaść z konwencji. Klaudia wychyliła się ku niemu, prawie że wypadając z lektyki,

z twarzą ściągniętą złością i błyszczącymi gniewem oczyma.

– Wiesz doskonale, że nie mogłam odmówić – wysyczała zdławionym głosem. – Jemu się nie odmawia. A co ty zrobiłbyś na moim miejscu, moralisto?

– Otworzyłbym sobie żyły, jak Seneka – odparł, nadal bezczelnie uśmiechnięty.

Cisnęła w niego poduszką; bardzo była piękna w tej swojej złości, aż poczuł lekkie ukłucie pożądania.

– Słuchaj, wenedyjski draniu – wychyliła się ku niemu tak bardzo, że widział głębię jej ciemnych, opalizujących oczu. Patrzyła na niego z niepokojącą zachłannością. – Oni kazali mi cię kochać, ale ja... ja naprawdę... nic im nie powiedziałam, nic takiego, co ich interesowało. Sewerze, posłuchaj...

Ale on nie chciał słuchać, przeciwnie, uznał, że najwyższy czas zakończyć tę drogową farsę. Wspiął się na konia i spojrzał na nią z wysoka, chłodny i obojętny.

– Zdaje mi się, że mam receptę na nasze kłopoty – oświadczył z cynizmem godnym prawego wyznawcy Diogenesa. – Po prostu każde z nas powinno zostać tym, kim jest: ja łajdakiem, ty kurtyzana. Bardzo trafnie ujął to Owidiusz:

*Nienawidzę wszelkich uczuć
niewzajemnych... Nigdy przeto
nie pragnę się pieścić z chłopcem
ani z przekupną kobietą.
Nie jest mi rozkoszą rozkosz,
co ją z obowiązku dano.
Raz na zawsze z obowiązków
zwalniam moją ukochaną.*

Wbił wierzchowcowi ostrogi w bok i roztrącając niewolników Klaudii, wyminął lektykę. Kiedy oddalał się niespiesznym truchtem, dumnie wyprostowany i bardzo z siebie zadowolony, usłyszał jej wściekły krzyk:

– Znajdę cię, Sewerze Flawiuszu, choćbym miała szukać na końcu świata, nawet gdybym musiała pójść za tobą do tej przeklętej Wenedii...

Pamiętał, że parsknął wtedy wesoło, wciąż dumny z rany, jaką zadał jej swym paradoksem, ale w tym wołającym na drodze głosie było coś, co wcale do, śmiechu nie zachęcało. Przez gniew z urażonej kobiecej ambicji przebijało coś więcej: nieklamana rozpacz, która osiadła mu cieniem na duszy. Chyba potraktował ją zbyt surowo. Dlatego im silniej pragnął o niej zapomnieć, tym częściej wracała. Tak jak teraz.

– Przeklęta dziewczka! – warknął przez zęby, na nowo rozjątrzony.

– Mówiłeś coś? – Jadący nieco z przodu Lucjusz obrócił się ku niemu. – Znowu

Klaudia, co? – Położył gestem afektowanego kochanka rękę na piersi i wyrecytował namiętym głosem:

*Słodko mi jest słyszeć głos jej,
drżący szczęściem, półomdlały,
gdy mnie prosi, żebym zwolnił
namiętności mej zapaly.
Wzrok oślepy od szaleństwa,
oczy od miłości mrące
zwraca ku mnie rozkochana,
pieszczot dając mi tysiące.*

– Bodajby cię centaur kopnął z tym Owidiuszem – warknął Sewer i rozeźlony, energicznie dźgnął swego wierzchowca ostrogą. Puścili konie w swobodny galop i pędem zjechali w dolinę. Po niespełna kwadrze znaleźli się na kwadratowym dziedzińcu obszernej, dostatnio wyglądającej gospody. Piętrowe budynki lśniły białym wapnem i sprawiały bardzo porządne wrażenie. Na progu izby gościnnej przywitał ich okrągły człowieczek w średnim wieku i dość okazałej tuszy, o długiej, zwyczajem germańskim prawie do pasa sięgającej brodzie. Sewer mimo odległości zauważył w niej kilka siwych pasemek i dopiero wtedy tak naprawdę pojął, że minęły prawie dwa lata. W obejściu pachniało dziwnie swojsko, końskim nawozem i pieczonym mięsiwem – i pewnie dlatego nagle zapragnął zobaczyć Calisję, już teraz, natychmiast. Często o niej myślał w Rzymie, ale tak naprawdę nigdy nie chciał wracać do tej w końcu prowincjonalnej dziury. Tak przynajmniej do tej pory mu się zdawało.

Gdy podjechali bliżej, korpulentny karczmarz, czyli Tyrbucjusz we własnej osobie, poznał ich i pokłonił się głęboko, nie kryjąc zadowolenia.

– Witam szlachetnego senatora Sewera Flawiusza i szlachetnego Lucjusza Domincjusza – rzekł, dając jednocześnie znak kręcącym się po dziedzińcu pachołkom, aby zajęli się końmi przybyszów. – Mój dom jest na wasze rozkazy.

– Kąpieli, wieczery, wygodnych łóżek, a na początek dobrego wina – zaordynował krótko Lucjusz, zeskoczył z konia i wszedł do gospody.

Sewer rzucił pachołkowi wodze i pośpieszył tuż za nim. W środku nic się prawie nie zmieniło. Przestronną izbę o niskiej powale zastawiały długie stoły i ławy z ciemnego drewna, niczym nie przykryte. Wnet jednak, ponaglone klaskaniem Tyrbucjusza, wbiegły dziewczki służebne ze stosami miękkich poduszek i skórami, które w mig rozłożyły na ławach. Ściany izby przystrajały rogi zwierząt, przeważnie jeleni i kozic górskich, na które dotąd polowano na alpejskich stokach. Wisiał też

wypchany łeb niedźwiedzi, ale ten musiał pochodzić z lasów środkowej Germanii, jako że w tej części gór wytopiono je dobre pół wieku temu. Zajazd Tyrbucjusza służył przeważnie myśliwskim wyprawom, które mieszkańcy Noricum i Recji urządzali gwoili rozrywki. Jednakże o tej porze do początku sezonu brakowało dobrego miesiąca, toteż karczmarz wielce był rad każdemu przyjezdnemu. Dobrze też pamiętał o przeszłej hojności Sewera, który w podróży zapominał o swej zwykłej oszczędności.

– O bogowie, dzięki wam za koniec tej tantalowej męki – jęknął Lucjusz, sadowiąc obolały tyłek na atlasowej poduszce. – Jeszcze ze dwa dni takiej jazdy, a zmieniłbym się w centaury. Gospodarzu, wina!

Tyrbucjusz zjawił się w te pędy, osobiście niosąc srebrną zastawę. Nalał każdemu po solidnym kraterze.

– Niezłe – mlasnął Lucjusz, opróżniwszy naczynie do ostatniej kropli. – Przednie reńskie, nieprawdaż?

– A jakże, panie. Trzy lata temu były bardzo dobre zbiory. – Tyrbucjusz aż cały pokraśniał z ukontentowania. – Łażnia już wyszykowana.

– Dobrze – odezwał się Sewer, któremu biesiadny nastrój Lucjusza jakoś nie chciał się udzielić. – Poczekamy tylko na nasze wozy.

Niedługo zaskrzypiały na podjeździe, gdzieś tak przy końcu drugiego dzbana, który prawie w całości znalazł się w brzuchu Lucjusza. U wejścia do gościnnego atrium pokazał się Tytus, pokryty kurzem i wyraźnie znużony. Od uprzejmego zaproszenia Lucjusza wymówił się, prosząc jedynie o wodę. Zaraz też udali się do łaźni, urządzonej po rzymsku, z okrągłym basenem pośrodku, wykładanym marmurowymi kaflami. Lucjusz dotarł tam przy pomocy dwóch pacholków, którzy na rozkaz Sewera rozdzielili go i wrzucili do wody. Wrzasnął, jakby obdzierano go ze skóry, z tej pewnie przyczyny, że woda w basenie była lodowato zimna; dziewczki z konwiami wrzątku dopiero się pojawiły. Sewer z Tytusem usiedli godnie na brzegu i nadstawili karki na strumienie ciepłej wody. Lucjusz protestująco bulgotał na środku basenu, z każdą chwilą skuteczniej trzeźwiejąc. W końcu wynurzył się tuż przy nich.

– Przyjaciele tak nie postępują – powiedział z wyrzutem.

– A kto ci powiedział, że jesteśmy twymi przyjaciółmi? – zakpił Sewer i dał nurka w głąb basenu.

Lucjuszowi pozostał tylko Tytus. Zaraz też zainteresował się tym, w jaki sposób chrześcijanin patrzy, a właściwie usiłuje nie patrzeć na posługaczki, krzepkie, dobrze zbudowane jasnowłose dziewczki reckie, pewnie Helwetki lub Germanki, biegające z podkasanymi tunikami po coraz to nowe konwie z ciepłą wodą. Sam łypnął na nie pożądlivym okiem, zwłaszcza na jedną, o zajmująco obfitych piersiach i niezgorszym tyłku.

– Podobają ci się? – zapytał Tytusa, który wlepił wzrok w sufit, ale szybko go opuścił, jako że wymalowano tam wielce bachiczną scenę przedstawiającą miłosną uczkę Marsa i Wenus.

– Co takiego? – Chrześcijanin najwyraźniej nie wiedział, co się wokół niego dzieje.

– No, te dziewczki. – Lucjusz wskazał kciukiem za siebie. – Możesz mieć, którą chcesz, Sewer funduje. Po trudach takiej podróży gibka dziewczka jest lepsza od najzręczniejszego masażysty. Wiem coś o tym, bom kiedyś sporo wojażował.

Tytus chrząknął, mocno zakłopotany, i cały poczerwieniał.

– Nie mogę – powiedział cicho.

– A to dlaczego? – w głosie Lucjusza brzmiało szczere bądź dobrze udawane zdziwienie.

– Żądza cielesna grzeszną jest, a mężczyzna i niewiasta jedynie za jej przyczyną ze sobą obcujący narażają się na męki piekielne.

– O, to niezwykle ciekawe! – Sekretarz złapał się obramowania basenu i wylazł z wody, siadając obok Tytusa. – Zatem wzorem manichejczyków głosicie, że kobieta jest siedliskiem wszelakiego brudu, zła i ciemności?

– Nie wiem, kto to są manichejczycy – odparł Tytus. – Pan nasz, Chrystus, pobłogosławił gody małżeńskie. Nikt nie zabrania miłości w uświęconym stadle.

– A więc tylko z własną żoną?! – Lucjusz był naprawdę wstrząśnięty. – Całe życie z paroma jeno kobietami, no bo ileż można znieść rozwodów...

– Rozwód? – zdziwił się Tytus. – Co to jest rozwód?

Lucjusz z wrażenia o mało co nie spadł z powrotem do basenu. Zatkany zdumieniem, łapał ustami powietrze jak ryba.

– Tego też nie uznajecie?! – wykrzyknął nareszcie. – Tylko jedna kobieta na całe życie? Czyście z kretesem powariowali?

– Daj mu spokój – rozkazał Sewer ze środka basenu, gdzie leżał na wznak z szeroko rozłożonymi rękoma i zamkniętymi oczyma. Wenus, pieszcząca na suficie muskularnego Marsa, przypominała mu... mniejsza z tym. Zapaść się w ciemność i wreszcie przestać myśleć! Tego pragnął najbardziej. – Każdy ma prawo do własnych przekonań.

– Może i tak – burknął Lucjusz, patrząc łapczywie na piersiastą dziewczkę, która spostrzegła jego zainteresowanie i wygięła się wdzięcznie, uśmiechając figlarnie i zarazem zachęcająco. – Ja w każdym razie wiem jedno: nigdy nie zostanę chrześcijaninem.

– Być może będziesz musiał – mruknął Tytus pod nosem.

– He, co mówisz? – Lucjusz zerkał tęsknie ku drzwiom, gdzie zniknęła posługaczka.

– Czas chyba na wieczerzę?

Poszli na górę, na piętro, gdzie Tyrbucjusz kazał wygotować im specjalny pokój. Wyświeżeni, ubrani w czyste szaty, z radością zlegli na miękko wyściełanych sofach, czując wilczy głód. Karczmarz zaserwował pieczone kury i kaczki, marynowaną dziczyznę, ciasta i owoce. Wieczerzali długo i ze smakiem.

– Czy już zdecydowałeś, którądy pojedziemy? – spytał Lucjusz, zastanawiając się, czy przy tak wypełnionym żołądku może sobie pozwolić na jeszcze jeden kawałek zająca w ostrym, pieprzowym sosie.

– No cóż... – Sewer wypluł kość kurczęcia i otarł usta serwetą. – Szlak ten prowadzi wprost do Via Roma, która łączy Vindobonę z Calisją. Pojechalibyśmy najpierw trochę na wschód, a potem prosto na północ.

Lucjusz kiwnął głową na znak, że jest tego świadom.

– Stanęlibyśmy wtedy w Calisji w jakieś dwanaście dni – zauważył.

– Słusznie. Ale wtedy od razu by nas znalezione, na czym akurat mi nie zależy. Chciałbym, aby rzymskie intrygi obywateli się jakiś czas bez mojego udziału.

– I dobrze – przytaknął sekretarz. – Niech się trochę pomartwią, nic im to nie zaszkodzi.

– Dlatego zamierzam jechać stąd do Augusty, a stamtąd do Germanii. Przy okazji zapoznamy się z nastrojami w tej prowincji, najbardziej chyba wiernej Rzymowi. Do Wenedii wjedziemy od zachodu. A co ty o tym sądzisz, Tytusie?

Chrześcijanin, który jadł bardzo mało i pił wyłącznie wodę, westchnął ciężko; nieustanna troska pobruździła mu czoło, nadając twarzy wyraz zmęczonego ziemską egzystencją filozofa. Wziął z patery pomarańczę i zaczął ją nieśpiesznie obierać.

– Zawsze ojcowie i nauczyciele Kościoła naszego mówili, iż upadnie on, jeśli nie zdoła zachować dwóch przykazań: po pierwsze jedności, po wtóre wierności apostołskim zasadom. Co się ostatecznie stało, a czym skończyło, sami dobrze wiecie. Obawiam się, iż Rzym, który Kościół nasz dzięki temu pogromił, podzieli jego los. Z tego samego powodu.

Lucjusz i Sewer nie wiedzieli, co na to można odpowiedzieć – logika argumentów Tytusa była nie do odparcia. Sewer pomyślał przy tym, że toczące imperium intrygi przypominają komiki drążące pień spróchniałego drzewa; wszystko rozleci się lada moment w proch, niemniej jednak nie przeszkadza to ptactwu żyć dalej na gałęziach w pełni radosnego rejwachu. W Rzymie w rzeczywistości nikt nie zdawał sobie sprawy z powagi zagrożenia. Toczące się na Najdalszym Wschodzie zmagania wciąż były traktowane jako przygraniczne incydenty, mimo iż stracono już dwa najważniejsze punkty rzymskiego oparcia, stanowiące od wieków klucze do wrót Azji. W drodze, niedaleko Mediolanu, dopadły ich wieści o zajęciu Taprobane. Sewer podejrzewał, że gwałtowne otrzeźwienie przyjdzie w momencie, gdy Nipuańczycy

wylądują w granicach właściwego imperium; ale wtedy może być już za późno. Na cokolwiek.

W ponurym milczeniu dokończyli posiłku i rozeszli się do swoich komnat, równo z zachodem słońca. Łoża okazały się obszerne i wygodne, Tyrbucjusz dokładał wiele starań, co należało wynagrodzić. Sewer zległ na wznak, ze wzrokiem wbitym w sufit, w oczekiwaniu na przyływ senności. Rozmarzona wyobraźnia przywoływała wciąż nowe obrazy, zmieniające się jak w kalejdoskopie. Za którymś razem przyszedł i Quietus... Zdał sobie niespodzianie sprawę, że tak naprawdę to nigdy go nie znał. Dlaczego musiał umrzeć? Do jakich tajemnic dotarł, że ściągnęło to na niego śmierć? Nie wiedział... w ogóle nic nie wiedział. Powieki ciążyły kamieniem, myśli leniwiwały i stawały się coraz senniejsze. Zapadał w utęsknioną, błogą nicość. Wydawało mu się, że do pokoju z motylim szelestem wleciał Morfeusz i stanął w kącie, zbierając mu spod powiek resztki dziennej jawy.

– Rzecz polega, Sewerze Flawiuszu, na właściwym wyborze – powiedział do niego głosem Quietusa. – Z tym, że ty nie poznałeś dotąd wszystkich możliwości.

– A ty, Quietusie? – spytał bezwiednie, myślą samą, nie poruszając wargami.

– Ja przecie wybrałem...

Usłyszał głośny, podejrzany szmer. Otworzył gwałtownie oczy, całkowicie trzeźwy i przytomny. W rogu komnaty naprawdę ktoś stał, zamaskowana i prawie niewidoczna postać. W księżycowej poświacie błysnął nóż. Sewer bez namysłu stoczył się z łoża na podłogę – równocześnie dobiegł go świst i coś utknęło w desce u wezglowia. Chwycił stojący obok łoża dzban z winem i cisnął go z całej siły w kąt, gdzie czaił się zabójca. Dzban grzmotnął o ścianę, czyniąc łoskot zdolny obudzić umarłego. Prawie w tej samej chwili usłyszał tupot nóg zbiegającego do dolnych pomieszczeń człowieka. Zabójca, najwidoczniej uciekł zaraz po rzuceniu nożem. Sewer poderwał się i wybiegł za nim na korytarz. Z sąsiedniej komnaty wyrzwał zaniepokojony Tytus.

– Co się stało? – spytał grubym szeptem.

– Nic takiego – odparł Sewer, pilnie nasłuchując. Z podwórza doleciało ich parskanie koni, ktoś wskoczył na siodło i grupa trzech, może czterech jeźdźców puściła się galopem. Tętent końskich kopyt stopniowo cichł w oddali.

– Może zbudzić gospodarza? – zaofiarował się Tytus.

– Nie trzeba, już po kłopotcie – powiedział. – Proszę, cokolwiek widziałeś i słyszałeś, milcz o tym.

Wracając do siebie, zajrzał po drodze do Lucjusza. Sekretarz spał snem należycie wypoczywających podróżników, wtulony w obfite kształty piersiastej dziewczki. Wyglądało na to, że nic nie słyszał.

Wrócił do swojej komnaty i zajął się wezglowiem. Tkwił tam, głęboko wbity w

drewnianą ramę u szczytu łoża, cienki sztylet z hartowanej stali, długości dwóch trzecich stopy. Miał metalową, karbowaną w romby rękojeść. Wyrwał go z drewna i dokładnie obejrzał. Był znakomicie wyważony, wręcz idealny do rzutu. Słyszał, że tego rodzaju na oko niepozornych noży używała Tajna Służba do likwidacji niewygodnych osób. Podobno nasyłani przez nią zabójcy nigdy nie chybiali. Wrzucił sztylet do podróznego sakwojażu i usiadł na łóżku, gorączkowo medytując nad intencjami tajemniczych nocnych gości. Zupełnie odechciało mu się spać. Patrząc w kąt pokoju, gdzie stał napastnik, przypomniał sobie sen czy też widzenie – o co chodziło Quietusowi z tym wyborem?

Płaskodenna towarowa barka z mozołem wlokła się w górę szeroko rozlanej rzeki. Nikomu specjalnie nie zależało na pośpiechu. Pomocnik sternika podawał rytm rozwlekłym, monotonnym głosem, w takt którego wiosłarze napierali na wiosła. Pasażerowie, przeważnie drobni kupcy zajęci handlem w gęsto rozsianych wzdłuż rzeki sadybach, porozsiadali się na pokładzie, patrząc, podobnie jak i Marcus, na cudowną dolinę Eufratu. Wypełniały ją w tym miejscu rozliczne sady i winnice, rozciągające się równo i proporcjonalnie na obu brzegach. Często mijali po drodze przystanie, gdzie trwał ożywiony ruch. Od czasów, gdy Julian, po stoczonych u schyłku życia wojnie z Partami, przyłączył Mezopotamię na trwałe do Rzymu i zaludnił nowymi osadnikami, prowincja ta przeżywała nieustający rozkwit: Tygrysem i Eufratem płynął do imperium obfity lewantyński handel. Towary trafiały do portów w górnym biegu obu rzek i stamtąd były rozwożone do innych prowincji. Z upadku powstało też rolnictwo; pocięta kanałami pustynia zmieniła się w kwitnący ogród.

Oglądający to Marcus po raz pierwszy zdał sobie tak wyraziście sprawę, iż Rzym właśnie na tej ziemi okazał swą moc kreowania istotnych wartości. Pamiętał, jak jeszcze w Calisji czytywał wspomnienia dawnych podróżników, opisujących Mezopotamię jako najbardziej zakazane miejsce na ziemi, gdzie w zburzonych miastach mieszkają wilki pospołu ze zbójceckimi hordami. Podążający tamtędy kupcy czy podróżni nie mogli być pewni dnia ani godziny. Osady ludzkie zginęły prawie doszczętnie, ponieważ piasek zasypał nie udrażniane kanały i urodzajne pola pochłonęła pustynia. Przez taką to martwą krainę wędrowali rzymscy legionieści w czasie partyjskiej wyprawy Juliana. Dziś, po blisko trzech wiekach, prowincja mezopotamska była najszcześniejszym krajem cesarstwa. Wedle małoazjatyckich, sumeryjskich chyba mitów gdzieś tu podobno znajdował się Eden, legendarna kraina pierwotnej, nieskażonej szczęśliwości, gdzie, jak wierzyły niektóre ludy chamiczne, narodzili się pierwsi ludzie.

„Tak pewnie wyglądał ów Eden” – dumiał nostalgicznie Marcus, obserwując brzegi zarośnięte puszczańskim prawie gąszczem upraw owocowych; trwały zbiory i

w sadach pracowali ludzie, kręcąc się między drzewami z koszami i wysypując z nich strugi złotych cytrusów. Ich wesołe okrzyki rozchodziły się donośnie nad wodą. Nie sprawiali wrażenia niezadowolonych z życia. Czy będą nimi nadal, już po przejściu nipuańskich legionów?

Do burty podszedł Gajusz i chwilę wraz z nim obserwował owocobranie. Od paru dni zdradzał oznaki wyraźnego niepokoju, jeśli nie zdenerwowania. Najwidoczniej udzielony im limit czasu zbliżał się do końca.

– Płyniemy stanowczo za wolno – powiedział. – Możemy nie zdążyć.

– Nie ma powodu do obaw – odparł Marcus. – Przed wieczorem przybijemy do Dury, stamtąd weźmiemy konie pocztowe i w trzy dni będziemy w Jerozolimie, skąd tylko krok do Gazy, znacznego w tych stronach portu. Później statkiem do Ilirii, najwyżej dwa dni, i już prawie jesteśmy w Wenedii.

– Wypadki nie będą czekać – odrzekł na to enigmatycznie Gajusz.

Skądinąd Marcus doskonale go rozumiał. Machina inwazji została puszczona w ruch i toczyła się nieustępliwie do przodu, coraz szybciej, zgodnie z morderczą logiką wojny. Nipuańskie galery mogły lada dzień pokazać się u ujścia Eufratu. Gajusz miał rację – naprawdę nie zostało im zbyt wiele czasu.

Do przystani w Durze dobili przy ostatnich promieniach zachodzącego słońca. W mieście zaczynały się właśnie Dionizje i szeroka ulica łącząca port z agorą huczała radosną zabawą. W obu kierunkach, tak od strony miasta, jak i portu, ciągnęły barwne pochody wesołych nimf i satyrów, rozdających przechodniom winne grona. Kuglarze i tanecznice porozkładali swe maty na chodnikach, prezentując zgromadzonym licznie widzom swoją sztukę. Właściciele gospod wynieśli na dwór wielkie stoły z wszelakim jadłem, przy nich stały kadzie z winem, z których raczono każdego, kto tylko chciał. Miasto iluminowały pochodnie i żeliwne kufy z kolorowym ogniem.

Szli przez ten rozigrany, weselący się tłum, szukając trochę spokojniejszego miejsca, gdzie mogliby doczekać do rana. Marcus kątem oka obserwował Gajusza. Młody Nipuańczyk patrzył na zabawę zrazu z charakterystycznym dla siebie wyrazem zimnej i obojętnej pogardy, później jednak, w miarę jak wtapiali się w nastrój roztańczonych gromad, z coraz trudniej ukrywanym zdumieniem. Najwidoczniej nie mieściło mu się w głowie, że skazani na wieczne potępienie poganie mogą być tak szczęśliwi i kontenci z życia. Chłonał wszystko wokół okrągłymi ze zdziwienia oczyma, popadając w rodzaj euforii charakterystycznej dla człowieka, który trafił do świata nie znanego mu nawet z bajek.

Marcus pociągnął go do ustronnego, oplecionego bluszczem zakątka przy jednej z karczm. Ledwo usiedli, zjawiała się dziewczka służebna i nie pytając o nic, postawiła przed nimi misę z mięsem i położyła bochen chleba. Po chwili zjawiała się druga, z dzbanem i kubkami. Marcus podziękował i życzył całemu domostwu wszelkiej

pomyślności i przychylności bogów. Zaczęli się skwapliwie posilać, dzisiejszego dnia nie jedli nic prócz spożytych na barce paru kawałków ciasta i garści suszonych fig. Kiedy już nasycili pierwszy głód, poczuli na sobie czyjś wzrok.

Pod ścianą stała młoda dziewczyna, w przykrótkich i mocno przewiewnych szatach leśnej nimfy, o ciemnej skórze Syryjki, jasnych jednak włosach, świadczących o domieszce krwi północnej, germańskiej czy może sklawińskiej. Trzymała w ręku wieniec upleciony z winorośli i patrzyła z zaciekawieniem na Gajusza. Marcus z uznaniem otaksował jej długie, zgrabne nogi i pełne piersi. Nipuańczyk zauważył zainteresowanie nimfy i poruszył się niespokojnie.

– Czego ona chce? – zapytał.

– Zobaczysz.

Dziewczyna wyprysnęła nagle spod ściany, bystra i żywa jak kropla rtęci, podbiegła do nich i nim zdążyli cokolwiek zrobić, narzuciła Gajuszowi wieniec na głowę, mówiąc coś przy tym szybko po grecku. Nipuańczyk spojrzał pytająco na Marcusa.

– Ona mówi, że wybrała cię na dzisiejszą noc – przetłumaczył, uśmiechając się pod wąsem. – Taki miejscowy obyczaj, wcale, moim zdaniem, nie najprzykrzejszy.

– To grzech – obruszył się Gajusz i chciał zerwać wieniec, ale Marcus go powstrzymał.

– Nie powinniśmy zwracać na siebie uwagi. Wyobraź sobie, że robisz to dla dobra Królestwa Bożego... poza tym nie jest to występki najcięższego kalibru, wiem, co mówię, bom kiedyś sporo grzeszył w ten sposób. Bacz przy tym na to, co zapisał pewien niegłupi rzymski cesarz, Marek Aureli: *Gdy gorszy cię jakiś bezwstyd, natychmiast postaw sobie pytanie: czy to możliwe, by ludzie bezwstydni nie istnieli na świecie? Niemożliwe. Nie żądaj więc niemożliwości. I ten człowiek jest jednym z tych bezwstydnych, którzy na świecie być muszą.* Idź i baw się dobrze. Dzisiejsza noc nie zostanie ci policzona.

Gajusz mocował się z myślami jeszcze przez chwilę, po czym wstał, uśmiechając się nieśmiało do dziewczyny. Syryjka wzięła go za rękę i zniknęli gdzieś w kolorowych ciemnościach. Marcus westchnął, ogarnięty nagłym smętkiem, i sięgnął po kubek. Prawdę mówiąc, wolałby napić się piva... Naraz przed oczyma stanęła mu karczma Agamemnona, brudne stoły, których temu greckiemu świniopasowi nigdy nie chciało się domyc, i Quietus, jak rzuca chciwemu grubasowi aureusa. Poczul w sobie targnięcie palącego żalu i niewytłumaczalnej, irracjonalnej tęsknoty. Gdybyż można było cofnąć czas... czy wahałby się choć chwilę?

Nie miał żadnych powodów do zadowolenia, odwrotnie niż świętujący ku czci Dionizosa mieszkańcy Dury Europos, przeciwnie – im bardziej zbliżali się do celu, tym większe ogarniało go zniechęcenie. To, co tego pamiętnego czasu w Calisji

wydawało mu się fantastyczną przygodą, wyzwaniem losu godnym jego filozoficznego umysłu, grą, w której mógł wygrać przyszłość, w zetknięciu z rzeczywistością okazało się niczym więcej jak ponurym wyrobnictwem. Dla Sogo był jeno pionkiem w ich własnej grze o władanie światem. Jak w ogóle przyszło mu do głowy, że będzie inaczej? Był cholernym głupcem, marzycielem z głową w chmurach, który porwał się z motyką na słońce, małpą w koronie udającą króla...

Wdał się w tę nipuańską awanturę, aby zburzyć świat, którego nienawidził – tak to sobie przynajmniej wyobrażał. Czy jednak jego, jednostkowa przecież, nienawiść może być uzasadnieniem zagłady całości? Zasada *pars pro toto* w gruncie rzeczy była dosyć złudna, doskonale o tym wiedział. Poza tym nieoczekiwanie odkrył, że jego niechęć ostatnio znacznie stopniała. Rzym, przyrównany do sogodonatystycznego Królestwa Bożego, ujawniał wiele nie uświadamianych do tej pory przez niego zalet i wartości – przedtem nie dysponował żadnym sposobnym do porównania przykładem, dlatego tak psioczył. Łatwo mu było pyskować, siedząc sobie wygodnie u Agamemnona, z kuflem pod ręką. Źle zrobił, zapominając, że filozofowie zostali stworzeni do ontologicznego dzielenia włosa na czworo, a nie do posłuszeństwa i sekretnych misji.

Wstał i postanowił przejść się trochę, celem rozprostowania zdrętwiałych nóg. Spacerując niespiesznie w górę zaułka, doszedł aż do agory, wypełnionej rozbawioną gawiedzią. Odczuwał przemożne pragnienie, aby rzucić precz tę szaloną awanturę, Sogo, sioguna, księcia Tsuomi, Państwo Boże, Gajusza i zanurkować w ten roztańczony, pijany tłum. Mógłby wynurzyć się u przeciwnego krańca cesarstwa, gdzieś w Luzytanii czy Brytanii, gdzie nigdy by go nie odnaleźli. Przynajmniej żywego.

Przecisnął się do przodu. Przed jasno iluminowanym portykiem świątyni Ateny-Minerwy na prowizorycznej scenie wystawiano sztukę teatralną, farsę, sądząc po śmiechu publiczności. Na deskach znajdowało się dwóch aktorów, jeden, młodszy i ubrany w pstrokaty, błazeński kostium, zwracał się z patetyczną przemową do zasmuconego brodacza.

– Cokolwiek wprzód postanowiłeś, trwaj przy tym – mówił. – Nigdy bowiem nie wiesz, czy nie dzieje się tak za wolą bogów, czy los twój nie jest jeno małą kostką w wielkiej, boskiej układance. Dlatego odrzuć zwątpienie i trwaj w powziętym postanowieniu. Nie zapominaj też i o sile miłości, powiedziane jest przecież, iż *gdybym rozdał na jałmużnę całą majątność moją, a ciało wystawił na spalenie, lecz miłości bym nie miał, nic bym nie zyskał.*

Publiczność wybuchnęła śmiechem, widocznie wypowiedź dotyczyła jakiegoś zabawnego postanowienia, będącego osią komediowej intrygi. Marcus jednak się nie śmiał: z natężoną uwagą, ze zmarszczonymi brwiami przypatrywał się aktorowi, temu

młodszemu, który zadziwiająco, w niezbyt co prawda pewnym oświeceniu, przypominał mu Quietusa.

„Trwaj przy tym?” – pomyślał w rozterce. „Naprawdę tego właśnie chcesz, Quietusie? I co ma z tym wspólnego miłość?”

Dęby, klony i buki, pamiętające pewnie czasy Dagona, albo i wcześniejsze, wyrosły tak wysoko, że bujne korony drzew splotły się nad ich głowami i jechali jakby pośrodku nawy mrocznej leśnej bazyliki, wypełnionej szumem liści i świergotem ptaków. Sewer odetchnął głęboko, napawając się gorzką, zieloną wonią prawdziwie wenedyjskiej puszczy. Na przejażdżkę wybrał się tylko z Tytusem, Lucjuszowi nakazał jechać z przodu wraz z wozami. Nie chciał, aby mu przeszkadzano w rozmowie z chrześcijaninem, będącej kolejnym fragmentem wielkiej dysputy, którą toczyli od opuszczenia Rzymu.

– Twoje poglądy nie są mi aż tak obce – kontynuował, ściągając cugle nazbyt niecierpliwemu koniowi, który najwidoczniej miał dość ich powolnej, perypatetycznej jazdy. – Bardzo podobne myśli głosił przed tysiącem lat niejaki Ksenofanes z Kolofonu, o którym czytałem bodaj czy nie u Plutarcha. Ten znany w starożytnej Grecji poeta i obrazoburca twierdził, że legendy przeszłości to nic więcej jeno obmyślana przez człowieka fikcja, według niego bogów stworzył człowiek na swój obraz i podobieństwo, przypisując im czyny tak haniebne jak cudzołóstwo, kradzieże, zabójstwa i oszustwa. Śmiał się, że gdyby krowy umiały rysować, to przedstawiałyby swych bogów jako krowy właśnie.

– Podobne myśli znajdziesz w naukach Ojców Kościoła – zauważył Tytus. – Pogańskie wielobóstwo to czczy wymysł, przesąd i zabobon, wynik ludzkiego zbłąkania. Jak można się modlić do bogów, którzy są cudzołożnikami i mordercami?

– Dobre pytanie. – Sewer znowu musiał powściągnąć nazbyt rączego ogiera, który wyraźnie nie potrafił dotrzymać kroku spokojnej klaczy, której dosiadał Tytus. – Ksenofanes, odrzucając tradycyjne greckie wierzenia jako zbyt absurdalne, twierdził, że Bóg jest jeden, niezmienny, niewzruszony, bezcielesny, niepodobny do człowieka z kształtu ani umysłu, rządzący światem potęgą swej myśli. O jego istocie człowiek nie może mieć żadnej pewności, co najwyżej bardzo odległe mniemanie.

Tytus słuchał ze skupioną twarzą, zainteresowany świeżą, niekłamana ciekawością początkującego studenta.

– Ów Kenofanes musiał dziwnym zrzędzeniem losu przeczuwać Prawdę – rzekł. – Co się z nim stało?

– Włóczył się po świecie, a potem zmarł w nędzy i opuszczeniu w Elei. Jego poglądy popadły w zapomnienie, podobnie zresztą jak parę wieków później nauki szkoły platońskiej, głoszącej tezy zbliżone do twierdzeń Ksenofanesa. Zdaniem

Juliana zbyt przypominały nauki chrześcijan, dlatego wkrótce po pogromie tychże wydał edykty zabraniające działalności sekt platońskich. Tępił też manichejczyków i inne sekty zaprzeczające istnieniu starych bogów.

Chrześcijanin od dłuższej chwili patrzył na Sewera z chytrym uśmieszkiem, gotów do zaskakującej wolty.

– A jakie jest twoje zdanie?

Senator i dziedziczny namiestnik Wenedii westchnął smętnie i zerknął do góry, ku kopule puszczańskiej bazyliki, jakby tam mógł znaleźć odpowiedź. Przez szczelny drzewiasty dach tu i ówdzie przenikały promienie słońca. Jeden z nich padł mu prosto na twarz. Oślepiony, zamknął oczy, oszołomiony wirującymi pod powiekami czerwonymi kręgami.

– Nie wiem – odpowiedział, rozkoszując się liżącym twarz słonecznym ciepłem.

– Słuchałem twych nauk, Tytusie, dość uważnie, jednego tylko nie potrafię pojąć: dlaczego ów Syn Boga, Judejczyk Chrystus dał się ukrzyżować dla zbawienia ludzi, aby odkupić ich grzechy? Azaliż nie jest to dowód szaleństwa? Moim zdaniem ludzkość nie jest warta, by ktokolwiek poświęcił dla niej bodaj ułomek paznokcia! Jakim sposobem Bóg mógł oddać życie za coś tak marnego?

Tytus pokręcił ze zniechęceniem głową. Zawsze w którymś momencie dysputy wyrastał między nimi mur zimnego rzymskiego racjonalizmu lubo stokroć gorszego greckiego cynizmu.

– Nie rozumiesz, ponieważ patrzysz z punktu widzenia człowieka, usiłującego swym niedoskonałym ludzkim rozumem ogarnąć coś tak niepojętego, jak Boskie zamysły i przeznaczenia. Jesteś jak dziecko bawiące się na brzegu morza, które wykopało sobie w piasku dołek i sądzi, że cierpliwie czerpiąc muszelką, przeleje do niego ocean. Sewerze Flawiuszu, tej Prawdy nie poznasz rozumem, lecz sercem.

Namiestnik otworzył oczy i spojrzał na drogę, która kilkaset stóp przed nimi skręcała ostro w lewo. Zza zakrętu dobiegały do nich stłumione odległością wrzaski.

– Nie wiem, Tytusie, nic już nie wiem – odrzekł i z powrotem zamknął powieki. Pragnął zasnąć i nie myśleć o niczym więcej..

Głos chrześcijanina dobiegał z oddali, jakby z drugiego końca świata:

– I tu tkwi sedno dręczących cię wątpliwości: jesteś jak puste naczynie, nie wiedzące, czym chce być napełnione, jak rozstrojona harfa, niepewna, jakim dźwiękiem powinna zabrzmieć...

Dojechali do zakrętu i klótnliwe głosy stały się wyraźniejsze. Wrzeszczał oczywiście Lucjusz, przeklinając co popadło, a głównie leniwych wenedyjskich psiogłowców, zdatnych wyłącznie do bitki lub wypitki, a nie do uczciwej i odpowiedzialnej pracy. Sewer z niechęcią wrócił do rzeczywistości. Wozy stały na trakcie stłoczone jeden za drugim. Na przedzie kolumny miotał się czerwony ze

złości Lucjusz, szczerze rzucający obelgi na pacholków, nieporadnie usiłujących wydobyć z błota pograżony po osie powóz sypialny, dla sekretarza najważniejszy pojazd w ich konwoju. W tym miejscu Via Germania została kiedyś wyłożona sosnowymi belami, jako że okolica była raczej bagienna, stąd słabo przejezdna. Drewno, położone dobre pół wieku temu, zdażyło dokumentnie zgnić, a nikt go oczywiście nie wymienił. Lucjusz przestał krzyczeć, zapewne dla złapania oddechu, ale widząc nadjeżdżającego Sewera, pogroził tylko pacholkom pięścią i zwawo pobiegł ku niemu. Dostyć śmiesznie wyglądał w utyłanej po kolana niebieskiej todze, utkanej z najlepszej brytyjskiej wełny. To go chyba wściekało najbardziej.

– Witaj w Wenedii, panie – krzyknął drwiąco, gdy podjechali dostatecznie blisko.
– Nawet gdybym nie zauważył kamieni granicznych, to i tak bym wiedział, gdzie jestem, nie ma bowiem innego kraju, w którym w jednym miejscu można spotkać równocześnie komary, błoto, dziury w trakcie i głupawych pacholków.

– Bardzoś, widzę, sofistycznie rozgadany, mimo błota i komarów – rzucił kąśliwie Sewer. – Gdyby gadaniem można było podnosić wozy, przeniósłbyś nas potęgą swego języka wprost do Calisji...

Lucjusz otworzył usta, myśląc replikować, ale ostatecznie machnął z rezygnacją ręką. Zamierzał otrzeć spocone czoło krajem ubłoconej togi, w porę się jednak opamiętał. Znowu rozdziawił gębę, lecz Sewer miał już powyżej uszu jego narzekań.

– Lepiej zajmij się wozami – poradził tonem bezdyskusyjnego rozkazu. – Pchnij do przodu pacholków, niech sprawdzą, czy dalej też jest tak fatalnie. Wyładuj z wozu rzeczy, każ podłożyć pod koła gałęzie i niech próbują go wydobyć.

Sekretarz, wciąż obrażony na cały świat, bez słowa obrócił się na pięcie i poszedł z powrotem do czoła kolumny. Tytus poruszył się niecierpliwie w siodle – nieprzywykły do jazdy konnej, ciągle narzekał na bóle w krzyżu. Rozglądał się ciekawie dookoła, najwidoczniej szukając pretekstu do zejścia z wierzchowca i rozprostowania nóg.

– Tam coś jest. – Wskazał palcem w głąb kniei. – Jakaś budowla. Może gospoda?

Sewer roześmiał się, serdecznie ubawiony, a to dlatego, że znajdowali się na najbardziej odludnym odcinku Via Germania, przebiegającym przez puszcze zamieszkałą jeno przez smolarzy, bartników i zbieraczy leśnych owoców. Niemniej jednak mogli trochę pospacerować, dając Lucjuszowi czas na wykazanie się rzymską zaradnością. Sięgnął po wiszącą przy nodze naciągniętą kuszę i dziarsko zeskoczył z konia.

– To na wszelki wypadek – odpowiedział na pytające spojrzenie Tytusa, niechętnego wszelkiej broni. – Nie chciałbyś przecie, aby ostatniego na tym świecie chrześcijanina zeżarł jakiś zbłąkany niedźwiedź.

Tytus spochmurniał, a Sewer poniewczasie zreflektował się, że nie powinien tak

lekką przypominać mu o ciężkim losie pozostawionych w Nipu pobratymców. Poszli powoli we wskazanym przez chrześcijanina kierunku, zarośniętą, ledwo widoczną dróżką wijącą się między drzewami. W głębi lasu istotnie coś było – jakby wysoki płot czy ściana, obrośnięta mchem i bluszczem. Gdy podeszli bliżej, Sewer poznał, że to częstokół, bardzo stary, spróchniały i zapadnięty w ziemię. Zaczęli go obchodzić dookoła. Zajmował dość znaczny obszar, dopiero po jakiej półsetce kroków dotarli do rozpadającej się bramy. Sewer ostrożnie zajrzał do wnętrza i wtedy domyślił się, co to za budowla.

– To sklawiński chram, świątynia – wyjaśnił Tytusowi, który ciekawie wyciągał szyję. – Wygląda na to, że dawno już tu nikt nie przychodzi.

Weszli do środka. Kolisty, otoczony częstokołem dziedziniec przedstawiał obraz nędzy i rozpacz. Zarośnięty po kolana zielskiem, zasypany liśćmi, przypominał raczej zapuszczony ugór niż świątynię. Pośrodku, szerniały od deszczu i obrośły mchem, pochylał się ku ziemi przysadzisty, topornie wyciosany z olbrzymiego pniaka posąg, przedstawiający człowieka o czterech twarzach, nakrytych jednym wspólnym kapeluszem.

– To Świętowit, czterolicy starodawny bóg Polan i Ranów, zwany też sklawińskim Janusem – objaśnił Sewer. – Rządził ogniem, słońcem i wojną. Podobno Dago, nim został chrześcijaninem, wierzył w niego jeszcze...

Podeszli bliżej. Figura znajdowała się w stanie ostatecznej ruiny, miejscami wygniła, nadżarta przez robactwo i opaskudzona przez ptaki. Nie znaleźli śladu żadnych ofiar ani jakiegokolwiek ludzkiej działalności. Chram musiał zostać opuszczony wiele lat temu. Może dlatego, że wyludniła się okolica, a może z tej prostej przyczyny, że rodzima religia Sklawinów znajdowała się w głębszym regresie, niż Sewer przypuszczał. W każdym razie widok upadającego boga czynił na nim przykre wrażenie.

Omszałemu posągowi ze szczególną uwagą przyglądał się Tytus. Zaczął go dookoła obchodzić, jakby chciał zmierzyć obwód dębowego pniaka. W chwilę potem, gdy zniknął po drugiej stronie figury, dobiegł Sewera jego zdławiony okrzyk. Porwał za kuszę i skoczył tam czym prędzej, przekonany, że na Tytusa napadło dzikie zwierzę.

Zastał go stojącego nieruchomo niczym sam posąg Świętowita, wpatzonego przed siebie osłupiałym wzrokiem. Wcale jednak nie na niedźwiedzia czy innego leśnego drapieżcę, lecz na widniejący przed nim fragment częstokołu. Sewer musiał w duchu przyznać, że widok był zaiste zdumiewający. Oto na oczyszczonym z mchu i bluszczu kawałku palisady ktoś umieścił duży drewniany krzyż, długości może siedmiu stóp, do którego przytwierdzono niezdarnie wyrzezaną w korze figurkę człowieka, najwidoczniej ukrzyżowanego. Sewer, cały czas z uniesioną i gotową do

strzału kuszą, podchodził krok za krokiem ku krzyżowi, coraz mniej pojmując. Miejsce miało charakter wyraźnie rytualny, zobaczył u stóp krzyża kłosa zboża, wieńce z ziół i gliniane czasze z czymś żółtym, pewnie miodem. Na szyi figurki powieszono nieproporcjonalnie dużą deskę, a właściwie tablicę z nakreślonymi smolą koślawymi literami. Sewer począł czytać, czując, że za chwilę oszaleje... QUIETUS CHRISTIANUS.

– Niemożliwe – jęknął. – Nic z tego nie rozumiem, Tytusie... Czy tak zaczyna się obłąd?

Chrześcijanin stał nadal bez ruchu, z palcem na ustach, nieoczekiwanie rozpogodzony, prawie radosny. Podszedł do krzyża i z uszanowaniem dotknął figurki rozpiętego na nim człowieka.

– Przestań rozumieć, Sewerze – zacznij wierzyć.

Dokuczliwy, pylisty piasek wciskał się wszędzie: do oczu, ust, uszu i nosa, nie wyłączając rzyci. Marcusowi zdawało się, że płuca całkowicie wypełniła mu i lada chwila spali je na popiół gryząca kurzawa. Wszystko przez tego przekłętego Nipuańczyka, który gnał do przodu bez opamiętania, jakby był ścigany przez legion harpii. Beduini dobrze im radzili, aby przez parę dni posiedzieli z nimi w obozie i poczekali na większą karawanę, z którą bezpiecznie mogliby dotrzeć do morza; o tej porze roku chamsin, pustynny wichur, potrafił być wyjątkowo dokuczliwy. Pojawiał się nie wiadomo kiedy i potrafił wiać przez wiele dni i nocy. Ale Gajusz nie zamierzał na nikogo czekać, tedy sami puścili się starym, prowadzącym do Jerozolimy szlakiem handlowym. Szło im całkiem nieźle, dopóki po południu nie dopadł ich chamsin.

Marcus wyteżył wzrok, usiłując przebić nim ciemnoszarą kurzawę. Nic jednak nie widział, chociaż mógłby przysiąc, że dopiero co wyraźnie postrzegął kolebiący się tuż przed nosem zad Gajuszowego wierzchowca. Do głowy zakradło mu się straszliwe podejrzenie: zgubił go. Zmrożony strachem, zacisnął piekące powieki i wrzasnął desperacko:

– Gajusz!!!

Bez odzewu – tylko podrażnione kurzem gardło zaczęło boleć go nieznośnie. Mimo to krzyknął jeszcze raz, z podobnym rezultatem. Ogarnął go gwałtowny, paniczny strach, który udzielił się wierzchowcowi. Nieszczęsne zwierzę, nie mniej niż człowiek udręczone chamsinem, zarżało rozpaczliwie i stanęło dęba. Nim się Marcus zorientował, co się dzieje, wyleciał z siodła, koziołkując, przez koński zad, i z rozpędem walnął w kupę piachu. Koń, uwolniony od ciężaru, pognął jak szalony przed siebie, znikając w kurzawie. Gdy z trudem wygrzebał się z piasku, pojął z przerażeniem, że został sam na środku pustyni, bez konia i co gorsza, wody, ponieważ bukłak trzymał przytroczony do siodła.

Otrzeptał się z piachu i ciężko usiadł. Sytuacja wyglądała zupełnie beznadziejnie. Słyszał, że wybitnie odporne jednostki potrafią przetrzymać bez wody na pustyni i pełną dekadę, ale nie sądził, aby do nich należał. I do tego wciąż ten cholerny chamsin, odbierający resztkę ochoty do życia. Marcus nie dawał sobie więcej jak dobę – najwyżej dwie. Wzdrygnął się na myśl o nieuchronnej śmierci: nie tak to sobie wyobrażał. Marzył o śmierci filozofa, po dostatniej uczcie, w otoczeniu przyjaciół, w chwili, którą sam wybierze, znużony ziemską egzystencją i nie oczekujący po niej niczego więcej od tego, co już było. A teraz zakrawało na to, że sam stanie się uczcą dla pustynnych hien. Ogarnęła go bezsilna rozpacz.

– Gajusz! – wrzasnął na całe gardło, na nic nie zważając.

Tuż obok niego z dymiącej kurzawy wyłonił się ciemny kształt.

– Po co tak wrzeszczysz? – zapytał Gajusz stłumionym przez zawój głosem. – Twoje ryki słyhać w promieniu mili.

Marcus z nagłej radości byłby zda się bezpowrotnie zaginionego towarzysza uściskał, gdyby nie równie przemożna chęć walnięcia go na odlew, prosto w ten pewny siebie, nipuański pysk. Ale nie uczynił ani jednego, ani drugiego.

– Gdzie byłeś? – spytał z wyrzutem.

– Szukałem dla nas schronienia – wyjaśnił Nipuańczyk. – I chyba znalazłem. Chwyć się lęku mojego siodła, to tam pójdziemy. Musimy się pośpieszyć, zaraz zapadnie zmierzch.

– Dobrze, Gajuszu – powiedział pokornie Marcus, stając po drugiej stronie wierzchowca.

Maszerowali w milczeniu, prowadził Nipuańczyk, psim chyba swędem odnajdujący drogę w pylistym kręcielu, w jaki chamsin zamienił pustynię. Trwało to około półkwadry, raptem Gajusz zatrzymał się i wskazał coś ręką, wysoko u góry. Marcus ze zdumieniem odkrył, że pali się tam światło.

Było to pasmo niskich, ale urwistych skalistych wzgórz, podziurawionych dziesiątkami jaskiń. To w jednej z nich paliło się żółte światło, a dokładniej w małym, wydrążonym nad właściwymi drzwiami okrągłym okienku; same kute w skale kwadratowe drzwi zakrywała ciężka kotara.

– Wejdz tam i poproś o nocleg – polecił Gajusz. – Ja muszę ukryć gdzieś konia.

Marcus skinął głową i postąpił parę kroków po ułożonych przed progiem kamiennych płytach. Uchylił kotary, o mało przy tym nie rozbił sobie czoła o zbyt niską framugę. Chrząknął znacząco, chcąc uprzedzić o swoim przybyciu, i śmiało wszedł do środka.

Obszerną pieczarę oświetlał sześcioramienny oliwny kaganek, ustawiony na brzegu wielkiego, solidnego stołu, zajmującego jej środek. Zawałały go tabliczki i papiirusy, nad którymi pracował szczupły mężczyzna o przyprószonej siwizną

włosach, surowych, ascetycznych rysach twarzy i przenikliwych, znamionujących niepospolitą inteligencję oczach. Mierzyły one teraz Marcusa od stóp do głów – nie ze strachem, lecz z uprzejmą badawczością. Ten przestąpił z nogi na nogę i znowu chrząknął, czując się jak uczeń stojący przed wymagającym pedagogiem.

– Wybacz, panie, że ci przeszkadzam – zaczął, mając świadomość, że brzmi to co najmniej śmiesznie. – Wraz z przyjacielem podróżujemy do Jerozolimy i zaskoczyła nas burza. Chcieliśmy gdzieś ją przeczekać... Czy udzielisz nam schronienia?

Gospodarz zmarszczył nieznacznie brwi i odłożył trzciniowy pisak, którym coś notował na karcie papirusu.

– Wejdz, gościu niespodziewany, i czuj się jak u siebie – odparł lekko chropawym, ale miłym dla ucha głosem. – Na lewo, w kącie, znajdziesz wodę i odrobinę wina. Nie mam tu frykasów, ale co sam posiadam, będzie i wasze.

Marcus skłonił w podziękę głowę i rozejrzał się ciekawie po izbie. Z pewnością nie miał do czynienia z palestyńskim wieśniakiem, to wiedział od początku. Częściowo naturalna, częścią wykuta w litej skale jaskinia nieodparcie kojarzyła się z pracownią uczonego. Ściany obwieszały szeregi półek, na których widział stopy papirusów, glinianych skorup, przedmiotów codziennego użytku, starannie posegregowanych i ułożonych w systematycznym porządku. Sam gospodarz, nie zwracając więcej uwagi na Marcusa, wrócił do swoich notatek. Przeglądał sfatygowane zwoje, mrucał monotonicznie pod nosem i pilnie zapisywał, maczając co chwila pisak w inkauscie.

Marcus, zdziwiony trochę tym zachowaniem, udał się do wskazanego kąta, a właściwie niszy w ścianie, gdzie obmył z grubsza z pyłu twarz i ręce oraz przepłukał usta winem. Tak podle nadwerężone na pustyni morale powróciło mu prawie do zwyczajowej normy. Napił się jeszcze wina i wrócił do komnaty, gdzie gospodarz, nie zwracając na niego uwagi, kontynuował swoje prace.

– Wybacz, panie, niewczesną ciekawość – zaczął nieśmiało. – Powiedz mi jednak, kim jesteś i co robisz w tym dzikim zakątku Judei?

Mężczyzna zamarł z uniesionym do góry pisakiem.

– Nie wiesz? – zdziwił się. – Twoi zleceniodawcy nie powiedzieli ci, kogo masz zabić?

Gdyby nie to, że Marcus zbyt był dzisiaj zmęczony na śmiertelne zadziwienia, niechybnie padłby trupem na te słowa. Potrząsnął głową, niepewny, czy dobrze słyszy.

– Nie pojmuję, o czym mówisz, panie – wykrztusił. – Nikt mnie tu nie przysyłał. Ja tylko zabłądziłem z przyjacielem na pustyni.

Gospodarz w zamyśleniu przygryzł koniec pisaka, patrzył przy tym przenikliwie na przybysza spod oka, najwyraźniej próbując dociec, kim naprawdę jest.

– Nie przysłała cię Tajna Służba?

Marcus uderzył się z rozmachem w pierś, aż huknęło w całej pieczarze.

– Nie mam z nimi nic wspólnego!

Jego rozmówca nie wyglądał na zbyt przekonanego, odłożył pisak i westchnął z rezygnacją.

– Ostatecznie, cóż to zmienia, nie dziś to jutro... jestem Straton z Aleksandrii.

Marcus w pierwszej chwili sądził, że się przestyszał.

– Straton Aleksandryjczyk, przewodniczący kolegium historyków w Bibliotece, najślynniejszy helleński filolog i historyk doby współczesnej, autor *Żywota Apostaty*?

Mężczyzna spojrział na niego żywo, z niekłamanym zainteresowaniem i pewną dozą uznania.

– Jam ci jest – oświadczył nieco patetycznie. – A z kim mam honor?

Marcus położył rękę na piersi i skłonił się z należyty szacunkiem.

– Retor Marcus Corejmus Tranquillus z Calisji, dobrze ci, panie, znany, ponieważ po opublikowaniu pierwszej wersji *Apostaty* wysłałem do ciebie list z uwagami na temat stosunków cesarza Juliana z księciem Dagonem, na który nawet raczyłeś odpowiedzieć...

– Pamiętam – rzucił krótko Straton. – A więc tak wygląda wschodząca gwiazda wenedyjskiej historiografii?

– Stare dzieje, panie – odparł Marcus. – Nie wyszedłem poza przyczynkarstwo.

– Bardzo ważkie przyczynkarstwo; nawiasem mówiąc, uwzględniłem twoje uwagi przy drugiej redakcji *Żywota*...

Podczas tej wstępnej pogawędki Marcus zachodził cały czas w głowę, co ta pierwszej wielkości sława helleńskiej nauki, czołowa postać aleksandryjskiej Biblioteki i Muzeum, historyk, którego prace odnoszące się do czasów juliańskich oficjalnie zalecano w gimnazjonach i akademiach na terenie całego imperium, co ten najuczestniejszy człowiek epoki robił w tym zakazanym zakątku judejskiej pustyni. Czyżby go tu wygnano?

– Powiedz mi, panie...

– Co tu robie? – dokończył domyślnie Straton. – Nie obawiaj się, to nie wygnanie. Przebywam tu z własnej woli, kończąc to, co wiele lat temu zacząłem, badanie czasów Juliana.

Zasłona uchyliła się i do pieczary wszedł Gajusz, pokryty grubą warstwą pyłu. Przystanął w progu, skłonił się sztywno Stratonowi, po czym, nie odwijając z twarzy zawoju, usiadł pod ścianą i położył głowę na kolanach. Nie odezwał się ani słowem – niby to zapadł w sen, ale Marcus był pewien, że udaje. Gajusz, w miarę jak oddalali się od krain azjatyckich, wzmagał czujność; starał się nie pokazywać twarzy, coraz osobliwiej wyglądającej w krajach grecko-rzymskich. Na pustyni udawał z

powodzeniem milkliwego Beduina.

– Mój towarzysz jest bardzo zmęczony – wyjaśnił Marcus, rozglądając się jednocześnie po pracowni i usiłując dociec, czegoż to właściwie Straton mógł szukać na pustyni. Jego uwagę zwrócił stosik przedmiotów, spoczywający na małej półce za plecami gospodarza. Podeszedł do niej i sięgnął po pierwszy z brzegu – był to drewniany krzyż półtorastopowej długości, z poprzeczką związaną rzemieniem, tak zmurszały i sfatygowany, że Marcus bał się zacisnąć rękę, aby go nie rozkruszyć. Pod nim leżały krzyże różnej wielkości, przeważnie drewniane i podobnie wiekowe, kilka było miedzianych, bardzo zaśniedziałych. Marcus oglądał je i kiwał ze zrozumieniem głową – nawet trochę się tego spodziewał.

– Ten jest najcenniejszy – powiedział Straton, sięgając równocześnie pod stół, do sekretnego schowka. Wyciągnął stamtąd błyszczący, bo starannie odczyszczony, srebrny krzyż, wysadzany krwistoczerwonymi rubinami i bogato ornamentowany.

Marcus podziwiał go w milczeniu, pełen uznania dla chrześcijańskiego rytownika. Straton położył krzyż na zaścielających stół papirusach, a do Marcusa dotarło wreszcie, dlaczego historyk wziął go za agenta Tajnej Służby. Złamanie antychrześcijańskich edyktów wydanych przez Apostatę karano gardłem, bez względu na pozycję i zasługi winowajcy.

– Dużo ich mieszkało w tej okolicy – zauważył jakby bez związku Straton. – W tych jaskiniach gnieździł się najgorliwsi wyznawcy Galilejczyka, fanatycy, którzy zrywali więzy ze światem zewnętrznym, poświęcając żywot bez reszty postom i nabożnym rozmyślaniom. Jak sam widzisz, sporo po nich zostało. Pustynia dobrze przechowuje pamiątki po umarłych.

Wskazał mu waląjący się w kącie stołek. Marcus przyniósł go i postawił na środku pieczary, naprzeciwko stołu Stratona. Historyk wstał i ze stojącej pod ścianą drewnianej skrzynki dobył gliniany gąsior i dwa pucharki.

– Rozumiem, że twój towarzysz jest zbyt zmęczony, aby się do nas dołączyć – powiedział. – Niestety, nie mam nic do jedzenia. Dopiero rano przyjdzie mój dostawca z pobliskiej wioski. Dobrze się składa, bo będziecie mogli w niej wynająć przewodnika do Jerozolimy.

– Nie szkodzi – odparł Marcus i łyknął mocnego czerwonego wina, przywiezionego pewnie jeszcze z Aleksandrii. – Długo tu już przebywasz, panie?

– Trzy lata – rzekł Straton i sam popróbował wina. Skinął z uznaniem głową i uzupełnił czarki. – Zdecydowałem się na przyjazd na to pustkowie, gdy zrozumiałem, że znam tylko część prawdy o czasach, które zda się z takim powodzeniem badałem.

Wino powoli rozchodziło się po ciele Marcusa, wlewając z powrotem do żył przygasłą na pustyni ochotę do życia. Przez moment myślał, aby dać trochę Gajuszowi, ale ten wciąż nieporuszenie tkwił skulony pod ścianą, rytmicznie

posapując. Miał wyjątkowy talent do udawania śpiących.

– Studiując dokumenty z czasów panowania Juliana, zdałem sobie sprawę, że wyłaniający się z nich obraz epoki jest wybitnie jednostronny – skutkiem działania cenzorów ocalały wyłącznie sprawozdania i opinie Julianowi jednoznacznie przychylne, jeśli nie apologetyczne. Nie mogłem dotrzeć do żadnych źródeł przedstawiających racje strony przeciwnej, wszystkie bowiem uległy kasacji. Nie jestem politykiem, lecz człowiekiem nauki, co zobowiązuje mnie do bezstronności. Dlatego postanowiłem poszukać tam, gdzie cenzorzy nie dotarli, jak na przykład tutaj. Co prawda okolicę spustoszyli legioniści, ale nie zniszczyli wszystkiego, głównie szło im o ludzi i złoto. Resztę – tu wskazał na półki ze skorupami i papirusami – mieli w głębokiej pogardzie. Na szczęście dla mnie.

Przerwał i ze smakiem osuszył do dna pucharek. Marcus bez zwłoki poszedł w jego ślady.

– I czego się dowiedziałeś o chrześcijanach?

– Wielu rzeczy, o których historycy rzymscy czy helleńscy nie wiedzą i nie chcą wiedzieć. Znalazłem tu kilka zwojów, zawierających rozważania mędrców chrześcijańskich, także opisujących dzieje ich organizacji, zrzeszenia gmin zwanego Kościołem. Te wiadomości rewolucjonizują nasz dotychczasowy pogląd na historię! Czy wiedziałeś na przykład, że stryj Juliana, wielki Konstantyn, znany ci pewnie, bo on to wciągnął Wenedię w strefę wpływów rzymskich, że wtedy ów cesarz Konstantyn wydał u początków swego panowania edykt, w którym zezwolił chrześcijanom na swobodę kultu? Ba, uczynił znacznie więcej – otaczał się chrześcijanami i oficjalnie popierał ich religię. Jego syn Konstancjusz przyjął chrzest i władał jako cesarz chrześcijański!

Siedzącemu pod ścianą Gajuszowi głowa opadła między kolana. Poderwał ją gwałtownie i mrużąc coś niewyraźnie, oparł się o skalny występ, zapadając z powrotem w sen, udawany lub rzeczywisty. Teraz Marcusa mało to obchodziło; z natężoną uwagą słuchał, co mówił Straton.

– Kościół chrześcijan znajdował się wówczas w natarciu, ekspansji, szeregi nawróconych rosły z dnia na dzień. Spytasz pewnie, dlaczego? Tajemnica tkwi w ich nauce, w treściach, jakie ze sobą przynosiła. Co prawda nie mogę jej w całości ogarnąć, znalezione pisma są bardzo fragmentaryczne, nie dotarłem zwłaszcza do podstawowej księgi kultowej, czterech wersji opowieści o życiu ich Boga i Nauczyciela, Galilejczyka Chrystusa, ale nawet z tych poznanych przeze mnie ułomków wyłaniają się wartości zupełnie zadziwiające.

Odetchnął głęboko i dołał sobie wina. Pił nieśpiesznie, jakby dając sobie czas na zebranie myśli.

– Świat wówczas, trzy wieki temu, znajdował się w wielkim filozoficznym i

moralnym kryzysie, notabene podobnym do obecnego. Stare religie obumierały, utopione w śmiesznościach mitologii, filozofia przestała cokolwiek tłumaczyć, podzielona na wzajemnie zaprzeczające sobie odłamy. Człowiek ówczesny czuł się zdezorientowany, pograżony w niepewności, przerażony tym, co czeka go po śmierci. A w tej burzliwej epoce, gdy barbarzyńcy napierali na trzeszczące granice imperium, umierano często i nagle. To nie był złoty wiek Antoninów, gdy można było spokojnie cieszyć się życiem i do woli używać dóbr doczesnych wedle mądrych zasad głoszonych przez stoików. Sto lat później obywatele imperium przekonali się, że ta apollińska harmonia była w istocie bardzo krucha. Świat popadł w wielkie zamieszanie, a każdy chaos rodzi w ludziach pragnienie ładu, spokoju i uporządkowanej hierarchii...

– I chrześcijanie dali światu ten ład? – wtrącił niecierpliwie Marcus.

– Dali mu pewność przyszłości. Chcieli odrzucenia starego, niespójnego systemu i przyjęcia przez ludzi prawd objawionych przez Chrystusa, który pono umarł ukrzyżowany, aby odkupić zbrodnicze występki ludzkości.

Zamilkł i znowu się zamyślił. Marcus bał się poruszyć, aby nie wytrącić uczzonego ze skupienia. Instynktownie wyczuwał, że tym razem dowie się czegoś naprawdę ważnego. Może to właśnie Straton pojął istotę potęgi chrześcijaństwa?

– Tu muszę przed tobą przyznać, że nie bardzo mogę zrozumieć, co aż tak nowego owi Galilejczycy proponowali. Nasz świat opiera się na prawach dyktowanych przez rozum, a dla wyznawców Chrystusa rozum był rzeczą drugorzędną, na pierwszym miejscu postawili...

– Miłość! – wykrzyknął Marcus w nagłym olśnieniu.

– Rzekłeś. – Straton bezwiednie obracał w rękę pustą już czarękę. – Miłość, czyli pociąg, łączący ze sobą dwoje ludzi, tak obrazowo przedstawiony przez Platona w *Uczcie*. Nie potrafię dociec, jakim sposobem to tak pospolite i niskie uczucie można w ogóle przeciwstawiać doskonałym prawidłom rozumu?

– Bo to inny rodzaj miłości – powiedział Marcus, po części do siebie. – My przez miłość rozumiemy żądzę cielesną, którą można zaspokoić przez zbliżenie z kochaną osobą. Chrześcijanie myśleli o uczuciu innego rodzaju, dla nich była to wspólnota dusz, ufność do własnego Boga i braterska solidarność wobec nieznanego... Tego się nie da jednoznacznie zdefiniować i określić, zamknąć w ramy logicznych zasad, ujarzmić prawidłami rozumu... Chyba dlatego było to uczucie tak potężne – bo ponadludzkie.

– Dużo, widzę, wiesz o chrześcijanach. – Straton popatrzył na niego ze skrytym zaciekawieniem. – Być może masz rację. Owa, jak mówisz, tak pojmowana miłość była antidotum na rozpacz i niepewność czasów przejściowych, wyzwalała ze strachu przed śmiercią, dając nadzieję zmartwychwstania, śladem ich Boga, który po trzech

dniach powstał z grobu. Ludzie koniecznie muszą w coś wierzyć, inaczej szaleją. Nic stąd dziwnego, że sekta zyskała taką popularność i stara religia nie mogła się jej oprzeć, obumierając jak próchniejące drzewo.

– Aż zjawił się Julian.

– Który nienawidził Galilejczyków – tak, w zamyśle pogardliwie, nazywał chrześcijan – gorzej od morowej zarazy. Najpewniej dlatego, że w dzieciństwie został oddany na wychowanie surowemu chrześcijańskiemu pedagogowi, który dokumentnie obrzydził mu naukę Chrystusa. Efektem tego było rozkochanie się Juliana w klasycznej greckiej myśli i mitologii. Dalej wypadki potoczyły się tak jak przedstawiono w oficjalnych kronikach.

– Czy próbowałeś gdzieś, panie, ogłaszać swoje odkrycia?

Straton roześmiał się z goryczą, pukając wymownie w czoło.

– A jakże, wysłałem do swojego kolegium w Bibliotece już dwa sprawozdania, na które nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Przypuszczam, że zajęła się nimi Tajna Służba. Dlatego wziąłem cię za jej agenta. A moi szanowni koledzy sądzą pewnie, że oszalałem. Mnie jednak chodzi tylko o prawdę. Całą prawdę.

Kiedy tak mówił, twarz mu się zasępiła. Wyglądał staro, właściwie jak człowiek chylący się nad grobem. To dlatego okazywał taką odwagę w poglądach: w jego wieku naukową rzetelność ceniło się bardziej od coraz krótszego życia.

– W dziejach panowania Juliana zdumiewa jedno – powiedział Straton, kontynuując przerwany wątek. – Ten człowiek sam zmienił historię, wyłącznie jego żelazna wola politycznego i wojskowego geniusza powstrzymała wzbierającą i prawie zwyciężającą falę chrześcijaństwa. Gdyby nie on, chrześcijanie w ciągu pokolenia opanowaliby imperium, nie siłą bynajmniej, lecz cierpliwością i umiejętnością przekonywania do swej nauki, a była ona nad podziw potężna, zdolna pociągnąć za sobą miliony. Historia świata zna tylko jeden podobny przypadek, gdy pojedynczy człowiek zmieniał bieg Przeznaczenia. Aleksander Macedoński zmusił Greków do wojny z Persją i helleńska fala dotarła aż do Indyj, kierując losy świata ku nowym formom. A gdyby syn Filipa umarł w kolebce, to najprawdopodobniej by do tego nie doszło.

Marcus poderwał się gwałtownie, wywracając butelkę z resztką wina. Wzburzony i podekscytowany, pochylił się nad historykiem, wpatrzony w jego ciemne, promieniujące spokojem wytrawnego badacza oczy.

– Czyżbyś sugerował, że Julian...

– Ukradł światu epokę, która należała już do chrześcijaństwa – stwierdził beznamiętnie Straton, wskazując na leżący przed nim na stole, mieniący się w chybotliwym świetle kaganka rubinowymi błyskami krzyż – znak świata, który nigdy nie zaistniał.

VI. Bitwa na równinie Samurgar

„Wenedowieśmy czy Rzymianie?” – to proste z pozoru pytanie jakoś nie chciało go opuścić, wręcz wracało coraz natrętniej, zwłaszcza teraz, gdy patrzył na obóz Legii Masovia, na ustawione w regularne rzędy namioty z rzymskimi proporcami, przetykanymi tu i ówdzie starymi plemiennymi znakami, gdzie kręcili się odziani w skóry potomkowie tych wojów, którzy pod komendą jego praszczura Dagona tak się przysłużyli Julianowi. W powietrzu pobrzmiwał skrzekliwy dźwięk skławińskiej mowy, którą on sam już ledwo pamiętał i rozumiał. W Legii nie służyli zlatynizowani mieszkańcy miast, ale wierni obyczajom przodków wieśniacy, zdrowi parobcy z puszczańskich osad i dalekich siół, rybacy, bartnicy i smolarze, którzy wiedzieli o Rzymie nie więcej niż ich antenaci sprzed trzech wieków, wyruszający z Dagonem na pomoc władcy świata. Ci chyba nie mieli wątpliwości, kim są. Sewer Flawiusz w skrytości ducha zazdrościł im tej prostaczej pewności.

Znad najbliższego ogniska doleciał go zapach warzonej kaszy, podstawowej strawy jego legionistów, której nie cierpiał; długi pobyt w Rzymie wysubtelnił nie tylko jego umysł, ale i podniebienie. Stare wenedyjskie przysmaki zupełnie przestały mu odpowiadać. Właściwie powinien podjechać i zasiąść z wojami do wieczerzy, tak jak zwykł to czynić Dago; z tej przyczyny tak go uwielbiali, gotowi pójść za nim w ogień, potrafił żyć pośród nich jak prosty legionista, do czego Sewer nie był w żaden sposób ani zdolny, ani ochoczy. Dlatego po trwającym mgnienie oka wahaniu wbił w bok konia ostrogi i skierował się w stronę kwater Legii Silesia.

„Co mnie z nimi łączy?” – zastanowił się. „Wspólnota krwi i plemienia? Do ciała, ludy imperium od wieków mieszają się jak w tyglu alchemika, plemienność od dawna stała się nic nie znaczącym wyróżnikiem, niczym więcej niż rodzajową nazwą, pozwalającą odróżnić Bryta od Gala czy Hiszpana. W gruncie rzeczy ludzie mojego pokroju są po prostu obywatelami rzymskimi, dla których ojczyzną jest grecko-lacińska spuścizna myśli i kultury. Galów i Brytów pcha do secesji nie tyle poczucie plemiennej od Rzymu odrębności, ile żądza niezależności i chęć zagarnięcia realnej władzy. Całą resztę szumnych proklamacji można włożyć między sofistyczne bajania”.

Na granicy dwóch obozowisk okrzyknięto go hasłem, a dalszą drogę zagroziła pochylona włócznia. Był tak pogrążony w myślach, że dłuższy czas nie mógł sobie przypomnieć, co też za słowo wielki oboźny, Wartosław, wziął od niego rano.

Zaraz, on chciał, aby hasło brzmiało „Klaudia”, ale oboźny obruszył się na tę propozycję. „Nie godzi się, aby Legie nasze okrzykiwały się imieniem jakiejś rzymiańskiej dziewczki” – oświadczył, szarpiąc w uniesieniu sumiastego wąsa. Sewer byłby go złażał jak ostatniego prostaka, gdyby nie to, że Wartosław cieszył się wśród żołnierstwa wielkim mirem, zyskanym pięć lat temu, gdy poprowadził zwycięską wyprawę na związek plemion dulebskich. Ich skławińscy pobratymcy znad Borysthenesu nabrali niespodziewanie ochoty na zagarnięcie ziem podległych Sewerowi Vistulan, ale Wartosław skutecznie im to wyperswadował. Stąd szacunek wojska. Sewer Flawiusz nie mógł powiedzieć, aby cieszył się choć cieniem podobnego poważania. Wojowie nie widzieli w nim swego dziedzicznego księcia, tylko rzymskiego patrycjusza i cesarskiego namiestnika. Z jednym jedynym wyjątkiem – właśnie Wartosławem, którego ród od wieków wiernie służył potomkom Dagona. „Niech będzie, jak chcesz” – rzekł wtedy oboźnemu. „Sam wyznacz hasło”.

– Swarożyc! – wrzasnął Sewer w stronę posterunku. W istocie, Wartosław był bardzo pobożnym Wenedą, przywiązanym do wiary przodków. Wojowie odchyliłi groźnie pochylone sulice; gdy przejeżdżał obok, dowódca warty poznał go i oddano mu pośpiesznie honory.

Wjechał między namioty Legii Silesia. Tu też warzono wieczerzę i znowu dopadł go nieznośny zapach rozgotowanych jagieł. Jak tylko wróci do siebie, każe się skropić wodą różaną, mimo iż zwykle nie używał perfum; tego rodzaju praktyki uznawał za niegodne prawdziwego mężczyzny. To jedno z pewnością łączyło go z wenedyjskimi wojami – wstręt do zniewieściałych i wypachnionych rzymskich młodzianów, z których wielu trawiły poważne rozterki, czy aby nie lepiej być jednak niewiastą. Rzym zginie nie przez rozpustne kobiety, jeno przez zniewieściałych mężczyzn, tak od wieków głosili liczni kasandrycy. Na razie trwał, między innymi dzięki krzepkości i zdrowej prostocie wenedyjskich zaciągów.

Zgromadzonym w obozie wojom zniewieścienie na pewno nie groziło. Obwinieci w skóry, kudłaci i cuchnący pozdrawiali go gromko, gdy mijał namioty kolejnych dziesiątek. Centuria za centurią wstawały od kotłów i witały go hałaśliwie, raczej z ciekawości niż szczerego entuzjazmu; wielu z nich po raz pierwszy oglądało na własne oczy namiestnika Wenedii i ostatniego potomka legendarnego Dagona. „Do tej pory śpiewają o nim pieśni” – przeszło mu przez głowę. „Czy i o mnie kiedyś będą?” Zachciało mu się śmiać; jego walecznych czynów nie starczyłoby na temat najnędrniejszej oktawy.

Przy jednym z ognisk nie powstano na jego widok, w ogóle nie został tam

zauważony. Młodzi przeważnie legioniści otaczali ścisłym kręgiem siedzącego na pniaku starca w powłóczystym chitonie; dzierżył w ręku pięciostrunną lirę i opowiadał coś z przejęciem, szarpiąc od czasu do czasu za struny. Sewer, zaciekawiony, przystanął i nadstawił ucha, z trudem łapiąc chropawe sklawińskie słowa.

– Tak się stało w Calisji, w gospodzie starego Greka – zawodził smętnie dziad lirnik. – Quietus chrześcijanin rzekł „pragnę”, a zdrajca Marcus napił go pivem. Wezwał potem demona ciemności, aby zabił Quietusa, nim ten wyrzeknie Słowo, które przyniósł Wenedom od starych bogów, Słowo, które niesie nadzieję i światło Prawdy. Ale nie upadajcie na duchu, bracia, albowiem on wróci i Słowo zostanie ogłoszone, tak jak przepowiedzieli Cyryl i Metody, którzy to na własne oczy widzieli i uwierzyli, tak jak i wy winniście uwierzyć...

Sewer słyszał i rozumiał każde słowo, ale wprost nie mieściło mu się to w głowie. Kunon co prawda donosił w raportach, że sekta wyznawców Quietusa rozrasta się i zyskuje na znaczeniu, pokazali się wędrowni lirnicy, głoszący jego rychły powrót i związaną z tym wielką odmianę losu Wenedów, brał to wszakże za przejaw ostatnio nasilonej sektomanii. W całym imperium odżywały stare i powstawały setki nowych sekt, bardzo niekiedy dziwacznych, żerujących na dręczącej ludzi niepewności. Nigdy by nie przypuszczał, że ów osobliwy kult Quietusa dotrze nawet do wojska. Co takiego zobaczyli w karczmie Agamemnona owi posługacze, że stało się zaczynem nowej religii? Parę dni temu mówił coś o niej Tytus... Chrześcijanin sam rozpoczął nawracanie Wenedów na swoją wiarę i natknął się na głoszących swe zdumiewające przesłanie quietystów. Pozostawał też krzyż, przypadkiem przez nich znaleziony w opuszczonym sklawińskim chramie... Na smoczy łeb Kadmosa, czym to się skończy?

Usłyszał za sobą gwałtowny tętent, ktoś najwidoczniej usiłował go dogonić. Zerknął do tyłu i zobaczył Lucjusza, jak pędził z rozwianą togą. Rozglądał się gorączkowo, krzycząc coś do mijanych wojów. Sewer wyjechał spomiędzy namiotów i pozwolił, aby Lucjusz go zobaczył.

– O co chodzi? – spytał, niezadowolony, że nie może dłużej posłuchać lirnika. Sekretarz dyszał ciężko, nie mogąc złapać tchu.

– W twoim namiocie czekają Afraniusz i Lentullus – wykrztusił wreszcie. – Wyglądają na bardzo zdenerwowanych i koniecznie chcą z tobą rozmawiać. Widocznie Tajna Służba zebrała już przeciwko nim dowody...

– A więc nasi Pizonowie stanęli przed swoim Rubikonem – powiedział Sewer. Wiadomość wcale go nie zaskoczyła; wiedział, że jest dla spiskowców zbyt cennym pionkiem w tej grze, aby mogli go zostawić na uboczu. – Jedźmy tam zatem.

Spięli konie i zawrócili na szeroką aleję, przebiegającą przez obozowiska wszystkich trzech legionów. Sztab i kwatera namiestnika znajdowały się w obozie

Legii Polonia, rekrutowanej z rodzimej dziedziny rodu Dagona. Tam, pośród swoich współplemieńców, Sewer czuł się najpewniej.

Przed namiotami sztabowymi kręciło się niespokojnie kilku jeźdźców z gwardii galijskiej. Nie odprowadzili koni, tylko nerwowo dreptali przy nich, trzymając krótko uzdy, czujni i gotowi do natychmiastowego odjazdu. Sewer ze swojego wierzchowca zeskoczył prawie w biegu, pozostawiając troskę o niego żołnierzom ze straży przybocznej. Do namiotu wszedł jednak spokojnym, godnym krokiem senatora imperium.

Oczekujący na niego Afraniusz i Lentullus, obaj w zbrojach, spoczywali na ławie ustawionej obok wejścia i rozmawiali ze sobą cicho. Na jego widok poderwali się na równe nogi. Sewer nie witając się z nimi, obszedł wielki stół, służący do narad wojennych i zavalony mnóstwem raportów, i usiadł na krześle po jego przeciwnej stronie. Świadomie chciał postawić tamtych w sytuacji petentów. W istocie przecież nimi byli.

– Czy tu można rozmawiać? – zapytał Afraniusz. – Myślę o niepowołanych uszach...

Sewer klasnął w dłonie. Wszedł Lucjusz i patrzył na niego pytająco.

– Zadbaj o spokój – polecił.

Sekretarz skinął głową i bez słowa wyszedł. Usłyszeli za ścianą namiotu gwar, potem zapadła cisza.

– Z czym zatem przybywacie, szlachetni senatorowie? – zapytał Sewer, poprawiając się na krześle. Nie prosił, aby ponownie usiedli.

Afraniusz postąpił krok i oparł się obiema rękami o krawędź stołu, pochylając do przodu dla nadania wagi wypowiedzanym słowom. W nabijanej srebrnymi guzami zbroi wyglądał groźnie i marsowo, niczym sam bóg wojny.

– Decyzje już zapadły. Dziś w nocy nasi ludzie zabiją Juliana, a galijskie i brytyjskie legiony okrzykną przywrócenie republiki i objęcie władzy przez senat.

Sewer zasepił się, marszcząc brwi – w końcu postanowili to zrobić. Ostatnie wieści, jakie dotarły doń z kręgów spiskowych, mówiły o możliwości zachowania monarchii, z czymś w rodzaju kolegialnego cesarza, obieranego przez zreformowany senat. Z tego, co oświadczył teraz Afraniusz, wynikało jasno, że definitywnie zwyciężył model klasycznie republikański. Przypadek Kasjusza Cherei, który za czasów Kaliguli próbował identycznego rozwiązania, najwidoczniej niczego ich nie nauczył. A może nauczył aż nadto?

– I co z tego? – zapytał, udając całkowitą obojętność.

Oparte o stół ręce Afraniusza zacisnęły się w pięści. Dopiero teraz Sewer zauważył, że są ogromne, w sam raz zdatne dla dusiciela.

– Potrzebna nam twoja pomoc. Postawa wenedyjskich legionów może przeważać

szale... W zamian za to otrzymasz stanowisko dyktatora i... będziesz dowodził bitwą.

Sewer milczał, obserwując Afraniusza i czyhając choćby na cień fałszu, ale Gal mówił poważnym, spiętym głosem. Wstał więc, okrążył stół i wskazał na stertę raportów piętrzących się pośrodku.

– Armia nipuańska zakończyła koncentrację pod Viminacium – powiedział. – Przekroczyli Dunaj i maszerują wprost na nas. Nie mogę sobie wyobrazić lepszego momentu na zmianę dowództwa – dodał z przekąsem.

– To ostatni moment na zmianę dowództwa – powtórzył z naciskiem Afraniusz. – Jeżeli tego nie zrobimy w ciągu najbliższych godzin, możemy w ogóle nie zaczynać.

– Świetny pomysł. – Sewer podniósł wieczko leżącej obok stosu raportów szkatuły i wyjął sztylet, którym usiłował go – a prędzej udawał, że usiłuje – zabić rzekomy agent Tajnej Służby. Od niechcienia sprawdził kciukiem ostrze, po czym rzucił nóż między zaciśnięte pięści Afraniusza. – Dziękuję za bardzo przekonujące ponaglenie.

Afraniusz podniósł sztylet i patrząc Sewerowi twardo w oczy, wsunął go za pas. Nie wyglądał wcale na zakłopotanego.

– Masz czas do północy. Wiesz, gdzie nas szukać. – Obrócił się na pięcie i bez pożegnania wyszedł wraz z Lentullusem. Do namiotu zajrzał Lucjusz.

– Słyszałeś? – zapytał Sewer.

Sekretarz skinął potwierdzająco głową. Dziwnie był dzisiaj mało rozmowny.

– Poślij za nimi jakiegoś sprytnego człowieka, chcę wiedzieć, gdzie dalej stąd pojadą.

Kiedy został sam, ponownie zaczął roztrząsać swoją sytuację. Nie był pewny, czy dobrze czyni, odrzucając propozycję spiskowców. Rozpaczliwie potrzebowali jego poparcia, a przynajmniej życzliwej neutralności – trzy wenedyjskie legiony stanowiły w tej grze atut nie do pogardzenia. „Germanie na pewno poprą Juliana” – myślał, bezwiednie przeglądając i porządkując raporty. „Podobnie pretorianie, związani z osobą panującego cesarza na życie i śmierć. Tym republikańskie pomysły nie przypadną raczej do gustu”. Ale już legie syryjskie, co prawda zdziesiątkowane, mogły okazać się nielojalne, Syryjczycy byli wściekli za baty, jakie zebrali pod Edessą i potem pod Tarsusem. Zostali pozostawieni sam na sam z Nipuańczykami, kiedy ci szli wzdłuż Tygrysu i Eufratu, obracając w perzynę małoazjatyckie prowincje. Nie dostali żadnego wsparcia, Julian bał się ruszyć z Zachodu bodaj pół legionu. Zostali rozbici w puch, cud prawdziwy, że aż tylu udało się uratować.

Zaklął szpetnie. Flota ściągnięta do brzegów Cylicji dla ewakuacji pobitych Syryjczyków odsłoniła Bosfor i Hellespont, które Nipuańczyki przekroczyli na zarekwirowanych statkach handlowych, przez nikogo nie niepokojeni. Po trzydniowym zaledwie oblężeniu zdobyli Bizancjum... Szybkość poruszania się ich

armii była przerażająca, przypominali rozprzestrzeniający się wraz z wiatrem pożar stepu.

Spod góry pergaminów wyłoniła się mapa imperium, z zaznaczonymi prowincjami opanowanymi przez najeźdźców. Mezopotamia, Syria, Cylicja, Frygia, Tracja... Szczęściem Egipt bronił się dzielnie, namiestnik Roscjusz posłuchał jego rad i zablokował kanał. Z drugiej strony Nipuańczycy wcale nie czekali na swoją flotę, jak się tego wcześniej spodziewał, armia lądowa podjęła samodzielną ofensywę wzdłuż wielkich rzek Mezopotamii. Jej marsz przez rzymskie prowincje przypominał drogę skorpiona, uparcie szukającego najdogodniejszego miejsca do śmiertelnego ukąszenia. W zdobytych i okrutnie spustoszonych miastach zostawiano jedynie słabe załogi, większość sił cały czas przesuwał na zachód. Wszelki opór zdesperowanej i opuszczonej przez wojsko ludności likwidowano terrorem i konsekwentnym stosowaniem zasady odpowiedzialności zbiorowej. Wedle ostatnich doniesień ofiary inwazji można było liczyć na setki tysięcy.

Sewer spojrzał na mapę. Jeśli Nipuańczycy wygrają zbliżającą się bitwę i opanują Pannonię, droga do Rzymu stanie przed nimi otworem. Skorpion zbliżał się do celu.

Do namiotu znowu wetknął nos Lucjusz, z bardzo dziwną miną.

– Dwóch ludzi stanowczo żąda widzenia z tobą – oświadczył. – Jednego z nich znamy... zresztą, sam zobaczysz.

– Niech wejdą – Sewer ostatni raz rzucił okiem na mapę, z bezlitosną szczerością ujawniającą sytuację strategiczną, i z westchnieniem opadł na krzesło. Ponownie sięgnął do szkatuły i wyciągnął stamtąd pierścień Dagona. Przetarł zaśnieżoną powierzchnię sygnetowej tarczy, imię Dagona okalające książęcą mitrę błysnęło czerwono w świetle kaganka. „A co ty byś zrobił na moim miejscu?” – zadał pytanie, sprawdzając, czy pierścień pasuje na środkowy palec. „No właśnie, jak ty byś postąpił, Dagonie?”

Zasłona uchyliła się i do wnętrza namiotu weszło dwóch ludzi. Wyższego i tęższego z nich, choć z pewnym trudem i dopiero po dłuższym namyśle, istotnie rozpoznał: Marcus Corejmus Tranquillus, retor i skryba, niegdyś jego kompan, który w tajemniczych okolicznościach zniknął z Calisji po śmierci Quietusa. Drugim przybyszem okazał się młody człowiek o azjatyckich rysach twarzy, podobny trochę do księcia Tsuomi.

– Witam cię, Marcusie – rzekł, nie okazując zdziwienia i wskazał gościom miejsca na ławie, na której poprzednio siedzieli Afraniusz z Lentullusem. Zaklaskał w dłonie. – Lucjuszu, każ przynieść wina... aha, i zawołaj tu Tytusa.

– Dla mnie piva, jeśli można – odezwał się Marcus; głos miał zmieniony, grubszy i bardziej chropawy niż dawniej.

Sewer wzruszył ramionami i odprawił sekretarza. „No tak, pewne nawyki są

niezniszczalne i nawet światowa wojna nie zdoła ich zmienić” – pomyślał.

Po chwili do namiotu zajrzał Tytus, obrzucił przybyszy uważnym spojrzeniem, przy młodym Azjacie drgnęła mu nieznacznie powieka, nic jednak nie powiedział i spokojnie usiadł z boku. Pojawił się pachołek z kuflem i Marcus Corejmus zanurzył wąsy w pianie; pił długo i z nie skrywaną lubością, delektując się smakiem.

– Cokolwiek by gadać, najlepsze jest jednak wenedyjskie, jeżeli warzyć je z należytym starunkiem – powiedział, odstawiając pusty kufel. – Bardzo się od ostatniego razu poprawiło.

Sewer uśmiechnął się pod nosem z rozbawieniem; to naprawdę nie mógł być nikt inny niż Corejmus Tranquillus, pivny tytan, o którym do tej pory w Calisji opowiadano po karczmach legendy. Oczy mu co prawda zmatowiały, wąs posiwiał, ale duch i upodobania pozostały takie same.

– Z czym przychodzisz, mistrzu mej młodości? – spytał. Niepokoił go ten drugi, milkliwy przybysz.

Marcus zawahał się, jakby niepewny, co powinien mówić. Dawniej mu się to nie zdarzało, zawsze trzymał na podorędziu sposobną neocyniczną sentencję.

– Przychodzę z pewną propozycją – powiedział wreszcie, powoli, jakby wbrew sobie. – Jesteśmy oficjalnym poselstwem sioguna, najwyższego zwierzchnika Państwa Bożego, naczelnego dowódcy wojsk cesarza Nipu. Ten młody człowiek to Gajusz Marcellus Sogo, członek jego rodu. Przynosimy ci posłanie od władcy Nipu.

Prawdę mówiąc, Sewer nie był specjalnie zaskoczony tym oświadczeniem. Wiele rozmyślał o nagłym zniknięciu Corejmusza z Calisji, o jego tajemniczej podróży na Wschód, i to ten Najdalszy. To, co teraz słyszał, wcale go więc nie zdziwiło, pamiętał bowiem z dawnych czasów wiele gorzkich filipik Marcusa, wyrzekających na niewdzięczność Rzymu. Skumanie się z Nipuańczykami stanowiło prostą tego konsekwencję. Tylko jemu mógł przyjść do głowy pomysł skaptowania dla nich Wenedów – bo jeno taka mogła być treść jego poselstwa. Sewer zerknął kątem oka na Tytusa. Chrześcijanin zbladł tak mocno, że niewiele odstawał od namiotowego płótna, co chwila kreślił na piersi krzyż i mruczał coś pod nosem. Młody Nipuańczyk, widząc to, poruszył się nieco za gwałtownie, ale wnet się opanował i zastygł z obojętnym wyrazem twarzy, który tak często swego czasu Sewer oglądał u księcia Tsuomi. Tak, ci dwaj mogli być jednej krwi.

– Słucham. – też nie zamierzał okazywać emocji; bawiąc się pierścieniem, znowu bezwiednie włożył go na palec serdeczny, tym razem pasował. – Jaka to propozycja?

– Siogun żąda, abys w decydującym momencie bitwy odstąpił Rzymian i przeszedł na stronę wojsk Nipu – oświadczył Marcus, wciąż tym dziwnym, niepewnym i drżącym głosem. – W zamian za to siogun przyzna ci Wenedię w udzielne władanie i uzna cię za niezależnego dziedzicznego księcia. Zyskasz taką

samodzielność, jaką kiedyś cieszył się Dago.

Po tych słowach zapadła cisza. Obecni w namiocie ludzie, wstrzymując oddech, czekali na reakcję senatora, który z enigmatycznym uśmiechem przekładał raporty z jednej sterty na drugą.

– Zaiste, ciekawe zamierzenia – zauważył spokojnie, nie przerywając tej pozornie bezsensownej czynności. – Bardzo hojny jest ten twój siogun w rozdawaniu tego, co do niego nie należy.

– Nie kpiłbym tak lekko, Sewerze Flawiuszu – głos Marcusa sposepniał, niczym złowieszcze krakanie. – Ten człowiek może być za parę dni panem Rzymu. Tylko ci, którzy odpowiednio wcześniej opowiedzą się po jego stronie, mogą liczyć na łaskę. Los przegranych będzie straszny...

– Wiem. – Sewer ze szczególną uwagą czytał w raportach, co wyprawiali Nipuańczycy na zajętych terenach. Nikt nie potrafił przewidzieć, co zrobią, gdy umocnią się na zdobytych ziemiach; jedynie Tytus nie miał tu żadnych wątpliwości. Z tego, co chrześcijanin opowiadał o rządach Sogo w kraju Nipu, przyszłość rysowała się w czarnych barwach, dla wszystkich: Rzymian, Galów czy Wenedów. – Co będzie, jeśli odmówię?

– Wenedowie podzielą los innych ludów imperium.

– Krzyż lub śmierć?

– A więc wiesz już. – Marcus popatrzył wymownie na Tytusa. – Cieszę się, że żyjesz – powiedział do zamyślonemu i chyba nieobecnemu duchem chrześcijanina. – Biskup Cyprian mówił mi o tobie...

Tytus ocknął się i spojrzał na niego niezbyt przytomnym wzrokiem. Na dźwięk imienia Cypriana zbladł jeszcze bardziej.

– Biskup Cyprian? Widziałeś go? Jak, gdzie?...

– W Nipu. Krótco przed jego śmiercią.

Chrześcijanin zamknął oczy i szerokim gestem nakreślił na piersi znak krzyża. Modlił się, poruszając bezgłośnie wargami. Po chwili znowu spojrzał na Marcusa.

– A co z innymi? – spytał.

– Nie żyją...

Wymęczone, zbielejące oblicze Tytusa ściągnął grymas strasznego, dojmującego bólu; zakrył twarz krajem szaty i upadł na kolana, bijąc czołem o ziemię.

– Proszę mi wierzyć, nie mogłem nic zrobić – powiedział Marcus; widać było po nim, że to wspomnienie sprawia mu przykrość. Tytus nadal bił czołem o ziemię, mówiąc do siebie słowa, których zupełnie nie rozumieli.

– Jaka jest twoja decyzja, Sewerze Flawiuszu – zapytał Marcus. – Musimy już wracać.

Sewer milczał i patrzył na pierścień z imieniem Dagona. „Jak ty byś postąpił,

wielki książe? Zgodnie z interesem Rzymu, z dobrem własnym czy z racjami swego ludu? A gdzie właściwie leżą te racje?” – myślał.

– Jaką mamy zanieść odpowiedź? – ponaglił Marcus, trącony w bok przez milczącego towarzysza.

– Nie wiem, co ci powiedzieć. Żądasz, abym w ciągu półkwarty sprzeniewierzył się wszystkiemu, czemu mój ród służył wiernie od trzech stuleci. Jakiej mogę tu udzielić odpowiedzi?

– Bacz, aby nie uczyniono wyboru za ciebie – pierwszy raz odezwał się Nipuańczyk. Mówił zimnym i beznamiętnym głosem, łaciną o archaicznie brzmiącym metrum. – Masz czas do jutrzejszego wieczora, jeśli zdecydujesz się poddać woli sioguna, wyślij w stronę naszej armii gońca z wiadomością. Niech twój posłaniec trzyma przed sobą ten proporzec. – Nipuańczyk sięgnął za pas, skąd wyjął długi tubus z czarnej i połyskliwej masy; otworzył go i wydobyl ze środka kawałek cienkiego białego płótna, poznaczony jakimiś czarnymi znakami, a raczej liniami, układającymi się w skomplikowany rysunek. Sewer poznał znak księcia Tsuomi.

– Jeśli posłaniec okaże to naszym patrolom, zostanie dopuszczony do księcia Tsuomi. – Nipuańczyk rzucił płótno na stół. – Pamiętaj, do jutrzejszego wieczora, ani godziny dłużej.

Podniósł się z ławy, a wraz z nim Marcus, bardzo zmieniony, przygarbiony i postarzały. Najwyraźniej zamierzali odejść.

– Zaczekajcie! – zawołał Sewer, zrywając się z miejsca. – Marcusie, powiedz mi, dlaczego zginął Quietus?

Marcus Corejmus przystanął i nie mówiąc ani słowa, wskazał na Tytusa. Potem dobył spod podróżnego płaszcza kuty w srebrze, wysadzany krwistymi rubinami krzyż i położył go przed skulonym na ziemi chrześcijaninem.

– On wie? – Sewer czuł się coraz bardziej ogłupiały. – Przecież go tam wcale nie było...

Były lektor publicznej biblioteki w Calisji, samozwańczy filozof i badacz sensu życia, uśmiechnął się melancholicznie. Wciąż nic nie mówiąc, podążył za Nipuańczykiem. Sewer pojął, że dalsze pytania nie mają sensu. Patrzył jeszcze chwilę na falującą zasłonę, która odchyliła się prawie natychmiast po ich wyjściu, ukazując zdumioną twarz Lucjusza.

– Niech mnie Cerber porwie! – wykrzyknął sekretarz z emfazą. – Końca świata bym się spodziewał, ale nie tego! Jakich ciekawych czasów dożyłem!

– Co o tym sądzisz? – spytał Sewer. Wrócił z powrotem za stół, zdjął pierścień i wrzucił go do szkatuły. Czuł się bardzo zmęczony, najchętniej ległby na łoże i głęboko zasnął, nic nie słysząc i nie wiedząc o niczym.

– Moim zdaniem to interesująca propozycja, dająca szerokie możliwości... –

zaczął Lucjusz, ale Tytus nie dał mu dokończyć.

Powstał energicznie z klęczek, stanął przed Sewerem i spojrzał mu prosto w oczy.

– Nie wolno ci tego uczynić – oznajmił z nieoczekiwaną siłą. – W imieniu apostołskiego Kościoła Powszechnego wzywam cię, abyś odegnał precz podszepty demona i opowiedział się po stronie Prawdy. Odrzuć precz mamienie opętanych przez Szatana schizmatyków, których ten nieprzyjaciel rodzaju ludzkiego nasłał, aby nieśli ziemi nienawiść, ogień i miecz. Stań po stronie Prawdy.

– A gdzie ta twoja prawda, Tytusie?

– Prawdą jest Kościół Miłości, Sewerze Flawiuszu!

Namiestnik skrzywił się, jakby ugodzony w samo serce gorącym sztydłem.

Dzisiejszego dnia miał już dosyć tajemnic i abstrakcyjnych formuł – oraz niepotrzebnych wspomnień.

– A cóż to jest miłość? – zapytał szyderczo.

Tytus nie odpowiedział, ponieważ u wejścia do namiotu wybuchł nagły harmider. Sewer skinął na Lucjusza, który wybiegł na zewnątrz. Po chwili wrócił, z mocno zdumioną miną.

– Cóż za dziwna pora niespodziewanych odwiedzin – stwierdził sentencjonalnie.

– Masz jeszcze jednego gościa.

Płótno rozchyliło się i zobaczyli u wejścia smukłą postać kobiecą. Była cała owinięta w brudny i potargany płaszcz, spłowiwały i zakurzony. Dopiero gdy zdjęła osłaniający głowę kaptur, Sewer rozpoznał Klaudię. Zupełnie odjęło mu mowę. Patrzył i w bezbrzeżnym zdumieniu przecierał oczy – najbardziej ekskluzywna kurtyzana Rzymu, obiekt pożądania tłumów, stała oto przed nim, ledwo żywa ze zmęczenia, spieczona słońcem i skąpana w pyłe. Zwrócił uwagę na jej bose stopy, tak niegdyś podziwiane dla swego kształtu i gładkości; teraz były spękane, pokryte strupami i błotem. Podszedł do Klaudii i pochylił się, gnany nieodpartym pragnieniem, aby ich dotknąć... i uwierzyć. Uczuł przy tym spojrzenie Tytusa.

– To właśnie jest miłość – powiedział chrześcijanin.

Księżyc świecił w pełni i na podłogę padał duży, kwadratowy płat zimnego światła, przysyłający co ćwierć kwadry, z regularnością jakby, mierzoną metronomem, wydłużonym cieniem przechadzającego się pod oknem strażnika. Książę Tsuomi bardzo dbał o jego bezpieczeństwo – albo prędzej troszczył się, aby przypadkiem nie przyszedł mu do głowy głupi pomysł w rodzaju natychmiastowej rezygnacji ze służby u sioguna.

„Jest na mnie wściekły” – pomyślał Marcus i odłożył pisak. Posypał kartę piaskiem, poczekał, aż inkaust wyschnie i dołączył ją do reszty pliku. „Tym moim dziełem chyba też nie byłby zachwycony”.

Płomyk lampki zaskwierczał i zgasł. Komnata pogrążyła się w ciemności. Ale on nie potrzebował już światła.

Sprawy Nipuańczyków nie układały się najlepiej. Flota utknęła w Egipcie, gdzie Rzymianie zasypali kanał łączący Morze Czerwone ze Śródziemnym. Żeglowna droga wodna zamieniła się w płytkie bajory, niedostępne dla ciężkich parowych galer. I mimo iż zdołano w końcu wyprzeć wojska rzymskie poza deltę Nilu, naprawa i udrożnienie kanału mogły trwać miesiącami. Skutkiem tego armia lądowa została zmuszona do morderczego marszu przez całą Małą Azję, naturalną koleją rzeczy wykuszając się po drodze. Opór rzymski, po początkowym zaskoczeniu, zaczął twardnieć. Dureū Europos, w ostatniej chwili wzmocnioną posiłkami przez namiestnika Judei, zdobywano cztery dni, ponosząc wielkie straty. A Imperium Romanum ciągle nie rzuciło do walki wszystkich sił, rezerwy zachodnich prowincji nadal pozostawały nietknięte, nipuańskie zaś systematycznie malały. W Tracji będące w odwrocie wojska rzymskie zastosowały taktykę spalonej ziemi, niszcząc spichrze i polne uprawy. Armii inwazyjnej groził głód, dostawy zza Hellespontu nie wystarczały, często przechwytywane przez kryjące się w górach lotne oddziały pospolitego ruszenia. Nie tylko dla Rzymian gotujące się na pannońskiej równinie starcie miało być bitwą ostatniej szansy.

Do komnaty wszedł Gajusz, wnosząc ze sobą oliwny kaganek; postawił go na półce przy drzwiach. Dane Marcusowi pomieszczenie służyło kiedyś właścicielowi tej podmiejskiej, jednej z najokazalszych w Viminacium willi jako biblioteka; teraz puste półki szczyrzyły się w migotliwym świetle ciemnymi jamami niczym zjedzone próchnicą szczęki. Nipuańczycy, gdziekolwiek wkroczyli, zaraz po likwidacji oporu zajmowali się paleniem księgozbiorów. Kiedy Marcus przybył tu o zmierzchu, przed domem jarzył się wciąż ogromny stos spopielenych zwojów. Z trudem ocalił parę czystych kart pergaminu. W Aleksandrii całopalenie zbiorów tamtejszej Biblioteki podobno trwało prawie dekadę... Dobrze, że Straton tego nie widział.

– Goniec od Sewera Flawiusza nie przybędzie... – ni to stwierdził, ni zapytał Gajusz. – Wiedziałeś o tym, gdy byliśmy w jego namiocie? Zdajesz sobie sprawę, co to dla ciebie oznacza? – Przez właściwą sobie godność nie dodał, że konsekwencje gniewu sioguna poniosą razem. On też był współodpowiedzialny za powodzenie ich misji.

– Owszem – odparł spokojnie Marcus. – I, na brodę Jowisza, niewiele mnie to obchodzi.

– Jesteś zatem prawdziwym samurajem – stwierdził beznamiętnie Gajusz, choć Marcus nie był pewien, czy nie słyszy w podtekście kpiny. Młody Sogo w niepokojącym stopniu przyswajał sobie obyczaje ludzi Zachodu, a zwłaszcza ich poczucie humoru, które prawemu słudze Państwa Bożego winno być najzupełniej

obce. – Pani Taiko pragnie się z tobą spotkać.

– To ona jest tutaj??? – Zdziwienie Marcusa było tym większe, że w obozie nipuańskim nie spostrzegł żadnych niewiast, ani swoich, ani miejscowych. Żołnierze Państwa Bożego mieli poświęcić każdą myśl walce. W zdobytych miastach nie gwałcono kobiet, co najwyżej je zabijano.

Zasłona w drzwiach podniosła się i zobaczył panią Taiko, dokładnie taką samą, jaką ujrzał wówczas, prawie rok temu, gdy odwiedziła z mężem Calisję: drobną, filigranową, prawie nierealną, jak elf z celtyckich legend. Trzymała w dłoniach skrzynkę z laki. Podeszła parę kroków i usiadła na macie, kładąc ją troskliwie u swych kolan. Wdzięcznym, płynnym gestem wskazała Marcusowi miejsce przed sobą. Siedzieli i patrzyli na siebie w milczeniu, badając się wzrokiem, w końcu pani Taiko otworzyła skrzynkę i wskazała zawartość. Marcus pochylił się i ujrzał w środku zbiór niewątpliwie rzymskich zwojów, wyglądających na dość wiekowe i mocno sfatygowane. Cztery grubsze i kilka cieńszych.

– Czyżby to był... – szepnął zdumiony, wciąż nieprzekonany – ...czwórksiąg chrześcijan odnaleziony przez Quietusa?! To niemożliwe... – przecież ksiągę go zniszczył! Po to przecież przybył do Calisji.

– Tak myśli – powiedział Gajusz. – Zdołaliśmy niepostrzeżenie podmienić księgi na fałszywe. To je spalono.

Marcus patrzył osłupiały na zwoje, oszołomiony rozsadzającym czaszkę mętlikiem, i wciąż nic nie rozumiał; cała misterna mechanika świata, którą, jak mu się zdawało, wreszcie zdążył przejrzeć i pojąć, runęła w gruzy: wiedział znowu tyle, co i na początku. Spoista mozaika przyczyn i skutków, pracowicie układana od wielu miesięcy, stała się na powrót zbiorem chaotycznie rozrzuconych kawałków, jak w dziecięcym kalejdoskopie. „A mozem dzieckiem jest, usiłując ją przeniknąć?” – zamajaczyło mu w ogarniętej zamęttem głowie.

– Jeszcze chwila, a oszaleję! – poskarżył się, bliski płaczu. – Kim wy, na Hekate, jesteście?

Patrzył to na Gajusza, to na panią Taiko, ale twarze obojga Nipuańczyków były równie gładkie i nieprzeniknione jak zazwyczaj. Coś mu jednak zaczęło świtać.

– To przecie niemożliwe, abyście byli...

– Tak – potwierdził Gajusz. – Jesteśmy chrześcijanami.

Marcus potrząsnął głową, czując się jak bawół rąbnięty w łeb kamiennym młotem.

– Ty chrześcijaninem? A biskup Cyprian i jego ludzie?

Przez gładkie oblicze Gajusza przebiegł krótki, ledwo dostrzegalny grymas bólu. Trwał krócej niż mgnienie oka, po czym twarz Nipuańczyka znowu przemieniła się w gładką terakotową maskę. Marcus uznał, że w żyłach tego człowieka musiała płynąć

lodowa kasza zamiast ludzkiej krwi.

– Tak zrządziła Opatrzność – stwierdził beznamiętnie Gajusz. – Pan mnie osądzi. My zaś jesteśmy wojownikami Kręgu, tego...

– ...który objawił się we śnie biskupowi Sylwaniuśowi – dokończył Marcus, mimo to ciągle nic nie pojmując.

– Biskup Sylwaniuś był zwolennikiem poglądu, że Opatrzności Bożej trzeba czasami pomóc, dlatego spośród najbardziej zaufanych braci powołał zakon Rycerzy Kręgu, tajne stowarzyszenie, którego celem jest doprowadzenie do ponownego objawienia się Słowa. Początkowo należeli do niego tylko biali, rzymscy chrześcijanie, ale później dopuszczono i Nipuańczyków, także niektórych Sogo, tych nawróconych na wiarę prawdziwą. Naszym celem jest strzec, aby płomyk niosący Słowo nigdy nie zagasnął.

„Krağ – tor, który zakreśla punkt poruszający się po płaszczyźnie i pozostający w jednakowej odległości od osi obrotu, aby po pewnym czasie znaleźć się w miejscu początku” – myślał Marcus. „Ale co jest tym punktem?”

– Tsuomi i siogun o tym wiedzą? – spytał Gajusza.

– Od dawna, ale nigdy nie zdołali natrafić na nasz ślad.

Marcus sięgnął po jeden ze zwojów i rozwinął go machinalnie, jakby tam szukał odpowiedzi na nurtujące go wątpliwości. Wzrok jego padł na przypadkowo wybrany werset, zawierający dziwnie znajome słowa: *Tak więc trwają wiara, nadzieja, miłość – te trzy: z nich zaś największa jest miłość.* „Czyżby wędrującym po *oikumene* punktem był ten właśnie czwórksiąg? On jest Słowem?” Marcus pomyślał z bolesną jasnością, że być może odpowiedź na dręczące go od tylu lat pytania leżała zawsze w zasięgu ręki. Najbardziej spragniony ślepiec potrafi jednak minąć o włos studnię.

– Po co mi to pokazujecie? Mam umrzeć przepełniony miłością do mych wrogów? – Usiłował zdobyć się na resztki cynizmu, ale był to jeno łabędzi śpiew ucznia Diogenesa. Tamten Marcus jawił mu się jako ktoś obcy, daleki i nieprawdziwy, którego z trudnością poznawał.

– Mylisz się – odparł Gajusz. – Chcemy, abyś żył. Zabierzesz te księgi i oddasz je młodemu chrześcijaninowi, ocalonemu z gminy Cypriana. On będzie wiedział, jak ich najlepiej użyć. W ten sposób Krağ się zamknie i będziemy mogli spokojnie odejść.

Twarz Marcusa wykrzywił grymas zniechęcenia. Ostrożnie zwinął zwój. Tak, Gajusz miał rację, koło się zamknęło i jego wielka podróż dobiegła końca. Tym sposobem Początek stał się Końcem. Czy On, ten kiedyś ukrzyżowany, tak o sobie nie mówił, że jest początkiem i końcem? Alfą i Omega? Krağ się zamknął, jak przepowiedziano w śnie Sylwaniuśowi. Przyszło mu nagle do głowy, że od rozpoczęcia tej zadziwiającej historii był li tylko posłusznym narzędziem w rękach sił, o których nic nie wiedział, a usiłując je przeniknąć, postępował jak mrówka,

próbująca dociec tajemnicy codziennych wschodów i zachodów słońca. I w czymże okazał się mądrzejszy od tej mrówki?

– Ta inwazja musi się zakończyć klęską. Gdy tylko wieść o niej dotrze do Nipu, cesarz Suinin opuści ukryty pałac i wyruszy do Nary, wzywając lud do obalenia władzy Sogo. Wiesz już, dlaczego to takie ważne?

Wiedział – szło nie tylko o Rzym. W tych dniach na pannońskiej równinie miały się rozstrzygnąć losy świata. Nadchodząca bitwa rozstrzygnie, czy zawisnie nad nim donatystyczny krzyż, czy też... no właśnie, co? I jakim sposobem te papirusy mają zwyciężyć nieprzeliczone mrowie nipuańskich wojowników?

– Twoja ucieczka już jest obmyślana – mówił dalej Gajusz. – Wyjdiesz stąd w mojej zbroi, dam ci glejt, z którym przejedziesz przez strażę. Dalej sobie jakoś poradzisz.

Marcus pokręcił przecząco głową.

– Za późno, Gajuszu – oświadczył i odsunął od siebie pudło z księgami.

– Na co za późno? – spytał Nipuańczyk, gotujący się do zdjęcia zbroi.

– Na wiele rzeczy. Na miłość i na ucieczkę. Na życie od nowa, na prawdziwy strach i udawane bohaterstwo. Znałem kiedyś człowieka, który nie uciekał, mimo że mógł i mimo że nie za swój grzech musiał umrzeć. Na to wszystko jest już za późno, może poza jednym – oddawaniem długów. Na to zawsze jest pora. Dlatego wybac mi, Gajuszu, ale nie mogę spełnić twojej prośby.

– Te księgi muszą dotrzeć do tego człowieka.

– Tak i ja sądzę – zgodził się Marcus. Przyszedł mu na myśl książę Tsuomi i mnogie sfory donatystycznych dogmatyków, którym te zapisane prawdziwą nauką Chrystusa papirusy od setek lat spędzały sen z powiek. Nie, na pewno nie mogły teraz zginąć. – Ty je odwieziesz.

Gajusz, rozplątując rzemyk mocujący hełm, znieruchomiał z ręką pod brodą.

– Nie mogę – rzekł cicho. – Jestem samurajem i winienem jutro stawić się przed suwerenem, aby wysłuchać jego woli.

– Obawiam się, że książę Tsuomi będzie miał nam bardzo niewiele do powiedzenia. Ale jeśli wyjedziesz natychmiast, zdążysz wrócić przed świtem.

Nipuańczyk przez chwilę zastanawiał się, niezdecydowany, zmagając się ze sprzecznymi racjami, wreszcie z wielkim oporem wyrzucił z siebie:

– Powinieneś wiedzieć, Marcusie, iż to ja wtedy, tego ranka w Calisji, zabiłem przyjaciela twego, Quietusa...

Marcus parsknął zdesperowanym śmiechem i potrząsnął głową, zaprzeczając tym słowom – nikt lepiej od niego nie wiedział, kto odpowiada za tamtą śmierć. Gajusz zamierzał coś jeszcze mówić i byłiby się pewnie spierali dalej, ale w tym momencie zareagowała pani Taiko, siedząca przez cały czas rozmowy bez ruchu, spokojna i

godna niczym alabastrowy posążek żeńskiej wersji Buddy. Zamknęła wieko lakowej skrzynki i podała ją Gajuszowi.

– Zaczekaj – powstrzymał ją Marcus. Sięgnął do swojej sakwy i wyjął z niej plik zszytych razem kart pergaminowych. Otworzył wieko i włożył go do środka skrzynki.

– Opisałem tu moją historię – wyjaśnił. – Od dnia, gdy do Calisji przybył ksiązę Tsuomi. To cała i szczerza prawda o tym, co mi się przydarzyło. Moja prawda. Obiecałem ją biskupowi Cyprianowi.

Gajusz wahał się wciąż, rozdarty i niepewny. Szalę przeważyla pani Taiko, która delikatnie położyła dłoń na jego policzku. Chwilę patrzyli sobie w oczy, po czym Nipuańczyk chwycił skrzynkę i wybiegł z pokoju. Później usłyszeli cichnący w oddali tętent końskich kopyt. Zostali sami.

– Ktoś jest, niewiasto? – zapytał Marcus, porażony widokiem nieprzeniknionej i zarazem niezmiernie pięknej twarzy pani Taiko. – Byłaś też z Quietusem, tuż przed tym, jak zginął? Każdego z nas tak Tam odprowadzasz, jak walkiria poległych wojowników do Walhalli? Tyś widomym znakiem przeznaczenia? Aniołem Śmierci? A może zwiastunem zbawienia? Powiesz mi wreszcie, na piekielną otchłań wód Styksu, które na mnie czekają – kim jesteś?!

Pani Taiko nic nie odpowiedziała, powoli tylko rozsypywała ściągającą jej śnieżnobiałe peplos chustę.

W uszach grzmiały mu wciąż okrzyki wojów, które usłyszał, kiedy wczesnym rankiem Wartosław ogłosił go przed frontem zgromadzonych na placu legionów księciem Wenedów, Dagonem II. *Vivat Dagome, dux Venedae!* – ryknęło zgodnie trzydzieści pięć tysięcy żołnierskich gardeł, gdy starszyzna tryumfalnie podnosiła go ku górze na tarczach. A on zdał sobie sprawę, że właśnie dokonał wyboru. Tak jak żądał tego Quietus.

Przyszedł do niego w nocy, gdy męczył się w ciężkim, duszącym śnie. Przywleczona z Rzymu bagienna gorączka dręczyła go nadal, szczególnie uciążliwa w nocy. Nic nie pomagało, nawet zimne okłady z ziół, zalecone przez medyka. Gdy przychodził atak, męczył się potwornie, przewracając z boku na bok, ni to przytomny, ni to pogrążony w malignie.

Quietus siedział za stołem i, podobnie jak on przez cały miniony dzień, przeglądał raporty, szeleszcząc pergaminem.

– Nie zostało ci zbyt wiele czasu, Sewerze Flawiuszu – powiedział, unosząc do góry jedną kartę, jakby chciał jej się bliżej przyjrzeć. – Musisz się zdecydować.

– A ty, Quietusie? – spytał, podnosząc głowę i usiłując zobaczyć coś więcej w zalegającym w namiocie mroku. Postać za stołem poruszyła się i powstała.

– Ja już odchodzę...

– Gdzie?

Uliczką obok namiotu przemknął jeździec, dzierżący w rękę płonąca pochodnię – na okamgnienie pojaśniało i Sewer zobaczył, że za stołem nie ma nikogo. Głowę objęła mu fala gorączki i padł bezwładnie na łożo, tracąc przytomność, pogrążając się w ciężki, czarny sen. Rano za to wstał zdrów, rześki i gotów do czynu.

Kawalkada powoli zbliżała się do wzgórza, na którym rozłożył się Julian wraz ze swoim sztabem. Po lewej stronie, w odległości niecałej mili, znajdowało się inne wzgórze, dużo wyższe, ale i zarazem bardziej płaskie, z rozrzuconymi na wierzchołku i zboczach chatami awarskiej wioski Samurgar, niegdyś siedliska azjatyckich koczowników, obróconych przez Rzymian w pasterzy. Nawet z tej odległości Sewer widział pobielone gliniane ściany i kręcących się żołnierzy z łopatami; zdecydowano zamienić wioskę na fort ziemny i uczynić z niego główny punkt oparcia linii wojsk rzymskich, obsadzony przez dwa germańskie legiony.

Z prawej strony znajdowało się wzgórze nieco niższe niż to zajęte przez cesarski sztab, porośnięte za to kępą dorodnych dębczaków. Kilkunastu jeźdźców odłączyło się od świty Sewera i podążyło tam skrycie; byli prowadzeni przez zaufanego centuriona. Reszta eskorty zwolniła, chcąc dać tamtym czas na dotarcie na miejsce i zajęcie stanowisk.

Sewer zatrzymał konia u podnóża wzgórza z namiotem Juliana i zdecydował się pójść dalej pieszo. Towarzyszył mu Lucjusz, który dźwigał tubus zawierający oficjalną notę z deklaracją niezależności księstwa Wenedii, podpisaną przez niego rano. W oświadczeniu tym zrywał co prawda państwowe więzi z Rzymem, ale i jednocześnie proponował Julianowi pokój i zawarcie traktatu handlowego. O żadnym płaceniu trybutów czy jakichkolwiek podatków na rzecz cesarstwa nie mogło już być mowy. Nie to jednak było najryzykowniejszym posunięciem: Sewer zdecydował o bezzwłocznym opuszczeniu przez wenedyjskie legiony obozu wojsk rzymskich. Nie pozostawiono mu innego wyjścia, wiedział, że tylko w ten sposób zdoła ocalić armię swojego księstwa.

Na wzgórzu zastali zebranych w komplecie dowódców wielkich jednostek; stali gromadą przy tronie cesarskim, nad którym rozpięto baldachim z białego płótna, dzień bowiem zapowiadał się gorący, i gestykułując gwałtownie, rozprawiali o zbliżającej się bitwie. Między pasmem wzgórz, zajmowanych teraz przez wyznaczone legiony, a przeprawą na Dunaju, przez którą przeszły właśnie czołowe oddziały wojsk nipuańskich, rozciągała się dość rozległa trawiasta równina, łagodnie opadająca od wzgórz ku rzece. Wieśniacy z Samurgar wypasali na niej bydło. Rozmieszczenie na wzgórzach armii rzymskiej dawało jej strategiczną przewagę, i to tak wyraźną, że wielu wątpiło, czy Nipuańczycy w ogóle zdecydują się na bitwę. Z drugiej strony nie mogli jej uniknąć – dalszy marsz wzdłuż Dunaju na zachód, z potężną armią za

plecami, wydawał się szaleństwem. Przyparciu do Alp, odcięci od swoich dostaw, nie przetrwaliby zimy. Nipuańczycy nie mogli być tego nieświadomi i dlatego musieli stoczyć bitwę w ciągu najbliższych dwóch, może trzech dni.

Sewera i Lucjusza powitano w sztabie wesołymi okrzykami. Obydwaj od razu zauważyli brak legatów galijskich i brytyjskich; wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia: Afraniusz i Lentullus zostali pochwyceni przez Tajną Służbę jeszcze tej samej nocy, tuż po opuszczeniu przez nich obozu Wenedów. Czystka trwała do rana, aresztowano ponad dwie setki spiskowców. Najbardziej niepewne legie dostały nowych oficerów, przeważnie Germanów, i przesunięto je na mniej ważne pozycje. W związku z tym wartość wenedyjskich oddziałów bardzo wzrosła, przeznaczono im w planowanym szyku miejsce centralne: mieli jako pierwsi dać odpór Nipuańczykom. I to się najbardziej nie podobało tak Sewerowi, jak i plemiennej starszyźnie.

W pewnej odległości od tronu rozłożono plastyczną makietę terenu przyszłej bitwy. Różnokolorowe romby oznaczały poszczególne legiony. Armia rzymska została rozstawiona w szeroki, wklęsły łuk, rozpościerający się między zamienioną w fort wioską a brzegiem Dunaju. Julian najwyraźniej postanowił zamknąć Nipuańczykom dalszą drogę wzdłuż rzeki i zmusić ich do bitwy na niekorzystnych warunkach. Pośrodku łuku, wysunięte do przodu i nie zabezpieczone od skrzydeł, umieszczono trzy zielone romby, oznaczające jego legiony. Germanie, Italikowie i Galowie stali w drugiej linii. Nie trzeba było umysłu wielkiego stratega, aby poznać, że Wenedom przeznaczono rolę bufora, sztuki wołowego mięsa, na którym zmęczyłyby się nipuańskie miecze. „To jego zemsta”. – Sewer odgadł to bez trudu. „Za to, że nie doniosłem na Afraniusza”.

Plan bitwy zaskakiwał klasyczną prostotą: gdy nipuańskie centrum będzie zajęte wycinaniem Wenedów, zajmujący Samurgar Germanie wykonają manewr oskrzydający, spychając większość wojsk nieprzyjaciela do rzeki. Została na to przeznaczona cała prawie konnica, ześrodkowana za wzgórzem. Potwierdzało to domysł Sewera, że nie przewidywano wsparcia dla walczących w pierwszej linii. To mogło się nawet udać, pod warunkiem, że Nipuańczycy połknęliby przynętę („czyli moje legiony!” – zgrzytnął w duchu z wściekłością) – i uwikłali najlepsze oddziały w walkę z wysuniętym rzymskim centrum. Ktoś to naprawdę sprytnie obmyślił.

Kiedy tak medytował nad makietą, coraz bardziej wściekły, podszedł do niego prefekt pretorianów, w czasie wojny pełniący też obowiązki szefa sztabu.

– Cesarz pragnie cię widzieć – powiedział Wibliusz Kurcjusz. – Chce omówić plan nadchodzącej bitwy.

Sewer nic nie odpowiedział, skinął tylko na Lucjusza, który wystąpił naprzód z tubusem. Wibliusz, mocno zdziwiony, wziął pismo i zaniósł je do tronu. Stał tam

wraz z grupą oficerów gwardii Kuno Lichtenus, podobnie jak reszta rozproszonych po prowincjach Germanów odwołany zaraz po rozpoczęciu kampanii do bezpośredniej dyspozycji Juliana; przerażony spiskiem Afraniusza cesarz tylko im ufał bez zastrzeżeń. „Nie bez racji” – zadrwił w myślach Sewer, obserwując, jak Kuno odpieczętował tubus i usłużnie podaje rulon Julianowi. Ten, w miarę jak przebiegał oczyma kolejne wersy deklaracji, bladł coraz bardziej. W końcu zmiął pergamin i rzucił pod nogi.

– Zdrada! – ryknął. – Straż, aresztować ich!

Sewer podniósł ostrzegawczo rękę.

– Niech nikt się nie rusza – powiedział z naciskiem. – Mam na okolicznych drzewach kuszników, a u stóp wzgórza czeka moich pięćdziesięciu konnych. Wystarczy, że dam znak, a zginiecie wszyscy!

Pretorianin-gorliwiec, który zdążył wysunąć do połowy miecz, opadł z charkotem na kolana, dławiąc się krwią z przebitego gardła. Spod brody sterczała mu krótka strzała. Pozostali gwardziści zamarli w bezruchu, z dłońmi na rękojeściach mieczy, ale żaden nie próbował dobyć broni. Sewer podszedł wolnym krokiem do stóp tronu i spojrzał Julianowi śmiało w oczy. Nareszcie mógł to zrobić.

– Odchodzę, cesarze – rzekł, tłumiąc mimowolne drżenie głosu. – Wraz ze mną odchodzi mój lud. Obrzydła nam rzymska służba i znaki. Nie będziemy więcej walczyć za nie swoje sprawy. Nie próbuj nas zatrzymywać, myśl raczej o Nipuańczykach, którym, jak sądzę, pilno do twojej stolicy. Chcę z tobą pokoju, ale jeśli będziesz szukał wojny, to ją znajdziesz!

Palce Juliana zacisnęły się na poręczy tronowego krzesła jak szpony sępa. Początkowa bladeść minęła, satyrowate oblicze pęczniało niepohamowanym, zwierzęcym gniewem.

– Sewerze Flawiuszu! – wyskrzeczwał. – Niewierny psie wenedyjski! Wiedz, że dopadnę cię, gdziekolwiek uciekniesz, na tym czy na tamtym świecie...

Były namiestnik i rzymski senator obrzucił go chłodnym spojrzeniem, odwrócił się wzgardliwie i odchodząc ku podnóżu wzgórza, powiedział, choć cesarz nie mógł go już słyszeć:

– Nazywam się Dago.

Książę Tsuomi zdawał się nie zwracać na niego uwagi. Siedział, a raczej po nipuańsku klęczał przy niskim, obszernym stole i z uwagą czytał raporty, podsuwane mu przez sekretarzy; co rusz przerywał i szybko dyktował rozkaz w języku nipuańskim, który natychmiast zapisywano i przekazywano dalej. Armia inwazyjna rozwijała szyki na pannońskiej równinie, między Dunajem a małą wioską Samurgar, zamienioną przez Rzymian w warowny fort, wzmocniony ziemnymi wałami i

palisadą. Doszło tam do starcia lotnych zwiadowczych patroli, którymi obie strony usiłowały wybadać możliwości przeciwnika.

Marcus Corejmus spoczywał na macie, wygodnie oparty o ścianę, ubrany w biały nipuański chiton, który przyniesiono mu koło południa, wraz z poleceniem udania się do kwatery księcia. Czekali teraz razem na pojawienie się gońca od Sewera Flawiusza, gońca, który nigdy nie miał przybyć. Marcus wiedział, że lada moment Tsuomi zda sobie z tego sprawę. Śledził spod zmrużonych powiek wydłużoną smugę światła, wędrującą od południa przez komnatę; gdy dotrze do przeciwległej ściany, będzie po sprawie. Dziwna była tylko nieobecność Gajusza – widocznie natrafił na problemy z dostarczeniem manuskryptów. A może zbuntowany chrześcijanin ostatecznie zwyciężył w nim posłusznego samuraja? Tak byłoby najlepiej.

Księżę Tsuomi przerwał swoje zajęcia i klasnął w dłonie. Sekretarze poderwali się na równe nogi i wybiegli z komnaty szybkim truchtem. Zostali sami.

– Zawiodłeś mnie – oświadczył księżę, patrząc z pogardą na Marcusa. – Ty i ten niewdzięcznik Gajusz, który zdołał zbiec. Od jak dawna spiskowaliście przeciwko Państwu Bożemu?

Marcus zignorował te śmieszne oskarżenia. Myśli zajmowało mu coś innego.

– Błądziłem – powiedział powoli, z namysłem, wciąż niepewny słów, które wypowiadał. – Tak, błądziłem, gdym brał za dobrą monetę twierdzenia neocyników o względności bytu, o tym, że coś w określonej sytuacji może okazać się dobrem, po czym w drugiej, odmiennej, złem. Stąd prosty wniosek, że dobro i zło to pojęcia wzajemnie wymienne, nie stanowiące trwałych wartości, zatem: nie istniejące. Dobrze o tym było gadać w tawernach Calisji – wtedy, nie widząc, wierzyłem – teraz, gdy zobaczyłem, nie wierzę. To platonicy się nie mylili, mój wewnętrzny głos, *dajmonion*, zwany przez chrześcijan sumieniem, mówi mi, że nie sposób stanąć ponad dobrem i złem, igrać sobie nimi jak rzucaną o płot piłką. Wiem, więcej, czuję to, że cały czas błądziłem i postępowałem źle. Rzeczywistość albowiem jest z natury dwubiegunowa, i tak dobro stoi naprzeciwko zła, nigdy się z nim nie zamieniając miejscami, tak jak północ nie zamienia się z południem, a wschód z zachodem. I tu musisz wiedzieć, księżę, że to właśnie wasz wyspiarski, poczęty z donatystycznej schizmy Kościoła jest przykładem takiego świata, w którym to, co na górze, znalazło się na dole, a zło zostało nazwane dobrem. Odwracając te odwieczne i nienaruszalne hierarchie, znaleźliście się w konflikcie z samą Naturą, uniwersalnym porządkiem rzeczy. Jak sądzisz, jak długo jeszcze będzie ona to znosić?

Na dźwięk słowa „schizma” oczy księcia zwęziły się niebezpiecznie.

– Wiem wszystko – wyjaśnił Marcus, nareszcie spokojny i wyzbyty lęku. – Biskup Cyprian objaśnił mi istotę donatyzmu, a także źródła schizmy, która przemieniła się w jawne odstępstwo, wypaczenie idei Chrystusa, którego imię

zawłaszczyliście sobie jak koniokrad cudzego wierzchowca; nie jest przecie na nim wypisane, czy został kupiony, pożyczony czy skradziony. Na takim koniu można przejechać świat cały, nigdy nie ma jednak pewności, czy gdzieś nie natknie się na właściciela.

Na te słowa ksiązę Tsuomi wykrzywił się szyderczo, wykazując nietypowy dla Nipuańczyka brak opanowania.

– Tak, wiem, o czym myślisz: żaden właściciel nie upomni się o swoją własność, jeśli leży na podworcze z poderżniętym gardłem. Po to wszak przybyłeś do Calisji?

Książę spoważniał i wyraźnie zaciekawiony pochylił się nieznacznie do przodu, jak kura wypatrująca ziarna.

– Mów dalej – polecił.

– Czy naprawdę jesteś pewien, że wyrwałś całe drzewo, że nie ostała się bodaj gałązka, z której w przyszłości nie odrodzi się to, co miało ulec zagładzie? Że miecz na zawsze zwyciężył miłość? Naprawdę tego jesteś pewien, książę?

Promień dosięgał prawie do ściany. Marcus zobaczył, że ręce księcia zacisnęły się kurczowo, mnąc rozłożone na stole raporty.

– Poczynając sobie, przyznaję, bardzo sprytnie – ciągnął, coraz pewniejszy swych racji. – I z tymi biedakami w Calisji udało ci się nadzwyczajnie. Ale to na nic, cyprianowe ziarno wszędzie na powrót, i to w miejscu najmniej spodziewanym. Albowiem, mój książę, wy nie możecie wygrać. Jeżeli ten świat ma mieć jakikolwiek sens i jeżeli Ten zamęczony na krzyżu był rzeczywiście synem Boga, owego jedyne go stwórcy i sprawcy wszechrzeczy, wasze zwycięstwa okażą się zarazem wrotami do klęski. Nie przynosicie temu światu nic poza nienawiścią, a przecież to miłość jest zasadą, która winna go budować. Nie ma innej. Zaparł się jej Donat, zaparł i Petyliusz – dlatego i oni, i ich diabelski pomiot przepadną na wieki!

– Dość! – wychrypiał Tsuomi; żyły na szyi nabrzmiwały mu tętniczą krwią, w miarę jak słuchał bezlitosnych słów Marcusa. – Straże!

– Nie trzeba. – Marcus powstrzymał go uniesioną do góry ręką. – Jestem przecież samurajem i nie uciekłem razem z Gajuszem. Sam wiem, co powinienem zrobić.

Książę wydał pogardliwie wargi, zapewne pełen wątpliwości co do jego samurajskiego ducha, ale klasnął w ręce i kazał przynieść miecz. Wkrótce postawiono go przed Marcusem, na niewielkiej półeczce. Podjął go, wyciągnął z pochwy i popróbował ostrza. Był nie dłuższy jak dwie stopy, idealnie zdatny do zamierzanego przedsięwzięcia. Promień dotarł do przeciwległej ściany, wspiął się na nią i zaczął przygasać. Zapadał zmierzch. Marcus usiadł możliwie wygodnie na skrzyżowanych nogach, dumnie wyprostowany, tak jak samurajowie, których zdążył już wielu przy tym obejrzeć.

„Podobno najtrudniejsze jest pierwsze pchnięcie” – pomyślał, patrząc, jak drżą

mu zaciśnięte na rękojeści ręce. „Do licha, przecież nie jestem jedynym filozofem, który wypruwa z siebie wnętrzości!”. Ale daleko mu było do tej żelaznej starorzymskiej cnoty, jaka cechowała Katona Młodszego, a która musiała mu być pomocna, gdy przegrany republikanin decydował się na tragiczny finał w Utyce. W lepszych czasach Marcus twierdził, że rzucanie się na miecz to dobre dla stoików, cynicy, do których przecie zawsze się zaliczał, wybierali mniej bolesne zapijanie się na śmierć. Dotknął ostrzem dołu brzucha i uczył przez materię zimne ułkucie metalu. „Tylko pierwsze pchnięcie” – pomyślał raz jeszcze i zaciskając z całej mocy zęby, pociągnął ku sobie rękojeść.

Zrazu nie poczuł nic, potem ostre pieczenie, tak jakby wrzucono mu do brzucha rozpalone polano; stopniowo ból przygasł, a ogień zmienił się w przyjemne nawet ciepło, które wypływało z niego obfitą falą, zalewając dłonie i kolana. Ogarnęła go błogość, rozlewająca się rozkosznym dreszczem po całym ciele. Za nią szła senność, ale Marcus jeszcze nie chciał spać. Uniósł ołowiane powieki i zobaczył księcia Tsuomi, jak patrzy na niego wzrokiem zasepionym, z tłącymi się wewnątrz iskierkami niepokoju. Marcus byłby się uśmiechnął z zadowoleniem, gdyby nie zdrętwiałe, obce wargi. W tym momencie wiotczące mięśnie rozluźniły się ostatecznie i bezwładnie padł na bok, wstrząsany przedśmiertnymi drgawkami. Miecz wbił się głębiej, ale już tego nie odczuł. Resztką sił wpatrywał się w topniejący na ścianie promień słonecznego światła, a przed oczami przewijało mu się całe życie: beztrioskie dzieciństwo w wenedyjskiej rodzinie, gimnazjon, stypendium w Parisii, praca w bibliotece w Calisji, pijatyki w tamecznych karczmach, Quietus, mordowany przez zamaskowanego Gajusza, Cattigara i mnich mielący modły, Cyprian mówiący o donatystach, spadająca głowa Koreańczyka, pani Taiko zdejmująca peplos... Promyk bladł i falował, obrazy stawały się przezroczyście, a Marcusowi wydawało się, że gdzieś odpływa, coraz mniejszy, jak kropla istnienia znikająca w rzece zmienności, że odchodzi w daleką, wielką i chłodną ciszę, w ciemność i bezruch, jaki obiecywali epikurejczycy. Ale przecież nie tego pragnął; ostatek gasnących myśli skupił w jeden krzyk, jeden wyrzut:

”Quietusie, oszukałeś mnie!”

I wtedy zobaczył światło.

VII. Wenedowie

Straty Rzymian od początku bitwy należy szacować na trzy pełne legiony. Najbardziej ucierpiały legie germańskie, broniące fortu. Straty wojsk Nipu należy szacować podobnie. Centrum bitwy przesunęło się na wzgórze Samurgar. Do wieczora, mimo zaciętych walk, żadna ze stron nie zyskała wyraźnej przewagi. Bitwa wygasła o zachodzie słońca, a wojska w dobrym porządku cofnęły się na pozycje wyjściowe...

Przestał czytać, złożył raport w kwadrat i schował w kieszeni pasa. Stał na zboczu góry i zaszępioty patrzył na ciągnące doliną legiony. Długi wąż, złożony z ludzi, wozów i koni, wił się na przestrzeni wielu mil, wzbijając tumany kurzu. Szli cierpliwie i wytrwale, mimo że dobiegał końca czwarty dzień od opuszczenia rzymskiego obozu pod Samurgar, a drugi od rozpoczęcia bitwy. Wedle regularnie przynoszonych przez kurierów wieści od pozostawionych tam szpiegów, starcie na pannońskiej równinie było nadal nie rozstrzygnięte: ani Nipuańczycy nie zdołali zaciekłymi atakami przełamać linii wojsk rzymskich, ani Rzymianie zepchnąć przeciwnika do Dunaju. Zmagania skoncentrowały się wokół zamienionej w fort wioski, która wielokrotnie przechodziła z rąk do rąk, ciągle zdobywana i odbijana. Raporty donosiły o tysiącach poległych, wał trupów zasypał fosę i dosięgał połowy palisady. Walka była tak wyrównana, że zmagania mogły potrwać jeszcze kilka dni. Wyglądało na to, że ktokolwiek zwycięży w tej pyrrusowej bitwie, będzie bardzo osłabiony, prawdopodobnie przez co najmniej kilka miesięcy niezdolny do większych działań ofensywnych. To akurat było Sewerowi bardzo na rękę, potrzebował bowiem czasu, bez którego nie potrafi się obejść nawet bóg, mający za zadanie stworzenie nowego świata. A on przecież nie był bogiem.

„Oto wrota do mojego kraju” – myślał, spoglądając na rozległą nieckę, wyżłobioną między dwoma pasmami Karpat. Jej środkiem biegła Via Venedia, główny szlak łączący Calisję z zachodnią częścią Bohemii i dalej, z resztą dróg imperium. Jak pępowina, wiążąca dziecko z matką. Gdyby mógł, przeciąłby ją raz na zawsze, jednym uderzeniem miecza, jak Aleksander Macedończyk węzeł gordyjski. „Zaprawdę, Wenedowie, wasza godzina wybiła i najwyższy czas po raz wtóry się

narodzić!” – wiedział to już, gdy rzucał wyzwanie Julianowi.

„A kimże właściwie są Wenedowie?” – to pytanie nie opuszczało go od chwili, gdy spotkał w Panteonie błędzącą duszę Quietusa; a może był to mimo wszystko twór jego imaginacji? Niemniej jednak pytanie pozostało, wraz z dręczącą niejednoznaczną odpowiedzią. Co bowiem kryło się za tą plemienną nazwą? Z jednej strony byli to zlatynizowani od stuleci mieszkańcy miast, z drugiej zaś Sklawinowie z zapadłych w borach wsi, tacy sami jak przed czterema wiekami, gdy do puszczy nad Vistulą dotarli pierwsze rzymskie poselstwa. Tam wciąż mówiono po sklawińsku i oddawano cześć starym bogom, z których pokpiwali sobie kosmopolityczni mieszczanie. Jak zespolić ze sobą te dwa obce sobie żywioły, jakim sposobem je scalić, aby uzyskać zupełnie nową jakość, nową potęgę, która sprosta wyzwaniom przyszłości. Ciemnej i niejasnej, choć na pewno wypełnionej ogniem i krwią. To nieistotne, kto zwycięży na samurgarskiej równinie. Każdy zwycięzca prędzej czy później obróci się przeciwko Wenedom, bo niezależność jest śmiertelnym wrogiem tyranii – tak rzymskiej, jak i nipuańskiej.

Wiedzieli o tym ci, których zwołał na naradę zaraz po powrocie od cesarza. Zasiedli obyczajem przodków szerokim kręgiem wokół ogniska, od prawej ręki księcia, w kolejności starszeństwa i godności: najpierw Wartosław, potem Ziomomysł, dowódca Legii Polonia, Wrocisław, dowodzący Silezjanami, Przemko, młody, ale bardzo ambitny legat, mający pod sobą Legię Mazovia. Dalej szli legaci pomocniczy i ważniejsi trybunowie. Poranny entuzjizm, który wybuchł w wojsku na wieść o przywróceniu księstwa, znacznie ostygł, zwłaszcza wśród oficerów. Ci zdawali sobie sprawę, że radosne krzyki niczego im nie zapewnią, a deklaracja niezależności w istocie oznaczała rzucenie się w mętny żywioł światowej polityki, czego się w głębi duszy obawiali. Przemawiał w ich imieniu Wartosław, najbardziej pośród całej starszyzny poważany.

– Książę, panie i władco – zwracał się wprost do Sewera. – Cóż mamy dalej zrobić? Jak ocalić nasz lud przed zemstą Rzymian? Czyż zdołamy się oprzeć tak wielkiej potędze? A co się stanie, jeśli zwycięży cesarz Nipu? Czy i z nim będziemy musieli walczyć? A może najlepiej porzucić nasze sadyby nad Vistulą i czym prędzej odejść daleko na wschód, do kraju, skąd, jak prawią legendy, przybyliśmy przed wiekami? Jaki będzie los nasz, książę?

Sewer nie odpowiedział, zapadła cisza, słychać było jeno strzelanie polan w ognisku. Starszyzna w milczeniu trawiła słowa Wartosława; wielki oboźny mówił głośno to, o czym inni po cichu myśleli. Sewer był świadomy, że jego wojowie bali się niewiadomej przyszłości. Imperium, mimo wszelkich niedoskonałości, dawało bezpieczeństwo i pewność jutra. Zawsze w chwilach niebezpiecznych Rzym, acz niechętnie, okazywał w końcu pomoc. To jarzmo bezsprzecznie miało swoje zalety –

każdy wół, choć narzeka na ciężką pracę, cieszy się z powrotu do ciepłej obory, gdzie czeka na niego żłób pełen paszy. Taka jest już ludzka natura, której nie sposób zmienić choćby nie wiadomo jak szumnymi deklaracjami.

Wtedy, w tej pełnej ciężkiego milczenia ciszy, wystąpił na środek kryjący się do tej pory w mroku Tytus, dzierżący przed sobą srebrny, wysadzany rubinami krzyż, który owego pamiętnego i tak brzemiennego w skutki dnia otrzymał od Marcusa. Uczynił nim znak nad zebranymi.

– Ufajcie potędze i mocy Ducha Bożego – oznajmił głosem pełnym siły i pewności. – On doda wam otuchy i podniesie zwątpiałe serca. Jeśli go przyjmiecie, uwierzycie. Wyrzekając się pogańskich błędów, będziecie mogli bez strachu zmagać się z całym światem. Albowiem wielka jest moc Słowa Bożego, zdolna góry przenosić i zawracać rzeki!

Wojowie słuchali w zadziwieniu, nie śmiąc przerywać świętemu szaleńcowi, za jakiego go powszechnie brali – poza jednym, Przemkiem, w którym młodość współgrała z zapalczywością.

– Cóż nam za bajdy pleciesz, chrześcijaninie?! – zakrzyknął drwiąco. – Moc i potęga, powiadasz? A przecie po twoich pobratymcach nie został nawet popiół! Cóż nam po takim bogu?

Tytus stał spokojnie, chłodno przyglądając się rozgorączkowanemu legatowi.

– Mówisz, że popiół? – odezwał się. – Zobaczmy zatem. Pytam, kto z was, tu zebranych, wierzy, że Quietus umarł, bo przynosił Wenedom Słowo od ich bogów? Tu mylicie się, tak naprawdę było to bowiem posłanie od mojego Boga, jedyne i prawdziwego... Któż z was zatem wierzy, że Quietus wróci, aby ogłosić wam Słowo?

Wezwanie to zawisło nad nimi w martwej ciszy.

Wtem, po nieznośnie długim wahaniu, podniosła się nieśmiało w górę jedna ręka, potem druga, trzecia... A Sewer podniósł oczy ku rozgwieżdżonemu niebu, bezradny i ogarnięty zniechęceniem – zrozumiał, że wybór, o którym sądził, że ma już go za sobą, wciąż jeszcze nie został dokonany.

„Trzeba im wielkiej, porywającej idei” – myślał później, wpatrzony w dogasające ognisko. „Idei, wokół której mogliby się zjednoczyć: i ci ze zlatynizowanych miast, i ci ze skławińskich wiejskich przysiółków. To musi być idea prosta i jasna, zrozumiała dla każdego, trafiająca nie tyle do umysłów, ile do serc, potrafiąca je rozpalić i unieść ku wielkim przeznaczeniom. Coś, co zdołałoby zastąpić obalony mit Imperium Romanum. Tylko co może być taką ideą?”. Przypomniał mu się Dagon – czy on wtedy, trzysta lat temu, był jej świadom? Czy dlatego przyjął naukę Chrystusa?

Imperium Rzymskie prędzej czy później rozpadnie się, niezależnie od wyniku bitwy pod Samurgar, nikt rozsądny nie żywił co do tego żadnych złudzeń. Wenedowie, czy chcieli czy nie, byli skazani na samodzielność. Cóż mogli uczynić w

tej sytuacji? Zbudować imperium własne. Sewer często dawnymi czasy rozmyślał o tych niezmiernych przestrzeniach nad Borysthenesem, zaludnionych przez ich sklawińskich pobratymców, Dulebów, Drewlan, Tywerców, a także o setkach nieznanymi plemion, koczujących na stepach ciągnących się nad Tanais i Rha, sięgających brzegów Pontus Euxinus i Mare Caspium. A gdyby tam obrócił siłę Wenedów, wspomaganą rzymską cywilizacją, i zagospodarował te urodzajne przestrzenie? Sklawińskich braci można by przekonać do idei wspólnego państwa, innych podbić, i stworzyć wielką wschodnią potęgę, z którą każdy pan Zachodu musiałby się liczyć... Tak sobie wtedy marzył przy dogasającym ognisku, pewien, że jednego Wenedom zrobić nie wolno – czekać, aż decyzję podejmą inni.

Koń wierzgnął pod nim niecierpliwie, znudzony bezruchem, a Sewer wrócił do spraw dnia dzisiejszego, znacznie bardziej naglących. „Trzeba tu wybudować warownię” – stwierdził, badając uważnie przeciwległe zbocze. „Zdolną do długiego, wielomiesięcznego oporu, która by zamknęła to przejście przez Karpaty, najkrótszy szlak wiodący z południa do Wenedii”. Jeśli zwycięzca spod Samurgar zdecydowałby się na wojnę, to najpewniej nadciągnąłby tą drogą. Reszta to kwestia czasu oraz wojennego szczęścia.

Dźgnął ostrogami konia i zaczął powoli zjeżdżać w dół zbocza, gdzie na połoninie nieopodal traktu rozłożył się jego sztab. Chciał polecić, aby kilka kohort korpusu inżynierskiego, wraz z częścią Legii Silesia, wycofało się z szyku i zabrało natychmiast do kopania fosy i wznoszenia fundamentów. Do zimy musiały powstać główne umocnienia.

Kiedy zjechał niżej, z rzadkiego zagajnika, obrastającego podnóże góry, wyszła ku niemu Klaudia. Dobrze pamiętał, w jak strasznym stanie była wówczas, gdy prosto z gościńca zjawiała się w jego namiocie, ledwo przytomna ze zmęczenia. Teraz na jej policzki wróciły rumieńce, sprawiała wrażenie świeżej i kwitnącej, bardziej nawet niż za swych najlepszych dni w Rzymie. Głowę przyozdabiał jej wianek, a w ramionach trzymała pęk polnych kwiatów. Bosa, w luźnym peplos, wyglądała jak majka ze sklawińskich legend, opowiadanych mu w dzieciństwie przez piastunki.

Ściągnął cugle i zeskoczył z konia. Klaudia podeszła bliżej i z uśmiechem wyciągnęła ku niemu kwiaty. Wziął jeden i powąchał, rozkoszując się przez chwilę słodką wonią; łąki w Wenedii pachniały najpiękniej, nie umywały się do nich najurokliwsze zakątki Capui czy Kalabrii. Szli obok siebie w stronę gościńca, trochę onieśmieleni, jak para niewinnych narzeczonych.

– Modłę się za ciebie, Sewerze – powiedziała kurtyzana, patrząc na niego z mieszaniną czułości i współczucia – abys i ty doświadczył miłości prawdziwej, aby twe serce otwarło się na prawdę Chrystusa.

Przystanął, szczerze zdumiony. Zaraz potem, z trudem zachowując powagę,

parsknął zduszonym śmiechem. No tak, Tytus nie próżnował. W czasie odwrotu spod Samurgar jechał z Klaudią na jednym wozie. Swoją drogą to dobrze, że zabrał go ze sobą: gdyby dalej działał pośród rzymskich ladacznic z podobną skutecznością, tameczni sutenerzy niechybnie by go ukamienowali.

– Tak, nawróciłam się – dodała Klaudia, uprzedzając jego pytanie. – Ten święty człowiek uświadomił mi ogrom moich grzechów i wskazał drogę do zbawienia. I ty możesz na nią wstąpić, jeśli zechcesz. Trzeba mu tylko uwierzyć.

Sewer Flawiusz westchnął, ogarnięty nagłą melancholią. Czy aby nie za późno na zmianę skóry? Pierwej musiałby się wyrzec sceptycznego racjonalizmu, stanowiącego od wielu lat fundament jego poglądów na świat, a nie wyobrażał sobie innego. Tytus uparcie powtarzał, że w kwestiach wiary w jego Boga rozum tylko przeszkadza. „Przestań myśleć, a zacznij wierzyć. Wiara jest czystym źródłem, w którym człowiek obmywa swą duszę. Jednak, aby się w nim zanurzyć, musisz odrzucić wszelkie wątpliwości” – mówił bez ustanku, na co Sewer niezmiennie reagował sardonicznym grymasem niedowierzania. Przybysz z Nipu bezceremonialnie stawiał na głowie tysiącletni przeszło dorobek filozofii. Dla niego Sokrates, Platon czy Arystoteles nigdy nie istnieli, wraz z wypracowanymi przez nich prawidłami logicznego i krytycznego rozumowania. Być może miał to być podstawowy rys nowych czasów. I zarazem największy problem dla ludzi jego pokroju. „Imperium Romanum już prawie nie istnieje, ale co zrobić z Rzymianami?” – zapytywał się w duchu. Nie ulegało wątpliwości, że był człowiekiem starej epoki. „Czy naprawdę mogę zrzucić starą skórę i zostać kimś innym?”

Wyszli na małą polanę, tuż obok drogi. Siedział tam na samotnym polnym kamieniu Tytus, z nieodstępnym Nipuańczykiem Gajuszem przy boku. Ten młody Nipuańczyk, którego przyjmował jako posła sioguna, przybył do wenedyjskiego obozu w nocy poprzedzającej dzień wymarszu, żądając widzenia z chrześcijaninem. Tytus zamknął się z nim w namiocie. Rozmawiali długo, do świtu. Sewer nie wiedział, co sobie powiedzieli, w każdym razie od tego czasu Gajusz nie odstępował Tytusa na krok, wszędzie mu towarzysząc. „Też go nawrócił?” – dziwił się Sewer, ale nie widział powodu, aby temu przeszkadzać.

Chrześcijanin trzymał na kolanach czarną skrzynkę, zawartość której uważnie przeglądał. Były to, jak zauważył Sewer, same zwoje, bardzo wiekowe, spisane na kruchym, zupełnie żółkłym egipskim papirusie.

– Będiesz je musiał dać do przepisania na pergaminie – zauważył, podchodząc bliżej. – Mamy w Calisji znakomitych kopistów, nie gorszych od rzymskich.

– Tak uczynię – odparł Tytus. Wyciągnął ze środka zwitek pergaminowych karteluszków, na pewno zapisanych niedawno, sądząc po niewyblakłym, wciąż czarnym inkauscie. Kartkował zszyty plik z niejakim zadziwieniem, podczytując tu i

ówdzie po parę słów. Sewer, zaciekawiony, zerknął mu mimochodem przez ramię. Wydało mu się, że rozpoznaje charakterystyczne, ostro pochylone pismo Corejmusy. Chciał w pierwszym porywie sięgnąć po rękopis, ale po chwili zrezygnował; w gruncie rzeczy nie miało to już żadnego znaczenia.

– Tytusie, Marcus rzekł mi na odchodnym, że wiesz, dlaczego zabito mego przyjaciela, Quietusa?

Chrześcijanin uniósł głowę i marszcząc brwi, zastanawiał się nad odpowiedzią. W tym momencie na polanę wpadł zadyszany Lucjusz, machając rękoma i wykrzykując coś niezrozumiale. Dobiegł do nich i zatrzymał się, wskazując za siebie; dyszał ciężko, nie mogąc złapać tchu.

– Jakież nowe wieści? – spytał Sewer.

Sekretarz kiwnął potakująco głową.

– Przybył goniec od cesarza – wysapał. – Z pismem. Może Julian chce zgody i pokoju?

– Wątpię – mruknął Sewer. – A co z bitwą?

– Kurier mówi, że kiedy odjeżdżał, wciąż trwała. Chcesz go zobaczyć?

– Tak, niech przyjdzie.

Lucjusz gwizdnął przeciągle i na polankę weszło trzech wojów, prowadząc między sobą niewysokiego człowieczka w stroju cesarskiego kuriera, z twarzą szczerze przysłoniętą chustą, od kurzu zapewne. W jego ruchach i postaci było coś znajomego, czego Sewer nie mógł jednak skojarzyć. Także Lucjusz czujnie przyglądał się przybyszowi, zdeorientowany i chyba zaniepokojony. Obaj pomyśleli o tym samym.

– Obszukaliśmy go bardzo starannie – powiedział sekretarz. – Nie ma przy sobie broni.

Posłaniec wyjął wetknięty za pas pozłacany tubus, w jakim kurierzy rozwozili pisma podpisane osobiście przez cesarza. Człowieczek, zobaczywszy Sewera, skłonił mu się głęboko i, nadal z tubusem w ręku, szedł ku nim, nie czekając, aż zgodnie ze zwyczajem przejmie pismo sekretarza. Sewer zbladł nagle, tknięty mrozącym szpik w kościach podejrzeniem.

– Niech odsłoni twarz! – krzyknął.

Lucjusz, który ruszył na spotkanie posłańca, desperacko próbował się na niego rzucić, ale ten nadzwyczaj zręcznym ruchem odtrącił sekretarza, wywracając go na trawę, i podniósł wyżej tubus. Coś w nim zgrzytnęło – rozległ się cienki świst, a Sewer złapał się za brzuch i z jękiem opadł na trawę.

Pocisk przemyślną sztuczką ukryto wewnątrz tubusu z rzekomym pismem od cesarza. Posłaniec odrzucił niepotrzebną już kuszę i rzucił się w bok, nurkując w krzaki zagajnika. Gajusz był jednak szybszy – nim ktokolwiek zdążył zareagować,

błyskawicznie wyciągnął swój zakrzywiony miecz i cisnął nim w napastnika jak oszczepem. Trafił dokładnie między łopatki.

Kiedy Sewer Flawiusz otworzył oczy, zobaczył nad sobą zatroskaną twarz Tytusa. Chrześcijanin uśmiechał się do niego krzepiaćco.

– Bądź dobrej myśli, bracie – powiedział. – Zaraz przybędzie medyk.

– Dobrze – szepnął. Nie czuł właściwie bólu, jedynie przyjemne nawet odrętwienie, rozlewające się z wolna na całe ciało. – Kto to był?

– Pies gończy Kunona, niejaki Paolos – usłyszał nabrzmiały gniewem głos Lucjusza. – Od razu wiedziałem, że coś jest z nim nie w porządku. To dlatego zakrył twarz. Moja wina, powinienem go sprawdzić. Bodajbym przepadł w Hadesie z tą moją nieszczęsną głupotą... – jęczał, bijąc się w pięścią w czoło.

– Nieważne. – Sewer próbował się uśmiechnąć, aby go pocieszyć, ale pewnie nic z tego nie wyszło. Twarz zaczynała mu drętwieć. – Wezwij do mnie Wartosława i starszyznę.

Teraz pochylał się nad nim medyk, z chmurną twarzą. Obmacywał mu brzuch; kiedy jego palce dotknęły strzały, Sewer syknął z bólu, który przeszył go rozpalonym żądłem od stóp do głów. Ręce medyka cofnęły się i znów czuł tylko błogie odrętwienie.

– I co o tym sądzisz? – zapytał Lucjusz.

– Niedobrze. Pocisk wszedł głęboko, uszkodził wątrobę i dolny płat płuc. Krew wypływa do wnętrza ciała. – Medyk, wyraźnie przygnębiony, nie starał się ukryć bezradności.

– Wyjmij to świństwo i opatrz rany!

– Jeśli to zrobię, to wykrwawi się na śmierć w niecałą kwadrę. A tak ma trochę czasu, jeśli nie będzie się go ruszać.

– Człowieku, na co?! – w głosie Lucjusza brzmiało prawdziwe przerażenie.

– Na rozliczenie się ze światem.

Sewer słyszał, jak medyk oddala się, mamrocząc pod nosem lekarские formułki.

– Gdzie Wartosław? – jęknął. Sam czuł, że nadchodzi koniec. Odrętwienie, tak początkowo przyjemne, zmieniało się w lodowaty chłód, postępujący od nóg ku sercu. Zrozumiał, że musi się pośpieszyć.

– Już idzie.

Wojowie otoczyli go zwartym kręgiem. Popatrzył na ich surowe, posepne twarze; Wartosław ukradkiem ocierał łzy. „Ten był mi naprawdę wierny” – pomyślał, mając nadzieję, że wygląda dość godnie jak na umierającego księcia.

– Wartosławie, zdejmij mi pierścień – rozkazał. Sam powinien to zrobić, ale nie potrafił ruszyć zdrtwiałymi rękoma.

– Panie, nie powinienes...

– Czyń, co ci mówię. Mój czas się kończy. Zbliź się, Tytusie.

Chrześcijanin znowu pochylił się nad nim, usiłując za sztucznie pogodną twarzą ukryć stroskanie. W rękę dzierżył srebrny, rozmigotany krzyż. Widział go jakby przez gęstą mgłę, wydał mu się ogromny, i jakby przesłaniający świat.

– Sewerze Flawiuszu, nie godzi się, abyś odchodził z tego świata bez błogosławieństwa Bożego i odpuszczenia grzechów...

– Nie teraz, Tytusie. Wartosławie, podaj mu pierścień. Niech go założy.

„Ten kawałek miedzi to był przecież znak od ciebie, Dagonie? Po cóż innego miałby do mnie wracać po trzech wiekach, jeśli nie jako wskazówka? Któż inny, jeśli nie ten, który mi go przyniósł, jest przyszłością Wenedów? To tego wyboru ode mnie żądałeś, Quietusie? Na to się miałem zdecydować? Czy to, co się teraz stało, ma być też i dla mnie najlepszym wyborem?” – nadal nie wiedział, jak odpowiedzieć na te dręczące go pytania. A czasu miał coraz mniej.

Starszyzna patrzyła to na siebie, to znów na niego w skrajnym zdumieniu. Tytus obracał w rękę pierścień, niepewny, czy powinien włożyć go na palec.

– Naprawdę tego sobie życzysz, książę? – zapytał Wartosław z niedowierzaniem.

– On będzie waszym księciem. Niniejszym czynię go swoim dziedzicem i oddaję władzę nad Wenedią. Nakazuję, abyście okazali mu posłuszeństwo, tak jakbyście byli mnie posłuszni, nawet jeśli każe wam czynić rzeczy dziwne i niezrozumiałe. Jest on wysłannikiem nowego boga, którego przyjmiecie i czcić będziecie wedle jego nauk. To dobry bóg, który był też bogiem Quietusa, przyniesie wam szczęście i pomyślność. To więcej niż ja mógłbym wam dać kiedykolwiek...

Pragnął mówić dalej, ale zabrakło mu tchu. Zimna fala zdawała się docierać do serca. Ogarniało go wielkie znużenie, jak po nieskończeniu długim biegu. Oddychał z coraz większym trudem, nic już prawie nie widząc.

– Gdzie jest Klaudia? – Nie wiedział, czy go jeszcze słyszą, ale uczył na wargach coś słonego, jej łyzy. Całowała go gorączkowo. – Wiele mam win wobec ciebie... Czy mi wybaczysz?

– Sewerze, nie umieraj! – Łkała rozpaczliwie.

Chciałby dotknąć jej po raz ostatni, ale było na to za późno. Chłód objął oba ramiona i sięgał po serce.

– Kocham cię, kocham – szeptała, tuląc się do niego coraz mocniej.

– Odstąpcie – usłyszał głos Tytusa. – I dajcie mi wody.

Klaudia uniosła mu nieco głowę, a chrześcijanin ukląkł nad nim i umaczawszy palce w naczyniu z wodą, uczynił na jego czole znak krzyża.

– Dagonie, ja ciebie chrzczę, w Imię Ojca i Syna i Ducha. Amen. Niech Pan przyjmie duszę twoją.

Sewer zamknął ciężące mu zbytnio powieki. Przenikliwie zimno z piersi

wędrowało ku głowie.

– Wiem – wyszeptał.

– Co takiego? – To pytał Lucjusz, którego uszy czuł tuż przy swych drętwiejących wargach.

– Dlaczego umarł Quietus.

– Dlaczego?

Ale Sewer Flawiusz nic więcej nie powiedział – odetchnął po raz ostatni, po czym spokojnie, wyzbyty lęku, pograżył się w ogarniającą go ciemność, zupełnie jakby oczekiwał go zwykły, codzienny sen. W ostatnim przebłysku myśli, na granicy jawy i mroku, poczuł żal, że jej tego nie powiedział. Bo przecież też kochał.

Na stoku góry, dokładnie tam, gdzie zmarły książę Wenedów zamierzał wybudować graniczną twierdzę, stało dwóch młodych ludzi, jeden ze srebrnym krzyżem w ręku, drugi z wygiętym nipuańskim mieczem.

– Zatem dokonało się – powiedział ten z mieczem. – Ziarno zostało na powrót zasiane. Czy jednak aby dobrze wybraliśmy miejsce? Czy Słowo rzeczywiście rozkrzewi się pośród tego dzikiego i zepsutego ludu, który jeszcze sam nie wie, kim jest i czego chce od świata? Czy znowu nie zmarnieje, jak za pierwszym razem?

Drugi młodzieniec odwrócił oczy od maszerujących gościńcem żołnierzy. Uniósł dłoń z krzyżem i zakreślił w powietrzu znak nowej wiary, błogosławiąc ludzi i kraj, ku któremu zmierzali.

– To wie tylko Bóg – odrzekł. – Stanie się to, co przeznaczyła Opatrzność. Przecież ci mówiłem, Gajuszu, iż należy jej ufać bez zastrzeżeń.

Nipuańczyk westchnął i spoglądając ku zachodzącemu słońcu, zapytał:

– I cóż dalej poczniemy, ojczy Tytusie, dokąd stąd pójdziemy? Do Nipu? Do Rzymu?

Tytus nie odpowiedział. Patrzył, jak na drogę opada chmura kurzawy, wzniesiona przez ciągnące na północ legionowe kolumny.

– Do Rzymu? – zapytał znowu Gajusz.

– Nie, przyjacielu. – Chrześcijanin ujął mocniej krzyż. – Nie do Rzymu. Do Wenedii.

Na drogę wciąż opadał pył i kurz.